

Desmond BAGLEY

Złoty kil



KSIEGA PIERWSZA

LUDZIE

WALKER

I

Nazywam się Peter Halloran, lecz wszyscy wołają na mnie „Hal”. Wyjątek stanowi moja żona, Jean, która zawsze mówiła mi Peter — najwyraźniej kobiety nie lubią przydomków bliskich im mężczyźn. Jak wielu innych, przyjechałem po wojnie do „kolonii”. Podróżowałem z Anglii do Afryki Południowej drogą lądową przez Saharę i Kongo. Droga była ciężka, ale to już zupełnie inna historia. Dość powiedzieć, że w 1948 roku znalazłem się w Cape Town; bez pracy i prawie bez pieniędzy.

W pierwszym tygodniu pobytu w mieście odpowiedziałem na kilkanaście ofert pracy, które ukazały się w *Cape Times*.

Czekając na odzew, rozglądałem się trochę.

Tego ranka zaszedłem do doku i w końcu znalazłem się nie opodal przystani jachtowej. Oparty o barierkę przyglądałem się łodzi, gdy rozległ się za mną jakiś głos:

— Którą z nich byś wybrał, gdybyś mógł?

Odwróciłem się i ujrzałem zmrużone oczy starszego, wysokiego mężczyzny, o przygarbionych ramionach i siwych włosach. Miał ogorzałą twarz i sękatę dłoń. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat.

Wskazałem na jedną z łodzi.

— Myślę, że wziąłbym tę — powiedziałem. — Jest dość duża, aby się na coś przydać, lecz nie za duża do samotnej żeglugi. Wyglądał na zadowolonego.

— To „Gracia” — powiedział. — Ja ją zbudowałem.

— Wygląda na niezłą łódkę — odparłem. — Ma ładne linie.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy o łodziach. Powiedział, że za Cape Town, w kierunku Milnerton, ma niewielką stocznię i że specjalizuje się w budowaniu kutrów, używanych przez malajskich rybaków.

Zdażyłem je wcześniej zauważyć: te solidne, niesympatyczne statki o wysokich dziobach i sterówce wsadzonej na górę niby kurzy kojec wyglądały jednak na bardzo dobre do żeglugi. „Gracia” była dopiero jego drugim jachtem.

— Teraz, gdy wojna się skończyła, nastąpi boom — prorokował. — Ludzie będą mieli kupę pieniędzy i rzucą się na jachty. Chciałbym to wykorzystać.

Po chwili spojrział na zegarek i skinął głową w stronę klubu na przystani.

— Chodźmy na kawę — zaproponował. Zawahałem się.

— Nie jestem członkiem.

— A ja tak — powiedział. — Zapraszam cię. Weszliśmy do budynku. Usiedliśmy w sali z widokiem na przystań, a on zamówił kawę.

— A tak w ogóle, to nazywam się Tom Sanford.

— A ja Peter Halloran.

— Anglik — stwierdził. — Długo tu jesteś? Uśmiechnąłem się.

— Trzy dni.

— Ja nieco dłużej — od 1910. — Upił łyk kawy i popatrzył na mnie z namysłem. — Zdaje

się, że wiesz co nieco o łodziach.

— Spędziłem wśród nich całe życie — odparłem. — Mój ojciec miał stocznnię nie opodal Hull. Też budowaliśmy kutry rybackie — aż do wojny.

— A później?

— Później zakład przyjął kontraktowe prace dla Admiralicji — powiedziałem. — Robiliśmy szalupy do obrony portu, i tym podobne rzeczy, bo nie mieliśmy sprzętu do wykonywania niczego większego — wzruszyłem ramionami. — Potem był nalot.

— Paskudna sprawa — rzekł Tom. — Czy wszystko zostało zniszczone?

— Wszystko — odparłem bezbarwnym głosem. — Moja rodzina miała dom tuż obok zakładu; też oberwał. Rodzice i starszy brat zginęli.

— Chryste! — powiedział Tom łagodnie. — To straszne. Ile miałeś lat?

— Siedemnaście — odpowiedziałem. — Zamieszkałem z ciotką w Hatfield. Wtedy właśnie zacząłem pracować dla de Havillanda, budując „Mosquito”. To drewniany samolot, dlatego potrzebowali ludzi znających się na robocie w drewnie. Dla mnie stanowiło to tylko zabijanie czasu do chwili, kiedy mogłem wstąpić do wojska. Jego zainteresowanie wzrosło.

— Wiesz, to ma przyszłość — te nowe metody opracowane przez de Havillanda. Jak sądzisz, czy jego proces formowania na gorąco da się zastosować przy budowie łodzi?

Zastanowiłem się.

— Czemu nie, efekty są nadzwyczaj zadowalające. W Hatfield wykonywaliśmy zarówno naprawy, jak i nowe konstrukcje. Widziałem, co dzieje się z tego typu kadłubem przy bardzo silnym uderzeniu. Jednak koszty będą wyższe niż przy metodach tradycyjnych, chyba że podejmie się produkcję masową.

— Myślałem o jachtach — rzekł Tom wolno. — Musisz mi kiedyś o tym dokładniej opowiedzieć. Co jeszcze wiesz o łodziach? Uśmiechnąłem się szeroko.

— Kiedyś pragnąłem zostać projektantem — powiedziałem. — Jako chłopak — miałem wtedy około piętnastu lat — zaprojektowałem i zbudowałem moją pierwszą wyścigową żaglówkę.

— Wygrałeś jakieś wyścigi?

— Razem z bratem pobiliśmy wszystkich — powiedziałem. — To była szybka łódź. Po wojnie, gdy oczekiwanie na demobilizację dłużyło mi się strasznie, spróbowałem jeszcze raz. Zaprojektowałem pół tuzina łodzi, dzięki czemu czas szybciej minął.

— Masz jeszcze te rysunki?

— Leżą gdzieś na dnie walizki — odparłem. — Dawno już ich nie oglądałem.

— Chciałbym je zobaczyć — rzekł Tom. — Słuchaj, chłopcze, a może popracowałbyś dla mnie? Już ci mówiłem, że mam zamiar rozwinąć interes z jachtami i przydałby mi się ktoś bystry.

Tym sposobem zacząłem pracować dla Toma Sanforda. Następnego dnia poszedłem do stoczni z rysunkami. W zasadzie spodobały mu się, wskazał mi jednak kilka sposobów poczynienia oszczędności.

— Jesteś dość dobrym projektantem — powiedział. — Musisz jednak dowiedzieć się znacznie więcej o stronie praktycznej. Zresztą nieważne, zajmijmy się tym. Kiedy możesz zacząć?

Przyjęcie oferty pracy u starego Toma było jedną z najlepszych decyzji, jakie podjąłem w życiu.

II

W ciągu następnych dziesięciu lat powodziło mi się coraz lepiej, a czy zasłużenie, czy też nie, to inna sprawa.

Dobrze było znów pracować w stoczni. Nie zapomniałem umiejętności zdobytych w warsztacie ojca i chociaż z początku szło mi opornie, wkrótce nie byłem gorszy od innych, a

może nawet nieco lepszy. Tom zachęcał mnie do projektowania, bezlitośnie wytykając błędy.

— Masz oko do linii — orzekł. — Twoje łodzie to wspaniałe żagłówki, lecz cholernie kosztowne. Musisz więcej czasu poświęcić szczegółom. Trzeba obciąć koszty, żeby robić łódki popularne.

W cztery lata po przyjęciu do firmy Tom awansował mnie na kierownika zakładu, a wkrótce potem po raz pierwszy poszczęściło mi się przy projektowaniu. Oddałem projekt na konkurs, ogłoszony przez lokalne czasopismo żeglarskie. Drugie miejsce i pięćdziesiąt funtów. Co więcej, projekt spodobał się pewnemu miejscowemu żeglarzowi, który postanowił taką łódź wybudować. Tom musiał więc ją zrobić, a ja otrzymałem za projekt honorarium, które powiększyło moje pokaźne już konto bankowe.

Tom był zadowolony i zapytał, czy mógłbym wykonać projekt łodzi, która stałaby się początkiem serii. Zaprojektowany przeze mnie jacht o wyporności sześciu ton okazał się bardzo dobry. Nazwaliśmy go „Pingwin”, a Tom w pierwszym roku wybudował i sprzedał ich tuzin; po 2000 funtów. Łódź tak mi się spodobała, że zapytałem Toma, czy mógłby wybudować jedną dla mnie. Zrealizował moje zamówienie, biorąc najniższą cenę i godząc się, abym spłacał dług w ciągu kilku lat.

Otwarcie biura projektowego ożywiło interesy. Wieści rozeszły się i ludzie, zamiast korzystać z projektów angielskich i amerykańskich, zaczęli przychodzić do mnie, dzięki czemu mogli osobiście spierać się z projektantem. Tom był usatysfakcjonowany, gdyż większość projektowanych przeze mnie łodzi budowano w jego stoczni.

W 1954 roku zostałem menedżerem zakładu, a w 1955 Tom zaproponował mi współudział w interesie.

— Nie mam komu tego zostawić — rzekł wprost. — Żona nie żyje, a synów nie mam. Starzeję się.

— Tom, stu lat dożyjesz, budując łodzie — powiedziałem. Pokręcił głową.

— Teraz to sobie uświadomiłem. — Zmarszczył brwi. — Przeglądałem księgi i okazało się, że przysparzasz firmie większych obrotów niż ja, dlatego nie będę przesadzał z ceną za udział. Będzie cię to kosztowało pięć tysięcy funtów.

Pięć tysięcy funtów stanowiło śmiesznie niską cenę za udział w tak kwitnącym interesie. Niestety nie posiadałem nawet części tej kwoty. Dostrzegł wyraz mojej twarzy i zmrużył oczy.

— Wiem, że tyle nie masz, ale ostatnimi czasy nieźle ci szło dzięki projektowaniu. Wydaje mi się, że masz zachomikowane jakieś dwa tysiące.

Tom, bystry jak zwykle, miał rację. Miałem kilka setek ponad dwa tysiące.

— Coś koło tego — odparłem.

— W porządku. Wrzuć te dwa tysiące, a pozostałe trzy weź z banku. Pożyczą ci, gdy zobaczą księgi. Będiesz mógł je zwrócić z zysków w niecałe trzy lata, zwłaszcza jeśli zrealizujesz plany dotyczące tej wyścigowej żagłówki. Co ty na to?

— W porządku, Tom — powiedziałem. — Umowa stoi.

Wyścigowa żagłówka wspomniana przez Toma stanowiła pomysł, który przyszedł mi do głowy, gdy w Anglii obserwowałem modę na zestawy typu „Zrób to sam”. Na wysokim południowoafrykańskim *veldzie* jest mnóstwo niewielkich jezior. Sądziłem, że niewielkie łódki mógłbym sprzedawać nawet z dala od morza, gdyby tylko udało mi się je produkować dostatecznie tanio. Mógłbym wówczas sprzedawać albo gotową łódź, albo zestaw do samodzielnego wykonania dla mniej zasobnych zapaleńców.

Założyliśmy kolejną stolarnię i zaprojektowałem łódź, która stała się pierwszym modelem klasy „Falcon”. Prowadził ten projekt młody facet nazwiskiem Harry Marshall i nieźle się spisał. Nie była to działka Toma, więc trzymał się na uboczu, dogadując tylko: „Ta twoja piekielna fabryka”. A jednak zarobiła dla nas sporo pieniędzy.

W tym też czasie spotkałem Jean i pobraliśmy się. Małżeństwo z Jean nie należy w

zasadzie do tej historii i nie wspominałbym o tym, gdyby nie to, co zdarzyło się później. Byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi i kochaliśmy się. W interesach dobrze mi się wiodło, miałem żonę i dom; czego więcej może człowiek pragnąć?

W końcu 1956 roku Tom zmarł nagle na atak serca. Jak sądzę, wiedział, że z jego sercem jest coś nie w porządku, lecz nikomu o tym nie wspomniał. Swój udział w stoczni zostawił siostrze żony, która na prowadzeniu interesów nie znała się zupełnie, a na budowaniu łodzi jeszcze mniej. Zaangażowaliśmy prawników i zgodziła się odprzedać mi swój udział. Zapłaciłem grubo ponad pięć tysięcy, na które Tom ocenił udział w firmie. Była to jednak uczciwa sprzedaż, chociaż moja sytuacja finansowa stała się niepewna i wpędziłem się w poważny dług hipoteczny.

Trudno mi było pogodzić się z odejściem Toma. Dał mi szansę, jaka zdarza się niewielu młodym ludziom, i byłem mu za to wdzięczny. Zakład zdawał się opustoszały, gdy stary nie laził już między pochylniami.

Stocznia prosperowała i, jak się wydaje, moja reputacja jako projektanta była już ustalona, gdyż otrzymywałem mnóstwo zamówień. Jean przejęła sprawy zarządzania oraz biuro, a ponieważ sam przez większość czasu byłem przywiązany do deski kreślarskiej, awansowałem Harry'ego Marshalla na menedżera stoczni. Radził sobie znakomicie.

Jean, jak to kobieta, gdy tylko przejęła dowodzenie, przeprowadziła w biurze gruntowne, wiosenne porządki. Pewnego dnia odgrzebała starą blaszaną puszkę, która przez lata stała zapomniana na dalszej półce. Sięgnęła do środka i nagle spytała:

— Po co trzymałeś ten wycinek?

— Jaki wycinek? — mruknąłem z roztargnieniem. Akurat czytałem list, z którego mogło wyniknąć interesujące zamówienie.

— Ten, o Mussolinim — powiedziała. — Przeczytam ci go — usiadła na skraju biurka, trzymając między palcami połówkę kawałek gazety. — „Wczoraj w Mediolanie szesnastu komunistów włoskich zostało skazanych za współudział w ukryciu skarbu Mussoliniego. Skarb, który w tajemniczych okolicznościach zaginął pod koniec wojny, składał się ze złota przesyłanego przez Narodowy Bank Włoski oraz znacznej części osobistego majątku Mussoliniego, w tym etiopskiej korony. Przypuszcza się, że poza skarbem było tam również wiele ważnych dokumentów państwowej wagi. Żadna z szesnastu osób nie przyznała się do winy”.

Uniosła wzrok.

— O co w tym wszystkim chodziło?

Zdumiałem się. Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy myślałem o Walkerze, Coertzem i dramacie, który rozegrał się we Włoszech. Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

— Mógłbym zrobić fortunę na związanej z tym historii.

— Opowiedz mi ją.

— To długa opowieść — zaprotestowałem. — Opowiem ci innym razem.

— Nie — nalegała. — Opowiedz teraz. Zawsze interesowały mnie skarby.

Odsunąłem więc od siebie nie otwartą pocztę i opowiedziałem jej o Walkerze i jego szalonym planie. Niektóre fragmenty pamiętałem jak przez mgłę. Który to spadł — czy też został zepchnięty z urwiska — Donato czy Alberto?

Opowieść przeciągnęła się i tego dnia zaniedbaliśmy pracę w biurze.

III

Walkera spotkałem w Afryce Południowej, gdzie przybyłem z Anglii tuż po zakończeniu wojny. Miałem dużo szczęścia, że będąc obcym dostałem dobrą pracę u Toma. Czułem się nieco samotny, więc wstąpiłem do Cape Town Sporting Club, mogącego dostarczyć towarzystwa i rozrywki.

Walker był członkiem pijącym, jednym z tych chytrych ludzi, którzy wstępowali do

klubu, aby mieć się gdzie napić, gdy w niedzielę puby były zamknięte. W tygodniu nigdy tu nie zaglądał, zjawiał się jednak każdej niedzieli, rozgrywał jedną partię tenisa, aby umotywić swoją obecność, po czym resztę dnia spędzał w barze.

Właśnie w barze spotkałem go którejś niedzieli późnym popołudniem. Pomieszczenie wypełniał gwar dyskutujących zawzięcie głosów. Szybko zorientowałem się, że wszedłem akurat w trakcie sprzeczki na temat poddania Tobruku. Wszędzie w Afryce Południowej już sama wzmianka o Tobruku może wywołać kłótnię, ponieważ poddanie się uważane tu jest za hańbę narodową. Powszechnie panuje opinia, że mieszkańcy Afryki Południowej zostali pozostawieni na łaskę losu, na tym jednak kończą się wspólne wszystkim poglądy, a zaczynają się spory. Czasem obwinia się brytyjskich generałów, innym razem komendanta południowoafrykańskiego garnizonu — generała Kloppera. Wszakże ten temat zawsze stanowi dobry pretekst do jednej z tych długich, bezsensownych knajpianych awantur, w których ludzie często tracą panowanie nad sobą, lecz do niczego sensownego nie dochodzą.

Nie interesowało mnie to specjalnie — służbę wojskową odbyłem w Europie — usiadłem więc cicho, nie wypuszczając piwa z ręki, i trzymałem się od dyskusji z daleka. Obok siedział jakiś młody człowiek o szczupłej twarzy. Wyglądał na przystojnego hulakę, który ma sporo do powiedzenia na ten temat; walił często zaciśniętą pięścią o bufet. Widziałem go już wcześniej, ale nie wiedziałem, kim jest. Cała moja wiedza o nim pochodziła z poczynionych dotąd obserwacji. Najwyraźniej sporo pił, nawet teraz na jedno moje piwo u niego przypadały dwie brandy.

Po jakimś czasie kłótnia, w miarę jak bar pustoszał, zmarła śmiercią naturalną. Wkrótce pozostaliśmy już tylko my dwaj. Opróżniłem swój kufel i właśnie zabierałem się do wyjścia, gdy rzekł pogardliwie:

— Guzik o tym wiedzą.

— Byłeś tam? — spytałem.

— Byłem — odparł ponuro. — Zwinęli mnie z całą resztą. Ale nie zostałem tam długo. Wydostałem się z obozu we Włoszech w czterdziestym trzecim — zerknął na mój pusty kufel. — Napij się jednego na drogę.

Nie miałem nic specjalnego do roboty, więc odparłem:

— Chętnie napiję się piwa.

Zamówił dla mnie piwo, kolejną brandy dla siebie i powiedział:

— Nazywam się Walker. Tak, wydostałem się, gdy upadł rząd włoski. Wstąpiłem do partyzantki.

— To musiało być interesujące — powiedziałem. Roześmiał się krótko.

— Sądzę, że można to tak określić. Interesujące i przerażające. Tak. Można powiedzieć, że z sierżantem Coertzem — to facet, z którym dość długo przebywałem, spędziliśmy czas naprawdę interesująco.

— Afrykaner? — zaryzykowałem. W Afryce Południowej byłem nowy i niewiele wiedziałem wówczas o panujących tu układach, nazwisko jednak brzmiało z holenderska, a raczej jak jego afrykańska odmiana.

— Zgadza, się — odparł Walker. — Prawdziwy twardziel. Trzymaliśmy się razem po opuszczeniu obozu.

— Łatwo było uciec z obozu jenieckiego?

— Chleb z masłem — rzekł Walker. — Strażnicy współpracowali z nami. Dwaj towarzyszyli nam nawet jako przewodnicy — Alberto Corso i Donato Rinaldi. Lubilem Donata — myślę, że uratował mi życie — spostrzegł moje zainteresowanie i zaczął opowiadać ze swadą.

Kiedy w 1943 roku rząd upadł, Włochy znajdowały się w rozsypce. Włosi byli niespokojni, nie wiedzieli, co się stanie, i podejrzliwie odnosili się do zamiarów Niemców. Była to świetna okazja do wyrwania się z obozu, zwłaszcza że przyłączyło się do nich dwóch

strażników.

Samo opuszczenie obozu nie stanowiło problemu. Jednak gdy Niemcy rozpoczęły operację zgarniania wszystkich jeńców alianckich, rozproszonych po środkowych Włoszech, zaczęły się kłopoty.

— Wtedy właśnie oberwałem — powiedział Walker. — Przechodziliśmy wówczas przez rzekę.

Atak nastąpił nieoczekiwanie. Panowała cisza. Słysząc tylko bulgotanie wody; raz rozległo się zduszone przekleństwo, gdy ktoś się pośliznął. Nagle rozległ się odgłos rozdieranego perkalu — to spandau otworzył ogień i spokój nocy zakłócił niesamowity skowyt kul odbitych rykoszetem od wystających z rzeki głazów.

Włosi odwrócili się i odpowiedzieli ogniem z pistoletów maszynowych. Ryczący jak byk Coertze grzebał zapamiętałe w workowatej kieszeni swoich wojskowych spodni, po czym uniósł rękę rzucając coś ponad ramieniem. Rozległ się ostry huk, gdy granat eksplodował w wodzie. Coertze rzucił ponownie i tym razem granat wybuchnął na brzegu.

Walker poczuł uderzenie w nogę. Padając przekręcił się i zachłysnął wodą. Młóćąc wolną ręką trafił na głaz i chwycił się go kurczowo.

Coertze rzucił jeszcze jeden granat i karabin maszynowy umilkł. Włosi opróżnili całe magazynki i zajęli się ładowaniem broni. Ponownie zapadła cisza.

— Przypuszczam, że wzięli nas za Niemców — rzekł Walker. — Nie spodziewali się, że zostaną ostrzelani przez zbiegłych więźniów. Szczęście, że Włosi wzięli ze sobą broń. W każdym razie ten przekłety karabin maszynowy umilkł.

Przez kilka minut stali pośrodku rzeki, a bystry, zimny nurt zbijał ich z nóg. Nie śmieli się poruszyć, nie wiedząc, czy z brzegu znów nie posypią się strzały. Po pięciu minutach Alberto rzekł cicho:

— Signor Walker, nic się panu nie stało?

Walker podciągnął się i stanął na nogi. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że wciąż ściska w rękach naładowany karabin. Lewą nogę miał odrętwiałą i zimną.

— Wszystko w porządku — odparł.

Coertze wydał przeciągłe westchnienie i powiedział:

— No to dalej. Przechodzimy na drugą stronę, ale cicho.

Doszli na drugi brzeg rzeki i bez odpoczynku ruszyli zboczem wzgórza. Wkrótce Walker poczuł ból w nodze i zaczął ustawać. Alberto zaniepokoił się.

— Trzeba się śpieszyć. Musimy przejść tę górę przed świtem. Walker stłumił jęk, gdy stanął na lewej nodze.

— Dostałem — powiedział. — Myślę, że dostałem. Coertze zszedł z powrotem po zboczu i rzekł poirytowany.

— *Magtig*, no dalej, ruszajcie się!

Alberto powiedział:

— Żle jest, signor Walker?

— O co chodzi? — spytał Coertze, nie rozumiejąc włoskiego.

— Mam kulę w nodze — odparł Walker cierpko.

— Tego tylko nam trzeba — powiedział Coertze. W ciemnościach rysował się tylko jako ciemniejsza plama, ale Walker dostrzegł, że niecierpliwie potrząsa głową. — Musimy się dostać do obozu partyzantów, zanim się rozwidni.

Walker przez chwilę naradzał się z Albertem, po czym rzekł po angielsku:

— Alberto twierdzi, że w pobliżu jest miejsce, gdzie możemy się ukryć. Mówi, że ktoś powinien zostać ze mną, kiedy pójdzie szukać pomocy.

— Pójdę z nim — mruknął Coertze. — Ten drugi makaroniarz może zostać z tobą. Zabierajmy się stąd.

Ruszyli wzdłuż zbocza. Po jakimś czasie teren zaczął opadać. Nieoczekiwanie pojawił się niewielki parów — szczelina w zboczu góry. Znajdowały się tam skarłowaciałe drzewa

dające niewielką osłonę, pod stopami zaś mieli wyschnięte łożysko potoku.

Alberto zatrzymał się i powiedział:

— Zostaniecie tu, dopóki po was nie przyjdziemy. Trzymajcie się pod drzewami, tak żeby nikt was nie zobaczył, i starajcie się jak najmniej ruszać.

— Dzięki, Alberto — rzekł Walker. Po krótkim pożegnaniu Alberto i Coertze zniknęli w mroku nocy. Donato ułożył Walkera wygodnie i przygotowali się do przeczekaania nocy.

Walker przeżywał ciężkie chwile. Noga bolała i było mu bardzo zimno. Zostali w parowie jeszcze cały następny dzień, a gdy zapadła noc, Walker zaczął majaczyć i Donato miał trudności z uspokojeniem go.

Kiedy pomoc wreszcie nadeszła, Walker stracił przytomność. Ocknął się po dłuższym czasie w łóżku stojącym w pomieszczeniu o wybielonych ścianach. Słońce właśnie wschodziło, a przy jego posłaniu siedziała mała dziewczynka.

Walker umilkł nagle i spojrzał na pusty kieliszek stojący przed nim na barze.

— Napij się jeszcze jednego — odezwał się pospiesznie. Nie trzeba go było specjalnie namawiać, zamówiłem więc kolejne dwa drinki.

— I tym sposobem wyszedłeś z tego — powiedziałem. Przytaknął skinieniem głowy.

— Tak się właśnie stało. Boże, ale zimne były te dwie noce na tej cholernej górze. Gdyby nie Donato, wyciągnąłbym chyba kopyta.

— Wyszedłeś więc z tego cało — powiedziałem. — Ale gdzie się znajdowałeś?

— W obozie partyzantów na wzgórzach. *Partigiani* właśnie się wówczas organizowali. Zaczęli naprawdę działać dopiero, gdy Niemcy zabrali się do umacniania swego panowania we Włoszech. Szkopy działały zgodnie ze swymi zwyczajami — wiesz, jakie to butne dranie — a Włochom się to nie podobało. Wszystko było więc dla partyzantów przygotowane. Mieli poparcie ludzi i mogli rozpocząć działania na naprawdę wielką skalę.

Oczywiście nie wszyscy byli tacy sami. Można było znaleźć wśród nich wszelkie odcienie poglądów politycznych: od śnieżnej bieli do jaskrawej czerwieni. Komuniści nienawidzili monarchistów i odwrotnie, i tak dalej. Ja znalazłem się w grupie monarchistów. Tam właśnie spotkałem hrabiego.

Hrabia Ugo Montepescali di Todi miał wówczas ponad pięćdziesiąt lat, lecz był energiczny i wyglądał młodo. Smagły, z orlim nosem, nosił krótką, siwiejącą brodę rozszczepioną na końcu i agresywnie podkreconą. Pochodził z linii starej już w okresie odrodzenia i był arystokratą do szpiku kości.

Z tego powodu nienawidził faszyzmu — nienawidził parweniuszowskich władców Włoch, z ich aspiracjami, skorumpowaniem i chciwymi, lepkiemi paluchami. Mussolini na zawsze pozostał dla niego miernym dziennikarzyną, który osiągnął sukces dzięki swej demagogii i praktycznie uwięził króla. Walker spotkał hrabiego w dniu, kiedy przybył do obozu na wzgórzu.

Ocknął się i ujrzał poważną twarz małej dziewczynki. Uśmiechnęła się do niego i cicho wyszła z izby. Po kilku minutach wszedł niski, krępy człowiek ze szczeciniastą brodą i odezwał się do niego po angielsku.

— Aa, obudził się pan. Jest pan teraz zupełnie bezpieczny. Walker zdał sobie sprawę, że mówi coś idiotycznego.

— Ale gdzie ja jestem?

— Czy to ma jakieś znaczenie? — zapytał przybysz kpiąco. — Jest pan wciąż we Włoszech, lecz nie musi się pan obawiać *Tedesci*. Proszę zostać w łóżku, dopóki nie wróca panu siły. Stracił pan sporo krwi — trzeba więc odpoczywać, jeść i znów odpoczywać.

Walker był zbyt słaby, aby zdobyć się na coś więcej niż skinienie, i ponownie opadł na poduszkę. Pięć minut później wszedł Coertze w towarzystwie młodego człowieka o szczupłej twarzy.

— Sprowadziłem znachora. Przynajmniej twierdzi, że nim jest, jeśli go dobrze

zrozumiałem. Przypuszczam, że jest tylko studentem medycyny.

Lekarz — czy też student — zbadał Walkera i wyraził zadowolenie ze stanu chorego.

— W ciągu tygodnia zaczniesz pan chodzić — powiedział, zapakował swą niewielką torbę i wyszedł.

Coertze podrapał się w tył głowy.

— Będę musiał uczyć się tego śliskiego *taalu* — powiedział. — Wygląda na to, że zostaniemy tu na dłużej.

— Nie ma szans, żeby się przebić na południe? — zapytał Walker.

— Żadnych — odparł Coertze stanowczo. — Hrabia — ten niski człowiek z *bokbaardije* — mówił, że dalej na południe Niemców jest więcej niż łądyg na polu kukurydzy. Twierdzi, że zamierzają utworzyć linię obrony na południe od Rzymu.

Walker westchnął.

— Więc jesteśmy tu uziemieni. Coertze uśmiechnął się szeroko.

— Nie jest aż tak źle. Przynajmniej dostaniemy lepsze jedzenie niż mieliśmy w obozie. Hrabia chce, żebyśmy przyłączyli się do jego grupy. Wydaje mi się, że jego *skietkommando* utrzymuje spore terytorium, a on zbiera ludzi i broń, póki może. Równie dobrze możemy walczyć tutaj, jak z armią. Zawsze miałem ochotę prowadzić wojnę po swojemu.

Pulchna kobieta przyniosła miskę parującego rosolu dla Walkera, a Coertze powiedział:

— Wyjdź na zewnątrz, a poczujesz się lepiej. Mam zamiar trochę się rozejrzeć.

Walker zjadł rosół i zasnął, później obudził się i znów jadł. Po jakimś czasie pojawiła się niewielka postać z basenem i zwiniętymi bandażami. Była to ta sama dziewczynka, którą ujrzał, gdy odzyskał przytomność. Oceniał, że mogła mieć jakieś dwanaście lat.

— Mój ojciec powiedział, że mam zmienić panu opatrunek — odezwała się czystym, młodym głosem. Mówiła po angielsku.

Walker uniósł się na łokciu i obserwował, jak podchodzi bliżej. Była schludnie ubrana i nosiła biały, wykrochmalony fartuch.

— Dziękuję ci — odparł.

Pochyliła się, żeby rozciąć założone na jego nodze łubki, po czym ostrożnie rozluźniła bandaż wokół rany. Spojrzał na nią i rzekł:

— Jak ci na imię?

— Francesca.

— Czy twój ojciec jest lekarzem? — Dłonie opatrujące mu nogę były chłodne i delikatne.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie.

Obmyła ranę w ciepłej wodzie zawierającej jakiś szczypiący środek dezynfekujący, a następnie zapudrowała. Z wielką wprawą zaczęła bandażować ponownie.

— Jesteś dobrą pielęgniarką — powiedział Walker. Dopiero wówczas spojrzała na niego i zobaczył, że ma spokojne, szare oczy.

— Mam dużą praktykę — powiedziała, a Walker zmieszał się pod tym spojrzeniem i przeklął wojnę, która z dwunastoletnich dziewczynek czyniła doświadczone pielęgniarki.

Skończyła bandażowanie i powiedziała:

— No, wkrótce musi pan poczuć się trochę lepiej.

— Dobrze — przyrzekł Walker. — Jak będę mógł najszybciej. Zrobię to dla ciebie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie dla mnie — odparła. — Dla wojny. Musi pan wyzdrowieć, aby pójść na wzgórze i zabić wielu Niemców.

Z powagą zebrała z ziemi zaplamione bandaże i opuściła pomieszczenie, a Walker patrzył za nią ze zdumieniem.

W ten sposób poznał Francescę, córkę hrabiego Ugo Montepescali.

Ponad tydzień trwało, zanim zaczął chodzić o lasce i wychodzić z chaty szpitalnej, a Coertze oprowadzał go po obozie. Większość ludzi to byli Włosi, dezercerzy z armii, którzy

niezbyt lubili Niemców. Sporą grupę stanowili jednak alianccy uciekinierzy różnych narodowości.

Hrabia uformował z uciekinierów oddział i mianował Coertzego jego dowódcą. Nazwali się „Legionem Cudzoziemskim”. W ciągu następnych dwóch lat wielu z nich miało zginąć, walcząc u boku partyzantów z Niemcami. Na życzenie Coertzego Alberto i Donato zostali dołączeni do oddziału w charakterze tłumaczy i przewodników. Coertze wysoko ocenił hrabiego.

— Ten *kêrel* wie, co robi — powiedział. — Zbiera, ilu tylko może, dezertersów z armii włoskiej, a każdy musi wziąć ze sobą broń.

Kiedy Niemcy zdecydowali się stawiać opór i ufortyfikowali *Winterstellung* oparty na Sangro i Monte Cassino, wojna we Włoszech stała się sprawą przesądzoną. Wówczas to partyzanci zajęli się dezorganizacją niemieckiego transportu. Legion Cudzoziemski brał udział w tej kampanii, specjalizując się w sabotażu. Coertze pracował przed wojną jako górnik w kopalni złota Witwatersrand i wiedział, jak obchodzić się z dynamitem. Razem z Harrisonem, kanadyjskim geologiem, poinstruowali resztę, jak używać materiałów wybuchowych.

Wysadzali drogi, mosty kolejowe, przejścia górskie, wykolejali pociągi, czasami ostrzeliwali też jakiś konwój na drodze, wycofując się, gdy tylko odpowiadano ogniem ciężkiej broni.

— Nie wplątujemy się w bitwy — powiedział hrabia. — Nie możemy dać się Niemcom przygwoździć. Jesteśmy moskitami drażniącymi Niemcom skórę — miejmy nadzieję, że zarazimy ich malarią.

Walker pamiętał ten czas jako ciąg długich okresów wytchnienia przerywanych chwilami strachu. Dyscyplina była luźna, bez wojskowego drylu. Wyszczupłał i stał się twardy. Nawet całodzienny, trzydziestomilowy marsz przez góry z pełnym obciążeniem, na które składały się broń oraz paczki dynamitu i detonatorów, nic dla niego nie znaczył.

W końcu 1944 roku Legion Cudzoziemski wydatnie się uszczuplił. Niektórzy zginęli, inni — gdy alianci zajęli Rzym — woleli przebić się na południe. Coertze stwierdził, że zostanie, więc Walker został z nim. Został również Harrison oraz Anglik nazwiskiem Parker. Legion Cudzoziemski był teraz rzeczywiście niewielki.

— Hrabia używał nas jak jakichś cholernych jucznych koni — powiedział Walker. Zamówił następną kolejkę i brandy zaczęła mu uderzać do głowy. Miał przekrwione oczy i jąkał się przy trudniejszych słowach.

— Jucznych koni? — spytałem.

— Oddział był zbyt mały do prawdziwej walki — wyjaśnił. — Więc używał nas do transportu broni i żywności na swoim terenie. Tak właśnie dorwaliśmy ten konwój.

— Jaki konwój?

Walker zaczął bełkotać.

— To było tak. Tę robotę mieliśmy wykonać wspólnie z inną brygadą partyzancką. Ale hrabia się martwił, bo ta druga banda to byli komuniści — rzeczywiście dranie. Bał się, że mogą nas zdradzić. Zawsze to robili, gdy mieli ku temu okazję, bo był monarchistą i nienawidzili go bardziej niż Niemców. Myśleli już o tym, co będzie po wojnie, i zawczasu eliminowali przeciwników, unikając walki, o ile to możliwe. Rozumiesz, włoska polityka.

Skinąłem głową.

— Chciał więc, żeby Umberto — facet dowodzący naszymi Włochami — miał na wszelki wypadek kilka karabinów maszynowych więcej, a Coertze powiedział, że je przewiezie.

Umilkł patrząc do swego kieliszka.

— A co z tym konwojem? — zapytałem.

— Ech, do diabła — odparł. — Nie ma szans, żeby go wydostać. Zostanie tam na zawsze, chyba że Coertze coś zrobi. Powiem ci. Szliśmy na spotkanie z Umbertem, kiedy po drodze wpadliśmy na niemiecki konwój jadący trasą, gdzie nie powinno być żadnego konwoju.

Więc przetrzepaliśmy im skórę.

Dotarli na szczyt wzgórza i Coertze zarządził postój.

— Zostaniemy tu dziesięć minut, później ruszamy dalej — powiedział.

Alberto napił się trochę wody i poszedł spacerkiem do miejsca, skąd miał dobry widok na dolinę. Najpierw spojrział na dno doliny, gdzie biegła zakurzona, wyboista, nie szutrowana droga, po czym uniósł wzrok, by popatrzeć na południe.

Nagle zawołał Coertzego.

— Patrz — powiedział.

Coertze zbiegł do niego i popatrzył we wskazanym kierunku. W dali, gdzie odległa nitka brązowej drogi drgała od gorąca, unosił się obłok pyłu. Odpiął lornetkę i pospiesznie wyregulował ostrość.

— Cóż oni tu, u diabła, robią? — zastanawiał się.

— Co to jest?

— Niemieckie ciężarówki wojskowe — odparł Coertze. — Ze sześć — opuścił lornetkę. — Wygląda na to, że próbują się prześliznąć bocznymi drogami. Dzięki nam główne drogi są trochę niezdrowe.

Walker i Donato zeszli na dół. Coertze obejrzał się na karabiny maszynowe, a później na Walkera.

— No i co z tym? — spytał.

— A co z Umbertem? — odparł pytaniem Walker.

— Och, nic mu nie będzie. Po prostu teraz, gdy wojna dobiega końca, hrabia staje się nieco drażliwy. Myślę, że damy radę tej gromadce — z dwoma karabinami maszynowymi powinno pójść łatwo.

Walker wzruszył ramionami.

— Jeśli chodzi o mnie, to w porządku — rzekł. Coertze powiedział:

— Chodźcie — i pobiegł z powrotem do miejsca, gdzie siedział Parker. — Wstawaj *kêrel* — rzucił. — Wojna jeszcze trwa. Gdzie, u diabła, jest Harrison?

— Idę! — zawołał Harrison.

— Znosimy ten majdan do drogi, ale biegiem — rozkazał Coertze. Spojrział w dół zbocza. — Ten zakręt powinien być *lekker* miejscem.

— Jakim? — spytał Parker. Zawsze nabijał się z południowoafrykańskiego żargonu Coertzego.

— Mniejsza o to — uciął Coertze. — Zanieście ten majdan szybko do drogi. Czeka nas robota.

Łałowali karabiny maszynowe i podążyli w dół zbocza. Na drodze Coertze przeprowadził szybkie rozpoznanie terenu.

— Wyjadą wolno z za tego zakrętu — powiedział. — Alberto, weźmiesz Donata i umieścicie swój karabin maszynowy tak, abyście mogli ostrzelać dwie ostatnie ciężarówki. Dwie ostatnie, rozumiano? Rozwalcie je szybko, tak żeby reszta nie mogła się wycofać.

Odwrócił się do Harrisona i Parkera.

— Ustawcie swój karabin tam, po drugiej stronie, i rozwalcie pierwszy wóz. Wtedy reszta będzie zablokowana.

— A co ja mam robić? — zapytał Walker.

— Pójdiesz ze mną.

Coertze ruszył biegiem, Walker za nim. Przed zakrętem porzucił drogę i wspiął się na mały pagórek, z którego miał dobry widok na niemiecki konwój. Gdy Walker osunął się na ziemię obok niego, Coertze miał już wyregulowaną lornetkę.

— Są cztery ciężarówki, a nie sześć — powiedział. — Z przodu wóz dowodzenia, a przed nim kombinowany motocykl. Wygląda jak to BMW z karabinem maszynowym na przyczepie.

Podał szkła Walkerowi.

— Jak daleko jest od końca kolumny do wozu dowodzenia? Walker spojrzął na zbliżające się pojazdy.

— Około sześćdziesięciu pięciu jardów — ocenił. Coertze wziął szkła.

— W porządku. Wrócisz drogą sześćdziesiąt pięć jardów, tak że w chwili, gdy ostatnia ciężarówka wyjedzie zza zakrętu, wóz sztabowy znajdzie się na twojej wysokości. Mniejsza o motocykl, ja się nim zajmę. Wracaj i powiedz chłopcom, żeby nie strzelali, dopóki nie usłyszą głośnych wybuchów; już ja się o to postaram. Każ im skoncentrować się na ciężarówkach.

Spojrzął za siebie. Karabiny maszynowe były niewidoczne, a droga wyglądała niewinnie.

— Trudno o lepszą zasadzkę — powiedział. — Mój *oupa* nigdy nie zastawił lepszej na Anglików — klepnął Walkera po ramieniu. — Ruszaj już. Pomogę ci przy wozie sztabowym, gdy tylko rozwalę motocykl.

Walker ześliznął się z pagórka i puścił się z powrotem drogą, zatrzymując się przy karabinach maszynowych, aby przekazać instrukcje Coertzego. Następnie jakieś sześćdziesiąt jardów od zakrętu wyszukał sobie odpowiednią skałę. Przykucnął za nią i sprawdził swój pistolet maszynowy.

Po chwili usłyszał krzyk biegnącego drogą Coertzego.

— Cztery minuty! Będą tu za cztery minuty. Jeszcze nie strzelać.

Coertze przebiegł obok niego i zniknął na skraju drogi dziesięć jardów dalej.

Walkerowi w tych warunkach cztery minuty wydawały się czterema godzinami. Przycupnął sam jeden i spoglądał na cichą drogę, nie słysząc nic prócz bicia własnego serca. Po upływie, jak mu się wydawało, długiego czasu doszedł go warkot silników i zgrzyt zmienianych biegów, a potem odgłos motocykla jadącego na wysokich obrotach.

Przysunął się bliżej do skały i czekał. Złapał go skurcz nogi, a w ustach nagle mu zaschło. Warkot motocykla zagłuszał teraz wszystkie pozostałe odgłosy. Odbezpieczył broń.

Zobaczył przejeżdżający motocykl. Kierowcę, który w swoich goglach wyglądał jak zjawa, i strzelca w przyczepce, z rękami zaciśniętymi na uchwycie zamontowanego przed nim karabinu maszynowego, nieustannie kręcącego głową i bacznie obserwującego drogę.

Niczym we śnie, ujrzał ukazującą się jak na zwolnionym filmie rękę Coertzego, niedbale wrzucającego do przyczepy granat. Granat zatrzymał się między jej obudową a plecami strzelca, i gdy ten odwrócił się zaskoczony, wraz z jego gwałtownym ruchem zniknął we wnętrzu przyczepy.

Po chwili eksplodował.

Przyczepa rozleciała się na kawałki, a strzelcowi chyba urwało nogi. Motocykl potoczył się przez drogę i Walker zobaczył, jak Coertze wychodzi, strzelając do kierowcy z automatu. Wówczas wychylił się również i jego pistolet plunął ogniem w stronę wozu sztabowego.

Wcześniej ustawił się bardzo starannie, więc dobrze przewidział, gdzie może znajdować się kierowca. Gdy zaczął strzelać, nie musiał mierzyć — szyba rozprysła się dokładnie w miejscu, gdzie siedział żołnierz.

Dochodził do niego grzechot karabinów maszynowych strzelających długimi seriami w ciężarówkę, nie miał jednak czasu ani ochoty oglądać się w tamtym kierunku, musiał bowiem uskoczyć przed wozem sztabowym, który prowadzony ręką trupa zatoczył łuk w jego stronę.

Oficer na siedzeniu pasażera stał, szarpiąc się nerwowo z zapięciem kabury pistoletu. Coertze strzelił, a Niemiec runął i zawisł groteskowo, przewieszony przez metalową ramę rozbitej szyby, jak gdyby nagle zmienił się w szmacianą lalkę. Pistolet, którego nie zdążył użyć, wysunął mu się z ręki i ze stukotem upadł na ziemię.

Ze zgrzytem rozpruwanej blachy wóz sztabowy wpadł na skałę obok drogi i stanął gwałtownie, przewracając stojącego z tyłu żołnierza, który strzelał do Walkera. Walker usłyszał kule przelatujące mu nad głową i pociągnął za spust. Z tuzin kul trafiło w Niemca i

wtoczyło go z powrotem w siedzenie. Zdaniem Walkera odległość wynosiła około dziewięciu stóp i przysięgał, że słyszał uderzenia kul. Brzmiały jak trzepanie różgi po miękkim dywanie.

Coertze krzyczał i gwałtownie gestykulując przywoływał Walkera do ciężarówek. Podbiegł tam i zobaczył, że pierwsza ciężarówka została zatrzymana. Na wszelki wypadek posłał jeszcze serię w stronę kabiny, po czym ukrył się za gorącą chłodnicą, aby załadować broń.

Nim się z tym uporał, walka dobiegła końca. Wszystkie pojazdy zostały unieruchomione, a Alberto i Donato eskortowali do przodu dwóch oszołomionych jeńców.

— Parker, cofnij się i zobacz, czy jeszcze ktoś nie nadjeżdża — rzucił Coertze, po czym odszedł w tył, aby spojrzeć na chaos, który spowodował.

Dwaj ludzie w motocyklu zginęli na miejscu, tak samo jak trójka w wozie sztabowym. W każdej ciężarówce znajdowało się po dwóch żołnierzy w szoferce i jeden z tyłu. Wszyscy w szoferkach zginęli w ciągu dwudziestu sekund od chwili, gdy karabiny maszynowe otworzyły ogień.

— Nie mogliśmy chybić z dwudziestu jardów — powiedział Harrison. — Po prostu puściliśmy serię w pierwszą ciężarówkę, a później daliśmy szprycę drugiej. Przypominało to rozbijanie kokosu z haubicy. Dziecinnie proste.

Z siedemnastu ludzi po stronie niemieckiej ocalało dwóch, z których jeden był lekko ranny w ramię.

— Zauważyłeś coś? — spytał Coertze.

Walker pokręcił głową. Drżał jeszcze z emocji po dopiero co stoczonej walce i w tym stanie nie był zbyt spostrzegawczy.

Coertze podszedł do jednego z jeńców i palcem wskazał emblemat na kołnierzyku. Mężczyzna skulił się ze strachu.

— Oni są esesmanami. Wszyscy.

Odwrócił się i podszedł do wozu sztabowego. Oficer leżał na plecach, połowa ciała znajdowała się w środku, połowa zwieszała się przez drzwi. Puste oczy, w których odbijała się groza śmierci, wpatrywały się w niebo. Coertze spojrzał na niego, po czym schylił się i z przedniego siedzenia wyciągnął skórzaną aktówkę. Była zamknięta.

— Jest w tym coś dziwnego — powiedział. — Dlaczego jechali tą drogą?

Harrison odparł:

— Wiesz, tędy mieli szansę się przedostać. My znaleźliśmy się tu tylko przypadkiem.

— Wiem — powiedział Coertze. — To był dobry pomysł i prawie im się udało — to właśnie mnie zastanawia. Szkopy na ogół nie grzeszą wyobraźnią. Postępują zawsze zgodnie z instrukcjami i regulaminami. Dlaczego więc mieliby zrobić coś odmiennego? Chyba że nie był to zwyczajny oddział.

Spojrzał na ciężarówki.

— Niezłe byłoby sprawdzić, co w nich jest. Wysłał Donata, aby strzegł drogi powyżej, od północy, a reszta poszła zbadać ciężarówki, z wyjątkiem pilnującego jeńców Alberta. Harrison zajrzał pod plandekę pierwszego wozu.

— Niewiele tu jest.

Walker spojrzał do środka i zobaczył, że podłogę ciężarówki wypełniają skrzynki — małe drewniane skrzynki, długie na jakieś osiemnaście cali, szerokie na stopę i wysokie na sześć cali.

— Cholernie mały ładunek — powiedział. Coertze zmarszczył brwi.

— Gdzieś już widziałem podobne, ale nie potrafię powiedzieć gdzie. Wyciągnijmy jedną.

Walker i Harrison wspieśli się na ciężarówkę, odsuwając na bok ciało martwego Niemca. Harrison chwycił róg najbliższej skrzynki.

— Wielki Boże! — powiedział. — To cholerstwo jest chyba przybite do podłogi.

Walker pomógł mu i skrzynka przesunęła się.

— Nie, nie jest, ale musi być pełne ołowiu. Coertze opuścił tylną klapę.

— Myślę, że lepiej ją wyciągnąć i otworzyć — powiedział ochrypłym nagle z podniecenia głosem.

Walker i Harrison przesunęli skrzynkę na brzeg i zrzucili. Z głośnym tąpnięciem spadła na zakurzoną drogę.

— Daj mi ten bagnet — powiedział Coertze.

Walker wziął bagnet zabitego Niemca i wręczył go Coertzemu, który zaczął podważać wieko. Gwoździe skrzypaneły, gdy pokrywa skrzyni uniosła się. Coertze oderwał ją i powiedział:

— Tak też myślałem.

— Co to jest? — zapytał Harrison, trąc brew.

— Złoto — odparł Coertze spokojnie. Wszyscy zamarli w bezruchu.

Walker był już bardzo pijany, gdy doszedł w swojej opowieści do tego miejsca. Chwiał się na nogach i złapał się krawędzi baru, aby utrzymać równowagę, gdy powtórzył z namaszczeniem.

— Złoto.

— Na miły Bóg, co z nim zrobiliście? — spytałem. — I ile go tam było?

Walker czknął cicho.

— A może jeszcze jednego? — powiedział. Skinąłem na barmana i odparłem:

— Daj spokój, nie trzymaj mnie w niepewności. Spojrzał na mnie z ukosa.

— Słowo daję, nie powinienem był tego mówić — powiedział. — A zresztą, niech to diabli! Nie ma to już teraz znaczenia. No więc było tak...

Przez długą chwilę stali patrząc na siebie, po czym odezwał się Coertze:

— Wiedziałem, że znam te skrzynki. Takich samych używają w Reef przy pakowaniu sztab do przewozu statkiem.

Gdy stwierdzili, że wszystkie skrzynie w tej ciężarówce są równie ciężkie, rzucili się do pozostałych wozów. Początkowo byli rozczarowani — drugą ciężarówkę wypełniały skrzynie zawierające dokumenty i akta.

Coertze sięgnął do skrzynki i wyrzucając papiery rzekł:

— Cóż to, u diabła, za szpargały? — w jego głosie słychać było zawód.

Walker wziął jedną kartkę i przejrzał pobieżnie.

— Wygląda na jakieś włoskie dokumenty rządowe. Może wszystkie są ściśle tajne.

Z wnętrza wozu doszedł zduszony głos Harrisona.

— Hej, chłopaki, popatrzcie, co znalazłem. Wyszedł z rękami pełnymi paczek banknotów — czystych, świeżo wydrukowanych lirów.

— Jest tam tego przynajmniej jedna skrzynia — powiedział. — A może więcej.

W trzeciej ciężarówce znajdowały się kolejne skrzynki ze złotem, chociaż nie tyle co w pierwszej. Było też kilkanaście solidnie zbudowanych, zamkniętych skrzyń drewnianych. Wkrótce uległy pod naporem bagnetu.

— Chryste! — rzekł Walker, gdy otworzył pierwszą. Z nabożną czcią wyciągnął migoczący wspaniale naszyjnik z brylantów i szmaragdów.

— Ile to jest warte? — zapytał Coertze Harrisona. Harrison bez słowa potrząsnął głową.

— Jezu, skąd miałbym wiedzieć — uśmiechnął się słabo. — Te kamienie nie są w moim stylu.

Przetrząsali skrzynie, gdy nagle Coertze wyciągnął złotą papierośnicę.

— Jest na niej napis — powiedział i odczytał głośno: — *Caro Benito da parte di Adolfe, Brennero — 1940*. Harrison rzekł wolno:

— Hitler miał spotkanie z Mussolinim na przełęczy Brenner w 1940 roku. Wtedy właśnie Musso postanowił włączyć się do wojny po stronie niemieckiej.

— Teraz już wiemy, do kogo to należy — powiedział Walker wskazując ręką.

— Albo należało — powtórzył wolno Coertze. — Lecz do kogo należy teraz?

Spojrzeni po sobie. Ciszę przerwał Coertze:

— Chodźcie, zobaczymy, co jest w ostatniej ciężarówce. Czwarty wóz był pełen skrzyń również wypełnionych papierami. Jednak oprócz nich znajdowała się tam jeszcze skrzynia z koroną. Harrison uniósł ją z wysiłkiem.

— Kim jest olbrzym chodzący w niej po pałacu? — spytał retorycznie. Korona była bogato inkrustowana rubinami i szmaragdami, lecz bez brylantów. Była wyjątkowo okazała i bardzo ciężka.

— Nic dziwnego, że mówi się: „Koronowana głowa nigdy nie zazna spokoju” — zakpił Harrison. Umieścił koronę w skrzyni.

— No więc, co robimy? Coertze podrapał się po głowie.

— Niezły problem — przyznał.

— Uważam, że powinniśmy to zatrzymać — stwierdził Harrison bez ogródek. — Jest nasze, prawem zdobywcy.

Wypowiedziana została głośno myśl, do której nikt nie chciał się przyznać, z wyjątkiem bezpośredniego jak zwykle Harrisona.

Atmosfera oczyściła się i łatwiej było podjąć decyzję.

— Uważam, że powinniśmy ściągnąć resztę chłopaków i zrobić głosowanie — powiedział Coertze.

— Jeśli nie będzie tajne, nic nie da — niemal obojętnie odparł Harrison.

Zrozumieli, o co mu chodzi. Jeśli choć jeden z nich sprzeciwiłby się i zechciał powiedzieć o skarbie hrabiemu, wówczas głosowanie i tak byłoby bezużyteczne. W końcu Walker powiedział:

— Może tak, może nie. Przegłosujemy i zobaczymy.

Na drodze panował spokój, więc sprowadzono Donata i Parkera z ich posterunków. Jeńcy zostali zamknięci w ciężarówce, aby Alberto również mógł się przyłączyć do dyskusji. Zasiedli niczym jakaś komisja gospodarcza.

Harrison niepotrzebnie się martwił — głosowanie było jednomyślne. Pokusa okazała się zbyt wielka, aby mogło stać się inaczej.

— Jedno jest pewne — powiedział Harrison. — Jeśli ten cały majdan zniknie, zostanie przeprowadzone olbrzymie śledztwo. I to bez względu na to, kto wygra tę wojnę. Rząd włoski nie spocznie, dopóki tego nie odnajdzie — szczególnie tych papierów. Założę się, że to prawdziwy dynamit.

Coertze zamyślił się.

— To znaczy, że musimy ukryć i skarb, i pojazdy. N i c nie może zostać odnalezione. Musi wyglądać tak, jak gdyby całość rozplynęła się w powietrzu.

— Co my z tym zrobimy? — zapytał Parker. Spoglądał na kamienisty grunt i cienką warstwę gleby. — Moglibyśmy zakopać sam skarb, gdybyśmy poświęcili na to tydzień, ale nie ma się nawet co brać do zakopywania ciężarówki, nie mówiąc o czterech.

Harrison pstryknął palcami.

— Stare kopalnie ołowiu — powiedział. — Są niedaleko stąd. Twarz Coertzego rozjaśniła się.

— *Ja* — powiedział. — Jest tam jedna sztolnia, w której zmieściłoby się wszystko.

Parker odezwał się:

— Jakie kopalnie ołowiu i co to takiego, na miłość boską, sztolnia?

— Sztolnia to poziomy szyb wykonany w zboczu góry — odparł Harrison. — Te kopalnie zostały opuszczone na przełomie wieku. Nikt już się do nich nie zbliża.

— Wprowadzimy wszystkie pojazdy do środka... — rzekł Alberto.

— ...i wysadzimy wejście — dokończył przejęty Coertze.

— Może zatrzymalibyśmy parę klejnotów? — zasugerował Walker.

— Nie — odparł ostro Coertze. — To zbyt niebezpieczne. Harrison ma rację. Kiedy ten

majdan zniknie na dobre, rozpęta się piekło. Wszystko musi zostać zakopane, dopóki zostało jeszcze trochę czasu.

— Znasz jakichś dobrych paserów? — spytał ironicznie Harrison. — Bo jeśli nie, to w jaki sposób się ich pozbedziemy?

Postanowili zakopać wszystko: samochody, ciała, złoto, papiery, kosztowności. Przepakowali ciężarówki, do dwóch ładując kosztowności, a papiery i zwłoki do dwóch pozostałych. Mieli zamiar wprowadzić do tunelu jako pierwszy wóz sztabowy z wrzuconym na tył motocyklem, następnie ciężarówki wyładowane papierami i ciałami, a na końcu wozy ze złotem i kosztownościami.

— Tym sposobem będziemy mogli łatwo wydostać rzeczy, na których najbardziej nam zależy — powiedział Coertze.

Transport ciężarówek nie stanowił problemu. Z zakurzonej drogi, na której się znajdowali, odchodził nie używany szlak prowadzący do kopalni. Dojechali tam i w ustalonej kolejności wprowadzili ciężarówki do największego tunelu. Coertze i Harrison przygotowali ładunek do wysadzenia wejścia. Była to prosta robota i zajęła im zaledwie kilka minut. Następnie Coertze zapalił lont i przybiegł z powrotem.

Kiedy kurz opadł, zobaczyli, że wylot tunelu został całkowicie zablokowany, tworząc kosztowny grobowiec dla siedemnastu ludzi.

— Co powiemy hrabiemu? — zapytał Parker.

— Powiemy, że po drodze mieliśmy drobne kłopoty — odparł Coertze. — W końcu tak też było, no nie? — uśmiechnął się szeroko i nakazał wymarsz.

Po powrocie usłyszeli, że Umberto wpakował się w kłopoty i stracił wielu ludzi. Komuniści nie zjawili się i nie miał wystarczającej liczby karabinów maszynowych.

— Chcesz powiedzieć, że złoto wciąż tam jest? — zapytałem.

— Zgadza się — rzekł Walker i walnął pięścią w bufet. — Napijmy się jeszcze jednego.

Później niewiele już z niego wydobyłem. Mózg miał rozpuszczony w brandy i wciąż gadał bez sensu, lecz na jedno pytanie odparł przytomnie.

— Co się stało z tymi dwoma niemieckimi jeńcami?

— Ach, z nimi — odparł niedbale. — Zostali zastrzeleni w czasie ucieczki. Zrobił to Coertze.

IV

Walker był tamtej nocy zbyt pijany, wziąłem więc jego adres od klubowego stewarda, wpakowałem go do taksówki i zapomniałem o nim. Nie przykładałem zbyt wielkiej wagi do jego opowieści — traktowałem ją jak bredzenie pijaka. Może znalazł coś we Włoszech, wątpiłem jednak, aby to było coś dużego — moja wyobraźnia nie mogła pomieścić wizji czterech ciężarówek załadowanych złotem i kosztownościami.

Jednak nie dane mi było zapomnieć o nim na dłużej, gdyż w następną niedzielę ponownie ujrzałem, jak w barze klubowym wpatruje się smętnie w kieliszek brandy. Uniósł głowę, dostrzegł moje spojrzenie i pospiesznie odwrócił wzrok jak gdyby zawstydzony. Nie podszedłem, żeby z nim porozmawiać — nie przepadałem za pijakami.

Nieco później tego samego popołudnia, gdy wyszedłem z basenu i z przyjemnością paliłem papierosa, nagle zdałem sobie sprawę, że Walker stoi obok mnie. Uniósłem wzrok, a on rzekł zakłopotany:

— Chyba jestem panu winien jakieś pieniądze... za taksówkę tamtej nocy.

— Daj pan spokój — odparłem krótko. Przyklęknął obok.

— Przepraszam za wszystko, co się stało. Czy narobiłem jakichś kłopotów?

Uśmiechnąłem się.

— Nie pamięta pan?

— Kompletnie nic — wyznał. — Nie wplątałem się chyba w jakąś bójkę czy coś takiego,

co?

— Nie, po prostu rozmawialiśmy. Zamrugał oczami.

— O czym?

— O pana przeżyciach we Włoszech. Opowiedział mi pan dziwną historię.

— Powiedziałem panu o złocie? Skinąłem głową.

— Zgadza się.

— Spilem się — powiedział. — Urznąłem się jak głupiec. Nie powinienem był o tym mówić. Nie wspomniał pan o tym nikomu, co?

— Nie, nie wspomniałem — odparłem. — Chyba nie chce pan powiedzieć, że to prawda? — teraz z pewnością nie był pijany.

— To jest prawda — rzekł ciężko. — Ten majdan wciąż tam jest — w ziemi we Włoszech. Wolałbym, aby pan o tym nie mówił.

— Nie będę — obiecałem.

— Chodźmy się napić — zaproponował.

— Nie, dziękuję — powiedziałem. — Idę teraz do domu. Wyglądał na przygnębionego.

— W porządku — powiedział. Patrzyłem za nim, jak wlecze się w stronę klubu.

Od tego czasu najwyraźniej nie mógł się ode mnie odczepić, jak gdyby oddał mi w posiadanie część samego siebie i musiał sprawdzać, czy przechowuję ją bezpiecznie. Zachowywał się tak, jakbyśmy obaj uczestniczyli w jakimś spisku: często kiwał znacząco głową lub mrużył oko, a kiedy sądził, że ktoś może nas usłyszeć, zmieniał nagle temat.

Gdy się go poznało bliżej, robił lepsze wrażenie, oczywiście jeśli pominąć początkowe stadium alkoholizmu. Nie był pozbawiony pewnego uroku, gdy się o to starał, a mnie z pewnością chciał oczarować. Nie sądzę, aby nastęrczało mu to wiele trudności. Byłem obcym na obcej ziemi, a on stanowił jakieś towarzystwo.

Powinien był zostać aktorem, gdyż miał wielki talent mimiczny. Kiedy opowiadał mi historię złota, jego ruchliwa twarz stale ulegała

przemianom, a głos zmieniał się tak, że niemal mogłem zobaczyć byczą głowę Coertzego, łagodnego Donata i obdarzonego twardszą naturą Alberta. Chociaż normalnie mówił z lekkim południowoafrykańskim akcentem, jeśli chciał, mógł się go pozbyć, aby przyjąć gardłową wymowę Afrykanera lub szybką i syczącą Włocha. Po włosku mówił szybko i płynnie, zapewne był jednym z tych ludzi, którzy potrafią nauczyć się języka w ciągu kilku tygodni.

Zaczynałem wierzyć w prawdziwość jego opowieści. Była zbyt szczegółowa. Duże wrażenie zrobił na mnie fragment dotyczący dedykacji na papierośnicy. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, aby Walker mógł coś takiego wymyślić. Poza tym mówił nie tylko przy brandy. Wciąż trzymał się tej samej historii, która przy wielokrotnym powtarzaniu nie zmieniała się ani odrobinę — czy opowiadał po pijanemu, czy na trzeźwo.

Pewnego razu powiedziałem:

— Jednego tylko nie mogę sobie wyobrazić — tej wielkiej korony.

— Alberto uważał, że to korona króla Etiopii — odparł Walker. — Nie nosiło się jej po pałacu. Używali jej tylko do koronacji. Brzmiało to logicznie.

— Skąd wiesz, że inni już tego nie odkopali? — powiedziałem. — Jest jeszcze Harrison i Parker, a dla obu Włochów byłoby to całkiem proste. Są na miejscu.

Walker pokręcił przecząco głową.

— Nie, jest tylko Coertze i ja. Pozostali zginęli — wykrzywił usta. — Wygląda na to, że przebywanie blisko Coertzego jest niezdrowe. W końcu przestraszyłem się i zwałem.

Spojrzałem na niego surowo.

— Czy chcesz powiedzieć, że Coertze ich zamordował?

— Nie gadaj za mnie — odparł Walker ostro. — Ja tego nie powiedziałem. Wiem tylko, że czterej ludzie zginęli, gdy znajdowali się blisko Coertzego. — Wyliczył ich na palcach. — Harrison był pierwszy — stało się to zaledwie trzy dni od zakopania skarbu.

Stuknął w drugi palec.

— Następny poszedł Alberto — widziałem, jak to się stało. Czysty wypadek, jaki mógłby zaaranżować każdy. Później Parker. Zginął w akcji, tak samo jak Harrison, i tak jak w przypadku Harrisona jedyną osobą znajdującą się w pobliżu był Coertze.

Uniósł w górę trzy palce i wolno wyprostował czwarty.

— Ostatni był Donato. Znalezione go niedaleko obozu z dziurą w głowie. Powiedzieli, że wspinał się na skały, więc orzeczenie brzmiało: przypadkowa śmierć. Lecz nie dla mnie. Miałem tego dosyć — odszedłem i ruszyłem na południe.

Przez jakiś czas zastanawiałem się nad tym, a potem powiedziałem:

— Co miałeś na myśli mówiąc, że widziałeś, jak został zabity Alberto?

— Był to krótki wypad — rzekł Walker. — Wszystko poszło dobrze, ale Niemcy ruszyli się szybko i osaczyli nas. Musieliśmy wydostać się drugą stroną, lecz w tym wypadku było to urwisko. Coertze dobrze sobie radził w górach i poszli z Albertem jako pierwsi. Coertze prowadził. Powiedział, że chce znaleźć drogę na dół, wszystko się zgadzało — zazwyczaj tak właśnie robił.

Ruszył po występie w skałę i zniknął nam z oczu. Wkrótce ukazał się ponownie i dał Albertowi sygnał, że wszystko w porządku. Wrócił i powiedział, że można już zacząć schodzić, więc razem z Parkerem poszliśmy jako następni. Ruszyliśmy w ślad za Albertem, a kiedy wyszliśmy zza zakrętu, zobaczyliśmy, że utknął. Wpakował się w taką dziurę, z której nie mógł nawet zawołać o pomoc. Kiedy tam dotarliśmy, stracił już panowanie nad sobą. Widzieliśmy, jak dygotał i trzął się. Znalazł się na skraju urwiska z cholernie głęboką przepaścią u dołu, bandą Niemców gotową go dopaść na górze, i trzął się jak galareta.

Parker krzyknął, żeby Coertze zszedł do nas. Gdy nas mijał, powiedział, że pójdzie pomóc Albertowi. Doszedł do niego i Alberto spadł. Przysięgam, że Coertze pchnął go.

— Czy widziałeś, jak Coertze go popchnął? — zapytałem.

— Nie — przyznał Walker. — Nie mogłem dostrzec Alberta, kiedy Coertze nas minął. Coertze to potężny facet, no i nieprzezroczysty. Dlaczego jednak dał Albertowi znak, że wszystko w porządku i może pójść po występie?

— Mogła to być zupełnie niezawiniona pomyłka. Walker skinął głową.

— Wówczas też tak myślałem. Później Coertze powiedział, że Alberto nie musiał iść tak daleko. Tam była łatwiejsza droga na dół, nie opodal miejsca, gdzie utknął Alberto. Coertze sprowadził nas tamtędy.

Zapalił papierosa.

— Kiedy jednak w następnym tygodniu został zastrzelony Parker, ponownie zacząłem myśleć o tamtym wypadku.

— Jak to się stało? Walker wzruszył ramionami.

— Normalna rzecz. Wiesz, jak jest w czasie walki. Kiedy wszystko się skończyło, znaleźliśmy Parkera z dziurą w głowie. Nikt nie widział, jak to się stało, ale Coertze znajdował się najbliżej — zamilkł na chwilę. — Parker miał dziurę w tyle głowy.

— Niemiecką kulę?

Walker prychnął.

— Bracie, nie mieliśmy czasu na sekcję, zresztą i tak nic by nie wyjaśniła — używaliśmy niemieckiej broni i amunicji — wszystko zdobywcze, a Coertze używał niemieckiej broni zawsze: twierdził, że jest lepsza od angielskiej.

Walker zamyślił się.

— Zacząłem poważnie się nad tym zastanawiać. Wszystko działo się jak na zawołanie — ci faceci ginący tak nagle. Kiedy oberwał Donato, wyniosłem się. Legion Cudzoziemski i tak prawie się rozleciał. Odczekałem, aż hrabia wysłał gdzieś Coertzego, zebrałem swój sprzęt, pożegnałem się i ruszyłem na południe do linii alianatów. Miałem szczęście — przedostałem się.

— A co z Coertzem?

— Został z hrabią, dopóki nie przyszli jankesi. Kilka lat temu widziałem go w Jo'burgu. Przechodziłem przez ulicę, żeby wejść do pubu, kiedy zobaczyłem wychodzącego Coertzego. Zmieniłem zamiar. Napilem się, ale nie w t a m t y m pubie.

Wstrząsnął nim nagły dreszcz.

— Wolę trzymać się od Coertzego jak najdalej. Cape Town i Johannesburg dzieli tysiąc mil. Powinno wystarczyć — wstał gwałtownie. — Na miłość boską, napijmy się czegoś.

Poszliśmy więc na drinka, a ściślej mówiąc na kilka.

V

W ciągu następnych kilku tygodni widziałem, że bliski był przedstawienia mi propozycji. Stwierdził, że należy mu się trochę pieniędzy i potrzebowałby dobrego przyjaciela. W końcu powiedział wprost.

— Słuchaj. W ubiegłym roku zmarł mój ojciec i powinienem dostać dwa tysiące funtów, jeżeli uda mi się je wyrwać z rąk prawnika. Za dwa tysiące funtów mógłbym pojechać do Włoch.

— Mógłbyś — potwierdziłem. Przygryzł wargę.

— Hal, chcę, żebyś ze mną pojechał.

— Po złoto?

— Zgadza się, po złoto. Na dwie równe części.

— A co z Coertzem?

— Do diabła z Coertzem! — odparł Walker gwałtownie. — Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Zastanowiłem się. Byłem wówczas młody, pełen wigoru i coś takiego mi właśnie odpowiadało — jeśli Walker mówił prawdę. A jeśli nie mówił prawdy, to niby dlaczego miałby opłacać mój przejazd do Włoch? Zapowiadała się wspaniała przygoda, jednak wahałem się.

— Dlaczego ja? — zapytałem.

— Sam tego nie potrafię zrobić — odparł. — Coertzemu nie zaufałem, a ty jesteś jedynym facetem, który wie o wszystkim. I ufam ci, Hal, naprawdę.

Zdecydowałem się.

— Dobrze, umowa stoi. Ale są pewne warunki.

— Wykładaj je na stół.

— To twoje picie musi się skończyć — powiedziałem. — Wszystko w porządku, gdy jesteś trzeźwy, ale na bani robisz się straszny. Poza tym sam wiesz, że możesz się z czymś wygadać, jak jesteś wścieły.

Pełna oczekiwania twarz przybrała stanowczy wyraz.

— Zrobię tak, Hal, nie wezmę do ust ani kropli — obiecał.

— W porządku — powiedziałem. — Kiedy zaczynamy?

Teraz widzę, że byliśmy parą naiwnych, młodych głupców. Myśleliśmy, że uda się nam bez większych trudności wyciągnąć z dziury w ziemi kilka ton złota.

Nie mieliśmy pojęcia, ile trzeba będzie wymyślić i zorganizować, zanim cokolwiek zdołamy osiągnąć.

— Prawnik mówi, że ostateczny podział majątku zostanie przeprowadzony w ciągu jakichś sześciu tygodni. Potem możemy wyjechać w każdej chwili — powiedział Walker.

Często dyskutowaliśmy na temat podróży. Walkera nie interesowały zbyt praktyczne problemy związane z wydobywaniem złota ani to, co mieliśmy z nim później zrobić. Był zahipnotyzowany wchodzącymi w grę milionami.

Pewnego razu powiedział:

— Zdaniem Coertzego były tam cztery tony złota. Przy obecnej cenie daje to sporo ponad milion funtów. Oprócz tego są jeszcze wypchane forsą skrzynie. Do wielkiej skrzyni

pakunkowej można zmieścić cholernie dużo lirów.

— Banknoty możesz sobie odpuścić — odparłem. — Wydaj tylko jeden z nich, a cała włoska policja wsiądzie ci na kark.

— Możemy je wydać poza Włochami — rzekł ponuro.

— Wówczas będziesz miał do czynienia z Interpolem.

— No dobra — powiedział niecierpliwie. — Damy sobie spokój z liram. Ale zostają jeszcze kosztowności: pierścienie, naszyjniki, brylanty i szmaragdy — czy mu płonęły. — Założę się, że są warte więcej niż złoto.

— Lecz nie tak łatwo ich się pozbyć — powiedziałem.

Coraz bardziej gnębiły mnie problemy praktyczne. Co gorsza, Walker nie chciał mi zdradzić położenia tej kopalni, nie mogłem więc niczego zaplanować.

Zachowywał się jak dziecko przed zbliżającym się Bożym Narodzeniem, niecierpliwie czekające na prezenty pod choinką. Nie mogłem go zmusić, aby trzeźwo ocenił fakty, i zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie zrezygnować z tego szalonego planu. Nie widziałem w perspektywie nic poza spartaczoną robotą i prawdopodobnie dłuższą odsiadką we włoskim więzieniu.

W noc poprzedzającą wizytę w biurze prawniczym, której celem miało być podpisanie końcowych dokumentów i otrzymanie przez Walkera spadku, odwiedziłem go w hotelu. Na wpół pijany leżał na łóżku z butelką pod ręką.

— Obiecałeś nie pić — powiedziałem chłodno.

— Taa... Hał, to co robię, to nie jest picie. Smakuję tylko dla uczczenia.

— Lepiej przerwij świętowanie, dopóki nie przeczytasz gazety — powiedziałem.

— Jakiej gazety?

— Tej — odparłem i wyjąłem ją z kieszeni. — Ten mały kawałek u dołu strony.

Wziął gazetę i spojrzał na mnie nieprzytomnie.

— Co mam przeczytać?

— Notatkę zatytułowaną: „Włosi skazani”.

Była to niewielka wzmianka, wypełniacz na dół strony.

Walker nagle wytrzeźwiał.

— Ale oni byli niewinni — wyszeptał.

— Nie uratowało ich to przed oberwaniem po karku — powiedziałem brutalnie.

— Boże! — powiedział. — Wciąż tego szukają.

— Oczywiście — odparłem zniecierpliwiony. — Będą szukali, dopóki nie znajdą. — Zastanawiałem się, czy Włochów bardziej interesuje złoto, czy dokumenty.

Wstrząs otrzeźwił Walkera z euforycznych snów o nagłym bogactwie. Musiał przyznać, że wyciągnięcie złota z włoskiej dziury miało swoje niebezpieczne strony.

— Sytuacja się zmieniła — rzekł wolno. — Na razie nie możemy jechać. Musimy poczekać, aż wszystko przycichnie.

— Czy to kiedykolwiek przycichnie? — spytałem. Uniósł na mnie wzrok.

— Teraz nie jadę — powiedział ze stanowczością spotęgowaną lękiem. — Sprawa upadła. Upadła na dłuższy czas.

W pewnym sensie ulżyło mi. W Walkerze tkwiła niepokojąca słabość, która nappełniała mnie obawami. Od dłuższego czasu zastanawiałem się, czy dobrze robię jadąc z nim do Włoch. Teraz decyzja zapadła.

Zostawiłem go przy typowej dla niego czynności — nalewaniu kolejnego drinka.

W drodze do domu przyszło mi do głowy, że dziennikarska relacja w całej rozciągłości potwierdzała opowiadanie Walkera. A to już było coś.

VI

Dawno minęła pora lunchu, gdy skończyłem opowieść. W gardle mi zaschło od mówienia. Oczy Jean zrobiły się duże i okrągłe.

— Przypomina to historie znad Morza Karaibskiego — powiedziała. — Lub dreszczowiec Hammonda Innesa. Czy złoto wciąż tam jest?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem. W gazetach nic na ten temat nie czytałem. Z tego, co wiem, jeśli Walker lub Coertze go nie wydobyli, nadal tam jest.

— Co się stało z Walkerem?

— Dostał swoje dwa tysiące — powiedziałem. — Później rozpoczął karierę próbując wysuszyć gorzelnie. Wkrótce potem stracił pracę i zniknął mi z oczu. Ktoś mi mówił, że wyjechał do Durbanu. W każdym razie nie widziałem go od tamtego czasu.

Ta historia zafascynowała Jean i zrobiliśmy sobie potem z niej zabawę, wymyślając sposoby wydostania z Włoch czterech ton złota.

Oczywiście były to jedynie akademickie rozważania. Jean miała wyobraźnię i niektóre z jej pomysłów były bardzo dobre.

Problem stanowiło bowiem wywiezienie czterech ton złota tak, aby nikt niczego nie zauważył.

W 1959 roku, dzięki surowym oszczędnościom, spłaciliśmy bankowi nasze zadłużenie. Stocznia przeszła na naszą wyłączną własność. Uczciliśmy to położeniem kilku piętnastotonowca, który zaprojektowałem dla Jean i dla mnie. Mój stary, wierny „King Penguin”, jeden z pierwszych w swojej klasie, nadawał się co najwyżej do przybrzeżnej włóczęgi. My jednak postanowiliśmy, że pewnego dnia wybierzemy się na żeglugę po oceanie, i chcieliśmy mieć większą łódź.

Piętnastotonowiec ma akurat odpowiednie wymiary, aby można go obsługiwać i wygodnie na nim mieszkać w dwie osoby. Ta łódź miała mieć czterdzieści stóp długości całkowitej, trzydzieści stóp na linii wodnej, maksymalna szerokość pokładu wynosiła jedenaście stóp. Przewidziałem umiarkowane ożaglowanie do podróży oceanicznych oraz dodatkowo duży silnik Diesla. Chcieliśmy ją nazwać „Sanford” dla uczczenia pamięci starego Toma.

Po ukończeniu budowy mieliśmy zamiar wziąć roczny urlop i pożeglować na północ, aby spędzić jakiś czas na Morzu Śródziemnym, po czym wrócić wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, dokonując w ten sposób pełnego okrążenia Afryki.

W oczach Jean pojawił się figlarny błysk.

— Może z powrotem przywieziemy ze sobą złoto — powiedziała.

W dwa miesiące później stało się nieszczęście.

Zaprojektowałem łódź dla Billa Meadowsa i przesłałem mu rysunki do zatwierdzenia. Niefortunnym zbiegiem okoliczności plany pomieszczeń nie zostały włożone do przesyłki i Jean zaofiarowała się, że sama zawiezie je do Fish Hoek. Jechała drogą Chapman's Peak, z widokami na morze i góry znacznie piękniejszymi niż wszystko, co widziałem na Riwierze. Jean dostarczyła rysunki, a gdy wracała o zmierzchu, pijany kretyn w amerykańskim wozie sportowym zepchnął ją z drogi i spadła z wysokości trzystu stóp do morza.

Moje życie rozsypało się.

Nie miało dla mnie żadnego znaczenia, że kierowca dostał pięć lat za zabójstwo — nie przywróciło to Jean życia.

Zaniedbałem stocznię i gdyby nie Harry Marshall, interes szedłby na psy.

Wówczas właśnie dokonałem bilansu swojego życia. Miałem trzydzieści sześć lat i dobry interes, który lubiłem, teraz jednak nie za bardzo mi odpowiadał: byłem zdrow i pełen sił — budowa łodzi i żeglarstwo utrzymują człowieka w dobrej kondycji fizycznej — i nie miałem

długów. Miałem nawet pieniądze, których wciąż przybywało.

Drugą stroną bilansu wypełniała straszliwa pustka po Jean, która odbierała temu wszystkiemu wartość.

Czułem, że nie mogę zostać w stoczni czy nawet w Cape Town, gdzie wspomnienie Jean ścigałoby mnie na każdym kroku. Chciałem uciec. Czekałem, żeby coś się stało.

Dojrzałem do awantury.

VII

W kilka tygodni później siedziałem w barze na Adderley Street z zamiarem wypicia jednego czy trzech. Nie znaczy to, że wpadłem w nałóg, z pewnością piłem więcej, niż miałem w zwyczaju dotychczas. Właśnie zabrałem się do trzeciej brandy, gdy poczułem szturchnięcie w łokieć i jakiś głos powiedział:

— Cześć, dawno cię nie widziałem.

Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego obok Walkera.

Ostatnie lata nie obeszły się z nim łaskawie. Schudł, rysy śniadej, przystojnej twarzy wyostrzyły się, na głowie pojawiła się wyraźna łysina. Ubranie było zmięte i wystrzępione. Roztaczał wokół siebie przygnębiającą atmosferę.

— Cześć — odparłem. — Skąd się tu wziąłeś? — Wpatrywał się w mój kieliszek brandy, więc powiedziałem: — Napij się ze mną.

— Dzięki — rzekł szybko. — Wezmę podwójną.

Wiedziałem już, co przydarzyło się Walkerowi. Nie miałem jednak nic przeciwko temu, aby dać się naciągnąć na kilka drinków, więc zapłaciłem za podwójną brandy.

Lekko drżącą ręką uniósł alkohol do ust, pociągnął długi, wytęskniony łyk, po czym odstawił kieliszek opróżniony w trzech czwartych.

— Wyglądasz kwitnąco — powiedział.

— Wiedzie mi się nie najgorzej.

— Było mi przykro, gdy usłyszałem, co stało się z twoją żoną — powiedział. Dostrzegł moje pytające spojrzenie, więc dodał pospiesznie. — Czytałem o tym w gazecie. Sądziłem, że to twoja żona — miała takie samo nazwisko, i w ogóle.

Pomyślałem, że szukał mnie od jakiegoś czasu. Starzy przyjaciele i znajomi są cenni dla alkoholika. Można ich naciągnąć na drinka czy piąta.

— Skończyło się i lepiej o tym zapomnieć — powiedziałem krótko. Nieświadomie rozdrapał na nowo ranę: znów przywiódł mi na myśl Jean. — Co teraz porabiasz?

Wzruszył ramionami.

— To i owo.

— Nie znalazłeś ostatnio jakiegoś złota? — zapytałem złośliwie. Chciałem mu odplacić za przypomnienie Jean.

— Czy wyglądam na kogoś takiego? — odparł gorzko. Nieoczekiwanie dodał: — W ubiegłym tygodniu widziałem Coertzego.

— Tutaj, w Cape Town?

— Tak. Właśnie wrócił z Włoch. Spodziewam się, że jest znów w Jo'burgu.

Uśmiechnąłem się.

— Czy miał ze sobą złoto? Walker potrząsnął przecząco głową.

— Powiedział, że nic się nie zmieniło. — Nagle złapał mnie za ramię. — Złoto wciąż tam jest, nikt go nie znalazł. Wciąż tam jest, w tym tunelu. Cztery tony złota i wszystkie kosztowności. — W jego głosie brzmiało szalone podniecenie.

— Więc dlaczego nic z tym nie zrobi? — spytałem. — Dlaczego nie pojedzie i nie wydobędzie go? Czemu obaj nie jedziecie?

— Nie ufa mi — odparł Walker posepnie. — Ledwo się do mnie odezwał. — Wyciągnął papierosa z mojego pudełka leżącego na barze, a ja przypaliłem mu go ubawiony. — Nie tak

łatwo wywieźć je przez granicę — powiedział. — Nawet Wielki i Potężny Sierżant Coertze nie znalazł sposobu.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Wyobraź sobie — rzekł niemal radośnie. — Nawet taki Coertze, który ma przecież głowę na karku, nie potrafi tego dokonać. Wpakował złoto do dziury w ziemi i tak bardzo się boi, że nie próbuje go wyciągnąć — zaczął się śmiać histerycznie.

Ująłem go za ramię. :

— Uspokój się. Szybko zdusił śmiech.

— W porządku — powiedział. — Postaw mi jeszcze jednego, zostawiłem portfel w domu.

Przywołałem skinieniem barmana i Walker zamówił jeszcze jedną podwójną. Zaczynałem rozumieć przyczynę jego degrengolady: trwająca czternaście lat świadomość, że fortuna w złocie leży we Włoszech i czeka, aby ją zabrać, zżerała go jak rak. Już wówczas, gdy go poznałem dziesięć lat temu, zdawałem sobie sprawę ze słabości jego charakteru. Teraz widać było, że gorycz porażki okazała się ponad jego siły. Zastanawiałem się, jak radził sobie z tym Coertze. On przynajmniej zdawał się coś robić, choćby tylko obserwując rozwój wypadków we Włoszech. Powiedziałem ostrożnie:

— Gdyby Coertze zechciał cię zabrać, czy zdecydowałbyś się pojechać do Włoch, aby spróbować wydobyć złoto? Nagle znieruchomiał.

— O co ci chodzi? — zapytał. — Rozmawiałeś z Coertzem?

— Nie widziałem faceta na oczy.

Walker nerwowo rozejrzył się po barze, po czym wyprostował się.

— No więc, gdyby... mnie chciał i gdyby mnie potrzebował, gotów byłbym pojechać. — Powiedział to zuchwale, dało się jednak wyczuć niechęć, gdy dodał: — Kiedyś mnie potrzebował, wiesz; potrzebował mnie, kiedy zakopywali cały majdan.

— Chyba się go nie boisz?

— Co to znaczy boję się? Dlaczego miałbym się go obawiać? Nikogo się nie boję.

— Byłeś pewny, że popełnił co najmniej cztery morderstwa. Zmieszał się.

— A, o to chodzi! To stara sprawa. I nigdy nie mówiłem, że kogoś zamordował. Nigdy tego nie powiedziałem.

— Rzeczywiście — nigdy tego nie powiedziałeś. Poruszył się nerwowo na barowym stołku.

— A zresztą jaki to ma sens? Nie poprosi, abym z nim jechał. Powiedział mi to w ubiegłym tygodniu.

— Ależ tak, poprosi cię — odparłem łagodnie. Walker szybko uniósł wzrok.

— Dlaczego miałby to zrobić? Powiedziałem cicho:

— Ponieważ znam prosty sposób, aby zupełnie łatwo i w miarę bezpiecznie wywieźć złoto z Włoch i dostarczyć je do dowolnego miejsca na świecie.

Oczy rozwarły mu się szeroko.

— Co takiego? Jak możesz tego dokonać?

— Tego ci nie powiem — odparłem spokojnie. — W końcu ty też nie chciałeś mi powiedzieć, gdzie jest ukryte złoto.

— No więc, zróbmy tak — rzekł. — Powiem ci, gdzie jest, ty je wyciągniesz i szafa gra. Po co wciągać do tego Coertzego?

— Do tej roboty trzeba więcej niż dwóch ludzi — powiedziałem. — Poza tym zasługuje na udział: przez czternaście lat pilnował tego złota, czyli zrobił o wiele więcej niż ty. — Nie wspominałem o tym, że uważam Walkera za człowieka bez kręgosłupa. — Powiedz mi teraz, jak poradzisz sobie z Coertzem, jeśli to przejdzie?

Zasepił się.

— Myślę, że bez problemów, jeśli da mi spokój. Ale nie pozwolę mu na żadne kpiny. — Spojrzał na mnie zdziwiony, jakby dopiero teraz dotarło do niego, o czym mówimy. — Uważasz, że jest szansa, aby to wydostać, realna szansa?

Skinąłem głową i zsunąłem się ze stołka.
— A teraz przepraszam cię.
— Dokąd idziesz? — zapytał szybko.
— Zadzwoń do linii lotniczych — odparłem. — Chcę zarezerwować miejsce na jutrzejszy samolot do Jo'burga. Jadę zobaczyć się z Coertzem.
To był znak, na który czekałem.

COERTZE

I

Podróż samolotem to cudowna rzecz. W południe następnego dnia wkraczałem już do pokoju hotelowego w Johannesburgu, o tysiąc mil od Cape Town.

W czasie lotu wiele myślałem o Coertzem. Zdecydowałem, że jeżeli się nie zgodzi, to cała sprawa stanie się nieaktualna. Nie wyobrażałem sobie, abym mógł polegać na Walkerze. Musiałem też obmyślić sposób namówienia Coertzego — z opowieści Walkera wynikało, że nie będzie to zbyt łatwe. Mogłem go zrozumieć — sam byłem twardym facetem, szczególnie gdy sytuacja tego wymagała. Jednak nie chciałem go do siebie zrażać. Zapewne będzie cholernie podejrzliwy, musiałem więc działać w rękawiczkach.

Pozostawał jeszcze jeden problem — sfinansowanie wyprawy. Chciałem zatrzymać stocznię jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby cała sprawa wzięła w łeb. Pomyślałem jednak, że gdybym odstąpił Harry'emu Marshallowi udział w stoczni, sprzedał dom, samochód i jeszcze parę rzeczy, to może zdołałbym zebrać około 25 tysięcy funtów — niezbyt wiele, biorąc pod uwagę pomysł, który chodził mi po głowie.

Wszystko jednak zależało od Coertzego. Uśmiechnąłem się, przypominając sobie, gdzie pracował — miał posadę w Centralnym Zakładzie Przetopu, uszlachetniającym złoto ze wszystkich kopalń leżących w Reef. Przypuszczalnie w ciągu ostatnich kilku lat przez jego ręce przeszło więcej złota, niż wszyscy wodzowie państw Osi zagrzebali po całym świecie.

Musiało go to niezłe wkurzać.

Po południu zadzwoniłem do zakładu przetopu. Po chwili podniósł słuchawkę.

— Coertze — rzekł krótko. Przystąpiłem do rzeczy.

— Nazywam się Halloran — powiedziałem. — Nasz wspólny znajomy, pan Walker z Cape Town, twierdzi, że ma pan kłopoty ze zorganizowaniem dostawy towarów z Włoch. Pracuję w branży importowo-eksportowej i wydaje mi się, że mógłbym panu pomóc.

Głęboka cisza wwiercała mi się w ucho.

— Moja firma jest w pełni wyposażona do tego typu prac — powiedziałem. — W podobnych przypadkach nigdy nie mieliśmy większych kłopotów z urzędami celnymi.

Przypominało to rzucanie kamienia do bardzo głębokiej studni i oczekiwanie na plusk.

— Może by pan przyszedł zobaczyć się ze mną — powiedziałem. — Nie chcę panu zabierać teraz czasu, na pewno jest pan bardzo zajęty. Proszę przyjść o siódmej wieczorem i przedyskutujemy przy kolacji pańskie problemy. Mieszkam w Regency: to w Berea, w...

— Wiem, gdzie to jest — przerwał Coertze. Miał głęboki głos, z szorstkim, gardłowym akcentem Afrykanera.

— Dobrze, będę na pana czekał — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Ten pierwszy kontakt zadowolił mnie. Coertze był podejrzliwy, i słusznie — inaczej byłby głupcem. Gdyby jednak zjawił się w hotelu, oznaczałoby to, że złapał haczyk. Wystarczyłoby tylko szarpnąć za linkę, żeby go mocniej wbić.

Miałem pewność, że przyjdzie; zmusi go do tego zwykła ludzka ciekawość. Gdyby nie przyszedł, znaczyłoby, że nie jest człowiekiem. Albo że jest nadczłowiekiem.

Przyszedł, ale nie o siódmej. Zapukał do pokoju po ósmej, gdy już zaczynałem wątpić w swój sąd o słabościach natury ludzkiej, ustalił moją tożsamość i powiedział:

— Damy sobie spokój z kolacją. Już jadłem.

— W porządku — odparłem. — A może drinka? — przeszedłem przez pokój i ująłem butelkę brandy. Miałem niemal pewność, że wybierze brandy — pije ją większość Afrykanerów.

— Napiję się szkockiej — rzekł niespodziewanie. — Dziękuję — dodał po namyśle.

Nalewając drinki, obrzuciłem go spojrzeniem. Był masywnie zbudowany, miał szerokie ramiona i z pewnością sporo funtów. Czarne i raczej grube włosy okalały wiecznie nie ogoloną twarz. Założyłbym się, że rozebrany wyglądał jak niedźwiedź grizzly. Nad miotającymi błyski ciemnymi oczami znajdowały się czarne, proste brwi. Dbął o siebie bez wątplenia bardziej niż Walker: brzuch miał płaski, a z całej jego postaci emanowała aura zdrowia i tężyzny.

Podaliśmy mu szklankę i usiedliśmy naprzeciw siebie. Był spięty i czujny, choć próbował to zamaskować przesadną nonszalancją pozycji, jaką przybrał w fotelu. Przypominaliśmy ludzi, którzy rozpoczynają pojedynek i dopiero co skrzyżowali szpady.

— Przystąpmy do rzeczy — powiedziałem. — Dość dawno temu Walker opowiedział mi bardzo interesującą historię o pewnym złocie. Mieliśmy coś w tej sprawie zrobić, ale upłynęło już dziesięć lat i nie wyszło nam. Może to i dobrze, bo zapewne spartolilibyśmy robotę.

Wycelowałem w niego palec.

— Miałeś je na oku. Na pewno od czasu do czasu wyskakiwałeś do Włoch, żeby zorientować się na miejscu. Łamałeś sobie głowę próbując wymyślić sposób na wydostanie stamtąd złota, ale nie byłeś w stanie nic zrobić. Jesteś zablokowany.

Nie zmienił wyrazu twarzy; byłby dobrym pokerzystą. Zapytał:

— Kiedy ostatni raz widziałeś Walkera?

— Wczoraj w Cape Town.

Nieprzeniknioną dotąd twarz wykrzywił drwiący uśmiech.

— I przyleciałeś do Jo'burga, żeby się ze mną zobaczyć, bo jakiś *dronkie* opowiedział ci takie banialuki? Walker to gówno wart włóczęga. Codziennie widzę z tuzin takich jak on w Ogrodach Biblioteki — rzekł pogardliwie.

— Mogę udowodnić, że nie są to żadne banialuki. Coertze siedział patrząc na mnie z kamiennym spokojem; szklanka whisky niemal zniknęła w jego potężnej pięści.

— To co robisz w tym pokoju? — spytałem. — Gdyby nie było żadnego złota, zapytałbyś mnie tylko przez telefon, o czym, u diabła, mówię. Fakt, że przyszedłeś, dowodzi, że coś w tym jest.

Podjął szybką decyzję.

— No dobra — powiedział. — Jaką masz propozycję?

— Wciąż jeszcze nie wymyśliłeś sposobu wywiezienia czterech ton złota z Włoch — powiedziałem. — Zgadza się? Uśmiechnął się wolno.

— Założmy — rzekł ironicznie.

— Ja znam bezpieczny sposób.

Odstawił szklankę i wyjął paczkę papierosów.

— Cóż to takiego?

— Nie powiem ci. Jeszcze nie teraz.

Twarcz rozciągnęła mu się w uśmiechu.

— Walker nie powiedział ci, gdzie jest złoto, prawda?

— Nie — przyznałem. — Ale zrobiłby to, gdybym go nacisnął. Wiesz, że Walker jest słaby.

— Za dużo pije — odparł Coertze. — A kiedy pije — gada. Idę o zakład, że tak właśnie dowiedziałeś się o wszystkim — zapalił papierosa. — Co chcesz z tego mieć?

— Równy udział — powiedziałem zdecydowanie. — Podział na trzy części po opłaceniu wszystkich kosztów.

— Walker jedzie z nami na robotę, zgadza się?

— Tak — powiedziałem. Coertze poruszył się w fotelu.

— Człowieku, sprawa wygląda tak — powiedział. — Nie wiem, czy masz bezpieczny sposób wywiezienia złota, czy nie. Też mi się kilka razy wydawało, że to rozgryzłem. Przyjmijmy jednak, że twój sposób się sprawdzi. Dlaczego mielibyśmy brać Walkera? — Uniósł rękę. — Nie sugeruję, żeby go wykiwać, chociaż on nie miałby nic przeciwko wykiwaniu nas. Po wszystkim damy mu jego działkę, ale, na miłość boską, trzymajmy go z daleka od Włoch. Z pewnością narobi bigosu.

Pomyślałem o Harrisonie, Parkerze i dwóch Włochach.

— Najwyraźniej go nie lubisz.

Z roztargnieniem przesunął palcami po szramie na czole.

— Nie można na nim polegać — odparł. — W czasie wojny kilka razy omal przez niego nie zginąłem.

— Nie, zabieramy Walkera — powiedziałem. — Nie jestem pewien, czy we trzech damy radę je wyciągnąć. We dwóch to na pewno niemożliwe. Chyba że chcesz dobrać jeszcze kogoś.

Uśmiechnął się z przymusem.

— Nie trzeba, skoro pojawiłeś się ty. Lepiej jednak, żeby od tej chwili Walker zamknął swój wielki dziób.

— Może lepiej, żeby przestał pić — zasugerowałem.

— Racja — zgodził się Coertze. — Trzymaj go z daleka od alkoholu. Kilka piw jeszcze ujdzie, ale zablokuj mu dostęp do wysokiego woltażu. Ty się nim zajmiesz. Ja nie chcę mieć nic wspólnego z tym szcurem.

Wydmuchnął dym do góry i powiedział:

— A teraz posłucham twojej propozycji. Jeśli jest dobra, pojedę z tobą. Jeśli uznam, że się nie sprawdzi, nawet palcem nie kiwnę. W takim przypadku możecie z Walkerem robić, co wam się żywnie

podoba, lecz jeśli ruszycie po złoto, będziecie musieli rozliczyć się ze mną. Jestem strasznym draniem, gdy ktoś próbuje mnie oszukać.

— Tak samo jak ja — odparłem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. W pewien sposób spodobał mi się ten człowiek, choć nie ufałem mu tak samo jak Walkerowi. Miałem jednak wrażenie, że podczas gdy Walker wpakowałby człowiekowi nóż w plecy, Coertze przynajmniej strzelałby do niego z przodu.

— W porządku — powiedział. — No to nawijaj.

— Nie powiem ci, nie w tym pokoju. — Widząc wyraz jego twarzy, dodałem pospiesznie: — Nie chodzi o to, że ci nie ufam, ale po prostu nie uwierzyłbyś mi. Musisz to zobaczyć — na dodatek zobaczyć w Cape Town.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie, po czym odezwał się:

— Dobra, skoro tak sobie życzysz, pójdę na to — zamilkł i zastanowił się przez chwilę. — Mam tu dobrą pracę i nie rzucę jej na twoje skinienie. Zbliża się przedłużony weekend, co daje mi trzy dni. Przylecę do Cape Town zobaczyć, co masz mi do przekazania. Jeśli okaże się dobre, machnę ręką na robotę, a jeśli nie, to wciąż mam pracę.

— Opłacę podróż — powiedziałem.

— Mogę sobie na nią pozwolić — mruknął.

— Jeśli sprawa nie wypali, opłacę ci podróż — nalegałem. — Nie chciałbym, żebyś stracił.

Uniósł wzrok i uśmiechnął się.

— Jakoś się dogadamy — powiedział. — Gdzie ta butelka?

Gdy ponownie napełniałem szklanki, odezwał się:

— Mówiłeś, że wybierałeś się z Walkerem do Włoch. Co was powstrzymało?

Sięgnąłem do kieszeni po wycinek i podałem mu go. Przeczytał i roześmiał się.

— Walker musiał się wystraszyć. Byłem tam wówczas — rzekł niespodziewanie.

— We Włoszech?

Upił trochę szkockiej i skinął głową.

— Tak, odłożyłem zaległe pobory, zasilek demobilizacyjny i wróciłem tam w czterdziestym ósmym. Gdy tylko przyjechałem, rozpętało się piekło z powodu procesu. Czytałem gazety i nigdy w życiu nie spotkałem większych bzdur. Uważałem jednak, że lepiej siedzieć cicho, miałem więc *lekker* wakacje z hrabią.

— Z hrabią? — powtórzyłem zaskoczony.

— Oczywiście — odparł. — Zatrzymuję się u hrabiego za każdym razem, kiedy odwiedzam Włochy. Byłem tam już cztery razy.

— Co masz zamiar zrobić ze złotem, gdy już wydostaniesz je z Włoch? — zapytałem.

— Wszystko mam zaplanowane — rzekł z pewnością siebie. — W Indiach zawsze potrzebują złota i dają dobrą cenę. Zdziwiłbyś się wiedząc, ile złota, przemycanego w małych paczuszkach z tego kraju, kończy w Indiach.

Miał rację, Indie są złotym ujściem świata. Powiedziałem jednak obojętnie:

— Ja wymyśliłem podróż w drugą stronę — do Tangeru. To otwarty port z wolnym rynkiem złota. Bez problemu powinno się tam sprzedać cztery tony złota, w dodatku legalnie. Żadnych kłopotów z policją.

Spojrzał na mnie z podziwem.

— Nie pomyślałem o tym. Niewiele wiem o międzynarodowych finansach.

— Jest pewien szkopał — powiedziałem. — Tanger zamyka interes w przyszłym roku; zostanie przejęty przez Maroko. Przestanie być wówczas wolnym portem, a złoty rynek się skończy.

— W przyszłym roku? A dokładnie?

— Dziewiętnastego kwietnia — odparłem. — Od teraz za dziewięć miesięcy. Powinno nam starczyć czasu. Uśmiechnął się.

— Nigdy nie myślałem, żeby to złoto sprzedać legalnie. Nie przypuszczałem, że to możliwe. Wydawało mi się, że wszystkie rządy obwarowały handel złotem różnymi zastrzeżeniami. Może powinienem był spotkać cię wcześniej.

— Nic by ci z tego nie przyszło — odpowiedziałem. — Nie miałem wówczas tyle rozumu co teraz.

Roześmiał się i kontynuowaliśmy opróżnianie butelki.

II

Coertze przyjechał do Cape Town dwa tygodnie później. Spotkałem się z nim na lotnisku i zawiozłem go wprost do stoczni, gdzie czekał Walker.

Walker, od momentu gdy powiedziałem mu, że Coertze złoży nam wizytę, zamknął się w sobie. Dostrzegłem, że mimo chełpliwych przechwałek nie w smak był mu bliższy kontakt z nim. Jeśli połowa z tego, co powiedział o Coertzem, była prawdą, to miał wszelkie podstawy do obaw.

Mówiąc szczerze, ja też je miałem!

Coertze po raz pierwszy chyba znalazł się w stoczni i z zainteresowaniem rozglądał się dokoła. Zadawał też wiele pytań i wszystkie niemal miały sens. W końcu rzekł:

— No i gdzie ten twój pomysł?

Zaprowadziłem ich do środkowej pochylni, gdzie „Estralita” Jimmy'ego Murphy'ego czekała na wyciągnięcie do remontu.

— To jacht pełnomorski — powiedziałem. — Piętnastotonowiec. Jak myślisz, ile ma zanurzenia? To znaczy, jak głęboko jest w wodzie? Coertze przyglądał mu się, po czym spojrzał na wysoki maszt.

— Musi być zanurzony głęboko, żeby stworzyć przeciwwagę dla tego — powiedział. —

Ale nie wiem jak bardzo. Nie znam się zupełnie na łodziach.

Biorąc pod uwagę, że zupełnie się na nich nie znał, odpowiedział wyjątkowo logicznie.

— Przy normalnym obciążeniu zanurzenie wynosi sześć stóp — odparłem. — Teraz ma mniej, bo zdjęto z niego sporo osprzętu. Oczy mu się zwięzły.

— Sądziłem, że jest tego więcej — powiedział. — Co się dzieje, jeśli wiatr mocno dmucha w żagle? Nie przewróci się?

Wszystko szło po mojej myśli, Coertze wykazywał czujność. Powiedziałem więc:

— Właśnie buduję podobną łódź, kolejny piętnastotonowiec. Chodźcie ją zobaczyć.

Poprowadziłem ich do hangaru, gdzie budowano „Sanforda”. Coertze ruszył za mną, najwyraźniej zadowolony, że zmierzamy do sedna sprawy. Walker szedł za nami.

Nalegałem, żeby jak najszybciej wykończyć „Sanforda”. Teraz, po nałożeniu poszycia z włókna szklanego i wyposażeniu wnętrza, był gotów do wodowania.

Coertze podniósł wzrok na kadłub.

— Na lądzie wyglądają na cholernie wielkie — skomentował. Uśmiechnąłem się. Była to normalna reakcja laika.

— Wejdźcie na pokład — rzuciłem.

Przestrzeń na dole wywarła na nim spore wrażenie i pozytywnie ocenił moje rozwiązania.

— Sam to wszystko zaprojektowałeś? — zapytał.

Skinąłem głową.

— Spokojnie mógłbym tu mieszkać — orzekł, zaglądając do kuchni.

— Może i będziesz — powiedziałem. — To jest łódź, którą wywieziemy z Włoch cztery tony złota.

Wyglądał na zaskoczonego. Zmarszczył brwi.

— Gdzie masz je zamiar umieścić?

— Usiądź, a powiem ci o jachtach żaglowych coś, czego jeszcze nie wiesz. — Coertze przysiadł niewygodnie na skraju prawoburtowej koi, na której nie było jeszcze materaca, w oczekiwaniu na to, co powiem.

— Ta łódź wypiera dziesięć ton i... Walker przerwał.

— Chyba mówiłeś, że to piętnastotonowiec.

— Chodzi o „formułę Tamizy” — miarę wyporności jachtów. Mierzy się ją inaczej.

Coertze spojrzał na Walkera.

— Zamknij się i pozwól człowiekowi mówić. — Odwrócił się do mnie. — Jeśli ta łódź waży dziesięć ton i dodasz jeszcze cztery, to będzie bliska zatonięcia, prawda? A gdzie je umieścisz? Nie można na widoku, bo gliny zobaczą.

Odparłem spokojnie:

— Mówiłem, że powiem ci o żaglówkach coś, czego nie wiesz. A teraz słuchaj. Około czterdziestu procent wagi każdej łodzi żaglowej stanowi balast, który ma za zadanie utrzymać pion, kiedy wiatr zacznie naciskać na żagle.

Postukałem stopą w podłogę kabiny.

— Z dna tej łodzi zwisa olbrzymi kawał ołowiu, ważący dokładnie cztery tony.

Coertze spojrzał na mnie z niedowierzaniem i w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

— Chodź — powiedziałem. — Pokażę ci.

Wyszliśmy na zewnątrz i pokazałem im ołowiany kil balastowy.

— W przyszłym tygodniu wszystko to zostanie przykryte poszyciem, dla ochrony przed skałotoczami morskimi. Coertze przykucnął na piętach, spoglądając na kil.

— To jest to — rzekł wolno. — To jest to. Złoto będzie ukryte pod wodą — wbudowane w łódź — zaczął się śmiać, a po chwili zawtórował mu Walker. Też zacząłem się śmiać, a ściany hangaru odpowiedziały nam echem.

Nagle Coertze opanował się.

— Jaka jest temperatura topnienia ołowiu? — spytał ostro.

Wiedziałem, na co się zanosi.

— Czterysta pięćdziesiąt stopni Celsjusza — odparłem. — Na górze nad stoczną mamy niewielką hutę, gdzie odlewamy kile.

— *Ja* — rzekł ciężko. — Ołów można roztopić na piecu kuchennym. Ale złoto topi się w temperaturze ponad tysiąc stopni, a do tego będziemy potrzebowali czegoś więcej niż piec kuchenny. W i e m o tym, przetapianie złota jest moją pracą. W zakładzie przetopu mamy cholernie duże piece.

— O tym też pomyślałem — dodałem szybko. — Chodźcie do warsztatu, pokażę wam jeszcze coś, czego nigdy nie widzieliście. W warsztacie otworzyłem szafę i powiedziałem:

— Ta zabawka to coś nowego — niedawno ją wymyślono. — Wyciągnąłem urządzenie i postawiłem na ławie. Coertze spojrział na mnie nic nie rozumiejąc.

Niewiele było do oglądania. Po prostu metalowa skrzynka osiemnaście na piętnaście i na dziewięć cali, na wierzchu której znajdowała się mata azbestowa oraz układ zaciskowy „Heath Robinson”.

— Słyszeliście o kawie instant — powiedziałem. — To służy do natychmiastowego uzyskiwania wysokich temperatur. — Zacząłem przygotowywać maszynę do pracy. — Wymaga chłodzenia wodą o ciśnieniu minimum pięć funtów na cal — wystarczy nam do tego zwykły kran. Pracuje też na prądzie sieciowym, można więc instalować ją wszędzie.

Z szuflady wyjąłem trzon maszyny. I znów nie było na co patrzeć. Po prostu kawałek czarnej tkaniny, wielkości trzy na cztery cale.

— Jakiś gość w Stanach odkrył, jak prząść i tkąć włókna z czystego grafitu, a ktoś inny wynalazł takie zastosowanie.

Uniosłem rączkę na pokrywie maszyny, wsunąłem matę i mocno zacisnąłem. Następnie wziąłem kawałek metalu i dałem go Coertzemu.

Obrócił go w palcach i powiedział:

— Co to jest?

— Kawałek zwykłej stali miękkiej. Ale jeśli ta zabawka da radę stopić stal, to może stopić też i złoto. Zgadza się?

Skinął głową i z powątpiewaniem spojrział na maszynę — nie wyglądała zbyt imponująco.

Wyjąłem mu stal z ręki i upuściłem na matę, następnie dałem Walkerowi i Coertzemu okulary spawalnicze.

— Lepiej je nałóżcie, zrobi się dość jasno.

Nałożyliśmy okulary i włączyłem maszynę. Był to fantastyczny pokaz. Grafitowa mata natychmiast rozżarzyła się do białości, a kawałek stali rozpalili się najpierw do czerwoności, później żółtki, wreszcie stał się biały. Osiadał niczym topiący się воск i w ciągu niecałych piętnastu sekund została z niego maleńka kałuża. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie przejmującego syku iskier, powstających w trakcie reakcji topionego metalu z powietrzem. Wyłączyłem maszynę i zdjąłem okulary.

— W czasie topienia złota nie będziemy mieli takich fajerwerków; nie utlenia się tak jak żelazo.

Coertze wpatrywał się w maszynę.

— W jaki sposób to działa?

— To coś w rodzaju łuku elektrycznego — odparłem. — Możesz uzyskać temperaturę do pięciu tysięcy stopni Celsjusza. Zostało pomyślane jako instrument laboratoryjny. Myślę, że jednorazowo możemy topić dwa funty złota. Mając trzy takie zabawki i bardzo dużo zapasowych mat, moglibyśmy pracować dość szybko.

— Jeśli za każdym razem możemy wlać tylko dwa funty, to cały ten kil popęka i nie jestem pewien, czy nie złamie się pod własnym ciężarem.

— O tym też pomyślałem — odparłem spokojnie. — Czy widziałeś kiedyś, jak robi się

żelbet?

Zmarszczył brwi, ale już po chwili pstryknął palcami.

— Zrobimy formę, a do środka włożymy siatkę z drutu — powiedziałem. — Ona utrzyma wszystko w całości.

Pokazałem mu model, który wykonałem z drutu bezpiecznikowego i parafiny. Przyglądał mu się bardzo uważnie.

— Cholernie dużo nad tym myślałeś — rzekł w końcu.

— Ktoś musiał — powiedziałem. — Albo złoto leżałoby tam jeszcze przez następne czternaście lat.

Wyraźnie nie przypadła mu do gustu ta odpowiedź. Wyglądało na to, że przez ostatnie lata nic nie zrobił, jak ostatni dureń. Miał zamiar coś powiedzieć, lecz ugryzł się w język. Poczzerwieniał na twarzy. Po chwili odetchnął głęboko i powiedział:

— No dobra, przekonałeś mnie. Wchodzę. Ja też odetchnąłem. Z ulgą.

III

Tej nocy odbyliśmy naradę.

— Kolejność jest następująca — powiedziałem. — „Sanford” — mój jacht — będzie w przyszłym tygodniu gotowy do prób. Kiedy tylko się zakończą, nauczę was obu żeglowania. W niecałe dwa miesiące od dzisiaj poześlujemy do Tangeru.

— Chryste! — wykrzyknął Walker. — Nie bardzo mi się to uśmiecha.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — odparłem. — Obecnie setki ludzi pęta się po Atlantyku. Do diabła, ludzie odbywali podróże dookoła świata w łodziach cztery razy mniejszych.

Spojrzałem na Coertzego.

— Cała sprawa wymaga sporych nakładów. Masz jakieś pieniądze?

— Z tysiąc — przyznał.

— Dokładamy go do puli — powiedziałem. — Razem z moimi dwudziestoma pięcioma tysiącami.

— *Magtig* — rzekł. — To cholernie dużo pieniędzy.

— Będziemy potrzebowali każdego grosza. Może się okazać, że trzeba kupić małą stocznię we Włoszech, jeśli tylko w taki sposób uda się w tajemnicy odlać kil. Poza tym pożyczam je firmie Walker, Coertze i Halloran na sto procent. Chcę dostać z powrotem pięćdziesiąt tysięcy przed dokonaniem podziału na trzy części. To samo możesz zrobić ze swoim tysiącem.

— Brzmi to uczciwie — zgodził się Coertze.

— Walker nie ma żadnych pieniędzy, a ty, po dołożeniu tysiąca do puli, też — powiedziałem. — W takim razie wciągamy was obu na moją listę płac. Dopóki będą trwały przygotowania, będziecie otrzymywać codziennie papierosy i trzy solidne posiłki.

Ta informacja najwyraźniej poprawiła Walkerowi nastrój. Coertze zaakceptował ją krótkim skinieniem głowy. Spojrzałem twardo na Walkera.

— A ty trzymaj się z dala od alkoholu albo wywalimy cię za burtę. Nie zapominaj o tym. Markotnie skinął głową.

— Dlaczego najpierw płyniemy do Tangeru? — zapytał Coertze.

— Musimy ponownie przetopić złoto na standardowe sztaby — odparłem. — Nie wyobrażam sobie bankiera, który wziąłby na skład złoty kil. To jednak sprawa przyszłości. Teraz muszę z was zrobić jakich takich żeglarzy — czeka nas rejs na Morze Śródziemne.

Wziąłem „Sanforda” na próby. Walker i Coertze wybrali się ze mną na przejażdżkę, aby zobaczyć, na co się odważyli. „Sanford” okazał się ucieleśnieniem wszystkich moich marzeń o porządnej łajbie. Jak na jacht pełnomorski, był szybki i niezbyt delikatny. Po nieznacznych poprawkach w ożaglowaniu uzyska odpowiednią sterowność i wiedziałem, że po kilku jeszcze drobnych zmianach wszystko będzie w porządku.

Gdy poszliśmy półwiatrem, nabrał szybkości bulgocząc pod zawietrznym relingiem. Woda bryzgała na pokład. Walker, z nieco pozieleniałą twarzą, odezwał się:

— Mówiłeś chyba, że kil utrzyma go prosto. — Trzymał się kurczowo krawędzi kokpitu.

Roześmiałem się. Już dawno nie czułem się tak szczęśliwy.

— Nie przejmuj się tym. To niewielki kąt przechyłu. Nie przewróci się.

Coertze nic nie powiedział — przewieszony przez reling miał inne pilne zajęcie.

Następne trzy miesiące były ciężkie i surowe. Ludzie zapomnieli, że przyłodek nazywał się Przyłodek Burz, zanim jakiś dawny rzecznik prasowy zmienił nazwę na Przyłodek Dobrej Nadziei. Kiedy dmie *Berg*, robi się tak nieprzyjemnie, jak nigdzie na świecie.

Musztrowałem Walkera i Coertzego bezlitośnie. W ciągu trzech miesięcy musiałem z nich zrobić nędznych bodaj, ale żeglarzy, gdyż „Sanford” był nieco za duży do samotnej żeglugi. Miałem nadzieję, że razem zastąpią jednego żeglarza z prawdziwego zdarzenia. Nie było jednak aż tak źle, gdyż w ciągu trzech miesięcy spędzili na morzu tyle czasu, ile przeciętny weekendowy żeglarz w ciągu trzech lat. W dodatku mieli przewagę w postaci bezlitosnego instruktora.

Na teorię żeglarstwa poświęciliśmy niewiele czasu. Późniejsze nauki: jak wiązać węzły, naprawić żagiel i zrobić kotki, wywołały niechętnie komentarze, lecz uciszyłem ich pytając, co zrobią, jeśli zmyje mnie za burtę na środku Atlantyku.

Zaczęliśmy wypływać, aby przeciwiczyć wszystko, czego ich uczyłem — początkowo w zatoce, a później na otwartym morzu: wzdłuż wybrzeża i wokół półwyspu. Następnie ruszyliśmy w dłuższe rejsy, w których traciliśmy już łódź z oczu.

Myślałem, że Coertze będzie człowiekiem równie twardym na morzu, jakim według mojego osądu był na lądzie. Nie nadawał się jednak zdecydowanie na marynarza. Miał wrażliwy żołądek i nie wytrzymał kołysania. Okazał się zupełnie nieprzydatny do obsługi łodzi. Zdobył się jednak na taki hart ducha, aby pozostać kucharzem w czasie dłuższych podróży — niewdzięczna praca dla kogoś cierpiącego na chorobę morską.

Słyszałem, jak przeklina na dole, gdy pogoda zrobiła się wstrętna i nagła fala rzuciła mu dzbanek gorącej kawy na brzuch. Kiedyś powiedział mi, że teraz już wie, jak czują się kostki potrząsane w kubku. Dla mniej ważnego powodu niż gorączka złota nie wytrzymałby tego za nic na świecie.

Prawdziwą niespodzianką okazał się Walker. Coertze i ja, mimo jego gorących protestów, pozbawiliśmy go alkoholu. Jadł teraz więcej, a morskie powietrze i ruch dobrze mu zrobiły. Przybrał na wadze, zapadłe policzki wypełniły się, a ramiona okrzepły. Nic nie mogło zastąpić utraconych włosów, ale dużo bardziej przypominał teraz przystojnego młodego człowieka, którego poznałem przed dziesięciu laty.

Co dziwniejsze, okazał się urodzonym żeglarzem. Lubił „Sanforda” i, jak się zdaje, z wzajemnością. Był dobrym sternikiem i kiedy skręcaliśmy pod wiatr, umiał ustawić go lepiej niż ja. Początkowo obawiałem się zostawić mu całkowitą swobodę przy obsłudze „Sanforda”, jednak, w miarę czynionych przez niego postępów, pozbyłem się wątpliwości.

W końcu byliśmy gotowi i nie mieliśmy już na co czekać. Zaprowiantowaliśmy „Sanforda” i dwunastego listopada wzięliśmy kurs na północ, żeby Boże Narodzenie spędzić na morzu. Przed nami rozciągał się bezmiar wód, z czterema tonami złota wabiącymi swym blaskiem spoza horyzontu. Gdyby nie ta perspektywa, nasza wyprawa mogła być rejsem wycieczkowym.

KSIĘGA DRUGA

ZŁOTO

TANGER

I

W dwa miesiące później wpłynęliśmy do portu w Tangerze. Wywiesiliśmy flagę „Q” i czekaliśmy, aż lekarz da nam prawo swobodnego poruszania się, a celnicy dokonają odprawy. Z lewej strony mieliśmy widok na nowe centrum z lśniącoymi, nowoczesnymi budynkami, których kontury odcinały się ostro na tle nieba. Po prawej leżało Stare Miasto — centrum arabskie — gdzie dominowały przysadziste budowle o niskich dachach, tulących się do wzgórza. Linie horyzontu przecinała jedynie wymierzona w niebo włócznia minaretu.

Po lewej — Europa. Po prawej — Afryka.

Dla Walkera i Coertzego nie było tu nic nowego. Służąc w wojsku, mieli niejedną okazję do hulanki w Kairze i Aleksandrii. Podczas podróży z Cape Town sporo rozmawiali o czasie spędzonym w wojsku — po włosku. Postanowiliśmy jak najwięcej rozmawiać po włosku.

Choć oni brali lekcje dla zaawansowanych, nie wlokłem się z tyłu, mimo że musiałem zaczynać od zera.

Ułożyliśmy niezłą historyjkę dla uzasadnienia naszych poczynań na Morzu Śródziemnym. Byłem południowoafrykańskim budowniczym łodzi, starającym się w trakcie rejsu pogodzić interesy z przyjemnością. Badałem możliwość rozszerzenia swojej działalności na lukratywny rynek śródziemnomorski oraz kupna stoczni, gdyby cena i warunki spłaty odpowiadały mi. Atutem tej historyjki było bez wątpienia to, że nie odbiegała zbyt daleko od prawdy i mogła okazać się użyteczna w przypadku, gdybyśmy rzeczywiście musieli kupić stocznię dla odlania złotego kilu.

Coertze był górnikiem borykającym się z problemami zdrowotnymi.

Lekarz doradził mu spokojne wakacje, został więc członkiem załogi „Sanforda”. To miało tłumaczyć zainteresowanie opuszczonymi kopalniami ołowiu.

Walker, który okazał się najlepszym aktorem, został średnio zamożnym playboyem. Miał pieniądze; pracy nie cierpiał i był gotów posunąć się daleko, aby jej uniknąć. Wyruszył na tę śródziemnomorską wycieczkę, gdyż Afryka Południowa znudziła go i pragnął odmiany. Jego zadaniem było załatwienie spraw w Tangerze: nabycie odosobnionego domu, gdzie moglibyśmy spokojnie wszystko dokończyć.

Ogólnie rzecz biorąc, byłem zupełnie zadowolony, mimo że Coertze dał mi się nieźle we znaki podczas podróży na północ. Wyraźnie nie odpowiadało mu przejęcie przeze mnie kierownictwa. Musiałem wbić mu mocno do głowy, że okręt może mieć tylko jednego kapitana. Zrozumiał dlaczego, gdy za Azorami natrafiliśmy na burzliwą pogodę. Drażnił go też fakt, że pogardzany przezeń Walker okazał się lepszym żeglarzem.

Gdy znaleźliśmy się w Tangerze, poczuł się pewniej i starał się odzyskać nasze poważanie oraz nadszarpnięty autorytet. Zdawałem sobie sprawę, że będę musiał zdusić jego przywódcze zapędy.

Walker rozejrzał się po przystani dla jachtów.

— Niewiele tu łajb — skomentował.

Była to prawda. Stało tam kilka niezgrabnych łodzi rybackich i elegancki kecz, zmierzający zapewne na Karaiby. Obok cumowało natomiast przynajmniej dwadzieścia potężnych motorówek. Siedziały nisko na wodzie i sprawiały wrażenie łodzi niezwykle szybkich. Wiedziałem, do czego służyły.

Była to flotylla przemycnicza. Papierosy do Hiszpanii, zapalniczki do Francji, antybiotyki tam, gdzie dało się na nich zarobić (choć ten handel podupadł), narkotyki zaś wszędzie. Zastanawiałem się, ile broni przemycano do Algierii.

W końcu zjawili się urzędnicy kapitanatu i odeszli, pozostawiając w deskach wgniecenia od podkutyh ćwiekami buciorów. Odprowadziłem ich do motorówki. Gdy tylko odpłynęli, Walker dotknął mego ramienia.

— Mamy jeszcze jednego gościa — powiedział.

Odwróciłem się i zobaczyłem łódź, płynącą przez port na wiosłach.

— Lustrował nas przez lornetkę z tamtej łodzi — rzekł Walker. Wskazał na jedną z motorówek. — Później wyruszył tutaj.

Obserwowałem zbliżającą się łódkę. Wiosłował bez wątpienia Europejczyk, lecz nie mogłem dostrzec jego twarzy. Kiedy jednak

zręcznie odbił wiosłem, odwrócił się do burty „Sanforda” i podniósł głowę — poznałem go. Był to Metcalfe.

Metcalfe należał do międzynarodowej bandy nicponi, których jest na świecie nie więcej niż setka. Są najemnikami i, nie zważając na niebezpieczeństwo, ściągają w poszukiwaniu pieniędzy wszędzie, gdzie coś się dzieje. Widok Metcalfe'a w Tangerze nie zaskoczył mnie, wszak była to od niepamiętnych czasów twierdza piratów. Był miejscem stworzonym wprost dla ludzi jego pokroju.

Zbliżyłem się z nim trochę w Afryce Południowej, lecz wówczas nie miałem pojęcia,

czym się zajmuje. Wiedziałem tylko, że był nieprawdopodobnie dobrym żeglarzem. Wygrał wiele wyścigów żaglówek w Cape Town i niemal zdobył mistrzostwo Afryki Południowej. Kupił jednego z moich „Falconów” i spędził w stoczni wiele czasu, próbując go ulepszyć.

Lubiłem Metcalfe'a i kilkakrotnie pływałem w jego załodze. W barze jacht klubu wypiliśmy wiele drinków. Spędził nawet weekend z Jean i ze mną w Kirstenbosch. Mogło się to przekształcić w trwałą przyjaźń, lecz nieoczekiwanie opuścił Afrykę Południową, zmykając pośpiesznie przed policją, ścigającą go za nielegalny skup diamentów. Nie widziałem go od tego czasu, obijały mi się jednak o uszy jakieś wzmianki na jego temat. Czasami też spotykałem jego nazwisko w gazetach. Pojawiało się zazwyczaj w związku z kłopotami w jakichś egzotycznych punktach zapalnych.

Teraz wspinał się na pokład „Sanforda”.

— Od razu pomyślałem, że to ty — odezwał się. — Więc wziąłem lornetkę, żeby się upewnić. Skąd się tu wzięłeś?

— Tak sobie pływam — odparłem. — Łączę interesy z przyjemnością. Przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, jakie są perspektywy nad Morzem Śródziemnym.

Uśmiechnął się szeroko.

— Stary, są znakomite. Ale ty chyba szukasz czegoś innego. Skinąłem głową i powiedziałem:

— Kiedy ostatnio o tobie słyszałem, bawiłeś na Kubie.

— Siedziałem przez jakiś czas w Hawanie — potwierdził. — Jednak kiepsko się tam czułem. To była prawdziwa rewolucja, przynajmniej do czasu, kiedy wtrąciły się komuchy. Z nimi nie mogłem konkurować, więc się wymknąłem.

— Co teraz robisz?

Uśmiechnął się i spojrzał na Walkera.

— Później ci opowiem.

— To jest Walker, a to Coertze — powiedziałem. Wymieniono uściski dłoni, po czym znów odezwał się Metcalfe.

— Miło znów słyszeć południowoafrykański akcent. Mielibyście niezły kraj, gdyby nie sprawność policji. Gdzie Jean? — zwrócił się do mnie.

— Nie żyje — odpowiedziałem. — Zginęła w wypadku samochodowym.

— Jak to się stało?

Opowiedziałem mu więc o Chapman's Peak i pijanym kierowcy oraz upadku do morza. W miarę jak mówiłem, rysy jego twarzy tężały. Kiedy skończyłem, powiedział:

— Więc ten drań dostał tylko pięć lat, a jeśli będzie grzecznym chłopcem, to wyjdzie za trzy i pół. — Potarł palcem bok nosa. — Lubiłem Jean. Jak się ten skurwiel nazywa? Mam przyjaciół w Afryce Południowej, którzy mogą się nim zająć, gdy wyjdzie.

— Daj spokój — powiedziałem. — To nie zwróci mi Jean. Skinął głową, po czym klasnął w rękę.

— Zamieszkacie wszyscy w moim domu. Mam dość miejsca dla całej armii.

— A co z łodzią? — odparłem z wahaniem. Uśmiechnął się.

— Jak widzę, słyszałeś opowieści o tangerskich złodziejach portowych. Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie są prawdziwe. Ale to bez znaczenia. Umieszczę na pokładzie jednego z moich ludzi. Nikt niczego nie kradnie moim ludziom — ani mnie.

Powiosłował z powrotem i w jakiś czas później wrócił z Marokańczykiem o poznaczonej bliznami twarzy. Porozumiewał się z nim szybkim, gardłowym arabskim.

— Wszystko załatwione — zwrócił się do mnie. — Rozpuszczę po dokach wiadomość, że jesteście moimi przyjaciółmi. Wasza łódź jest tak bezpieczna, jakby stała w twojej stoczni.

Ufałem mu. Nie wątpiłem, że w takim miejscu jak Tanger ma spore wpływy.

— Zejdźmy na brzeg — zaproponował. — Jestem głodny.

— Ja też — odezwał się Coertze.

— Co za ulga móc skończyć na jakiś czas z gotowaniem, prawda? — powiedziałem.

— Człowieku — odparł Coertze. — Wcale bym się nie obraził, gdybym patelni już nigdy na oczy nie zobaczył.

— Szkoda — rzekł Metcalfe. — Miałem nadzieję, że zrobisz mi *koeksusters* — zawsze smakowało mi południowoafrykańskie żarcie — wybuchnął śmiechem i klepnął Coertzego po plecach.

Metcalfe miał duży apartament na Avenida de Espana. Oddał mi do dyspozycji oddzielny pokój, a Coertze i Walker zamieszkali razem. Został, żeby pogawędzić, podczas gdy ja rozpakowywałem torbę.

— Za spokojnie dla ciebie w Afryce Południowej? — zapytał.

Zagłębiłem się w drobiazgowo przygotowaną opowieść o powodach mojego wyjazdu. Nie ufałem Metcalfe'owi bardziej niż komukolwiek innemu, a raczej jeszcze mniej, zważywszy, czym się zajmował. Nie wiem, czy mi uwierzył, czy nie. Zgodził się jednak, że nad Morzem Śródziemnym dobra stocznia jachtowa miała szansę na pomyślny rozwój.

— Może nie dostaniesz zbyt wielu zleceń na budowę — powiedział. — Z pewnością jednak potrzebny jest dobry serwis i stocznia remontowa. Na twoim miejscu udałbym się na wschód, w stronę Grecji. Tamtejsze stocznie troszczą się głównie o miejscowych rybaków. Jest więc robota dla kogoś znającego się na jachtach i pracującego dla żeglarzy.

— A do czego ty potrzebujesz łodzi? — spytałem półzartem. — Wynajmujesz ją na rejsy czarterowe? Uśmiechnął się szeroko.

— Znasz mnie przecież. Przewożę wszelkie ładunki, wszystko z wyjątkiem narkotyków — skrzywił się. — Jestem wstrętnym draniem, wiem o tym, ale nie posuwam się do narkotyków. Do wszystkiego innego jestem gotów.

— Łącznie z dostarczaniem broni do Algierii — strzeliłem. Roześmiał się.

— Francuzi w Algierze nie trawią mnie. Próbowali mnie uziemić parę miesięcy temu. Wyładowałem towar na kilka kutrów rybackich, a później zawinąłem do Algieru, żeby zatankować. Możesz mi wierzyć, byłem czysty! Nie mogli mnie tknąć — papiery i całą resztę miałem w porządku.

Pozwoliłem załodze zejść na ląd na jednego, a sam poszedłem się zdrzemnąć. W chwilę później coś mnie obudziło — usłyszałem stuknięcie, a potem dziwny odgłos, najwyraźniej dochodzący s p o d łodzi. Wstałem i rozejrzałem się. Gdy wyszedłem na pokład, zobaczyłem odpływającą łódź i zdawało mi się, że obok niej płynie człowiek.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Jako że jestem ostrożnym i rozsądnym marynarzem, wziąłem chrapę, płetwy i skoczyłem za burtę. Jak myślisz, co zrobiły mi te dranie z francuskiej służby bezpieczeństwa?

— Nie mam pojęcia. — Pokręciłem głową.

— Podłożyli minę magnetyczną pod rufę. Pomyśleli widocznie, że skoro nie mogą mnie załatwić legalnie, zrobią to nielegalnie. Gdyby wybuchła, oderwałaby mi dno na rufie. Zdjąłem ją więc i głęboko się zastanowiłem. Wiedziałem, że nie mogli jej nastawić tak, aby wybuchła w porcie — nie wyglądałoby to zbyt ładnie. Doszedłem więc do wniosku, że miała wybuchnąć na pełnym morzu.

Zawiesiłem ją sobie na szyi i podpłynąłem przez port do zacumowanej policyjnej łodzi patrolowej. Przyczepiłem im minę pod rufą. Niech mają kłopot z zakupem nowej łodzi.

Następnego dnia, zgodnie z planem, wyruszyliśmy wcześniej. Wypływając usłyszałem, jak łódź policyjna zwiększa obroty. Śledzili nas cierpliwie, a ja płynąłem na luzie, robiąc jakieś dziesięć węzłów, tak żeby mnie nie zgubili. Wisieli mi na ogonie przez jakieś trzydzieści mil, oczekując na bum i pokładając się pewnie ze śmiechu.

Nie śmiali się jednak, gdy w końcu huknęło i oderwało dupę od ich własnej łodzi.

Zawróciłem i wyłowilem ich. Była to czysta robota — nikt nie został ranny. Wyciągnąłem ich z wody i odwiozłem do Algieru jako szlachetny wybawca. Gdybyś mógł widzieć gęby chłopców z bezpieki, kiedy się zjawiłem. Oczywiście musieli się zdobyć na

wysiłek i podziękować mi za uratowanie pechowych rozbitków. Zachowałem powagę i powiedziałem, że zapewne wybuchł jakiś ładunek głębinowy do zwalczania okrętów podwodnych, umieszczony na rufie. Odpowiedzieli, że nie mogło to być przyczyną, gdyż łodzie policyjne nie mają ładunków głębinowych. Na tym się skończyło.

Zachichotał.

— Nie, w Algierze mnie nie lubią.

Śmiałem się razem z nim. Historia była niezła i dobrze ją opowiedział.

Nie mogłem się zdecydować, jak ocenić Metcalfe'a; miał swoje zalety i wady. Mógł nam wprawdzie w Tangerze sporo pomóc — dobrze znał miejscowe stosunki i miał liczne kontakty. Ja jednak musiałem zachować jak największą ostrożność, aby nie zorientował się, co robimy. Był cholernie miłym facetem, i tak dalej, gdyby jednak wiedział, że mamy zjawić się z czterema tonami złota, napadłby na nas bez chwili namysłu. Bylibyśmy wymarzoną dla niego zwierzyną.

Tak, musieliśmy zachować dużą ostrożność w naszych kontaktach z panem Metcalfe'em.

Postanowiłem uprzedzić tamtych dwóch, aby się z czymś nie wygadali.

— Jaką masz łódź? — spytałem.

— Fairmilę — odparł. — Oczywiście zmieniłem silnik.

Słyszałem o fairmilach, lecz nigdy nie widziałem żadnej z bliska. W czasie wojny budowano ich setki do patrolowania portów. Mówiło się, że robione były na mile i dzielone na kawałki w miarę potrzeb. Miały sto dwanaście stóp długości całkowitej i wyposażano je w silniki, z którymi mogły z łatwością osiągać dwadzieścia węzłów. Na wzburzonym morzu jednak były podobno chybotliwe. Nie wyposażono ich w pancierz lub choćby jego namiastkę, jako że budowano je z drewna. Kiedy więc kilka z nich wpłynęło do St. Nazaire z „Campbelltown”, zostały paskudnie postrzelane.

Po wojnie można było kupić fairmile z demobilu za jakieś pięć tysięcy funtów, stały się więc ulubionymi łodziami przemytników z Tangeru. Jeżeli Metcalfe zmienił silnik w swojej, to zapewne dołożył koni, aby móc prześcignąć kutry celników, i jego łódź mogła osiągać co najmniej dwadzieścia sześć węzłów. „Sanford” nie miałby szans prześcignięcia takiej łodzi, gdyby okazało się to konieczne.

— Chciałbym ją kiedyś zobaczyć — powiedziałem. Nie zaszkodzi przyjrzeć się potencjalnemu wrogowi.

— Jasne — odparł Metcalfe wylewnie. — Ale jeszcze nie teraz. Jutro w nocy wypływam.

Była to dobra wiadomość. Bez Metcalfe'a na karku mogliśmy bez przeszkód zająć się naszymi sprawami.

— Kiedy wracasz? — zapytałem.

— Jakoś w przyszłym tygodniu — odrzekł. — Zależy od wiatru, deszczu i tym podobnych spraw.

— Takich jak te dranie z francuskiej bezpieki?

— Zgadza się — powiedział niedbale. — Chodźmy coś zjeść.

II

Metcalfe na czas swojej nieobecności pozostawił nam mieszkanie do dyspozycji — służący mieli się nami zająć. Po południu oprowadził mnie po mieście i przedstawił kilkunastu ludziom. Bez wątpienia niektórych z nich warto było poznać, na przykład handlarza statków czy budowniczego łodzi. Znajomość z innymi nie przedstawiała tak oczywistej wartości. Wśród nich znajdowali się właściciel kawiarni o łotrowskim wyglądem, jakiś Grek o nieokreślonym zajęciu i Węgier, który ze swadą wyjaśnił, że jest „bojownikiem o wolność”, zbiegłym z Węgier po nieudanym powstaniu 1956 roku.

Metcalfe zapewne poinformował dyskretnie wszystkich, że jesteśmy jego przyjaciółmi, a więc nie należy wobec nas uciekać się do chwytów, stosowanych zazwyczaj wobec przejezdnych żeglarzy. Jeśli Metcalfe przyjaźnił się z tobą, a ty byłeś zwykłym żeglarzem, bez wątpienia dobrze było mieć go w pobliżu. Ja jednak nie byłem zwykłym żeglarzem, a to czyniło Metcalfe'a potencjalnym zagrożeniem.

Jeszcze zanim wyszedłem z Metcalfe'em zwiedzać Tanger, miałem szansę pomówić na osobności z Coertzem i Walkerem.

— Uważajcie, żeby nie puścić pary z ust. Trzymamy się ściśle naszej historyjki. Nie robimy nic, dopóki Metcalfe nie odpłynie, i spróbujemy skończyć przed jego powrotem — powiedziałem.

— Dlaczego, czy jest niebezpieczny? — spytał Walker.

— Nic nie wiesz o Metcalfie? — Wyjaśniłem im, kim jest. Obaj o nim słyszeli; narobił sporo hałasu w południowoafrykańskiej prasie — reporterzy lubią pisać o takich barwnych postaciach.

— Ach, więc to ten Metcalfe — rzekł Walker z przejęciem.

— Nie wygląda zbyt groźnie — powiedział Coertze. — Nie sprawi nam kłopotu.

— Nie chodzi tylko o samego Metcalfe'a — powiedziałem. — Ma organizację i jest na swoim terenie — musimy to sobie jasno uświadomić. On jest zawodowcem, a my amatorami. Trzymajcie się od niego z daleka.

Miałem ochotę dodać: „To rozkaz”, lecz nie zrobiłem tego. Coertze mógłby postawić się okoniem, a nie chciałem jeszcze doprowadzać do próby sił. Później i tak będzie musiało do niej dojść.

Tym sposobem na półtora dnia zostaliśmy turystami, rozglądającymi się ciekawie po Tangerze. Gdybyśmy nie byli zaprzątnięci czymś innym, byłoby to nawet interesujące, ale w naszej sytuacji stanowiło jedynie stratę czasu.

Na szczęście Metcalfe'a pochłaniały jego własne, tajemnicze sprawy i rzadko go widywaliśmy. Poinstruowałem jednak Walkera, aby przed odpłynięciem zadał mu jedno niezwykle ważne pytanie.

Padło w trakcie śniadania:

— Wiesz, p o d o b a mi się Tanger. Chętnie bym tu został na kilka miesięcy. Czy przez cały rok jest taka pogoda?

— Przeważnie — odparł Metcalfe. — Panuje tu przyjemny, stały klimat. Wielu ludzi wycofuje się tutaj na emeryturę. Walker uśmiechnął się.

— Och, nie myślę o emeryturze. Nie mam się z czego wycofywać. — Okazywał się lepszym aktorem, niż się spodziewałem; ta niedbale rzucona uwaga była doskonała. — Przyszło mi po prostu na myśl, że mógłbym kupić tutaj dom i mieszkać w nim przez kilka miesięcy w roku.

— Przypuszczam, że najbardziej odpowiadałoby ci coś nad Morzem Śródziemnym — powiedział Metcalfe. — Riwiera czy coś takiego.

— Czy ja wiem — odparł z udanym wahaniem Walker. — To miejsce wygląda na równie dobre jak inne, a Riwiera jest obecnie tak strasznie zatłoczona. — Zamilkł, jak gdyby tknięty nagłą myślą, po czym zwrócił się do mnie. — Oczywiście chciałbym mieć łódź. Czy mógłbyś zaprojektować jakąś dla mnie? Wybudowałbym ją w Anglii.

— Oczywiście, że mógłbym — odparłem. — Musiałbyś mi tylko odpowiednio zapłacić.

— Tak — powiedział Walker. — Nie można obejść się bez jakiejś łódki, prawda?

Zaczynał nieco przesadzać i zauważyłem, że Metcalfe przyglądał mu się ze wzgardliwym rozbawieniem, powiedziałem więc szybko:

— Jest świetnym żeglarzem. W ubiegłym roku niemal zdobył mistrzostwo przylądka na żaglówkach.

Tak jak przypuszczałem, temat zaabsorbował Metcalfe'a.

— Oo! — powiedział z nieco większym szacunkiem i przez kilka minut rozmawiali z

Walkerem o łodziach. W końcu Walker zmienił temat mówiąc:

— Wiesz, naprawdę idealny byłby dom gdzieś na wybrzeżu; z własnym kotwicowiskiem i hangarem na łódź. Wszystko, że tak powiem, samowystarczalne.

— Masz zamiar przyłączyć się do nas? — spytał Metcalfe z uśmiechem.

— O, nie — odparł Walker przerażony. — Nie starczyłoby mi odwagi. Mam dość pieniędzy, a poza tym nie lubię waszych śmierzdzących ropą fairmili. Myślałem o prawdziwej łodzi, o łodzi żaglowej.

Zwrócił się do mnie:

— Słuchaj, im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się podoba ten pomysł. Mógłbyś zaprojektować dla mnie dziesięcotonowca, coś, czym mógłbym żeglować samotnie. To miejsce jest idealną odskoczną na Karaiby. Żegluga przez Atlantyk może okazać się interesująca.

Zwierzył się Metcalfe'owi:

— Nie, nie mam nic przeciwko tym gościom pływającym po oceanach, ale większość z nich jest bez grosza i muszą mieszkać na swoich łodziach. Dlaczego ja miałbym tak robić? Pomyśl, o ile lepiej byłoby, gdybym miał tutaj dom z hangarem dla łodzi przy ogrodzie. Mógłbym tam, że tak powiem, przysposabiać łódź do podróży, zamiast stać w tym cuchnącym porcie.

To rzeczywiście była dobra myśl, pasująca do zamożnego playboya, rwącego się do samotnego przepłynięcia Atlantyku. Doceniłem inwencję Walkera.

Metcalfe też nie uważał pomysłu za niedorzeczny.

— Niezła myśl, jeśli cię na to stać — orzekł. — Coś ci powiem. Idź do mojego przyjaciela Aristide. Będzie próbował wynająć ci mieszkanie, ma ich chyba z tuzin pustych, ale powiedz mu, że ja cię przysyłam, to stanie się bardziej rozsądny. — Pośpiesznie skreślił notkę na kartce papieru i wręczył ją Walkerowi.

— Strasznie dziękuję — powiedział Walker. — To niezwykle miło z twojej strony.

Metcalfe dopił kawę.

— Muszę już iść. Zobaczymy się wieczorem, nim odpłynę. Kiedy wyszedł, Coertze, który przez cały czas siedział z twarzą pozbawioną wyrazu, rzekł:

— Myślałem o zł...

Kopnąłem go w kostkę i wskazałem marokańskiego służącego, który właśnie wszedł do pokoju.

— *Tula* — powiedziałem. — *Moenie hier praat nie* — następnie dodałem po angielsku. — Chodźcie, wyjdziemy i rozejrzemy się trochę.

Kiedy usiedliśmy przy stoliku w pobliskiej kawiarni, odezwałem się do Coertzego:

— Nie wiemy, czy służący Metcalfe'a znają angielski, czy nie. Wolę jednak nie ryzykować. No więc, co chciałeś powiedzieć?

— Zastanawiałem się nad sprowadzeniem tu złota. W jaki sposób to zrobimy? Wczoraj powiedziałaś, że trzeba je zadeklarować przy odprawie celnej. Nie możemy przyplnąć i powiedzieć: „Słuchaj, chłopie, mamy w tej łodzi złoty kil. Myślę, że waży jakieś cztery tony”.

— Sam się nad tym zastanawiałem — odparłem. — Wygląda na to, że będziemy musieli je przeszmugłować tutaj, przetopić na standardowe sztaby, znów wywieźć po kilka, a następnie wwieźć oficjalnie i zadeklarować przy odprawie.

— To wymaga czasu — zaproponował Coertze. — A my czasu nie mamy.

Westchnąłem.

— No dobra. Przyjrzyjmy się dokładniej kalendarzowi. Dzisiaj mamy dwunastego stycznia i jeśli chodzi o handel złotem, Tanger zamyka interes dziewiętnastego kwietnia. To jest, niech policzę... dziewięćdziesiąt siedem dni, powiedzmy czternaście tygodni.

Zacząłem dokładne obliczenia. Upłynie tydzień, nim opuścimy Tanger, i kolejne dwa tygodnie, nim dotrzemy do Włoch. Plus kolejne dwa tygodnie na powrót. A dobrze byłoby mieć tydzień w zapasie na wypadek złej pogody. W ten sposób mielibyśmy z głowy sześć

tygodni. Dwa tygodnie na przygotowanie wydobycia złota i trzy tygodnie na odlanie kilu — w sumie jedenaście. Pozostały trzy tygodnie w rezerwie. Terminy mieliśmy, delikatnie mówiąc, napięte.

— Gdy wrócimy ze złotem, będziemy musieli się dokładniej rozejrzeć — powiedziałem. — Z całą pewnością ktoś je kupi, nawet w jednej bryle. Nic jednak nie mogę powiedzieć, dopóki nie będziemy go mieli.

Wyobraźnia podsunęła mi wizję wędrowki do Egiptu lub nawet do Indii, w charakterze jakiegoś współczesnego Latającego Holendra, skazanego na żeglugę jachtem o wartości miliona funtów.

Walkera nie interesowały zbytnio szczegóły. Zadowolili się zwaleniem ich na barki Coertzego i moje. Siedział i słuchał jednym uchem, studiując adres, który dał mu Metcalfe.

Nagle powiedział:

— Sądziłem, że stary Aristide okaże się agentem handlu nieruchomościami, ale tak nie jest. — Odczytał adres z kartki: — „Aristide Theotopoulis, Tangerski Bank Handlowy, Bulwar Pasteura”. Może od niego moglibyśmy dowiedzieć się czegoś o handlu złotem?

— Nie ma szans — odparłem ironicznie. — Jest przyjacielem Metcalfe'a — spojrzałem na Walkera. — I jeszcze jedno. Dzisiaj rano bardzo dobrze poradziłeś sobie z Metcalfe'em, ale, na miłość boską, bez tego sztucznego oksfordzkiego akcentu i mniej odzywek w stylu: „Strasznie dziękuję”. Metcalfe'a trudno oszukać, poza tym był w Afryce Południowej i orientuje się co nieco w tamtych realiach. Lepiej byś zrobił próbując akcentu z Malmesbury, teraz już jednak za późno na tę zmianę. Ale stonuj nieco, dobrze?

Walker wyszczerzył zęby i odparł:

— Dobra, chłoptasiu.

— Pójdziemy teraz zobaczyć się z Aristide Theoto-jakoś-tam. Nie od rzeczy byłoby też wynająć samochód. Ułatwi to poruszanie się i uzupełni legendę. Wiecie przecież, że jesteśmy bogatymi turystami.

III

Aristide Theotopoulis był czymś zbliżonym do kuli. Jego obwód dorównywał z grubsza wzrostowi, a gdy usiadł, zmarszczył się w środku jak nie dopompowana piłka futbolowa. Wąłki tłuszczu z podbródka i karku przelewały mu się przez kołnierz. Nawet dłonie miał okrągłe — pękate kulki tłuszczu, ze złotym blaskiem bijącym od głęboko osadzonych na palcach pierścieni.

— Ach tak, panie Walker, chce pan mieć dom — powiedział. — Dzisiaj rano miałem telefon od pana Metcalfe'a. Wydaje mi się, że mam to, o co panu chodzi — mówił płynnym, potocznym angielskim.

— Czy chce pan powiedzieć, że ma taki dom? — dopytywał się Walker.

— Oczywiście! Jak pan sądzi, dlaczego pan Metcalfe przysłał pana do mnie? On zna Casa Saeta — zamilkł na chwilę. — Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że dom jest stary? — zapytał z troską.

— Ależ skąd — odparł Walker lekko. — Mogę sobie pozwolić na każdą odmianę, jeśli tylko dom mi będzie odpowiadał — dostrzegł moje spojrzenie i szybko dodał: — Jednak proponowałbym wynajem na sześć miesięcy z prawem kupna.

Twarz Aristide wydłużyła się, zmieniając kształt z koła w elipsę.

— No dobrze, skoro takie jest pańskie życzenie — rzekł nieco urażony.

Zabrał Walkera i mnie cadillakiem na północ. Coertze jechał z tyłu naszym wynajętym samochodem.

Dom wyglądał jak wyjęty z kreskówki Charlesa Addamsa; niemal spodziewałem się ujrzeć Borisa Karloffa wyglądającego przez okno. Nie można tu było dostrzec żadnych wpływów mauretańskich. Był to najszkaradniejszy wiktoriański gotyk, co jednak nie miało

znaczenia, jeśli mogliśmy tu znaleźć to, co było nam potrzebne.

Weszliśmy do wnętrza, spoglądając pobieżnie na pogryzioną przez korniki boazerię. Od razu zauważyliśmy brak urządzeń sanitarnych. Kuchnia była prymitywna, a znajdujący się na tyłach domu ogród wyjątkowo zapuszczony. Poniżej rozciągało się morze, a pod niskim urwiskiem zobaczyliśmy plażę.

Czegoś takiego szukaliśmy. Był tu hangar na łódzie wystarczająco duży, aby pomieścić „Sanforda” ze złożonym masztem, choć słup podtrzymujący strop pilnie wymagał remontu. Do hangaru przylegała buda, w której moglibyśmy urządzić odlewnię.

Obejrzałem wszystko, oceniając, ile czasu zajmie doprowadzenie tego bałaganu do porządku, po czym odciągnąłem Coertzego na bok, podczas gdy Aristide zachwalał dom Walkerowi.

— Co o tym sądzisz? — zapytałem.

— Człowieku, myślę, że powinniśmy go brać. Drugiego takiego miejsca może nie być w całej północnej Afryce.

— Pomyślałem dokładnie to samo — odparłem. — Mam nadzieję, że coś podobnego uda nam się znaleźć we Włoszech. Możemy wziąć kogoś stąd do naprawy tego... i przy odpowiednim nacisku powinien się uporać z robotą w ciągu tygodnia, my zaś musimy odwalić trochę symbolicznych robót przy domu. Jednak przeważająca część pieniędzy zostanie przeznaczona na rzeczy niezbędne w wyprawie. Przystosowanie domu do stanu nadającego się do zamieszkania to sprawa odleglejsza. Dam znać Walkerowi; ma talent do wymyślania zbrakowanych powodów, żeby wytłumaczyć postawienie sprawy na głowie.

Powróciliśmy do tamtych dwóch. Aristide nadal, nie szczędząc wysiłku, zachwalał dom. Dyskretnie skinąłem Walkerowi głową. Ten uśmiechnął się oszalamiająco do Aristide i powiedział:

— Na nic się to nie zda, panie Theotopopoulis, nie zdoła mnie pan odwieść od wzięcia tego domu. Jestem zdecydowany brać go natychmiast — oczywiście na warunkach wynajmu na sześć miesięcy.

Aristide, który nie miał najmniejszego zamiaru odwozić go od czegokolwiek, zapomniał języka w gębie, wrócił jednak ochoczo do chwilowo przerwanej gry:

— Rozumie pan jednak, panie Walker, że nie mogę udzielić żadnych gwarancji... — zawiesił głos, stwarzając wrażenie, że wyświadcza Walkerowi przysługę.

— Wszystko w porządku, chłopie — rzekł Walker radośnie. — Ale ja też muszę mieć przynajmniej sześć miesięcy, żeby się zastanowić, czy go w ogóle kupić. Niech pan o tym pamięta.

— Mam nadzieję, że uda się to sfinalizować — powiedział Aristide z udaną niepewnością.

— Czyż nie będzie wspaniale mieszkać w tym pięknym domu? — powiedział Walker do mnie. Spiorunowałem go spojrzeniem. Problem z Walkerem polegał na tym, że za bardzo utożsamiał się ze swoją rolą. Na szczęście Aristide, bombardowany dalej pytaniami, nie połapał się w czym rzecz. — Czy dom nie jest nawiedzony lub coś w tym rodzaju? — dopytywał się Walker, jak gdyby duchy były czymś w rodzaju szczurów za boazerią.

— Och nie — odparł Aristide pospiesznie. — Żadnych duchów.

— Szkoda — powiedział Walker niedbale. — Zawsze chciałem mieszkać w nawiedzonym domu.

Zauważyłem, że Aristide zaraz zmieni zdanie co do duchów, wtrąciłem się więc pospiesznie, aby przerwać tę błazenadę. Nie miałem nic przeciwko temu, aby Aristide uważał, że ma do czynienia z durniem, nikt jednak nie mógł być aż takim głupcem, jakiego grał Walker. Obawiałem się więc, że Aristide może zwąchać pismo nosem.

— Proponowałbym, abyśmy wrócili do biura pana Theotopopou-lisa celem ustalenia szczegółów — odezwałem się. — Robi się późno, a mam jeszcze trochę pracy na łodzi.

Coertzemu zaś powiedziałem:

— Nie ma potrzeby, abyś jechał z nami. Spotkamy się na lunchu w tej samej restauracji, w której byliśmy wczoraj wieczorem.

Widziałem, jak z powodu wygłupów Walkera niebezpiecznie wzrasta mu ciśnienie, i wolałem ich rozdzielić, żeby przypadkiem nie wybuchnął. Cholernie trudno pracować z ludźmi, którzy tak źle na siebie oddziałują.

Wróciliśmy do biura Aristide i dalej wszystko poszło już gładko. Zdarł z nas skórę przy wycenie, nie miałem jednak nic przeciwko temu. Każdy, kto rzucał pieniędzmi jak Walker, musiał być uczciwym człowiekiem.

Kiedy wszystko było już prawie dograne, Walker rzekł coś, co zmroziło mi krew w żyłach, chociaż później, gdy ochłonąłem i zastanowiłem się, uznałem, iż tak skonstruował swój wizerunek, że mogło mu to ująć na sucho.

— Tanger to fantastyczne miejsce — powiedział do Aristide. — Słyszałem, że sztaby złota walają się dosłownie po całym mieście.

Aristide uśmiechnął się dobrotliwie. Odciął już swoją pokazną część z pieczeni i gotów był stracić jeszcze kilka minut na pogawędkę; prócz tego ten idiota Walker miał zamieszkać w Tangerze — można go było wydoić jeszcze bardziej.

— Niezupełnie — odparł. — Trzymamy nasze złoto w sejfach.

— Hmm — mruknął Walker. — To zabawne — przez całe życie mieszkam w Afryce Południowej, gdzie wydobywa się mnóstwo złota, a ja go nigdy nie widziałem. Wie pan, w Afryce Południowej złota nie można kupić.

Aristide uniósł brwi, jakby to było coś niesłychanego.

— Słyszałem, że tutaj można kupować złoto na funty, niczym masło w sklepie. Wspaniale byłoby kupić go trochę. Proszę sobie wyobrazić, że ja z moimi pieniędzmi nigdy nie widziałem sztaby złota — rzekł patetycznie. — Wie pan, mam mnóstwo pieniędzy. Wielu twierdzi, że zbyt wiele.

Aristide zmarszczył brwi. Była to herezja. Według niego nikt nie mógł mieć za dużo pieniędzy. Stał się bardzo poważny.

— Panie Walker, najlepsza rzecz, jaką można zrobić w tych niespokojnych czasach, to kupno złota. Jest ono jedyną bezpieczną lokatą. Wartość złota nie ulega wahaniom, tak jak tych nietrwałych papierowych walut. — Pstryknięciem palców pozbawił blasku amerykańskiego dolara i funta szterlinga. — Złoto nie rdzewieje ani nie traci na wadze; jest zawsze obok, zawsze bezpieczne i cenne. Jeśli chce pan zainwestować, zawsze jestem gotów sprzedać złoto.

— Doprawdy? — powiedział Walker. — Tak po prostu sprzedaje je pan?

Aristide uśmiechnął się.

— Tak po prostu — uśmiech zmienił się w zaszepienie. — Lecz jeśli chce pan kupić, musi pan zrobić to teraz, gdyż wkrótce wolny rynek w Tangerze zostanie zamknięty — wzruszył ramionami. — Mówi pan, że nigdy nie widział sztaby złota. Pokażę je panu. Dużo. — Po czym zwrócił się do mnie, dodając bezceremonialnie: — Panu również, panie Halloran, jeśli pan sobie życzy. Proszę tędy.

Poprowadził nas w dół, do wnętrza budynku. Wchodziliśmy w różne okratowane drzwi, aż w końcu stanęliśmy przed imponującym skarbcem. W drodze na dół przyłączyło się do nas dwóch potężnie zbudowanych strażników. Aristide otworzył grube na ponad dwie stopy drzwi skarbcza i wprowadził nas do środka.

W skarbcu znajdowało się dużo złota. Nie cztery tony, jednak wystarczająco dużo. Sztaby ułożono starannie w stosy różnych wielkości. W skrzyniach znajdowały się monety. Wrażenie było oszalamiające.

Było tam cholernie dużo złota.

Aristide wskazał jedną ze sztab.

— To standardowa sztaba tangerska. Waży czterysta uncji trojańskich — około dwudziestu siedmiu i pół funta w angielskim systemie miar. Ma wartość ponad pięć tysięcy

funtów. — Uniósł mniejszą sztabę. — Ta ma nieco dogodniejszy rozmiar. Waży kilogram — nieco ponad trzydzieści dwie uncje — i ma wartość około czterystu funtów.

Otworzył skrzynię i z lubością patrzył, jak monety przesypywały się między jego grubymi palcami.

— Oto brytyjskie suwereny, a tutaj amerykańskie podwójne orły. To są francuskie napoleony, a tamto — austriackie dukaty — spojrział na Walkera z błyskiem w oku i rzekł: — Rozumie pan, co miałem na myśli mówiąc, że złoto nigdy nie traci wartości? Otworzył kolejną skrzynię.

— Nie wszystkie złote monety są stare. Te zostały wybite nieoficjalnie przez bank w Tangerze — nie mój. Są to tangerskie herkulesy. Ważą dokładnie jedną uncję.

Położył monetę na wyciągniętej dłoni i pozwolił dotknąć jej Walkerowi. Ten obrócił ją w palcach i podał mi z ociąganiem.

Właśnie wtedy cała ta zwariowana wyprawa przestała być dla mnie przygodą. Ciężki, oleisty dotyk złotej monety poruszył coś w moim wnętrzu. Zrozumiałem, co ludzie mieli na myśli mówiąc o gorączce złota. Zrozumiałem, dlaczego poszukiwacze harowali jak niewolnicy w jałowych pustkowiach, gołymi rękami szukając złota. Nie pożydali złota tylko dla jego wartości — wartością było złoto samo w sobie. Ten żółty metal może coś odmienić w człowieku. Wciąga tak samo jak każdy przekłety narkotyk.

Dłoń mi lekko drżała, gdy oddawałem monetę Aristide.

Podrzucając ją powiedział:

— Oczywiście kosztuje więcej niż złoto w sztabach, gdyż trzeba dodać koszt wybicia. Taka forma jest jednak dużo wygodniejsza — uśmiechnął się z ironią. — Dużo ich sprzedajemy uchodźcom i południowoamerykańskim dyktatorom.

Gdy z powrotem znaleźliśmy się w biurze, Walker powiedział:

— Ma pan na dole sporo złota. Skąd je pan bierze? Aristide wzruszył ramionami.

— Kupuję, gdzie mogę. Sprzedaję, kiedy mogę. W Tangerze nie jest to sprzeczne z prawem.

— Skądś jednak musi się brać — nalegał Walker. — Przypuśćmy, że jeden z tych piratów, to znaczy jeden z przemytników, przyszedłby do pana mając pół tony złota. Czy kupiłby je pan?

— Gdyby cena była odpowiednia — odparł Aristide z miejsca.

— Nie wiedząc, skąd pochodzi?

Nikły uśmiech pojawił się w oczach Aristide.

— Nie ma nic bardziej anonimowego niż złoto — rzekł. — Złoto nie ma właściciela, należy tylko chwilowo do człowieka, który go dotyka. Tak, kupiłbym takie złoto.

— Nawet gdy złoty rynek zostanie zamknięty? Aristide wzruszył jedynie ramionami i uśmiechnął się.

— Zastanówmy się — powiedział Walker bezmyślnie. — Do Tangeru musi napływać sporo złota.

— Sprzedam złoto, kiedy pan zechce, panie Walker — powiedział Aristide sadowiąc się za biurkiem. — A więc skoro, jak przyjmuję, zamierza pan mieszkać w Tangerze, zechce pan zapewne otworzyć konto w banku — nagle stał się biznesmenem.

Walker zerknął na mnie i odparł:

— No nie wiem. Jestem na tym rejsie z Halem i należności reguluję listem kredytowym, wystawionym w Afryce Południowej. Spore kwoty podjąłem już w jednym z tutejszych banków. Nie sądziłem, że będę miał szczęście spotkać przyjaznego bankiera — uśmiechnął się ujmująco. — Nie zostaniemy tu długo — dodał. — Za kilka tygodni odpływamy, ale wróć... tak, wróć. Kiedy przyplniemy z powrotem, Hal?

— Wybieramy się do Hiszpanii i Włoch, później do Grecji. Nie sądzę, abyśmy zapuścili się aż do Turcji czy Libanu, chociaż to możliwe. Uważam, że możemy tu wrócić za trzy, cztery miesiące.

— No widzi pan — rzekł Walker. — Zajmiemy się kontem, kiedy wprowadzę się na dobre. Casa Saeta — powiedział marzycielsko. — Miło mi.

Pożegnaliśmy się z Aristide, a gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, powiedziałem z wściekłością:

— Co ci strzeliło do łba, żeby zrobić coś aż tak głupiego?

— Co na przykład? — spytał Walker niewinnie.

— Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Uzgodniliśmy, że nie wspomnimy słowem o złocie.

— Czasami musimy coś o nim powiedzieć — odpowiedział. — Nie możemy sprzedać złota, nic o nim nie mówiąc. Pomyślałem, że chwila jest stosowna, aby się czegoś na ten temat dowiedzieć i sprawdzić nastawienie Aristide do złota niewiadomego pochodzenia. Sądziłem, że przeprowadziłem sprawę nie najgorzej.

Musiałem mu przyznać rację i powinszować pomysłu.

— I jeszcze jedno — powiedziałem. — Przestań się zgrywać na takiego dupka. O mało mnie szlag nie trafił, kiedy zaczęłaś nawijać mu o tych duchach. Chodzi o poważniejsze rzeczy niż wygłupy.

— Wiem — rzekł poważnie. — Uświadomiłem to sobie, gdy byliśmy w skarbcu. Zapomniałem już, co człowiek czuje, gdy dotyka złota. A więc jego też uderzyło. Uspokoilem się i powiedziałem:

— W porządku. Ale na przyszłość nie zapominaj się. I, na miłość boską, nie udawaj głupka przed Coertzem. Już i tak mam dość kłopotów, żeby utrzymać między wami spokój.

IV

Kiedy spotkaliśmy się z Coertzem na lunchu, powiedziałem:

— Dzisiaj rano widzieliśmy cholernie dużo złota. Wyprostował się.

— Gdzie?

— W banku Aristide jest niesamowicie wielki sejf — powiedział Walker.

— Myślałem... — zaczął Coertze.

— Nic się nie stało — rzuciłem. — Wszystko poszło gładko. Widzieliśmy wiele sztab. W Tangerze przyjmują chętnie dwa rodzaje. Jedna ma czterysta uncji, a druga kilogram. — Coertze zmarszczył brwi, więc dodałem: — To prawie dwa i ćwierć funta.

Mruknął i pociągnął łyk whisky.

— Przedyskutowaliśmy to z Walkerem i uważamy, że Aristide kupi złoto na lewo nawet po zamknięciu rynku. Będziemy musieli jednak uprzedzić go wcześniej, aby mógł się przygotować.

— Myślę, że powinniśmy zrobić to teraz — odezwał się Walker. Potrząsnąłem głową.

— Nie! Aristide jest przyjacielem Metcalfe'a; prosić tygrysa na obiad, to już przesada. Nie możemy nic mówić przed powrotem, a i wtedy będzie to dla nas ryzyko.

Walker milczał, ciągnąłem więc dalej:

— Chodzi o to, że jest mało prawdopodobne, aby Aristide zechciał wziąć na skład czterotonową bryłę złota. Tak czy inaczej będziemy musieli zapewne przetopić kil na sztaby. Aristide przypuszczalnie solidnie namiesza w papierach, aby móc się wytłumaczyć z czterech dodatkowych ton. Oznacza to jednak, że musi się o tym dowiedzieć przed zamknięciem rynku złota — a dla nas z kolei znaczy to, że musimy wrócić przed dziewiętnastym kwietnia.

— Niewiele czasu — powiedział Coertze.

— Chyba dokładnie wyliczyłem czas potrzebny na kolejne etapy operacji. Został nam miesiąc luzu. Mogą się jednak pojawić przeszkody i wtedy ważny będzie każdy dzień. Nie to jednak jest najgorsze — co innego mnie męczy.

— Na przykład?

— Popatrz. Kiedy — i jeżeli — dowieziemy tutaj złoto i zaczniemy je przetapiać, wszędzie będą się walały sztaby. Nie chciałbym ich dostarczać Aristide po trochu, w miarę jak będą przetapiane; to kiepska taktyka — zbyt duże ryzyko, że zorientuje się ktoś z zewnątrz. Chcę mu dać wszystko naraz, otrzymać zapłatę w nie podlegającym unieważnieniu czeku na bank szwajcarski i zmyć się. Oznacza to jednak, że będziemy mieli cholernie dużo sztab leżących luzem w Casa Saeta, a to niedobrze — westchnąłem. — I gdzie mamy trzymać to cholerstwo? Układać w salonie? No i ile będzie tych przeklętych sztab? — dodałem poirytowany. Walker spojrział na Coertzego.

— Mówiłeś, że jest tam około czterech ton, prawda?

— *Ja* — rzekł Coertze. — Tak, ale to było tylko szacunkowo.

— Od tamtego czasu miałeś do czynienia ze sztabami — powiedziałem. — Na ile dokładny jest ten szacunek?

Zastanowił się chwilę, przenosząc się myślami o piętnaście lat wstecz i porównując to, co wówczas zobaczył, z tym, czego się od tej pory nauczył. Umysł ludzki jest cudowną maszyną. W końcu wolno powiedział:

— Myślę, że jest dokładny, bardzo dokładny.

— W porządku — odezwałem się. — No więc jest tego cztery tony. Daje to bez mała dziewięć tysięcy funtów. Na funt wypada szesnaście uncji, a...

— Nie — rzekł Coertze nagle. — To złoto mierzy się w uncjach trojańskich. Na funt angielski wypada czternaście, przecinek pięćdziesiąt osiem i trzy w okresie uncji trojańskich.

Sypał cyframi jak z rękawa, byłem więc pewien, że wiedział, o czym mówi. W końcu na tym polegała jego praca.

— Przestańcie się tak rozdrabniać — powiedziałem. — Przyjmijmy czternaście i pół uncji za funt. Taka dokładność wystarczy.

Zacząłem obliczać, robiąc wiele błędów, choć powinna to być prosta kalkulacja. Obliczenia przy projektowaniu jachtów nie zawierają w sobie tego typu ładunku emocjonalnego.

Wreszcie skończyłem.

— Najdokładniej, jak mogłem policzyć, otrzymamy około trzystu trzydziestu sztab po czterysta uncji każda.

— Ile to daje licząc po pięć tysięcy funtów za sztabę? — zapytał Walker.

Ponownie zacząłem gryzmolić na papierze i z niedowierzaniem spojrziałem na wynik. Po raz pierwszy zobaczyłem tak wielką liczbę oznaczającą kwotę pieniędzy. Do tej pory byłem zbyt zajęty, aby o tym myśleć, i cztery tony złota wydawały się dobrą do zapamiętania, okrągłą cyfrą.

— Wychodzi mi milion sześćset pięćdziesiąt tysięcy funtów — powiedziałem z wahaniem.

Coertze z satysfakcją skinął głową.

— Też tak mi wyszło. A do tego dochodzą jeszcze kosztowności.

Co do kosztowności miałem inne zdanie. Aristide miał racje mówiąc, że złoto jest anonimowe — klejnoty nie. Mają coś w rodzaju tożsamości i zbyt łatwo je odnaleźć i rozpoznać. Gdyby stało na moim, kosztowności zostałyby w sztolni. To jednak musiałem im spokojnie przedstawić.

— Wychodzi ponad pół miliona na każdego — powiedział Walker.

— Przyjmijmy pół miliona netto każdy — odparłem. — Być może pozostałe sto pięćdziesiąt tysięcy funtów trzeba będzie przeznaczyć na dalsze wydatki. Nim doprowadzimy sprawę do końca, wydamy więcej, niż włożyliśmy do puli.

Wróciłem do zasadniczego problemu.

— No więc dobrze, mamy trzysta trzydzieści sztab złota. Co z nimi robimy?

— W domu jest piwnica — powiedział Walker w zadumie.

— Wreszcie jakaś sensowna myśl.
— Wiesz, fantastyczny pomysł przyszedł mi do głowy w skarbcu — ponownie zwrócił się do mnie. — Pomyślałem sobie, że wygląda tam jak na jakiejś budowie, gdzie wszędzie walają się cegły. Dlaczego nie mielibyśmy w piwnicy zbudować ściany?
Spojrzałem na Coertze, on na mnie, i obaj wybuchnęliśmy śmiechem.
— Co w tym zabawnego? — spytał Walker niemal płacząco.
— Nic — odparłem, wciąż się krztusząc. — Doskonała myśl, i tyle.
— Jestem niezłym murarzem, jeśli stawki są dobre — rzekł Coertze z uśmiechem.
Jakiś głos zaczął mi beczeć do ucha. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem ulicznego sprzedawcę losów, usiłującego wcisnąć mi plik biletów. Odprawiłem go ruchem ręki, lecz Coertze, wyjątkowo tym razem w dobrym humorze, rzekł protekcyjnie:
— Nie, chłopie, weźmiemy jeden. Lepiej się zabezpieczyć. Los kosztował sto pesetów; uzbieraliśmy je z reszty leżącej na stole, po czym wróciliśmy do mieszkania Metcalfe'a

V

Następnego dnia zaczęliśmy pracować na serio. Ja zostałem na „Sanfordzie” i poganiałem dostawców i żaglomistrza. Pod koniec tygodnia poczułem się usatysfakcjonowany. „Sanford” mógł wypłynąć w dowolne miejsce na kuli ziemskiej.

Coertze i Walker pracowali w domu, doprowadzając do normalnego stanu hangar oraz nadzorując miejscowych robotników, których znaleźli dzięki uprzejmej służbie Metcalfe'a.

— Nie ma problemów, jeśli traktuje się tych brudasów tak samo jak kafrów w domu — powiedział Coertze. Nie byłem tego całkiem pewien, najwyraźniej jednak wszystko szło jak należy.

Kiedy Metcalfe wrócił ze swojej lajdackiej wyprawy, wszystkie prace zostały zakończone i byliśmy gotowi do odpłynięcia. Nie informowałem go o naszych planach, czując, że im mniej wie, tym lepiej.

Gdy na „Sanfordzie” panował już wzorowy porządek, wybrałem się z zapowiadzaną wizytą na fairmilę Metcalfe'a. Jasnowłosa mężczyzna, splukujący pokłady węzłem, zagadnął:

— To ty pewnie jesteś Halloran. Jestem Krupke, kumpel Metcalfe'a.

— Czy jest gdzieś tutaj? Krupke pokręcił przecząco głową.

— Poszedł z tym twoim przyjacielem — Walkerem. Prosił, żebym się tobą zajął, gdybyś przyszedł na pokład.

— Jesteś Amerykaninem, prawda? — zapytałem. Uśmiechnął się.

— Uhm, z Milwaukee. Nie miałem ochoty wracać po wojnie do Stanów, więc zostałem tutaj. Cholera, byłem wówczas szczeniakiem, nie miałem więcej niż dwadzieścia lat, pomyślałem więc, że skoro Wuj Sam opłacił mi podróż tutaj, to mogę z tego skorzystać.

Przypuszczalnie był dezserterem i nie mógł wrócić do Stanów, choć zapewne ogłoszono amnestię dla takich jak on. Nie wiedziałem, czy w prawie wojskowym jest odpowiednik cywilnej ustawy prekluzyjnej. Jednak nie poruszałem tego tematu — renegaci są obraźliwi, a czasami niezrozumiale patriotyczni.

Sterówka, którą Krupke nazwał „pokładówką”, była dobrze wyposażona. Znajdowały się w niej dwie echosondy; jedna miała urządzenie rejestrujące. Deskę rozdzielczą silnika umieszczono dokładnie pod ręką sternika, a szyby z przodu wyposażono w przesłony

Kenta na wypadek złej pogody. Była tam również duża radiostacja oraz radar.

Dotknąłem ręką ekranu radaru i spytałem:

— Jaki ma zasięg?

— Ma kilka zasięgów — odparł. — Wybierasz ten, który jest potrzebny w danej chwili. Pokażę ci.

Pstryknął przełącznikiem i pokręcił gałką. Po kilku sekundach ekran rozjaśnił się i, w

miarę obracania się anteny, mogłem zobaczyć malutki plan portu. Nawet „Sanford” był widoczny wśród innych plamek.

— To na bliską odległość — rzekł Krupke i z trzaskiem przekreślił przełącznik. — A to zasięg maksymalny — piętnaście mil, ale dopóki jesteśmy w porcie, niewiele zobaczymy.

Część ekranu obejmująca ląd była zbyt chaotycznie pokryta wielką liczbą świetlistych plamek, aby dało się coś odczytać, od strony morza natomiast dostrzegłem maleńki punkcik.

— Co to takiego? Spojrzał na zegarek.

— Zapewne prom z Gibraltaru. Jest oddalony o dziesięć mil — na siatce zaznaczono odległości w milach.

— Ta zabawka musi być niezwykle przydatna do wykrywania lądu w nocy — powiedziałem.

— Jasne — odparł. — Trzeba tylko porównywać zarys na ekranie z mapą. Nie ma znaczenia, że księżyc nie świeci albo że jest mgła.

Jakżebym chciał mieć takie urządzenie na „Sanfordzie”, trudno jednak zainstalować radar na jachcie - jest tam zbyt wiele lin mogących zaczepić o antenę. Zresztą, nie mielibyśmy energii do zasilania go.

Rozejrzałem się po sterówce.

— Z takim wyposażeniem nie potrzeba wielu ludzi, mimo że to spora łódź — powiedziałem. — Jaką macie załogę?

— Możemy ją prowadzić sami z Metcalfe'em — rzekł Krupke. — Nasze wyprawy nie są zbyt długie. Ale zazwyczaj bierzemy ze sobą jeszcze jednego człowieka — tego Marokańczyka, który jest teraz na „Sanfordzie”.

Długo jeszcze czekałem na pokładzie fairmili, ale Metcalfe i Walker nie pokazali się, więc po jakimś czasie wróciłem do mieszkania Metcalfe'a. Coertze już tam był, pozostali przepadli. Poszliśmy więc na kolację we dwójkę.

— Wkrótce powinniśmy odpłynąć — powiedziałem w trakcie kolacji. — Tutaj wszystko jest załatwione i marnowalibyśmy czas zostając dłużej.

— *Ja* — zgodził się Coertze. — To nie wycieczka.

Wróciliśmy do domu. Nadal nikogo nie było, jeśli nie liczyć służby. Coertze poszedł do swojego pokoju, a ja czytałem przypadkowe czasopismo. Około dziesiątej usłyszałem, że ktoś wchodzi. Uniosłem wzrok i zagotowałem się wprost z wściekłości.

Walker był tak pijany, że nie widział na oczy. Kolana uginały się pod nim i przytrzymał się Metcalfe'a. Twarz miał obrzękłą i rozglądał się nieprzytomnie. Metcalfe był nieco wstawiony, lecz nie pijany. Podciągnął Walkera, żeby nie upadł, i rzekł wesoło:

— Poszliśmy spędzić w mieście miły wieczór, ale kolega Walker nie dał rady. Lepiej mi pomóż rzucić go na łóżko.

Pomogłem Metcalfe'owi zawlec Walkera do pokoju i ułożyliśmy go na łóżku. Coertze obudził się i spytał:

— Co się dzieje?

— Twój kumpel nie ma głowy do trunków — odparł Metcalfe. — Film mu się urwał.

Coertze spojrzał na Walkera, potem na mnie i ściągnął gniewnie czarne brwi. Dałem mu znak, aby się opanował.

Metcalfe przeciągnął się i powiedział:

— No, ja chyba też się położę — spojrzał na Walkera i w jego głosie zabrzmiała nutka pogardy. — Rano nic mu nie będzie, oprócz piekielnego kaca. Powiem Ismailowi, żeby mu zrobił „ostrygę prerii” na śniadanie. — Zwrócił się do Coertzego: — Jak to nazywacie w afrikaans?

— *'n Regmaker* — burknął Coertze. Metcalfe roześmiał się.

— Zgadza się. *Regmaker*. To było pierwsze słowo w afrikaans, którego się nauczyłem — podszedł do drzwi. — Do zobaczenia rano — powiedział i już go nie było.

Zamknąłem drzwi.

— Przeklęty głupiec — powiedziałem z rozgoryczeniem. Coertze wstał z łóżka, chwycił Walkera i zaczął nim potrząsać.

— Walker! — krzyczał. — Czy coś mu powiedziałeś?! Głowa Walkera opadła na bok. Zaczął chrapać. Ująłem Coertzego za ramię.

— Cicho bądź; cała służba się dowie. Tak czy inaczej to nie ma sensu, bo dzisiaj nic nie powie, jest nieprzytomny. Zostawmy to do rana.

Coertze strząsnął moją rękę i odwrócił się. Miotła nim wściekłość.

— Mówiłem ci — rzekł stłumionym głosem. — Mówiłem ci, że on jest do niczego. Kto wie, co ten *dronkie* nagadał.

Zdjąłem Walkerowi buty i przykryłem go kocem.

— Dowiemy się jutro — powiedziałem. — My obaj. Nie naskakuj od razu na niego; przerazisz go śmiertelnie i zamknie się na amen.

— Przygrzmoć mu, jak Bóg na niebie — rzekł Coertze ponuro.

— Zostawisz go w spokoju — odparłem ostro. — Możemy mieć dosyć kłopotów, nawet nie bijąc się ze sobą. Walker jest nam potrzebny. Coertze prychnął.

— Walker wykonał tu robotę, której nie zrobiłby żaden z nas — powiedziałem. — Ma talent udawania skończonego głupca w wiarygodny sposób — spojrzałem na niego i dodałem gorzko. — Szkoda, że potrafi być też skończonym głupcem na serio. W każdym razie możemy go jeszcze potrzebować, więc zostaw go w spokoju. Obaj z nim jutro pogadamy.

Coertze mruknięciem wyraził zgodę i poszedłem do swego pokoju.

VI

Nazajutrz rano wstałem wcześniej, lecz nie tak wcześniej jak Metcalfe, który już gdzieś wyszedł. Poszedłem zobaczyć Walkera. Coertze był już na wpół ubrany, Walker leżał na łóżku i chrapał. Wylałem mu na głowę szklankę wody. Nie byłem w odpowiednim nastroju, aby przejmować się jego samopoczuciem.

Poruszył się, jęknął i otworzył oczy w momencie, gdy Coertze opróżnił nad jego głową karafkę. Usiadł prychnając i ponownie osunął się na poduszkę.

— Moja głowa — powiedział, przykładając ręce do skroni. Coertze chwycił go za koszulę.

— *Jou goggamannetje*, co powiedziałeś Metcalfe'owi? — potrząsnął mocno Walkerem. — Co mu powiedziałeś?

Takie traktowanie z pewnością nie stanowiło antidotum na ból głowy, więc odezwałem się:

— Uspokój się, ja z nim pomówię.

Coertze puścił Walkera i stanął nad nim, czekając, aż dojdzie do siebie.

— Skończony głupcze — powiedziałem — spiłeś się wczoraj w nocy, a w dodatku jako kompana do picia musiałeś sobie wybrać Metcalfe'a.

Walker uniósł wzrok. Ból monumentalnego kaca przysłał mu bielmem oczy. Usiadłem na łóżku.

— No więc, czy powiedziałeś mu coś o złocie?

— Nie! — krzyknął Walker. — Nie powiedziałem.

— Nie opowiadaj nam tu żadnych bajek, bo jeśli złapiemy cię na kłamstwie, to wiesz, co z tobą zrobimy — powiedziałem spokojnie.

Rzucił wystraszone spojrzenie na Coertzego, groźnie spoglądającego z tyłu, i zamknął oczy.

— Nie pamiętam — powiedział. — Urwał mi się film, nie pamiętam.

To już lepiej, teraz z pewnością mówił prawdę. Zastanowiłem się przez chwilę i

doszedłem do wniosku, że nawet jeśli nie powiedział Metcalfe'owi o złocie, to sam zdemaskował się całkowicie. Pod wpływem alkoholu zniszczył nieodwołalnie postać, którą stworzył, i wrócił do swego dawnego pijackiego, niemilego ja.

Metcalfe był bystry — w przeciwnym razie nie utrzymałby się w swym bandyckim zawodzie. Zmiana zachowania Walkera ostrzegła go z pewnością, że jeśli chodzi o starego kumpla Hallorana i jego załogę, coś jest nie tak. Już samo to wystarczyłoby Metcalfe'owi do przeprowadzenia małego śledztwa. Musieliśmy w swych działaniach przyjąć założenie, że Metcalfe może się nami bliżej zainteresować.

— Co się stało, to się nie odstanie — odezwałem się i spojrzałem na Walkera. Spuścił wzrok, mnąc nerwowo brzeg koca.

— Spójrz na mnie — rozkazałem. Wolno uniósł oczy i nasze spojrzenia spotkały się. — Myślę, że mówisz prawdę — powiedziałem zimno. — Ale jeśli złapię cię na kłamstwie, marne twoje widoki. A jeśli w czasie tej wyprawy dotkniesz kieliszka, to skręcę ci kark. Myślisz, że powinieneś bać się Coertzego, ale jeśli wypijesz jeszcze jednego drinka, będziesz miał więcej powodów, żeby bać się mnie. Jasne?

Skinął głową.

— Nie obchodzi mnie, ile będziesz pił, kiedy to się już skończy. Pewnie zapijesz się na śmierć w sześć miesięcy — to mnie zupełnie nie interesuje. Ale powtarzam, jeszcze jeden kieliszek w czasie tej wyprawy — i po tobie.

Drgnął, a ja zwróciłem się do Coertzego:

— A teraz zostaw go w spokoju. Będzie się zachowywał przyzwoicie.

— Pozwól mi go dorwać — powiedział Coertze. — Tylko raz — prosił.

— Sprawa jest zamknięta — przerwałem mu niecierpliwie. — Musimy zdecydować, co teraz robić. Zbierajcie rzeczy — wyprowadzamy się.

— A co z Metcalfe'em?

— Powiem mu, że chcemy zobaczyć jakiś festiwal w Hiszpanii.

— Jaki festiwal?

— Skąd mam wiedzieć? W Hiszpanii na pewno odbywa się jakiś zakichany festiwal; wybiorę najodpowiedniejszy. Odpływamy dziś po południu, gdy tylko uzyskam zezwolenie na wyjście z portu.

— Myślę, że mógłbym coś zrobić z Metcalfe'em — odezwał się Coertze w zadumie.

— Zostaw Metcalfe'a w spokoju — odparłem. — Może zupełnie nic nie podejrzewa. Jeśli jednak spróbujesz go pobić, będzie wiedział, że coś tu cuchnie. Nie pakujmy się w kabałę z Metcalfe'em, skoro możemy jej unikać. Jest większy od nas.

Spakowaliśmy torby i poszliśmy do łodzi. Walker włókł się niemrawo z tyłu. Moulay Idriss siedział po turecku na pokładzie dziobowym, paląc papierosa. Weszliśmy pod pokład i zaczęliśmy ciasno układać sprzęt.

Właśnie wyciągnąłem mapę Cieśniny Gibraltarskiej, przygotowując się do wyznaczenia kursu, gdy Coertze przyszedł na rufę i cicho powiedział:

— Wydaje mi się, że ktoś przeszukał łódź.

— O, do diabła! — odparłem. Metcalfe wyszedł bardzo wcześnie, miał wiele czasu na dokładne przeszukanie „Sanforda”.

— Co z piecami? — zapytałem.

Zamaskowaliśmy trzy piece, jak się dało. Kłemy węglowe zostały ściągnięte i rozrzucone w skrzyniach narzędziowych na dziobie, gdzie wyglądały tak samo jak inne rupiecie, które gromadzą się w ciągu jakiegoś czasu. Główne skrzynki z ciężkimi transformatorami zostały rozmieszczone w różnych miejscach: jeden był zacementowany pod podłogą kabiny, drugiemu nadaliśmy wygląd odbiornika ze stosownymi gałkami i wskaźnikami, a trzeci został wbudowany do akumulatora w komorze silnika.

Mało prawdopodobne, aby Metcalfe widząc je domyślił się, co to takiego, lecz sam fakt zamaskowania pieców dałby mu sporo do myślenia. Byłby to oczywisty dowód, że do czegoś

się szykujemy.

Po sprawdzeniu całej łodzi okazało się, że wszystko w porządku. Oprócz pieców i zapasowych mat grafitowych, ukrytych w oparciu podwójnej sofy, na pokładzie nie znajdowało się nic, co odróżniałoby nas od innych jachtów żeglujących po tych wodach.

— Może Marokańczyk grzebał trochę na własny rachunek — powiedziałem.

Coertze zaklął.

— Jeśli wpychał nos gdzie nie trzeba, to wywalę go za burtę. Wyszedłem na pokład. Marokańczyk wciąż siedział po turecku na dziobie.

— Pan Metcalfe?

Wyciągniętą ręką wskazał przez port w kierunku fairmili. Spuściłem szalupę za burtę i powiosłowałem tam.

Gdy dopłynąłem bliżej, Metcalfe pozdrowił mnie i spytał:

— Jak tam Walker?

— Marnie się czuje — odparłem, gdy chwycił cumę. — Szkoda, że tak się stało, pewnie będzie rzygał jak pies, kiedy wypłyniemy.

— Odpływacie? — Metcalfe był wyraźnie zaskoczony.

— Nie miałem możliwości powiedzieć ci o tym wczoraj wieczorem — odparłem. — Płyniemy do Hiszpanii — opowiedziałem mu przygotowaną historyjkę i dodałem: — Nie wiem, czy będziemy wracać tą trasą. Walker tak, ale my z Coertzem możemy popłynąć wzdłuż wybrzeża do Afryki Południowej — przyszło mi do głowy, że nie ma to jak wypuszczanie dezorientujących wieści.

— Szkoda — rzekł Metcalfe. — Chciałem cię prosić, abys zaprojektował dla mnie łódkę, dopóki tu jesteś.

— W takim razie napiszę do Cape Town, żeby stocznia przysłała ci pełny zestaw do falcona. Pójdzie na moje konto; będziesz musiał tylko opłacić fracht.

— Dziękuję — rzekł Metcalfe. — Bardzo to ładnie z twojej strony — wyglądał na zadowolonego.

— Tyle mogę zrobić w zamian za całą gościnność, która nas tutaj spotkała — odpowiedziałem. Wyciągnąłem rękę do uścisku.

— Wszystkiego najlepszego w podróży, Hal. Mam nadzieję, że twój plan się uda.

Zapomniałem o ostrożności.

— Jaki plan? — spytałem ostro.

— No przecież ta stocznia, którą planujesz. Nic innego nie chodzi ci chyba po głowie, co?

Zganiłem się w duchu. Spróbowałem się uśmiechnąć, ale wypadło to słabo.

— Nie, oczywiście, że nie.

Odwróciłem się, żeby zejść do szalupy, kiedy Metcalfe rzekł spokojnie:

— Hal, nie jesteś stworzony do takiego życia jak moje. Jeśli

jednak masz zamiar spróbować ruchu, to lepiej zrezygnuj. Mój fach jest twardy i za duża w nim konkurencja.

Wiosłując z powrotem na „Sanforda” zastanawiałem się, czy przypadkiem nie było to zawołane ostrzeżenie, że o wszystkim wie. Pomijając to, czym się zajmował, Metcalfe był uczciwym facetem i niechętnie naciąłby przyjaciela. Zrobiłby to jednak bez wahania, gdyby przyjaciel nie usunął mu się z drogi.

O trzeciej po południu wypłynęliśmy z portu w Tangerze i wzięliśmy kurs na Gibraltar. Zmierzaliśmy nadal do celu, lecz za nami pozostało zbyt wiele błędów.

FRANCESCA

I

Gdy przepływaliśmy przez cieśninę, Coertze zaproponował, abyśmy skierowali się prosto do Włoch.

— Słuchaj, powiedzieliśmy Metcalfe'owi, że płyniemy do Hiszpanii — odparłem.

Uderzył pięścią w zręb kokpitu.

— Ale nie mamy czasu.

— Musimy go znaleźć — nie ustępowałem. — Już ci mówiłem, że na nieprzewidziane trudności zarezerwowałem cały miesiąc. To właśnie jedna z takich trudności. Na dotarcie do Włoch zużyjemy miesiąc zamiast dwóch tygodni. W ten sposób pozostają w zapasie jeszcze tylko dwa tygodnie — jednak musimy tak zrobić. Może uda nam się nadrobić trochę czasu we Włoszech.

Zaczął narzekać twierdząc, że niepotrzebnie obawiam się Metcalfe'a.

— Czekaleś na tę okazję piętnaście lat, możesz zaczekać jeszcze dwa tygodnie. Popłyniemy do Gibraltaru, Malagi i Barcelony, popłyniemy na Riwierę, do Nicei i Monte Carlo; później do Włoch. Zobaczymy walki byków i jaskinie hazardu, będziemy robić to wszystko, co inni turyści. Staniemy się najbardziej niewinnymi ludźmi, jakich Metcalfe kiedykolwiek oglądał.

— Ale Metcalfe został w Tangerze. Uśmiechnąłem się słabo.

— Teraz jest zapewne w Hiszpanii; w swojej fairmili mógł nas wyprzedzić, kiedy tylko chciał. Do diabła, mógł nawet przylecieć do Gibraltaru samolotem albo przy płynąć promem. Jeśli sądzi, że coś knujemy, będzie miał nas na oku.

— Przekląty Walker — wybuchnął Coertze.

— Zgoda — powiedziałem. — Lecz to niczego nie zmienia.

Zacząłem wyliczać błędy, które popełniliśmy. Najważniejszym było bez wątpienia napomknięcie Walkera o liście kredytowym w obecności Aristide. Było to kłamstwo — w dodatku niepotrzebne — list kredytowy miałem ja i Walker mógł o tym powiedzieć. Zachowanie kontroli nad finansami ekspedycji stanowiło jedyne w miarę pewne zabezpieczenie, że Coertze nie rzuci się na mnie. Wciąż nie wiedziałem, gdzie znajduje się kopalnia ze złotem.

Teraz oczywiście Aristide przeprowadzi wśród swoich przyjaciół bankierów małe dochodzenie w celu stwierdzenia finansowego statusu bogatego pana Walkera. Informacje uzyska w całkiem prosty sposób — wszyscy bankierzy trzymają się razem, a etyka może iść do diabła — i dowie się, że Walker nie podejmował pieniędzy z żadnego banku w Tangerze. Może się tym zbytnio nie przejąć, może jednak zapytać o to Metcalfe'a i wówczas ten znajdzie kolejną zagadkę na swojej liście podejrzeń. Wysonduje Aristide i w rezultacie dowie się, że Walker i Halloran wykazali przesadne zainteresowanie napływem i odpływem złota z Tangeru.

Mógłby pójść do Casa Saeta i powęszyć. Nie znalazłby tam niczego, co stałoby w sprzeczności z postacią wykreowaną przez Walkera, lecz właśnie ten wizerunek wydałby mu się najbardziej podejrzany, gdyż Walker zniszczył go doszczętnie, kiedy był pijany. Na wzmiankę o złocie nastawiłby pilnie uszu — człowiek pokroju Metcalfe'a na zapach złota reaguje bardzo szybko; i ja na jego miejscu zainteresowałbym się bardzo ruchami jachtu żaglowego „Sanford”.

Wszystkie te przypuszczenia opierały się na założeniu, że Walker po pijanemu nie powiedział nic o złocie. Jeśli powiedział, to bomba już poszła w górę.

Zawinęliśmy do Gibraltaru i spędziliśmy dzień, gapiąc się na mały Barbary i oglądając jaskinie wykonane przez ludzi. Następnie pożeglowaliśmy na Malagę i zmuszeni byliśmy wysłuchać znacznie więcej muzyki flamenco, niż mogliśmy znieść.

Zdarzyło się to drugiego dnia w Maladze. Jak dobrzy turyści, wybraliśmy się z Walkerem do cygańskich jaskiń, kiedy zdałem sobie sprawę, że jesteśmy śledzeni.

Gdziekolwiek szliśmy, natykaliśmy się na młodego wąsatego człowieka o ziemistej cerze. Usiadł nieco dalej, gdy jedliśmy w ulicznej kawiarni, pokazał się nad przystanią jachtową, bił brawo tańczącym flamenco, gdy poszliśmy zobaczyć Cyganów.

Reszcie nic nie powiedziałem. Jeżeli nas śledzono, stanowiło to tylko potwierdzenie klasy Metcalfe'a. W każdym porcie nad Morzem Śródziemnym miał z pewnością przyjaciół i nie nastęczało mu większych trudności poproszenie ich o tę drobną przysługę. Ruchów jachtu nie da się tak łatwo ukryć, on sam zaś siedział zapewne w Tangerze, jak pajak pośrodku sieci, i otrzymywał telefony z wszystkich miejsc, do których zawijaliśmy. Znał wszystkie nasze ruchy oraz wydatki do ostatniego peseta.

Mogliśmy tylko próbować zachowywać się jakby nigdy nic i mieć nadzieję, że — jeśli przeciągniemy to dostatecznie długo — znuży się. Może dojdzie do wniosku, że jego podejrzenia okazały się nieuzasadnione.

W Barcelonie poszliśmy we trójkę na walkę byków. Miałem niezłą rozrywkę, próbując rozpoznać człowieka Metcalfe'a. Nietrudno było go znaleźć, jeśli się szukało. Okazał się nim wysoki zbój o zapadłych policzkach. Trzymał się tego samego schematu, co człowiek w Maladze.

Miałem niemal pewność, że jeśli ktokolwiek miałby okraść „Sanforda”, to jeden z przyjaciół Metcalfe'a. Rozeszła się już z pewnością wiadomość, że jesteśmy jego zwierzyną i mniejsze płotki zostawiły nas w spokoju. Wynająłem strażnika — wyglądał na takiego, który za dziesięć pesetów sprzedałby własną matkę — i poszliśmy na walkę byków.

Nim wyszliśmy, starannie przygotowałem dekoracje: sporządziłem sporo fikcyjnych notatek dotyczących kosztów założenia stoczni w Hiszpanii, spreparowałem też materiały, które rzekomo zebrałem. Zostawiłem plan podróży, z grubsza opisujący naszą przyszłą trasę aż do Grecji, oraz listę z adresami ludzi, których miałem odwiedzić. Następnie wymierzyłem co do cała miejsca, na których leżały wszystkie papiery.

Kiedy wróciliśmy, stróż powiedział, że było spokojnie, więc zapłaciłem mu i odszedł. Papiery zostały przejrane, więc do zamkniętej kabiny włamano się z powodzeniem mimo obecności stróża lub raczej przy jego pomocy.

Zastanawiałem się, ile mu zapłacono. Rozmyślałem też nad tym, czy moja harówka przekonała Metcalfe'a, że rzeczywiście niewinnie się włóczymy.

Z Barcelony wyszliśmy przez Zatokę Lwią do Nicei, opuszczając Majorkę, gdyż zaczynało brakować nam czasu. Znowu zająłem się „interesami”, odwiedzając stocznię. Ponownie dostrzegłem obserwatora, lecz tym razem popełniłem błąd.

Powiedziałem o nim Coertzemu.

Zagotował się.

— Czemu nie powiedziałeś mi wcześniej? — zapytał.

— Jaki miałoby to sens? — odparłem. — I tak nic nie możemy zrobić.

— Doprawdy? — rzekł zagadkowo i zamilkł.

Niewiele zdarzyło się w Nicei. Jest to przyjemne miejsce, jeśli nie ma się pilnych spraw gdzie indziej. Zostaliśmy tam jednak tylko tak długo, ile wymagał nasz kamuflaż, po czym pożeglowaliśmy do Monte Carlo, równie miłego dla turystów miasta.

W Monte Carlo zostałem wieczorem na pokładzie „Sanforda”, a Coertze i Walker zeszli na ląd. Niewiele było do zrobienia prócz zwykłych prac gospodarskich, odpoczywałem więc w kokpicie chłonąc spokój nocy. Tamtych nie było do późna, a gdy wrócili, Walker zachowywał się nienaturalnie cicho.

Kiedy Coertze zszedł pod pokład, zagadnąłem go:

— Co się stało? Zaniemówiłeś? Jak ci się podobało Monte? Skinął głową w stronę zejścia pod pokład.

— Sprzął kogoś. Zrobiło mi się zimno.

— Kogo?

— Jakiś facet laził za nami przez całe popołudnie. Coertze go zauważył i powiedział, że

się z nim rozprawi. Pozwoliliśmy facetowi śledzić nas, dopóki nie zrobiło się ciemno. Wtedy Coertze wyprowadził go w jakąś alejkę i dołożył mu.

Wstałem i szedłem na dół. Coertze siedział w kuchni i moczył spuchnięte knykie.

— A więc w końcu dopiąłeś swego — powiedziałem. — Musisz używać swoich cholernych pięści zamiast rozumu. Jesteś gorszy od Walkera. O nim przynajmniej można powiedzieć, że jest chory.

Coertze spojrzał na mnie zaskoczony.

— O co chodzi?

— Słyszałem, że kogoś pobiliś.

Coertze spojrzał na swoją pięść i uśmiechnął się do mnie szeroko.

— Nie będzie już nas niepokoić, z miesiąc poleży w szpitalu! — Rany boskie, w dodatku powiedział to z dumą!

— Zawaliłeś wszystko — powiedziałem z naciskiem. — Już niemal doprowadziłem Metcalfe'a do punktu, w którym musiał zostać przekonany, że jesteśmy w porządku. Teraz pobiliś jednego z jego ludzi, więc już wie, że jesteśmy przeciwko niemu i że coś ukrywamy. Równie dobrze mógłbyś zadzwonić do niego i powiedzieć: „Wkrótce będziemy mieli trochę złota, wpadnij i weź je od nas”. Jesteś skończonym durniem.

Twarz mu pociemniała.

— Nikt tak do mnie nie mówi — uniósł pięść.

— Ja do ciebie tak mówię — odparłem. — A jeśli mnie tkniesz palcem, możesz złotu posłać całusy na do widzenia. Za nic na świecie nie poprowadzisz ani tej, ani żadnej innej łodzi, a Walker ci nie pomoże, bo cię nie znosi. Uderz mnie i wylatujesz na dobre. Wiem, że mógłbyś mnie złamać na pół i możesz tego spróbować, lecz taka przyjemność kosztowałaby cię, ni mniej, ni więcej, tylko pół miliona.

Na tę próbę sił zanosilo się od dawna.

Zawahał się, niezdecydowany.

— Ty pieprzony Angliku — powiedział.

— No dalej, uderz mnie — odezwałem się i przygotowałem na przyjęcie ciosu.

Uspokoił się i pogroził mi.

— Zaczekaj tylko, aż się to skończy — rzekł. — Tylko zaczekaj. Wtedy się policzymy.

— Dobra, wtedy się policzymy — odparłem. — Ale do tego czasu ja jestem szefem.

Rozumiesz?

Twarz mu ponownie pociemniała.

— Nikt mi nie będzie szefował — mruknął.

— W porządku — powiedziałem. — W takim razie wracamy tą samą trasą, którą przyплыliśmy — Nicea, Barcelona, Malaga, Gibraltar. Walker pomoże mi prowadzić łódź, ale dla ciebie nie kiwnie nawet palcem — odwróciłem się.

— Czekać no — rzekł Coertze, więc odwróciłem się. — Dobrze — wykrztusił. — Ale poczekaj tylko, aż się to skończy. Na Boga, wtedy będziesz musiał zacząć się pilnować!

— Ale do tego czasu ja jestem szefem?

— Tak — odrzekł ponuro.

— I będziesz wykonywał moje rozkazy? Zacisnął pięści, lecz zdołał się opanować.

— Tak.

— W takim razie pierwszy brzmi następująco: bez porozumienia ze mną nie wolno ci nic robić. — Odwróciłem się, żeby wyjść na pokład. Doszedłem do połowy, kiedy nagle przyszło mi coś do głowy, więc wróciłem na dół. — Chcę ci coś jeszcze powiedzieć. Niech ci nie przyjdzie na myśl, żeby wykiwać mnie albo Walkera, bo jeżeli zrobisz coś takiego, to będziesz miał do czynienia nie tylko ze mną, ale i z Metcalfe'em. Gdybyś to zrobił, chętnie dopuszczę Metcalfe'a do udziału. I nie ma na świecie takiego miejsca, gdzie mógłbyś się ukryć, gdyby Metcalfe zaczął cię ścigać.

Spojrzał na mnie ponuro i odwrócił się. Wyszedłem na pokład. Walker siedział w

kokpicie.

— Słyszałeś? — zapytałem. Skinął głową.

— Cieszę się, że ustawiłeś mnie po swojej stronie.

Byłem jeszcze wytracony z równowagi i rozdygotany. Awantura z takim niedźwiedziem jak Coertze to nie zabawa. Działał pod wpływem odruchów, nie myśląc, i mógł mnie połamać równie łatwo, jak ktoś inny zapalkę. Takiego człowieka należało trzymać w cuglach jak narowistego konia.

— Cholera, nie wiem, dlaczego wybrałem się na tę szaloną wyprawę z takim jak ty *dronkie* i maniakiem jak Coertze. Najpierw ty naprowadzasz Metcalfe'a na nasz trop, a później on przypieczętował sprawę.

— Nie chciałem tego zrobić — odezwał się cicho Walker. — Nie sądzę, abym coś powiedział Metcalfe'owi.

— Też tak sądzę, ale w jakiś sposób zdradziłeś się. — Przeciągnąłem się, rozluźniając mięśnie. — Nie ma to znaczenia: albo dostaniemy to złoto, albo nie. Tylko tyle można w tej chwili powiedzieć.

— W razie czego możesz na mnie liczyć; pomogę ci przeciwko Coertzemu — rzekł Walker.

Uśmiechnąłem się. Na Walkerze można było polegać tak jak na pękniętym maszcie podczas huraganu, a huraganem był Coertze. Tak właśnie oddziaływał na ludzi; był uosobieniem żywiołowej siły. Dosłownie przytłaczający człowiek.

Poklepałem Walkera po kolanie.

— Dobra. Od teraz jesteś moim człowiekiem — nadałem głosowi twarde brzmienie, gdyż Walkera należało trzymać krótko. — Ale powtarzam: z dala od alkoholu. W Tangerze mówiłem poważnie.

II

Następnym przystankiem było Rapallo, które wybraliśmy na swoją pierwszą włoską bazę, pod warunkiem, że znajdziemy odpowiednie miejsce do pracy. Weszliśmy na silniku do przystani jachtowej i niech mnie kule biją, jeśli to nie falcon leżał wyciągnięty na mieliznę. Wiedziałem, że firma sprzedawała kilka zestawów w Europie, lecz w ogóle nie spodziewałem się ich ujrzeć.

Ponieważ przyplłynęliśmy do portu międzynarodowego, nastąpiła odprawa celna i kontrola sanitarna — czyste formalności. Żeglarze nad Morzem Śródziemnym są dobrze traktowani. Pogawędziłem z celnikami na temat jachtów i żeglarstwa. Powiedziałem, że sam jestem projektantem i budowniczym łodzi. Jak zwykle wygłosiłem mowę o tym, że noszę się z zamiarem otwarcia stoczni nad Morzem Śródziemnym, wskazując na falcona jako przykład mojej roboty.

Zrobiło to na nich wrażenie. Jeśli czyjś produkt był używany o sześć tysięcy mil od miejsca wykonania, z takim człowiekiem należało się liczyć. Nie byli zbyt dobrze zorientowani w sytuacji na miejscu, lecz dali mi kilka pożytecznych adresów.

Byłem bardzo zadowolony. Jeśli miałem wywierać na ludziach wrażenie uczciwego, to równie dobrze mogłem zacząć ćwiczenie od celników. Ten zabłąkany falcon okazał się nadspodziewanie pomocny.

Zszedłem na brzeg sam, polecając Walkerowi i Coertzemu pozostać na pokładzie. Nie było potrzeby wydawania takiego rozkazu, chciałem jednak sprawdzić skuteczność mojego nowo ustalonego panowania nad nimi. Coertze w zasadzie powrócił do normalnego stanu. Odzyskał utraconą równowagę i dowcipkował jak zawsze — już sam ten fakt pomyślnie rokował na najbliższą przyszłość. Nie miałem jednak złudzeń, że cokolwiek zostało zapomniane. Afrykanerzy są znani z tego, iż prawie nigdy nie zapominają i niczego nie wybaczą.

Udałem się do jachtklubu i przedstawiłem listy polecające. Jedną z przyjemniejszych stron żeglowania jest pewność życzliwego przyjęcia w każdej części świata. Wśród żeglarzy panuje atmosfera koleżeństwa, która w sytuacjach skrajnego zagrożenia dodaje otuchy. To ogólnoświatowe braterstwo oraz międzynarodowe prawo morskie, które nie wymaga licencji na kierowanie małą łodzią, stawiają żeglarstwo morskie na poczesnym miejscu wśród najbardziej pasjonujących zajęć ludzkości.

Gawędziłem z dobrze władającym angielskim sekretarzem klubu i szeroko przedstawiłem mu moje rzekome plany. Zaprowadził mnie do baru, zaproponował drinka i poznał z kilkoma miejscowymi oraz przyjezdnymi żeglarzami. Jakiś czas rozmawialiśmy o podróży z Afryki Południowej, a następnie zabrałem się do zbierania informacji o miejscowych stocznjach.

Już podczas podróży wokół Morza Śródziemnego doszedłem do wniosku, że wymyślona przeze mnie historyjka wcale nie musi być kompletną fikcją — mogłaby stać się całkiem prawdopodobnym rozwiązaniem. Przestałem się już zajmować wyłącznie złotem, szczególnie po błazeństwach Walkera i Coertzego, wzrastało natomiast moje zainteresowanie możliwościami rozwinięcia biznesu nad Morzem Śródziemnym. Byłem napięty i dręczyły mnie wątpliwości, czy nasza trójka jest w ogóle zdolna do przeprowadzenia zasadniczej akcji — krańcowo odmienne charaktery nieuchronnie prowadziły do napięć, zagrażających delikatnej strukturze planu. Dlatego też próbowałem się jakoś zabezpieczyć, poważnie rozważając możliwości robienia interesów.

Gorączka złota, która przelotnie dopadła mnie w skarbcu Aristide, choć uśpiona, tkwiła wciąż we mnie i wystarczało jej, aby mnie gnać naprzód, wystarczało na szarpaninę z Coertzem i Walkerem oraz próby wyprowadzenia w pole Metcalfe'a.

Gdybym jednak wiedział, że spodziewane korzyści zaprowadzą mnie na pole bitwy, to wówczas, w barze jachtklubu w Rapallo, zrezygnowałbym bez wątpienia.

W ciągu popołudnia odwiedziłem kilka stocznj, i to nie tylko ze względu na możliwości przyszłych interesów. „Sanford” przebył długą drogę i jego dno pokryte było wodorostami i skorupiakami. Należało go wyciągnąć z wody i oskrobać, co dodałoby mu jakieś pół wężła. Uzgodniliśmy wcześniej, że tak uzasadnimy potrzebę wyciągnięcia go z wody. Rzucona od niechcienia w jachtklubie uwaga, jakoby odkrył jakąś usterkę w sworzniach kilu, stanowiłaby dostateczne wytłumaczenie potrzeby jego wymiany. Szukałem więc spokojnego miejsca, gdzie moglibyśmy odlać nasz złoty kil.

Zaniepokoiłem się poważnie, gdy odkryłem nagle, że nie dostrzegam nigdzie człowieka Metcalfe'a. Gdyby odwołał swoje psy gończe, bo doszedł do wniosku, że nic nie ukrywamy, wszystko byłoby w porządku. Teraz jednak, kiedy Coertze tak się wygłupił, taka możliwość wydawała się mało prawdopodobna. Prawdopodobne natomiast było, że coś się święci, i cokolwiek ma się stać, z pewnością wydarzy się na „Sanfordzie”. Przerwałem poszukiwania i szybko wróciłem do przystani jachtowej.

— Nikt mnie nie śledził — powiedziałem Coertzemu.

— Mówiłem ci, że moje rozwiązanie jest najlepsze — odparł. — Przestraszyli się.

— Jeśli sądzisz, że Metcalfe przestraszył się, bo jakiś wynajęty szczur dokowy oberwał po mordzie, to lepiej nie próbuj zarabiać na życie myśleniem — spojrzałem na niego surowo. — Czy mogę zaufać ci na tyle, że jeżeli zejdziesz na ląd, aby rozprostować nogi, nie pobijesz kogoś tylko dlatego, że, twoim zdaniem, zezuje na ciebie?

Przez chwilę próbował wytrzymać moje spojrzenie. W końcu odwrócił wzrok.

— Dobra — rzekł głucho. — Będę ostrożny. Ale w końcu przekonasz się, że moje metody są najskuteczniejsze.

— W porządku. Schodzicie z Walkerem na brzeg coś zjeść — zwróciłem się do Walkera.

— Pamiętaj, żadnego alkoholu. Nawet wina.

— Dopilnuję tego — zapewnił mnie Coertze. — Będziemy się trzymać razem, prawda? — Klepnął Walkera po plecach.

Obserwowałem, jak wspinają się na ławę doku i odchodzą. Coertze szedł tak długim krokiem, że Walker musiał co chwila podbiegać, żeby za nim nadążyć.

Zastanawiałem się, co knuł Melcalfe. Ponieważ nic nie przychodziło mi do głowy, zszedłem na dół, aby sporządzić spis naszych potrzeb na kilka najbliższych dni. Wyciągnąłem się na koi po lewej stronie. Musiałem być bardzo zmęczony, bo kiedy się obudziłem, wokół panowały ciemności, które rozjaśniały jedynie światła miasta migocące w iluminatorach.

Obudził mnie jakiś ruch na pokładzie.

Leżałem jeszcze chwilę, a gdy usłyszałem kolejny dźwięk, wstałem ostrożnie. Cicho podszedłem do włazu i wystawiłem głowę na pokład.

— Coertze?! — zawołałem cicho.

— Czy signor Halloran? — odezwał się jakiś głos. Z całą pewnością należący do kobiety.

Szybko wyszedłem do kokpitu.

— Kto tam?

Ciemny kształt ruszył w moją stronę.

— Panie Halloran, chcę z panem porozmawiać — kobieta mówiła dobrze po angielsku, lecz z nieznacznym włoskim akcentem. Głos miała przyjemnie niski, tchnący spokojem.

— Kim pani jest?

— Z pewnością zawarcie znajomości przebiegłoby stosowniej, gdybyśmy mogli widzieć się nawzajem — w jej głosie pobrzmiwała rozkazująca nuta. Bez wątpienia był to głos osoby przywykłej do stawiania na swoim.

— W porządku — odparłem. — Chodźmy na dół.

Prześliznęła się obok mnie i zeszła na dół. Ruszyłem za nią, po drodze włączając światło. Odwróciła się i mogłem już ją zobaczyć. Warto było. Zaczesaane do góry kruczoczarne włosy tworzyły z przodu dwa gładkie skrzydła, które opadały po obu stronach głowy, idealnie harmonizując z brwiami, ciemniejszymi nad spokojnymi, orzechowymi oczami. Wysokie kości policzkowe nadawały twarzy pociągły wygląd i tworzyły w policzkach lekkie wklęsnięcia, ale nie nadawało jej to wyglądu jednej z tych modnie wychudzonych modelek, które widuje się w „Vogue”.

Miała na sobie prostą, obcisłą, wełnianą suknię, uwydatniającą nieskazitelną figurę. Kreacja mogła być kupiona w miejscowym domu towarowym lub też została przysłana z paryskiego domu mody. Uznałem, że to drugie — trudno być żonatym przez dłuższy czas i pozostać kompletnym ignorantem w dziedzinie kobiecych fatalasek.

W ręce trzymała pantofle i stała w samych pończochach, co stanowiło niewątpliwie punkt na jej korzyść. Dziewczyna ważąca sto funtów, jeżeli jest w szpilkach, wywiera obcasami nacisk dwóch ton, a to straszliwie działa na pokład. Albo wiedziała coś na temat jachtów, albo...

Wskazałem na pantofle i powiedziałem:

— Jest pani bardzo niedoświadczonym włamywaczem. Trzeba je było zawiesić na szyję, żeby mieć wolne ręce. Roześmiała się.

— Nie jestem włamywaczem, panie Halloran. Po prostu nie przepadam za szpilkami, poza tym bywałam już wcześniej na jachtach.

Podszedłem do niej bliżej. Była wysoka, niemal tak wysoka jak ja. Ocenilem, że mogła mieć pod trzydziestkę, może nieco więcej. Miała blade usta i tylko lekki makijaż. Była niewątpliwie bardzo piękną kobietą.

— Ma pani przewagę nade mną... — powiedziałem.

— Jestem hrabiną di Estrenoli. Wskazałem na kozetkę.

— Proszę siadać, hrabino.

— Nie hrabino. Pani — odparła i usiadła. Jedną ręką obciągnęła na kolanach sukienkę, drugą postawiła obok siebie pantofle. — Podczas rozmowy ze mną proszę zwracać się do mnie „pani”.

Wolno usiadłem na koi naprzeciw. Metcalfe niewątpliwie przygotował kilka niespodzianek.

— A więc będziemy się ze sobą jeszcze kontaktować? — powiedziałem ostrożnie. — Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszej osoby do dalszych kontaktów. Kiedy zaczynamy?

Z jej głosu powiało chłodem.

— Nie jestem takim kontaktem, jaki pan ma na myśli, panie Halloran — nagle zmieniła temat. — Widziałam na łądzie pańskich... mmm... towarzyszy. Oni mnie nie widzieli. Chciałam z panem porozmawiać sam na sam.

— Jesteśmy sami — odparłem krótko.

Chwilę zbierała myśli, po czym rzekła starannie odmierzając sylaby:

— Panie Halloran, przyjechał pan do Włoch z panem Coertzem i panem Walkerem, aby wywieźć stąd coś cennego. Zamierzacie to zrobić bezprawnie i nielegalnie, dlatego też powodzenie całej waszej operacji uzależnione jest od dochowania tajemnicy. Nie możecie — nazwijmy to — „operować”, jeśli ktoś zagłąda wam przez ramię. A ja właśnie mam zamiar to zrobić.

Jęknąłem w duchu. Metcalfe wiedział o wszystkim. Najwyraźniej jedyną niewiadomą stanowiło dla niego miejsce ukrycia skarbu. Dziewczyna miała całkowitą rację mówiąc, że nie dałoby się nic zrobić, gdyby nas obserwowano. Walker musiał się wygadać w Tangerze, skoro Metcalfe mógł tak dokładnie przygwoździć nas w Rapallo. Przychodził teraz otwarcie i domagał się udziału.

— No dobrze, hrabino. Ile chce Metcalfe? Uniosła skrzydlate brwi.

— Metcalfe?

— Tak, Metcalfe, pani szef. Potrząsnęła głową.

— Nie wiem nic o żadnym Metcalfie, kimkolwiek on jest. I zapewniam pana, że sama jestem dla siebie szefem.

Miałem nadzieję, że udało mi się zachować kamienną twarz. Niespodzianki zaczynały się piętrzyć. Jeśli ta pani Estrenoli ma związek z Metcalfe'em, to dlaczego zaprzecza? A jeśli nie, to kim, u diabła, jest? Skąd wie o skarbie?

— A co będzie, jeśli zaproponuję, aby wyskoczyła pani za burtę? Uśmiechnęła się.

— Wówczas nigdy nie wydobędziecie z Włoch tych kosztowności. Wyglądało na to, że trzeba pójść na ustępstwa, więc powiedziałem:

— Czy mam przez to rozumieć, że jeśli nie powiem, aby skoczyła pani do wody, wówczas wydobędziemy te rzeczy z kraju?

— Część — poszła na kompromis. — Lecz bez współpracy ze mną długi czas spędzicie we włoskim więzieniu.

Niewątpliwie należało się nad tym w wolniejszej chwili zastanowić.

— No dobrze, kim pani jest i co pani wie? — spytałem.

— Wiem, że po wybrzeżach rozeszła się wieść, aby zwrócić uwagę na jacht „Sanford”. Wiem, że właścicielem jachtu jest pan Halloran, a jego towarzyszami są panowie Coertze i Walker. To mi wystarczy.

— A co ma wspólnego hrabina di Estrenoli z pogłoskami rodem z portowych knajp? Co ma wspólnego włoska arystokratka z kryminalistami, dla których te wieści były przeznaczone?

— Mam dziwnych przyjaciół, panie Halloran — odparła z uśmiechem. — Wiem o wszystkim, co dzieje się na nabrzeżu. Teraz uświadomiłam sobie, że być może właśnie pan Metcalfe jest odpowiedzialny za puszczenie tych informacji w obieg.

— A więc dowiedziała się pani, że do Rapallo przybywa jacht z trzema osobami na pokładzie i pomyślała sobie: „A, ci trzej ludzie przybywają, aby wywieźć coś nielegalnie z Włoch” — powiedziałem złośliwie. — Musi się pani lepiej postarać, hrabino.

— Tylko, widzi pan, ja znam pana Coertzego i pana Walkera. Ciężki, niezdarny pan Coertze bywał we Włoszech dość często. Zawsze o tym wiedziałam i zawsze kazałam go

śledzić — uśmiechnęła się. — Zachowywał się jak pies przy króliczej norze: skomli, gdyż jest za mała i nie może się dostać do środka. Zawsze opuszczał Włochy z pustymi rękami.

To sporo wyjaśniało. W czasie jednej ze swych wypraw do Włoch Coertze musiał się z czymś zdradzić. Ale skąd, u diabła, wiedziała o Walkerze? On przecież nie przyjeżdżał ostatnimi czasy do Włoch — a może?

— Gdy usłyszałam, że pan Coertze wraca z panem Walkerem oraz jakimś panem Halloranem, wiedziałam, że coś się stanie, że jesteście gotowi zabrać stąd coś, co zostało zakopane, panie Halloran.

— Więc nie wie pani dokładnie, o co chodzi?

— Wiem, że jest to bardzo wartościowe — odparła po prostu.

— Może jestem archeologiem? — powiedziałem. Roześmiała się.

— Nie, nie jest pan archeologiem, panie Halloran. Jest pan skutnikiem — dostrzegła moje zaskoczenie i dodała: — Sporo wiem o panu.

— Dajmy spokój tym podchodom. Skąd pani wie o tej sprawie?

— Człowiek nazwiskiem Alberto Corso pisał list do mojego ojca — zaczęła powoli. — Zginął, nim skończył, więc nie było w nim wszystkich potrzebnych informacji. Wystarczyło jednak, aby mnie przekonać, że pana Coertzego należy śledzić.

Pstryknąłem palcami.

— Jest pani malutką córką hrabiego. Jest pani... mmm... Francescą. Skinęła głową.

— Jestem córką hrabiego.

— Teraz już niezbyt małą — powiedziałem. — A więc hrabiemu chodzi o skarb.

— Och nie — zachnęła się. — Mój ojciec nic o tym nie wie. Zupełnie nic.

Pomyślałem, że należałoby to bliżej wyjaśnić i właśnie miałem zakwestionować jej stwierdzenie, kiedy ktoś wskoczył na pokład.

— Kto to? — zapytała hrabina.

— Zapewne pozostali wracają — odparłem i czekałem. Może, nim wieczór dobiegnie końca, szykowały się jeszcze jakieś niespodzianki. Walker zszedł po schodkach i zatrzymał się, widząc gościa.

— Oo! — powiedział. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Odezwałem się:

— To jest hrabina di Estrenoli. Pan Walker. — Obserwowałem go uważnie, aby zobaczyć, czy ją rozpozna. Nie poznał jej jednak. Spojrzał na nią tak, jak się patrzy na piękną, lecz obcą kobietę i rzekł po włosku:

— Miło mi, signora. Uśmiechnęła się do niego:

— Nie zna mnie pan, panie Walker? Bandażowałam panu nogę, kiedy przywieziono pana do obozu na wzgórzach. W czasie wojny. Przyjrzał się jej uważnie i rzekł z niedowierzaniem:

— Francesca!

— Zgadza się. Jestem Francesca.

— Zmieniłaś się — powiedział. — Wyrosłaś. To znaczy... noo... — zmieszał się.

Spojrzała na niego.

— Tak, wszyscy się zmieniliśmy — powiedziała. Zdawało mi się, że wyczułem nutkę żalu w jej głosie. Rozmawiali przez kilka minut, po czym podniosła z podłogi pantofle. — Muszę już iść.

— Ależ dopiero co przysłaś — odezwał się Walker.

— Nie, jestem umówiona za dwadzieścia minut. — Wstała i podeszła do wejściówki. Odprowadziłem ją na pokład.

— Rozumiem Coertzego, teraz zrozumiałam Walkera — powiedziała. — Ale nie mogę zrozumieć pana, panie Halloran. Dlaczego pan to robi? Osiągnął pan sukces, zdobył uznanie w wysoko cenionym fachu. Dlaczego pan miałby to robić?

Westchnąłem i odpowiedziałem:

— Początkowo miałem powód; może wciąż go mam — nie wiem. Zaszedłem jednak tak

daleko, że muszę iść dalej. Skinęła głową, a następnie powiedziała:

— Na nabrzeżu jest kawiarnia o nazwie „Trzy Ryby”. Proszę się tam ze mną spotkać jutro o dziewiątej rano. Niech pan nie przyprowadza Coertzego ani Walkera. Coertzego nigdy nie lubiłam, a teraz wydaje mi się, że przestałam też lubić Walkera. Wolałabym z nimi nie rozmawiać.

— W porządku. Przyjdę.

Lekko zeskoczyła na nabrzeże. Zachwiała się nieco, gdy zakładała pantofle. Patrzyłem za nią, jak odchodzi. Słyszałem ostry stukot obcasów jeszcze przez długą chwilę, gdy pochłonęły ją już ciemności.

Zszedłem pod pokład.

— Skąd ona się tutaj wzięła? — odezwał się Walker. — Skąd wiedziała, że tu jesteśmy?

— Tajemnica została roztrąbiona — powiedziałem. — Wie wszystko — lub prawie wszystko — i przykręca nam śrubę. Walkerowi opadła szczęka.

— Wie o złocie?

— Tak — odparłem. — Ale nie zamierzam o tym mówić, dopóki nie przyjdzie Coertze. Nie ma potrzeby wałkowania wszystkiego dwa razy.

Walker zaprotestował, lecz opanował swą niecierpliwość, gdy dałem wyraźnie do zrozumienia, że nie będę o niczym rozmawiać. Siedział niespokojnie na kozetce. Po upływie pół godziny usłyszeliśmy, że Coertze wchodzi na pokład.

Był uprzejmy jak na niego — po jedzeniu, które tym razem przyrządzał ktoś inny, i po kilku kieliszkach.

— Chłopie — powiedział. — Ależ ci Włosi umieją gotować.

— Francesca tu była — powiedziałem. Spojrzał na mnie zdumiony.

— Córka hrabiego?

— Tak.

— Powiedz wreszcie, jak nas znalazła — odezwał się Walker.

— Czego chciała ta zadzierająca nosa dziwka? — zapytał Coertze. Uniosłem brwi. Najwyraźniej w przypadku tych dwojga antypatia była obustronna.

— Chce mieć udział w skarbie — odparłem bez ogródek. Coertze zaklął.

— Skąd się, u diabła, dowiedziała?

— Alberto napisał list, zanim zginął. Coertze i Walker spojrzeli po sobie i po chwili ciężkiej ciszy odezwał się Coertze.

— Więc, mimo wszystko, Alberto miał zamiar nas wydać.

— On nas wydał — stwierdziłem stanowczo.

— Dlaczego więc złoto wciąż jeszcze tam jest? — dopytywał się Coertze.

— Alberto nie dokończył listu — powiedziałem. — Nie napisał dokładnie, gdzie jest złoto. Coertze odetchnął głęboko.

— W takim razie nie jest aż tak źle. Zirytowała mnie jego głupota.

— Jak sobie wyobrażasz wydobywanie złota, gdy połowa Włoch będzie się nam przyglądała? — zapytałem. — Francesca miała cię cały czas na oku. Śledziła cię za każdym razem, gdy byłeś we Włoszech, i śmiała się z ciebie. Wie, że teraz kroci się coś dużego.

— Ta dziwka rzeczywiście mogła się ze mnie śmiać — rzekł Coertze ze złością. — Zawsze traktowała mnie jak śmiecia. Hrabia pewnie też się śmiał jak diabli.

Tarłem policzek w zamyśleniu.

— Twierdzi, że hrabia nic o tym nie wie. Opowiedz mi o nim.

— Hrabia? Teraz jest już do niczego. Po wojnie nie odzyskał swoich dóbr — nie wiem dlaczego — i jest biedny jak mysz kościelna. Żyje w Mediolanie, w nędznym mieszkaniu, gdzie ledwie można się obrócić.

— Kto go utrzymuje? Coertze wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Może ona — stać ją na to. Wyszła za hrabiego z Rzymu. Słyszałem, że jest nieprzyzwoicie bogaty. Myślę, że oddaje staremu trochę z pieniędzy na utrzymanie domu.

— Dlaczego jej nie lubisz?

— To jedna z tych zadzierających nosa dziwek z towarzystwa. Nigdy takich nie lubiłem. Mamy ich pełno w Houghton, ale te tutaj są gorsze. Nie odpowiedziałaby mi nawet na pytanie, która godzina. Nie tak jak jej stary. Z nim mogłem się dogadać.

Pomyślałem, że pewnie w czasie jednej z wizyt we Włoszech Coertze próbował przystawiać się do niej, lecz dostał kosza. Zaloty Coertzego musiały być równie niezdarne i pozbawione wdzięku jak oświadczyzny goryla.

— Czy często kręciła się w pobliżu, gdy przebywałeś we Włoszech? — spytałem.

Zastanowił się chwilę i odpowiedział:

— Czasami. Pokazywała się przynajmniej raz w czasie każdej podróży.

— Tylko tyle potrzebowała, aby cię zlokalizować. Zdaje się, że posiada krąg niezwykle użytecznych przyjaciół. Nie przypuszczałbyś, że taka dziewczyna może ocierać się o tego typu ludzi, co? Odebrała przekazy Metcalfe'a do portów śródziemnomorskich i prawidłowo je zinterpretowała. Wygląda na to, że oprócz urody dysponuje również inteligencją.

Coertze prychnął.

— Uroda? Jest kościstą dziwką.

Musiała mu rzeczywiście zależeć za skórę.

— Możliwe, ale wie o nas za dużo — powiedziałem. — Nie możemy nawet drgnąć, dopóki siedzi nam na karku. Nie mówiąc już o Metcalfie, który dopadnie nas jako drugi. Dziwne, że nie dał jeszcze o sobie znać w Rapallo.

— Mówię ci, że się wystraszył — burknął Coertze. Nie skomentowałem tego.

— W każdym razie nie ma co się nad tym zastanawiać, dopóki nie dowiemy się, czego ona właściwie chce. Zobaczę się z nią jutro rano, może później będę w stanie powiedzieć wam coś więcej.

— Pójdę z tobą — rzekł Coertze natychmiast.

— Chce się zobaczyć ze mną, a nie z tobą — odparłem. — Tak sobie zastrzegła.

— Przekłeta mała dziwka — wybuchnął Coertze.

— Na litość boską, znajdź inne słowo, bo to już mnie zmęczyło — zirytowałem się.

Rzucił mi groźne spojrzenie.

— Wpadła ci w oko?

— Nie znam tej kobiety, widziałem ją zaledwie przez piętnaście minut — odparłem zmęczonym głosem. — Na ten temat również będę mógł powiedzieć ci coś więcej jutro.

— Czy mówiła coś o mnie? — zapytał Walker.

— Nie — skłamałem. Nie miało sensu, aby obaj byli do niej uprzedzeni. Mogła zaistnieć konieczność ścisłej współpracy, więc należało ograniczyć tarcia do minimum. — Lepiej będzie, jeżeli zobaczę się z nią sam.

Coertze mruknął coś pod nosem, a ja dodałem:

— Nie martw się, żadne z nas nie wie, gdzie jest złoto. Wciąż cię potrzebujemy: ona, ja i Metcalfe. Nie możemy zapominać o Metcalfie.

III

Nazajutrz wczesnym rankiem udałem się na poszukiwanie „Trzech Ryb”. Była to zwykła portowa kawiarenka, speluna, jaką można znaleźć w każdym porcie świata. Zapamiętałem, gdzie się znajduje, i ruszyłem na przechadzkę wokół przystani jachtowej, przyglądając się lśniącej jachtom żaglowym i motorowym europejskich bogaczy. Było tam wiele dużych łodzi, wymagających sporej, dobrze opłacanej załogi po to, by właściciel i jego goście mogli się bez przeszkód bawić. Kilka bardziej odpowiadało moim upodobaniom. Były małe, proste w obsłudze. Mogli sobie bez trudu poradzić z nimi właściciele, którzy nie obawiali się odrobiny wysiłku.

Po przyjemnie spędzonej godzinie zacząłem odczuwać głód. Wróciłem do „Trzech Ryb”

na spóźnione śniadanie. Dotarłem tam punktualnie o dziewiątej. Kobiety nie było, więc zamówiłem jedzenie. Okazało się lepsze, niż się spodziewałem. Właśnie zacząłem jeść, kiedy usiadła na miejscu po przeciwnej stronie stołu.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała.

— Nic nie szkodzi.

Miała na sobie marynarskie spodnie i sweter, ubiór, jaki widuje się często w czasopiśmie dla kobiet, lecz rzadko w prawdziwym życiu. Do twarzy było jej w tym swetrze.

Spojrzała na mój talerz i powiedziała:

— Wcześniej jadłam śniadanie, ale myślę, że zjem jeszcze jedno. Czy mogę się przyłączyć?

— To pani przyjęcie.

— Dobrze tu dają jeść — powiedziała i przywołała kelnera, składając szybko po włosku zamówienie. Jadłem w dalszym ciągu i nic nie mówiłem. Pierwsze posunięcie należało do niej. Tak jak powiedziałem — to było jej przyjęcie.

Ona również nic nie mówiła, obserwowała tylko, jak jem. Gdy podano jej śniadanie, zabrała się do niego tak, jakby nie jadła od tygodnia. Była zdrową dziewczyną, obdarzoną zdrowym apetytem. Skończyłem jedzenie i wyjąłem papierosy.

— Można? — zapytałem.

Miała akurat pełne usta i tylko skinęła głową, więc zapaliłem. W końcu z westchnieniem odsunęła talerz na bok i także wzięła papierosa, którym ją poczęstowałem.

— Zna pan nasze *espresso*? — zapytała.

— Tak, znam. Roześmiała się.

— Ach tak, zapomniałam, że musiało dotrzeć nawet do najczarniejszej Afryki. Zwykle pije się je po obiedzie, ale ja pijam je o każdej porze. Ma pan ochotę?

Przytaknąłem, a ona zawołała do kelnera:

— *Due espressi!* — i ponownie zwróciła się do mnie. — A więc panie Halloran, czy myślał pan o naszej wieczornej rozmowie? Odpowiedziałem, że myślałem.

— No i?

— No i? — powtórzyłem za nią. — Lub raczej — i co? Hrabino, muszę wiedzieć o pani nieco więcej, nim zacznę okazywać pani zaufanie. Wyglądała na poirytowaną.

— Proszę nie nazywać mnie hrabiną — odezwała się obrażonym tonem. — Co chce pan wiedzieć?

Strzepnąłem popiół do popielniczki.

— Po pierwsze, w jaki sposób przejęła pani wiadomość Metcalfe'a. Bardzo mało prawdopodobne, aby hrabina dowiadywała się o tym ot, tak sobie.

— Mówiłam panu, że mam przyjaciół — odparła chłodno.

— Co to za przyjaciele? Westchnęła.

— Wie pan, że ojciec zbuntował się podczas wojny przeciwko faszystowskiemu rządowi?

— Wiem, byliście z partyzantami. Skinęła ręką.

— W porządku, z partyzantami, jeśli pan sobie życzy. Lecz proszę nie mówić tego przy moich przyjaciółach — komuniści zdyskredytowali to słowo. Moi przyjaciele również byli partyzantami i nigdy nie straciłam z nimi kontaktu. Widzi pan, byłam wówczas małą dziewczynką, a oni uczynili ze mnie coś w rodzaju maskotki brygady. Po wojnie większość z nich wróciła do swojej pracy, lecz wielu nie robiło w życiu nic innego prócz zabijania Niemców. Coś takiego trudno zapomnieć, rozumie pan?

— Chodzi pani o to, że zakosztowali przygód i zasmakowali w nich — powiedziałem.

— Właśnie. Po zakończeniu wojny było jeszcze sporo chaosu. Niektórzy przestali zabijać Niemców, a zaczęli zabijać komunistów, włoskich komunistów. To było straszne... Kilku zaczęło szukać nowych przygód — niektórzy są przestępcami — rozumie pan, nic poważnego; paru zajmuje się przemytem, paru robi gorsze rzeczy, lecz w większości

przypadków nic strasznego. Ale jako kryminaliści znają również innych.

Zacząłem rozumieć, w jaki sposób Francesca wmieszała się w nasze sprawy. Całość układała się bardzo logicznie.

— W Genui mieszka potężny człowiek, Torloni; jest przywódcą przestępców, to duża figura. Rozesłał wiadomości do Savony, Livorno, Rapallo i innych miejscowości na południu, aż do Neapolu, że interesuje się wami i zapłaci za wszelkie informacje. Podał wasze nazwiska i nazwę łodzi.

Prawie na pewno stał za tym Metcalfe. Zapewne ten Torloni coś mu zawdzięcza i teraz spłaca dług.

— Moi przyjaciele usłyszeli nazwisko Coertze. Jest rzadko spotykane we Włoszech, a ponieważ wiedzieli, że interesuję się tym człowiekiem, powiedzieli mi o tym. Gdy usłyszałam również nazwisko Walker, miałam pewność, że coś się dzieje — wzruszyła ramionami. — Był jeszcze ten Halloran — pan. Nic o panu nie wiedziałam, więc właśnie staram się dowiedzieć.

— Czy Torloniemu doniesiono o nas? Potrząsnęła głową.

— Poprosiłam przyjaciół, aby dopilnowali, żeby Torloni niczego się nie dowiedział. Moi przyjaciele mają wielkie wpływy na tym wybrzeżu. W czasie wojny wszystkie te wzgórza należały do nas, nie do Niemców.

Łamigłówka powoli zaczęła się układać. Francescę traktowano jako maskotkę, a poza tym była córką uwielbianego przywódcy, dziedziczką majątku, Młodą Panią, która nie mogła uczynić nic złego.

Wyglądało również na to, że Metcalfe został, przynajmniej chwilowo, zablokowany. Wylądowałem jednak na jednym wózku z Francesca i jej bandą, a oni mieli tę przewagę, że wiedzieli już dokładnie to, co chcieli.

— Jest jeszcze jedna sprawa — odezwałem się. — Mówiła pani, że ojciec nic nie wie. Jak to możliwe, skoro Alberto Corso napisał do niego list?

— Nigdy mu go nie dałam — odparła tylko. Spojrzałem na nią z uśmiechem:

— Czy tak zachowuje się córka wobec ojca? Nie tylko czyta jego korespondencję, lecz również zatrzymuje ją?

— To nie tak — powiedziała ostro. — Powiem panu, jak to się stało — oparła łokcie na stole. — W czasie wojny byłam bardzo młoda, ale ojciec zmusił mnie do pracy. Wszyscy musieli pracować. Do moich zadań należało zbieranie rzeczy stanowiących własność poległych, tak aby można było zabezpieczyć przedmioty użyteczne, a rzeczy osobiste przekazać rodzinie. Kiedy Alberto zginął na urwisku, zabrałam jego skromne rzeczy i znalazłam list. Był adresowany do mojego ojca, zawierał dwie strony, ale nie został dokończony. Przeczytałam go pobieżnie i wydał mi się ważny, jednak nie zrozumiałam wszystkiego, gdyż byłam zbyt młoda. Włożyłam do kieszeni, aby przekazać ojcu.

Nastąpił jednak atak Niemców i musieliśmy się wycofać. Schroniliśmy się na farmie, lecz i stamtąd musieliśmy się wkrótce wynieść. Wszystkie swoje *rzeczy* nosiłam w małym cynowym pudełku, a ono tam zostało. Dopiero w czterdziestym szóstym roku nadarzyła mi się okazja, aby pojechać na tę farmę i podziękować za schronienie.

Poczęstowali mnie winem, a później żona farmera wyjęła małe pudełko i zapytała, czy to moje. Zupełnie zapomniałam o nim i o tym, co w nim jest — uśmiechnęła się. — Była tam też lalka — nie, nie lalka; jak wy to nazywacie... Isiaczek?

— Misiaczek.

— No właśnie; pluszowy miś. Wciąż go jeszcze mam. Było tam jeszcze kilka rzeczy oraz list Alberta.

— I znów nie oddała go pani ojcu? Dlaczego? — spytałem. Drobną pięścią uderzyła w stół.

— Trudno będzie panu zrozumieć sytuację Włoch tuż po wojnie, ale spróbuję te sprawy wyjaśnić. Komuniści byli bardzo silni, szczególnie tu, na północy, i zrujnowali mojego ojca.

Powiedzieli, że był kolaborantem i że walczył z komunistycznymi partyzantami, a nie z faszystami. Mój ojciec, który przez całe życie zwalczał faszystów! Przedstawili fałszywe dowody i nikt nie chciał go słuchać.

Jego dobra zostały skonfiskowane jeszcze przez rząd faszystowski i nie mógł ich odebrać. W jaki sposób miałby to zrobić, skoro wicepremier Togliatti był przywódcą Włoskiej Partii Komunistycznej? Powiedzieli: „Nie, ten człowiek był kolaborantem i musi zostać ukarany”. Lecz nawet mając te wszystkie fałszywe dowody nie odważyli się postawić go przed sądem. Nie udało mu się odzyskać swoich dóbr i dzisiaj jest biednym człowiekiem.

Oczy Franceski wypełniły się łzami. Otarła je serwetką i powiedziała:

— Przepraszam, ale za każdym razem, gdy o tym mówię, zawodzą mnie nerwy.

— Nic nie szkodzi — byłem zakłopotany.

— Ach, ci komuniści ze swoją walką z faszyzmem — rzekła podnosząc wzrok. — Mój ojciec walczył dziesięć razy ciężiej niż którykolwiek z nich. Słyszał pan o Pięćdziesiątej Drugiej Brygadzie Partyzanckiej?

Pokręciłem głową.

— To sławna brygada komunistyczna, która schwytała Mus-soliniego. Sławna Brygada Garibaldiego. Wie pan, ilu ludzi było w czterdziestym piątym roku w owej sławnej Brygadzie?

— Niewiele wiem na ten temat — odpowiedziałem.

— Osiemnastu — rzekła z pogardą. — Osiemnastu ludzi nazwało się Pięćdziesiątą Drugą Brygadą. Mój ojciec dowodził pięćdziesięciokrotnie większą liczbą ludzi. Kiedy jednak pojechałam w czterdziestym dziewiątym do Parmy na uroczystości rocznicowe, Brygada Garibaldiego maszerowała ulicami i były to setki ludzi. Wszystkie męty komunistyczne wypełzły ze swoich nor teraz, gdy wojna się skończyła i było bezpiecznie. Maszerowali ulicami, a każdy miał wokół szyi czerwoną chustkę i każdy nazywał się partyzantem. Pomalowali nawet pomnik Garibaldiego, tak że miał czerwoną koszulę i czerwony kapelusz. Dlatego moi przyjaciele i ja nie nazywamy się partyzantami i nie powinien pan określać nas słowem, z którego komuniści zrobili kpinę.

Dosłownie trzęsa się z gniewu. Pięści miała zaciśnięte i patrzyła na mnie oczami błyszczącymi od łez, którym nie pozwoliła wypłynąć.

— Komuniści zrujnowali mojego ojca, bo wiedzieli, że jest silny. Dobrze wiedzieli, że stawi im opór. Dla stojących pośrodku, umiarkowanych, był liberałem. On, którego poglądy polityczne dalekie były od skrajności, został utracony! Nie mógł tego zrozumieć — powiedziała z przygnębieniem. — Myślał, że to honorowa walka. Jak gdyby komuniści kiedykolwiek walczyli honorowo.

Wstrząsająca, typowa dla naszych czasów historia. Zauważyłem również, że odpowiadała temu, co mówił mi Coertze.

— Ale komuniści nie są już dzisiaj tacy silni — odezwałem się. — Czy nie ma możliwości, aby pani ojciec złożył odwołanie, żeby przeprowadzono rewizję jego sprawy?

— Błoto klei się do człowieka bez względu na to, kto nim rzuca — odparła smutno. — Poza tym wojna skończyła się już dawno, a ludzie nie chcą, aby przypominano im tamte czasy. Nikt nie lubi, zwłaszcza ci wysoko stojący, przyznawać się do błędów.

Miała realistyczne spojrzenie na świat i nagle uświadomiłem sobie, że ja również muszę być realistą.

— Tylko co to ma wspólnego z listem? — spytałem.

— Chce pan wiedzieć, dlaczego po wojnie nie oddałam ojcu listu, czy tak?

— Tak.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Musi pan poznać mojego ojca, wówczas pan zrozumie. Widzi pan, to, czego szukacie, ma dużą wartość. Z listu Alberta wywnioskowałam, że są tam papiery i wiele sztab złota. Mój ojciec jest jednak człowiekiem honoru. Wszystko zwróciłby rządowi, gdyż należało to

do rządu. Dla niego byłoby nie do pomyślenia, aby coś z tego złota zatrzymać dla siebie. Stanowiłoby to plamę na honorze nie do usunięcia.

Popatrzyła na grzbiety swoich dłoni.

— Ja natomiast nie należę do ludzi honoru. Boli mnie, gdy widzę ojca w takiej nędzy, że musi mieszkać w mediolańskich slumsach i sprzedawać meble, aby kupić coś do jedzenia. Jest stary — to nie w porządku, że musi tak żyć. Gdyby udało mi się zdobyć trochę pieniędzy, dopilnowałabym, aby miał spokojną starość. Nie musi wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze.

Rozsiadłem się na krześle i spojrzałem na nią w zamyśleniu. Popatrzyłem na drogi, prosto z żurnala strój, który miała na sobie. Zarumieniła się pod moim spojrzeniem. Łagodnie zapytałem:

— Dlaczego pani nie prześle mu pieniędzy? Słyszałem, że dobrze wyszła pani za męża. Chyba mogłaby pani zaoszczędzić coś dla starego ojca.

Cierpki uśmiech wykrzywił jej usta.

— Nic pan o mnie nie wie, prawda, panie Halloran? Mogę pana zapewnić, że nie mam ani pieniędzy, ani męża — a przynajmniej żadnej osoby, którą chciałabym nazywać swoim mężem — wyciągnęła dłonie ponad stołem. — Sprzedałam pierścionki, aby zdobyć pieniądze i wysłać ojcu, a było to dawno temu. Gdyby nie moi przyjaciele, znalazłabym się na ulicy. Nie, nie mam pieniędzy, panie Halloran.

Czegoś tu nie rozumiałem, nie dopytywałem się jednak. Powód, dla którego chciała się dołączyć do podziału skarbu, był nieistotny; liczyło się tylko to, że miała nas na muszce. Przy jej kontaktach nie moglibyśmy ruszyć się we Włoszech na krok, nie natykając się na któregoś z zaprzyjaźnionych z nią dawnych partyzantów. Gdybyśmy spróbowali wziąć złoto bez porozumienia z nią, w odpowiedniej chwili spokojnie wkroczyłaby i zabrała wszystko. Załatwiłaby nas.

— Jest pani taka sama jak Metcalfe — powiedziałem.

— O to właśnie chciałam zapytać. Kim jest ten Metcalfe?

— Chce nam wykreślić taki sam numer co pani. Jej znajomość angielskiego nie wystarczyła.

— Numer? — powtórzyła nie rozumiejąc. — Chodzi o cyfrę?

— Jest jednym z naszych wspólnych konkurentów — odparłem. — Też chce zdobyć złoto — pochyliłem się nad stołem. — A więc, jeśli przyjmiemy panią do spółki, chcielibyśmy pewnych gwarancji.

— Nie sądzę, abyście w tej sytuacji mogli domagać się gwarancji — odparła chłodno.

— Mimo wszystko chcielibyśmy je uzyskać. Proszę się nie obawiać, leży to również w pani interesie. To Metcalfe stoi za Torlonim i niezły z niego typ. Chcielibyśmy otrzymać ochronę przed nim oraz wszystkim tym, co mógłby przeciw nam rzucić. Z pani słów wynika, że Torloni jest dość mocny, a nawet jeśli sam nie ma dość siły, Metcalfe z pewnością może skrzyknąć więcej ludzi. Chcę wiedzieć, czy potrafi pani zapewnić nam ochronę przed nimi wszystkimi?

— W każdej chwili mogę mieć stu ludzi — odparła dumnie.

— Jakich ludzi? — spytałem bez ogródek. — Starych, emerytowanych żołnierzy? Uśmiechnęła się.

— Większość moich przyjaciół z okresu wojny żyje spokojnie i zajmuje się swoją pracą. Nie chciałabym ich mieszać w coś nielegalnego lub wymagającego użycia przemocy, chociaż pomogliby, gdyby zaszła potrzeba. Lecz moim... —zawahała się, jakiego słowa użyć... — moim bardziej niemiłym przyjaciółom z ochotą powierzę tę sprawę. Mówiłam już panu, że nie boją się ryzyka i nie są starymi ludźmi: nie starszymi niż pan, panie Halloran — zakończyła słodko.

— Stu?

Zastanowiła się przez chwilę.

— No więc pięćdziesięciu — spuściła nieco z tonu. — Żołnierzy ojca wystarczy z nawiązką na tych gangsterów z doków.

Nie wątpiłem, że tak by się stało, gdyby walczyli jeden przeciwko jednemu. Lecz Metcalfe i Torloni mogli skrzyknąć zbirów z całych Włoch i przy tak wysokiej stawce zapewne to zrobią.

— Chcę dalszych gwarancji. Skąd mam wiedzieć, że nie zostaniemy oszukani.

— Nie zostaniecie — odparła sucho. Zdecydowałem się na akcent melodramatyczny:

— Proszę przysiąc, że nas pani nie oszuka. Uniosła rękę.

— Ja, Francesca di Estrenoli, solennie przyrzekam nie oszukać w żaden sposób pana Hallorana z Afryki Południowej — uśmiechnęła się do mnie. — Czy to wystarczy?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Nie, nie wystarczy. Sama pani powiedziała, że nie należy do ludzi honoru. Chcę więc, aby przysięga pani na imię i honor swojego ojca.

Czerwone plamy gniewu pojawiły się na jej policzkach i przez chwilę myślałem, że uderzy mnie w twarz.

— Przysięga pani? — spytałem spokojnie. Spuściła oczy.

— Przysięgam — powiedziała cicho.

— Na imię i honor swojego ojca — nalegałem.

— Na imię mojego ojca i jego honor — wykrztusiła i uniosła wzrok. — Mam nadzieję, że teraz jest pan zadowolony. — W jej oczach znów pojawiły się łzy.

Poczułem ulgę. Niewiele osiągnąłem, lecz nic więcej nie mogłem zrobić i miałem nadzieję, że przysięga powstrzyma ją przed oszukaniem nas.

Mężczyzna zza bufetu podszedł wolno do stolika. Spojrzał na mnie z nie ukrywaną wrogością i rzekł do Franceski:

— Czy wszystko w porządku, proszę pani?

— Tak, Giuseppe, wszystko w porządku — uśmiechnęła się do niego. — Nic się nie stało.

Giuseppe odwzajemnił jej uśmiech, spojrzał na mnie twardo i wrócił za kontuar. Poczułem mrowienie na karku. Miałem wrażenie, że gdyby Francesca powiedziała, że nie wszystko jest w porządku, to przed upływem tygodnia stałbym się kandydatem do wilgotnego grobu przy doku.

Wskazałem kciukiem bufet.

— Jeden z pani zaprzyjaźnionych żołnierzy? Skinęła głową.

— Zobaczyl, że zrobił mi pan przykrość, więc przyszedł sprawdzić, czy nie może jakoś pomóc.

— Nie miałem zamiaru pani zranić — odparłem.

— Nie powinien był pan tu przyjeżdżać. Nie powinien był pan przyjeżdżać do Włoch. Cóż to dla pana znaczy? Mogę zrozumieć Coertzego i Walkera. Walczyli z Niemcami, zakopali złoto. Ale pana nie mogę zrozumieć.

— Ja też walczyłem z Niemcami, w Holandii i w Niemczech — odrzekłem spokojnie.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie powinnam była tego mówić.

— Nic nie szkodzi. Jeśli chodzi o resztę... — wzruszyłem ramionami. — Ktoś musiał ułożyć plan. Coertze i Walker sami nie byli do tego zdolni. Walker jest alkoholikiem, a Coertze pozbawionym subtelności wołem. Trzeba im było kogoś, kto stanąłby z tyłu i pchnął.

— Ale dlaczego to pan musiał pchnąć?

— Kiedyś miałem ku temu powód — odparłem krótko. — Ale nie mówmy o tym. Trzeba uzgodnić kilka spraw. Co z podziałem?

— Podziałem?

— Jak podzielimy skarb?

— Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym. Trzeba to jakoś ustalić.

— Trzeba — zgodziłem się. — Nas jest trzech; pani oraz pięćdziesięciu pani przyjaciół —

razem pięćdziesiąt cztery osoby. Jeżeli myśli pani o pięćdziesięciu czterech równych działkach, to proszę dać sobie spokój. Nie zgodzimy się nigdy na coś takiego.

— Nie wiem, jak możemy dojść do porozumienia, skoro nie wiemy, o jaką kwotę chodzi.

— Podzielmy to procentowo — powiedziałem niecierpliwie. — Proponuję w ten sposób — każdy z nas trzech otrzymuje równy udział, plus jeden dla pani i jeden do podziału między pani przyjaciół.

— Nie — odparła stanowczo. — To nie fair. Pan nic nie zrobił w tej sprawie. Jest pan tylko złodziejem.

— Przypuszczałem, że takie będzie pani zdanie. A teraz proszę słuchać, i to słuchać niezwykle uważnie, bo nie zamierzam tego powtarzać. Zarówno Coertze, jak i Walker mają prawo do własnego udziału. Walczyli o złoto i starannie je ukryli. Prócz tego są jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, gdzie ono jest. Zgadza się?

Skinieniem głowy przyznała mi rację.

Uśmiechnąłem się ponuro.

— Dochodzimy teraz do mnie — obiektu pani wyraźnej pogardy. — Wykonała gwałtowny ruch ręką, lecz powstrzymałem ją gestem dłoni. — Jestem mózgiem całej sprawy. Znam sposób wywiezienia tego z Włoch i zaaranżowałem sprzedaż. Beze mnie cały plan zawaliłby się, a poza tym zainwestowałem w niego sporo czasu i pieniędzy. Dlatego też uważam, że jestem uprawniony do równego udziału. Wymierzyłem w nią palec.

— A teraz zjawia się pani i szantażuje nas. Tak, szantażuje — powiedziałem, gdy otworzyła usta, aby zaprotestować. — Nie zrobiła pani nic konstruktywnego dla zrealizowania planu i nie zadowala pani otrzymanie takiej samej części. Jeśli zaś chodzi o pani przyjaciół, to moim zdaniem są tylko wynajętą ochroną, którą trzeba opłacić. Jeśli uważa pani, że jedna piąta do podziału między nich to za mało, może pani dopłacić z własnego udziału.

— Ale zostanie dla nich tak niewiele — powiedziała.

— Niewiele! — Aż zaniemówiłem z wrażenia. Ponownie złapałem oddech. — Czy pani wie, o jaką sumę chodzi?

— Niezbyt dokładnie — odezwała się ostrożnie. Wiedziałem, że efekt będzie wielki.

— W samym tylko złocie jest półtora miliona funtów, do tego jeszcze taka sama kwota w brylantach. Samo złoto oznacza trzysta tysięcy funtów jako piąta część udziału. Daje to sześć tysięcy funtów dla każdego z pani przyjaciół. Jeśli doliczy pani klejnoty, można tę liczbę podwoić.

Oczy jej się rozszerzyły, gdy dokonała przeliczenia na liry; kalkulacja była astronomiczna i zabrała jej chwilę czasu.

— Aż tyle — wyszeptła.

— Aż tyle — potwierdziłem. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Klejnoty stanowiły problem, gdyż w kryminalnym znaczeniu tego słowa były trefne. Wymagały przeszlifowania i zamaskowania, a cała sprawa wiązałaby się z ryzykiem. Teraz dostrzegłem szansę dokonania korzystnej transakcji.

— Proszę słuchać uważnie — odezwałem się wielkodusznie. — Przed chwilą zaoferowałem pani oraz pani przyjaciółom dwie piąte zdobyczy. Przypuśćmy, że klejnoty są warte więcej niż dwie piąte — a tak właśnie uważam — w takim razie możecie wziąć je wszystkie. Zostawiając naszej trójce złoto. W końcu klejnoty są łatwiejsze do przeniesienia i ukrycia.

Złapała haczyk.

— Mam znajomego jubilera — był z nami w czasie wojny. Mógłby dokonać wyceny. Tak, wydaje się to rozsądne.

Dla mnie też było to rozsądne, jako że przez cały czas uwzględniałem w kalkulacjach tylko złoto. Coertze, Walker i ja w dalszym ciągu mielibyśmy z tego po pół miliona.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedziałem.

— Co takiego?

— Ten skarb to także dużo pieniędzy w banknotach — lirów, franków, dolarów, i tak dalej. Nikt z tego nic nie weźmie — w każdym banku świata znajdują się listy podejrzanych numerów. Będzie pani musiała pilnować swoich przyjaciół, gdy wyniknie ta sprawa.

— Dam sobie radę — odparła wyniośle. Nagle uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. — A więc, jak mówią Amerykanie, umowa stoi.

Spojrzałem na dłoń, lecz jej nie dotknąłem. Pokręciłem przecząco głową.

— Jeszcze nie. Muszę wszystko przedyskutować z Coertzem i Walkerem. Żeby ich przekonać, trzeba się będzie piekielnie namęczyć — szczególnie w przypadku Coertzego. A tak w ogóle, to co mu pani zrobiła?

Wolno cofnęła rękę i spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

— Niemal przekonuje mnie pan, że jest uczciwym człowiekiem. Uśmiechnąłem się do niej pogodnie.

— Z konieczności. Jedyne oni wiedzą, gdzie jest złoto.

— Ach tak, zapomniałam. Jeśli zaś chodzi o Coertzego, to jest gburem.

— Bez tego „g” on sam by się z panią zgodził — powiedziałem. — Ale w afrikaans znaczyłoby to coś innego. — Nagle coś przyszło mi do głowy. — Czy ktoś jeszcze wie o liście Alberta?

Zaczęła przecząco kręcić głową, lecz nagle zdecydowała się na szczerość.

— Tak — rzekła. — Jeden człowiek, lecz można mu zaufać — to prawdziwy przyjaciel.

— W porządku. Chciałem się tylko upewnić, czy nikt inny nie będzie próbował tej samej sztuczki, co pani. Wygląda na to, że cały basen śródziemnomorski angażuje się w tę sprawę. Raczej nie mówiłbym nic konkretnego pani przyjacielom, chyba że zajdzie taka konieczność — przynajmniej dopóki wszystkiego nie zakończymy. Jeśli są kryminalistami, jak pani mówi, może im przyjść coś głupiego do głowy.

— Jak dotychczas nic im nie powiedziałam i nie mam zamiaru mówić.

— Dobrze. Lecz może im pani powiedzieć, żeby uważali na ludzi Torloniego. Będą mieli „Sanforda” na oku, gdy zorientują się, gdzie jest.

— O tak, panie Halloran. Z pewnością powiem im, aby strzegli waszej łodzi — odparła słodko. Roześmiałem się.

— Wiem o tym. Kiedy zorganizuje pani wszystko, proszę wpaść do nas, ale szybko. Czas naszego przedsięwzięcia jest ściśle określony.

Wstałem od stołu i zostawiłem ją. Pomyślałem, że skoro zostaliśmy partnerami, równie dobrze ona mogła zapłacić za śniadanie.

IV

Przyszła po południu w towarzystwie człowieka potężniejszego nawet niż Coertze. Przedstawiła go — nazywał się Piero Morese. Dość grzecznie skinął mi głową, zignorował Walkera i obrzucił czujnym spojrzeniem Coertzego.

Miałem problem z Coertzem — długo trzeba go było przekonywać. Uparcie powtarzał z basowym pomrukiem:

— Nie dam się oszukać, nie dam się oszukać.

— No dobra — powiedziałem zmęczonym głosem. — Złoto jest gdzieś na tych wzgórzach, sam wiesz gdzie. Czemu nie pójdziesz i nie weźmiesz go? Jestem pewien, że z Torlonim, Metcalfe'em i zbirami hrabiny załatwisz się jedną ręką. Jestem pewien, że dasz radę sprowadzić tu złoto i zawieźć je do Tangeru przed dziewiętnastym kwietnia. Dlaczego nie zabierzesz się do tego i nie przestaniesz mi zawracać głowy?

Uspokoił się, lecz to mu zdecydowanie nie pomogło. Zachowywał się jak wulkan, który nie wie, czy ponownie wybuchnąć, czy nie. Wreszcie usiadł w kabinie, z pogardą patrząc na hrabinę, a na wielkiego Włocha nieufnie.

Morese nie znał angielskiego, więc rozmowę prowadzono w języku włoskim, który rozumiałem, jeśli nie mówiono zbyt szybko.

— Można mówić w obecności Piera, wie wszystko to co ja — odezwała się hrabina.

— Znam cię, byłeś z Umbertem — rzekł Coertze topornym włoskim.

Morese przytaknął szybkim skinieniem głowy, lecz nie odezwał się.

— Zaczniemy rozmawiać poważnie — powiedziała hrabina. Spojrzała na mnie. — Czy omówiliście sprawę?

— Tak.

— Zgadzą się na warunki?

— Tak.

— A więc w porządku. Gdzie jest złoto? Coertze wydał pomruk, który zagłuszyłem szybkim wybuchem śmiechu.

— Hrabino, wpędzi mnie pani do grobu — odezwałem się. — Umrę ze śmiechu. Chyba nie przypuszcza pani, że jej to powiemy, prawda?

Uśmiechnęła się kwaśno.

— Nie, lecz uważałam, że powinnam spróbować. W porządku, a więc jak to załatwimy?

— Po pierwsze, limit czasowy — odparłem. — Chcemy, aby złoto zostało dostarczone do Rapallo najpóźniej pierwszego marca. Chcemy też mieć miejsce, gdzie bez przeszkód moglibyśmy zająć się łodzią. Może to być prywatny hangar lub stocznia jachtowa. Trzeba to załatwić od razu.

Zmrużyła oczy.

— Dlaczego pierwszy marca?

— Dla was nie ma to żadnego znaczenia, ale tak właśnie musi być.

— Nie zostaje nam zbyt wiele czasu — odezwał się Morese. — Pierwszy dzień miesiąca wypada za dwa tygodnie.

— To prawda — odparłem. — Lecz tak właśnie musi być. Następna sprawa. Po złoto uda się tylko nasza piątka. Nikt inny. Dotrzemy na miejsce, gdzie jest ukryte, zapakujemy do mocnych skrzyń i wywieziemy. Później ponownie zamaskujemy kryjówkę. Dopiero potem potrzebna nam będzie czyjaś pomoc. Lecz nawet wówczas wyłącznie do przenoszenia i transportu na wybrzeże. Nie trzeba, aby zbyt wielu ludzi wiedziało, co robimy.

— Dobrze pomyślane — rzekł Morese.

— Wszystko zostanie przywiezione do hangaru — wszystko, łącznie z klejnotami. Przez cały miesiąc nasza piątka będzie mieszkać razem, dopóki moi przyjaciele i ja nie zrobimy tego, co mamy do zrobienia. Jeżeli chcecie wycenić klejnoty, musicie sprowadzić jubilera do klejnotów — a nie odwrotnie. O ostatecznym podziale zadecydujemy, gdy wszystkie klejnoty zostaną oszacowane, lecz nie zostanie on dokonany, dopóki łódź nie znajdzie się na wodzie.

— Mówi pan tak, jakby nam nie ufał — powiedział Morese.

— Bo nie ufam — odparłem wprost. Kciukiem wskazałem hrabinę. — Pańska przyjaciółka szantażem zmusiła nas do tego, nie wiem więc, jak można mówić o zaufaniu.

Twarz mu pociemniała.

— To niegodziwe z pana strony. Wzruszyłem ramionami.

— Powiedzmy raczej, że to niegodziwość z jej strony. Sama wszystko zaczęła, i tak wyglądają fakty.

Hrabina położyła głowę na ramieniu Moresego. Uspokoił się. Coertze parsknął śmiechem.

— *Magtig*, aleś ją podsumował. — Skinął głową. — Będziesz musiał uważać na nią, ona jest *slim meisie*.

— Teraz ty — zwróciłem się do niego. — Czego będziesz potrzebował do wydobycia złota? Coertze pochylił się do przodu.

— Gdy byłem tu w ubiegłym roku, nic się nie zmieniło, mienie nie zostało naruszone. To miejsce znajduje się na wzgórzach, gdzie nikt nie chodzi. Jest tam wyboista droga, więc

możemy pojechać ciężarówką. Najbliższa wioska oddalona jest o trzy mile.

— Czy możemy pracować nocą? — spytałem. Coertze zastanowił się.

— Osuwisko skalne wygląda na groźniejsze, niż jest w rzeczywistości — powiedział. — Wiem, jak trzeba je wysadzić. Jestem pewien, że dwóch ludzi z kilofami i łopatami powinno się przebić w ciągu czterech godzin — może w nocy dłużej. Myślę, że w nocy jakieś sześć godzin.

— A więc będziemy tam przynajmniej całą noc, a może jeszcze dłużej?

— *Ja* — odparł. — Jeśli będziemy pracowali tylko po ciemku, potrzebujemy na to dwóch nocy.

— Włosi nie chodzą w nocy po wzgórzach — odezwała się hrabina. — Lepiej zaopatrzyć się w światła, jeżeli ze wsi ich nie widać.

— Z wioski nie można zobaczyć żadnych świateł — rzekł z przekonaniem Coertze.

— Mimo wszystko musimy mieć jakieś wytłumaczenie — powiedziałem. — Jeżeli mamy co najmniej jeden dzień przebywać w tej okolicy, musimy mieć do tego rozsądny powód. Czy ktoś ma jakiś pomysł?

Zapadła cisza, gdy nagle po raz pierwszy odezwał się Walker.

— A co powiecie na wóz z przyczepą campingową? Anglicy są znani z tego typu dziwactw — podróżowanie z przyczepą, i tak dalej. Włosi nie mają nawet na to własnego określenia i stosują angielskie. Jeśli rozłożymy się obozem na dwie noce, to wieśniacy będą nas uważali za jeszcze jedną grupkę Anglików.

Zastanowiliśmy się nad tym i uznaliśmy, że myśl jest dobra. Hrabina powiedziała:

— Mogę zorganizować samochód, przyczepę i namiot. Zacząłem wyliczać wszystkie potrzebne rzeczy.

— Musimy mieć światło.

— Wykorzystamy światła samochodowe — odparł Coertze.

— To na zewnątrz — powiedziałem. — Będziemy potrzebowali światła w środku. Użyjemy latarek, powiedzmy tuzina, trzeba też sporo baterii. — Skinąłem do Moresego. — Ty się tym zajmiesz. Potrzebne nam będą kilofy i łopaty, powiedzmy po cztery. Dalej, ciężarówki. Ile ich trzeba, żeby przewieźć wszystko za jednym razem?

— Dwie trzytonówki — rzekł Coertze pewnie. — Niemcy mieli cztery, ale wieźli wiele rzeczy, których my nie zabierzemy.

— Muszą być w pogotowiu razem z kierowcami — powiedziałem. — Potrzebujemy też sporo drewna do wykonania skrzyń. Złoto trzeba będzie przepakować.

— Po co, skoro jest już w skrzynkach? — zaoponował Coertze. — To tylko sporo dodatkowej roboty.

— Spróbuj sobie co nieco przypomnieć — powiedziałem cierpliwie. — Przypomnij sobie moment, gdy po raz pierwszy ujrzałeś te skrzynie w niemieckiej ciężarówce. Rozpoznałeś je jako skrzynki do przewozu sztab. Nie chcemy, aby w drodze powrotnej ktoś wścibski zrobił to samo.

— Nie trzeba złota wyjmować i nie pochłonie to tyle drewna — odezwał się Walker. — Po prostu skrzynie ze złotem objemy cienkimi deseczkami, żeby zmienić ich kształt i wygląd.

Walker był prawdziwą kopalnią pomysłów. Jeżeli nie pił.

— Na pewno jest tam mnóstwo drewna, które moglibyśmy wykorzystać — dodał.

— Nie — odparłem. — Użyjemy nowego drewna. Nie chcę niczego, co wygląda lub śmierdzi, jakby zostało wyciągnięte z dziury w ziemi. Poza tym na drewnie mogą znajdować się jakieś znaki, które nas zdradzą, jeśli je przeoczymy.

— Żadnego ryzyka, prawda? — zauważyła hrabina.

— Nie jestem hazardzistą — odparłem krótko. — Drewno można załadować na ciężarówkę — spojrziałem na Moresego.

— Załatwię to — powiedział.

— Nie zapomnij o młotkach i gwoździach — dodałem. Próbowałem myśleć o wszystkim. Gdybyśmy się pośliznęli na tej robocie, stałoby się to zapewne przez jakiś drobiazg, którego nikt nie uznałby za istotny.

Z nabrzeża doku rozległ się niski, powtarzający się gwizd. Morese spojrzął na hrabinę, ta zaś prawie niedostrzegalnie skinęła głową. Wstał i wyszedł na pokład.

Zwróciłem się do Coertzego.

— Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć — coś, o czym zapomniałeś lub przeoczyłeś?

— Nie — odparł. — To wszystko. Morese wrócił i rzekł do hrabiny:

— On chce z tobą rozmawiać.

Wstała i wyszła z kabiny, a Morese podążył za nią na pokład. Przez otwarty iluminator słyszałem przyciszoną rozmowę.

— Nie ufam im — rzekł ostro Coertze. — Nie ufam tej dziwce i nie ufam Moresemu. Jest strasznym draniem. Był strasznym draniem już w czasie wojny. Nie brał żadnych jeńców — według jego własnych słów wszyscy zostali zastrzeleni w czasie próby ucieczki.

— Tak jak i twoi — odparłem. — Gdy zabraliście złoto. Zachnął się.

— To co innego; oni rzeczywiście uciekali.

— Bardzo wygodne — powiedziałem kwaśno. Drażniło mnie, że człowiek, którego nie bez podstaw podejrzewałem o zamordowanie co najmniej czterech ludzi, mógł mówić tak o kimś innym.

Zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

— Co ich może powstrzymać przed zabraniami nam wszystkiego, kiedy to wydobędziemy? Co może ich powstrzymać od zastrzelenia nas i zostawienia w sztolni, którą ponownie zasypią?

— Nic takiego, co mógłbyś zrozumieć — odparowałem. — Jedynie uczucie dziewczyny do ojca i rodziny. — Nie rozwodziłem się nad tym. Sam nie miałem pewności co do słuszności tego argumentu.

Hrabina i Morese wrócili.

— Dwóch ludzi Torloniego jest w Rapallo — powiedziała. — Dziesięć minut temu wypytywali o was kapitana portu.

— Proszę mi tylko nie mówić, że kapitan portu jest jednym z pani ludzi.

— Nie, jest nim szef Urzędu Celnego. Rozpoznał ich natychmiast. Jednego z nich wsadził przed trzema laty do więzienia za przemyt heroiny. Drugiego próbuje ująć od dłuższego czasu. Mówi, że obaj pracują dla Torloniego.

— Nie mogliśmy liczyć na to, że w nieskończoność będzie nam się udawało ukrywać przed nimi — powiedziałem. — Nie powinni jednak skojarzyć pani z nami, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Musicie więc poczekać z opuszczeniem jachtu, aż zrobi się ciemno.

— Kazałam ich obserwować.

— Dobrze, ale to nie wystarczy — odparłem. — Chcę zafundować Metcalfe'owi to samo, co on nam. Chcę, aby Torloniego obserwowano w Genui. Chcę wiedzieć, czy w jakimś porcie na tym wybrzeżu nie pojawi się łódź Metcalfe'a. Chcę wiedzieć, kiedy przybędzie do Włoch — przekazałem jej dokładny opis Metcalfe'a, Krupke'a oraz ich fairmili. — Czy może pani to zrobić?

— Oczywiście. Będzie pan wiedział wszystko o tym Metcalfie, gdy tylko postawi nogę we Włoszech.

— W porządku. Co powiedzielibyście na drinka? — Spojrzałem na Coertzego. — Wygląda na to, że mimo wszystko nie nastraszyłeś Metcalfe'a. — Spojrzął na mnie z kamienną twarzą. Roześmiałem się. — Nie bądź taki ponury. Wyciągnij butelkę i rozchmurz się.

V

Później nie widzieliśmy już hrabiny ani Moresego. Nie pokazywali się, lecz następnego ranka znalazłem w kokpicie kartkę z poleceniem, abym udał się do „Trzech Ryb” i powiedział, że potrzebuję stróża na „Sanfordzie”.

Oczywiście poszedłem, a Giuseppi okazał się bardziej zycziwy niż wówczas, gdy widziałem go po raz ostatni. Obsługiwał mnie osobiście i kiedy stawiał talerz na stole, powiedziałem:

— Z pewnością wie pan, co dzieje się na nabrzeżu. Czy mógłby mi pan polecić jakiegoś stróża do pilnowania łodzi? Ale musi być uczciwy.

— Tak, signor — odparł. — Mam właśnie kogoś takiego — starego Luigiego. Szkoda go; w czasie wojny został ranny i od tego czasu może podejmować tylko lekką pracę. W tej chwili jest bezrobotny.

— Przyślij go tutaj, kiedy skończę śniadanie — powiedziałem.

Tym oto sposobem mieliśmy uczciwego stróża, a stary Luigi stał się łącznikiem między hrabiną i „Sanfordem”. Każdego ranka przynosił list, w którym hrabina szczegółowo relacjonowała swe poczynania.

Torloni znajdował się pod obserwacją, lecz najwyraźniej nic się nie działo. Jego ludzie wciąż przebywali w Rapallo. Obserwowali „Sanforda” i sami byli obserwowani. Zorganizowano ciężarówkę, a kierowcy byli w pogotowiu. Drewno zostało przygotowane, narzędzia zakupione. Zaoferowano Francesce niemiecką przyczepę campingową, ale dowiedziała się, że w Mediolanie jest do sprzedania angielska i uznała, że lepiej się nada. Musiałem tylko dać jej pieniądze na zakup, gdyż sama ich nie miała.

Wyglądało na to, że wszystkie tryby obracają się zadowolająco.

Nasza trójka z „Sanforda”, ku wielkiemu niezadowoleniu szpiegów Torloniego, zwiedzała miasto. Wiele czasu spędzałem w jachtklubie i wkrótce rozniosło się, że mam zamiar osiąść nad Morzem Śródziemnym i myślę o kupnie odpowiedniej stoczni.

Piątego dnia pobytu w Rapallo codzienny list polecił mi, abym udał się do stoczni Silvia Palmeriniego i spytał o stawki za wyciągnięcie i malowanie „Sanforda”. „Cena będzie przyzwoita” — pisała hrabina. — „Silvio jest jednym z moich — naszych — przyjaciół”.

Stocznia Palmeriniego znajdowała się kawał drogi za Rapallo. Sam Palmerini okazał się pokrzywionym mężczyzną około sześćdziesiątki, sprawującym rządy nad stoczną i trójką synów łagodnymi słowami i żelazną wolą.

— Orientuje się pan, signor Palmerini, że ja również buduję łodzie. Dlatego chciałbym samodzielnie wykonać pracę w pańskiej stoczni.

Skinął głową. Uznał za naturalne, że człowiek sam dba o swoją łódź, jeśli potrafi. Prócz tego wychodzi to taniej.

— Wolalbym również mieć jacht pod przykryciem. Zamocowałem kil eksperymentalnie i chciałem go zdjąć, aby sprawdzić, czy dobrze się spisuje.

Ponownie skinął głową.

— Eksperymentalne sposoby wiążą się z ryzykiem, a człowiek powinien trzymać się metod tradycyjnych. Rzeczywiście byłoby głupio, gdyby kil odpadł milordowi na środku Morza Śródziemnego.

Zgodziłem się, że wyszedłbym na głupca, i dodałem:

— Moi przyjaciele i ja sami damy sobie radę i nie potrzebujemy dodatkowej siły roboczej. Trzeba nam tylko miejsca, gdzie nikt nie przeszkadzałby nam w pracy.

Skinął głową po raz trzeci. Dysponował dużą, zamykaną szopą, którą mogliśmy wykorzystać. Nikt nie przeszkadzałby nam, nawet on sam — a z pewnością nikt spoza rodziny — dopilnowałby tego. Czy to milord jest tym bogatym Anglikiem, który chce kupić stocznię? Jeśli tak, to może milord wzięłby pod uwagę stocznię Palmeriniego, wzór

doskonałości zachodniego basenu Morza Śródziemnego.

Aż mną zatrzęsło, gdy to usłyszałem. Właśnie miała miejsce kolejna próba łagodnego szantażu. Pomyślałem, że zapewne będę musiał kupić tę stocznię, i pewnie po wygórowanej cenie — cenie za milczenie.

Odpowiedziałem dyplomatycznie.

— Tak, mam zamiar kupić stocznię, lecz mądry człowiek bada każdą drogę. — Do diabła, zaczynałem mówić prawie jak on. — Byłem już w Hiszpanii i Francji. Teraz jestem we Włoszech, a z Włoch udaję się do Grecji. Muszę zobaczyć wszystko.

Przytaknął energicznie, ale stary zrzęda nie zapomniał powiedzieć swego. Tak, milord wykazywał mądrość oglądając wszystko, lecz mimo to milord wróci niewątpliwie do stoczni Palmeriniego, gdyż z pewnością okaże się ona najlepsza nad całym Morzem Śródziemnym.

Phi, cóż Grecy wiedzą o pięknych konstrukcjach? Znają się tylko na swoich niezgrabnych kaikach. Cena, jak dla milorda, będzie rozsądna, skoro mamy wspólnych przyjaciół. Kwota mogłaby zostać rozłożona na raty, oczywiście przy założeniu, że będą jakieś gwarancje.

Jak wywnioskowałem, stary szelma chciał w ten sposób powiedzieć, że poczekałby, aż cała sprawa zostanie zakończona i będę dysponował gotówką, jeśli udowodnię, że dotrzymam słowa.

Wróciłem na „Sanforda” zadowolony, że ta część operacji przebiega pomyślnie. Nawet gdybym musiał kupić stocznię Palmeriniego, nie byłoby to takie złe, a wyśrubowaną cenę można by wliczyć w koszty wyprawy.

Dziewiątego dnia pobytu w Rapallo poranny list doniósł, że wszystko jest gotowe i możemy ruszać w każdej chwili. Ponieważ jednak nazajutrz wypadła niedziela, uznaliśmy, że lepiej byłoby rozpocząć lądową część operacji w poniedziałek, nadawało to bowiem całej sprawie pozory solidności. Kolejny szalony paradoks szalonej Przygody, pomyślałem.

Hrabina pisała: „Ludzie Torloniego zostaną otoczeni dyskretną opieką i nie będą kojarzyli niemożności odnalezienia was z jakimiś sztuczkami z waszej strony. Zostawcie łódź pod opieką Luigiego i spotkajcie się ze mną o dziewiątej rano w »Trzech Rybach«”.

Przytknąłem zapałkę do listu i zawołałem znajdującego się pod pokładem Luigiego.

— Mówią, że jesteś uczciwym człowiekiem, Luigi. Czy przyjąłbyś łapówkę?

Przeraził się.

— Och nie, signor!

— Czy wiesz, że ta łódź znajduje się pod obserwacją?

— Tak, signor. To wrogowie pana i Madame.

— Czy wiesz, co robi Madame i ja? Przecząco pokręcił głową.

— Nie, signor. Przyszedłem, bo Madame powiedziała, że potrzebuje pan mojej pomocy. Nie zadawałem żadnych pytań — odparł z godnością. Stuknąłem ręką w stół.

— Wkrótce razem z przyjaciółmi wyjeżdżamy na kilka dni i zostawimy łódź pod twoją opieką. Co zrobisz, jeśli ci, którzy nas śledzą, zechcą cię przekupić, abyś pozwolił im przeszukać łódź?

Wyprostował się.

— Wytrąciłbym im pieniądze z rąk, signor.

— Nie, nie zrobisz tego. Powiesz, że to za mało i zażadasz więcej. Jeśli ci dadzą, pozwolisz im przeszukać łódź.

Spojrzał na mnie, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. Wolno powiedziałem:

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby przeszukali. Nie ma tu nic do znalezienia. Dlaczego nie miałbyś wyciągnąć trochę pieniędzy od wrogów Madame?

Roześmiał się nagle i klepnął się po udzie.

— A to dobre, signor, bardzo dobre. Pan chce, aby przeszukali łódź.

— Tak — odpowiedziałem. — Ale nie ułatwaj im tego, bo staną się podejrzliwi.

Chciałem po raz ostatni spróbować zwieść Metcalfe'a, tak jak zwiodłem go w

Barcelonie, lub raczej miałem nadzieję zwieść, nim Coertze strzelił głupstwo. Napisałem list do hrabiny, wyjaśniając, co robię, i oddałem Luigiemu do przekazania.

— Od jak dawna znasz Madame? — spytałem z ciekawością.

— Od wojny, signor. Była małą dziewczynką.

— Zrobiłbyś dla niej wszystko, prawda?

— Dlaczego nie? — spytał zaskoczony. — Zrobiła dla mnie więcej, niż kiedykolwiek mógłbym odpłacić. Po wojnie opłaciła lekarzy, żeby wyprostowali mi nogę. To nie jej wina, że nie potrafili jej wyprostować odpowiednio — ale inaczej byłbym kaleką.

Rzucało to nowe światło na Francescę.

— Dziękuję ci, Luigi — powiedziałem. — Oddaj ten list Madame, gdy ją zobaczysz.

Opowiedziałem Coertzemu i Walkerowi, co się dzieje. Nie pozostawało nam już teraz nic innego, jak czekać do poniedziałku rano.

SZTOLNIA

I

W poniedziałek rano jeszcze raz przygotowałem dekoracje, zostawiając papiery tam, gdzie można je było łatwo odszukać. Niczym „Człowiek, którego nigdy nie było”, opracowałem kosztorys remontu „Sanforda” w stoczni Palmeriniego, razem z szacunkowym wyliczeniem kosztu jej zakupu. Mielibyśmy dobre alibi, gdyby widziano nas tam później.

Wyruszyliśmy tuż przed dziewiątą, żegnając się z Luigim, który puścił do mnie niedwuznacznie oko. Do „Trzech Ryb” zdążyliśmy na czas. Hrabina i Morese już tam czekali. Zjedliśmy wspólnie śniadanie. Hrabina miała ubranie o zdecydowanie angielskim kroju, co powitałem z uznaniem. Umiała myśleć.

— W jaki sposób pozbyła się pani chłopców Torloniego? — zapytałem.

Morese wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jeden miał wypadek samochodowy. Ten, który oczekiwał go przy doku, zmęczył się czekaniem i nie wiadomo, dlaczego wpadł do wody. Musiał wziąć taksówkę do hotelu, aby się przebrać.

— Ubiegłej nocy pański przyjaciel Metcalfe przybył do Genui — odezwała się hrabina.

— Jest pani pewna?

— Całkowicie. Udał się wprost do Torloniego i został u niego przez dłuższy czas. Później poszedł do hotelu.

To przesądzało sprawę. Dotychczas stale zastanawiałem się, czy moje podejrzenia co do Metcalfe'a nie są jedynie wytworem rozgorączkowanej wyobraźni. W końcu cała sprawa zbudowana została na podstawie przypuszczeń oraz tego, co wiedziałem o jego charakterze.

— Kazała go pani obserwować?

— Oczywiście.

Przyniesiono śniadanie i rozmowa umilkła, dopóki Giuseppi nie wrócił do bufetu. Wówczas powiedziałem:

— No dobrze. Kobus, przyjacielu, nadszedł czas, abyś powiedział nam, gdzie jest złoto.

Coertze gwałtownie uniósł głowę.

— Nie da rady — odparł. — Zaprowadzę was tam, ale wcześniej nic nie powiem. Westchnąłem.

— Słuchaj, ci dobrzy ludzie załatwili transport. W jaki sposób mają wyznaczyć ciężarówkom miejsce spotkania, skoro nie wiedzą, dokąd jedziemy?

— Mogą zadzwonić.

— Skąd?

— W wiosce będzie telefon.

— Nikt z nas nie zbliży się do tej wioski — powiedziałem. — A już absolutnie nikt z nas, cudzoziemców. Jeśli uważasz, że pozwolę komuś z tej pary pójść tam samotnie, to oszalałeś. Od tej chwili nie spuścimy z nich oka.

— Nie jest pan zbyt ufny — zauważyła hrabina. Spojrzałem na nią.

— A czy pani mi ufa?

— Nie bardzo.

— Więc jesteśmy kwita — ponownie zwróciłem się do Coertzego. — Hrabina może zadzwonić jedynie z telefonu tam, w rogu. Ja stanę tuż obok.

— Niech mnie pan nie nazywa hrabiną — rzuciła ostro. Nie zareagowałem i skoncentrowałem się na Coertzem.

— Sam więc widzisz, że musimy znać to miejsce. Jeśli ty nam nie powiesz, z całą pewnością zrobi to Walker. Wolałbym jednak usłyszeć to od ciebie.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, w końcu powiedział:

— *Magtig*, pewnego dnia wyklócisz się o drogę do nieba. W porządku. To miejsce znajduje się około czterdziestu mil stąd na północ, między Varsi a Tassaró. — Zaczął szczegółowo wyjaśniać.

— Dobra, to wśród wzgórz — rzekł Morese.

— Czy potrafi pani wytłumaczyć kierowcom drogę do tego miejsca? — spytałem.

— Powiem im, żeby poczekać w Varsi — odparła Francesca. — Będą nam potrzebni dopiero drugiej nocy. Jutro możemy pojechać do Varsi i stamtąd ich poprowadzić.

— Zgoda. W takim razie zadzwońmy.

Podszedłem z nią do aparatu i stałem obok, gdy przekazywała instrukcje, „tak że nic nie mogło jej się »wymknąć«. Nasza grupka stanowiła wzór wzajemnego zaufania. Po naszym powrocie do stolika powiedziałem:

— Załatwione. Możemy ruszać w każdej chwili. Skończyliśmy śniadanie i zbieraliśmy się do wyjścia.

— Nie od frontu — powiedziała Francesca. — Ludzie Torloniego pewnie już wrócili i mogą obserwować tę kawiarnię. Pójdziemy tędy.

Wyprowadziła nas przez tylne drzwi na podwórze, gdzie stał samochód z przyłączoną już przyczepą campingową Eccles.

— Zaopatrzyłam ją w żywność na tydzień. Może okazać się niezbędna.

— Nie — odparłem ponuro. — Jeśli nie wydobędziemy tego do jutra w nocy, nie wydobędziemy już nigdy. Ponieważ Metcalfe szuka naszego tropu.

Przyjrzałem się naszej grupie i podjąłem szybką decyzję.

— Wszyscy wyglądamy jak Anglicy z wyjątkiem ciebie, Morese. Ty nie pasujesz. Pojedziesz w przyczepie i postaraj się nie pokazywać. Zmarszczył brwi i spojrzał na Francescę.

— Wsiadaj do przyczepy, Piero. Zrób, jak mówi pan Halloran — powiedziała, a następnie zwróciła się do mnie. — Piero przyjmuje polecenia tylko ode mnie, panie Halloran. Mam nadzieję, że zapamięta pan to na przyszłość.

— Chodźmy już — odparłem wruszając ramionami.

Prowadził Coertze, gdyż znał drogę. Walker również siedział z przodu, a Francesca i ja dzieliliśmy tylne miejsce. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Coertze jechał wolno, gdyż nie był przyzwyczajony ani do holowania przyczepy, ani do jazdy prawą stroną.

Opuściliśmy Rapallo i wkrótce zaczęliśmy piąć się na wzgórze — Apeniny Liguryjskie. Kraj wyglądał na biedny, z kamienistą ziemią i skromnym rolnictwem. Istniejące uprawy były rozproszone i podzielone między winoroślą i oliwki. Drzewka wyglądały, jakby zameczono je na śmierć. W ciągu godziny dojechaliśmy do Varsi, a wkrótce potem zjechaliśmy z głównej szosy i zaczęliśmy się tłuc boczną wiejską drogą, nie utwardzoną, o okropnej nawierzchni. Od wielu dni nie padało i wszędzie unosiły się tumany pyłu.

Coertze dojechał do zakrętu i zwolnił, zatrzymując się prawie.

— Tutaj ostrzelaliśmy ciężarówki — powiedział.

Gdy wyjechaliśmy z zakrętu, zobaczyłem długi odcinek pustej drogi. Coertze zatrzymał samochód, a Walker wysiadł. Widział to miejsce po raz pierwszy od piętnastu lat. Podeszedł kawałek dalej, aż do dużego głazu po prawej. Wówczas popatrzył do tyłu. Domyśliłem się, że stał właśnie za tym głazem, gdy pakował kule w kierowcę wozu sztabowego.

Pomyślałem o masakrze, która tu miała miejsce. Spoglądając w górę na porośnięte krzewami zbocze, wyobraziłem sobie ucieczkę jeńców i zakończony dla nich tragicznie pościg.

— Nie ma sensu tu stać — powiedziałem gwałtownie. — Jedźmy dalej.

Coertze wrzucił bieg i ruszył, nabierając szybkości, dopiero gdy Walker wskoczył do środka. Znowu byliśmy w drodze.

— Już niedaleko — rzekł Walker. Głos miał ochryply z podniecenia.

W niecałe piętnaście minut później Coertze przyhamował na skrzyżowaniu z drogą tak mało uczęszczaną, że prawie niewidoczną.

— Stara kopalnia jest jakieś półtorej mili stąd — powiedział. — Co teraz robimy?

Francesca i ja wysiedliśmy z samochodu i wyprostowaliśmy zeszywniałe nogi. Rozejrzałem się dokoła i w odległości około stu jardów zobaczyłem strumień.

— Dobrze się składa — powiedziałem. — Świetne miejsce na obóz. Jedno jest pewne — w ciągu dnia nikt z nas nawet okiem nie mrugnie w tę stronę.

Ściągnęliśmy przyczepę z drogi, rozłożyliśmy podpory, później ustawiliśmy namiot.

Francesca poszła do przyczepy, by porozmawiać z Moresem.

— A teraz, na miłość boską, zachowujemy się jak niewinni turyści — powiedziałem. — Jesteśmy zwariowanymi Anglikami, którzy wolą żyć niewygodnie, niż mieszkać w hotelu.

Był to długi dzień. Po obiedzie, który Francesca przygotowała na małej kuchence przyczepy, rozsiedliśmy się rozmawiając o wszystkim i o niczym i czekaliśmy, aż zajdzie słońce. Francesca przebywała głównie w przyczepie, gdzie dotrzymywała towarzystwa Moresemu. Walker nie mógł sobie znaleźć miejsca. Coertze natomiast najwyraźniej pograżył się w kontemplowaniu swojego pępka. Ja próbowałem usnąć, ale bez powodzenia.

Jedynym emocjonującym wydarzeniem w czasie tego popołudnia

był przejazd wiejskiej furmanki. Pojawiła się jako obłok pyłu na krańcu drogi i stopniowo, w ślimaczym tempie, zbliżyła się na tyle, że dało się ją rozpoznać. Coertze ożywił się nieco i chciał się zakładać o to, w jakim czasie zrówna się z obozem. W końcu ze skrzypieniem przetoczyła się obok. Ciągnęły ją dwa woły, wyglądające jak z obrazu Breughla. Obok z wysiłkiem kroczył wieśniak. Pomachałem ręką i najgorszą włoszczyzną, na jaką mogłem się zdobyć, odezwałem się:

— *Buon giorno.*

Spojrzał na mnie z ukosa, mruknął coś niezrozumiale i ruszył dalej swoją drogą. Był to ostatni ruch na drodze w czasie naszego obozowania.

O wpół do piątej wstałem i poszedłem do przyczepy, żeby naradzić się z Francescą.

— Lepiej zjedźmy coś wcześniej — powiedziałem. — Gdy tylko się ściemni, zabierzemy samochód do kopalni.

— Wszystko jest w puszkach — odparła. — Przygotowanie nie sprawi trudności. W nocy będzie nam się chciało jeść, więc wzięłam dwa duże termosy na jedzenie. Nim wyjdziemy, ugotuję posiłek. Będzie ciepły przez całą noc. Mam też kilka termosów na kawę.

— Dobrze wydała pani moje pieniądze — powiedziałem. Zbyła to milczeniem.

— Potrzebna mi woda. Może pan przynieść trochę ze strumienia?

— Jeśli pójdzie pani ze mną. Musi się pani trochę poruszać. — Odczułem nagłą potrzebę rozmowy z nią. Chciałem zrozumieć motyw jej postępowania.

— Zgoda — powiedziała. Otworzyła szafkę i wyjęła trzy brezentowe wiadra. Gdy szliśmy do strumienia, odezwałem się:

— W czasie wojny musiała być pani bardzo młoda.

— Tak. Poszłam na wzgórza z ojcem, gdy miałam dziesięć lat. — Ręką wskazała otaczające nas góry. — Te właśnie wzgórza.

— Niezbyt przyjemne życie dla małej dziewczynki. Zastanowiła się.

— Początkowo było przyjemnie. Wszyscy lubią wakacje spędzane na obozach, a dla mnie były to ciągłe, długie wakacje. Tak, sprawiało mi to przyjemność.

— A kiedy przestało?

Jej twarz przybrała wyraz łagodnego smutku.

— Gdy rozpoczęła się walka i zaczęli ginąć ludzie, wówczas przyjemność się skończyła. To, co robiliśmy, stało się poważną sprawą; sprawiedliwą, lecz straszną.

— A pani pracowała w szpitalu?

— Tak. Opiekowałam się Walkerem, gdy przyszedł z obozu jenieckiego. Wie pan o tym? Wyobraziłem sobie opisaną przez Walkera małą, poważną dziewczynkę, która dlatego chciała, by wyzdrowiał, żeby mógł zabijać Niemców.

— Mówił mi — odparłem.

Kiedy doszliśmy do strumienia, popatrzyłem w dół z powątpiewaniem. Wyglądał dość czysto, spytałem jednak:

— Czy ta woda nadaje się do picia?

— Przetuję ją, będzie dobra — orzekła i uklękła, aby wykopać dół w płyciźnie. — Musimy mieć dziurę tak głęboką, by zmieściło się wiadro, wtedy jest łatwiej.

Pomogłem jej kopać. Doszedłem do wniosku, że nauczyła się tego sposobu od partyzantów. Ja próbowałbym napełnić wiadra po kropelce. Kiedy jama była już wystarczająco duża, usiedliśmy na brzegu, czekając, aż osiadzie muł.

— Czy Coertze był kiedykolwiek ranny? — spytałem.

— Nie, miał duże szczęście. Nigdy go nawet nie drasnęło, chociaż nieraz był w niebezpiecznych sytuacjach.

Poczęstowałem ją papierosem i podałem ogień.

— A więc sporo walczył?

— Wszyscy walczyli — odparła, zaciągając się w zadumie papierosem. — Lecz wyglądało na to, że Coertze lubił walkę; zabił wielu Niemców — Włochów także.

— Jakich Włochów? — spytałem natychmiast. Pomyślałem o historii Walkera.

— Faszystów — powiedziała. — Tych, którzy trzymali się Mussoliniego w czasach Republiki Salo. W tych górach toczyła się wojna domowa. Nie wiedział pan o tym?

— Nie, nie wiedziałem. Jest sporo rzeczy związanych z Włochami, o których nie wiem. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, po czym odezwałem się:

— A więc Coertze był mordercą?

— Był dobrym żołnierzem, człowiekiem, jakiego potrzebowaliśmy. Był przywódcą. Zmieniłem temat.

— W jaki sposób zginął Alberto?

— Spadł z urwiska, gdy Niemcy ścigali grupę Umberta. Słyszałam, że Coertze byłby go ocalił, lecz nie zdążył dojść tam na czas.

— Aha. Słyszałem coś takiego. A jak zginęli Harrison i Parker? Zmarszczyła brwi.

— Harrison i Parker? Ach tak, należeli do tak zwanego Legionu Cudzoziemskiego. Zginęli w akcji. Nie w jednej, w różnych akcjach.

— A Donato Rinaldi, w jaki sposób on zginął?

— To była dziwna sprawa. Znalaziono go nie opodal obozu z roztrzaskaną głową. Leżał pod urwiskiem i przypuszczano, że wspinał się i spadł.

— Dlaczego miałby się wspinać? Czy uprawiał alpinizm lub coś w tym rodzaju?

— Nie sądzę, ale był młodym człowiekiem, a młodzi robią różne głupstwa.

Uśmiechnąłem się myśląc, że nie tylko młodzi ludzie robią głupstwa. Rzuciłem kamyk do strumienia.

— Brzmi to jak w tej piosence o dziesięciu Murzynkach. „I zostało tylko dwóch”. Dlaczego Walker odszedł? Gwałtownie podniosła oczy.

— Czy twierdzi pan, że ci ludzie nie zginęli? Że zamordował ich ktoś z obozu? Wzruszyłem ramionami.

— Nic nie twierdzą, ale dla kogoś było to niezwykle wygodne. Widzi pani, sześciu ludzi ukryło złoto, a czterech z nich wkrótce potem spotkała śmierć. — Rzuciłem kolejny kamień do strumienia. — Kto skorzystał? Są tylko dwie osoby — Walker i Coertze. Dlaczego Walker odszedł?

— Nie wiem. Zrobił to nagle. Pamiętam, jak mówił mojemu ojcu, że ma zamiar wrócić do wojsk alianckich. Znajdowały się wówczas całkiem blisko.

— Czy Coertze był w obozie, gdy Walker odszedł? Długo zastanawiała się, po czym odparła:

— Nie wiem, nie pamiętam.

— Walker twierdzi, że odszedł, bo bał się Coertzego. Zresztą wciąż się go boi. Nasz Kobus jest czasami strasznym człowiekiem.

— A więc Alberto na stoku — powiedziała Francesca wolno. — Coertze mógł...

— ...go zepchnąć? Tak, mógł. Walker powiedział też, że Parkerowi strzelono w tył głowy. Z tego, co mówią ludzie, pani także, Coertze jest urodzonym mordercą. Wszystko się zgadza.

— Zawsze wiedziałam, że Coertze jest gwałtownym człowiekiem, ale...

— Ale? Dlaczego pani go nie lubi, Francesco?

Rzuciła niedopałek do wody i obserwowała, jak płynie z prądem.

— To jedna z tych rzeczy, które zdarzają się między mężczyzną a kobietą. Był... zbyt natarczywy.

— Kiedy to było?

— Trzy lata temu. Tuż po moim ślubie.

Zawahałem się. Chciałem ją zapytać o ten ślub, lecz nagle wstała.

— Musimy nabrać wody — powiedziała. Gdy wracaliśmy do przyczepy, odezwał się:

— Wygląda na to, że muszę być stale w pogotowiu — Coertze może okazać się niebezpieczny. Lepiej niech pani opowie tę historię Pierowi, aby był gotów, gdyby cokolwiek się wydarzyło.

Zatrzymała się gwałtownie.

— Myślałam, że jest pan przyjacielem Coertzego. Myślałam, że stoi pan po jego stronie.

— Nie jestem po niczyjej stronie — odparłem krótko. — I nie zamierzam przebaczyć morderstw.

Pozostałą część drogi przebyliśmy w milczeniu.

Przez resztę popołudnia Francesca zajęta była gotowaniem w przyczepie. Gdy zaczęło się ściemniać, rozpoczęliśmy przygotowania. Kilofy i łopaty wraz z kilkoma latarkami włożyliśmy do bagażnika samochodu. Piero dostarczył ciśnieniową lampę Tilleya oraz pół galonu parafiny — gdy wejdziemy już do tunelu, będą znacznie przydatniejsze niż latarki. Wyciągnął z przyczepy taczkę i powiedział:

— Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy jej użyć do wywożenia kamieni. Nie możemy zostawić kamieni rozsypanych u wejścia do sztolni.

Byłem zadowolony z pomysłu. Sam o tym nie pomyślałem.

Coertze obejrzał kilofy okiem fachowca. Nie znalazł żadnych wad. Dla mnie kilof jest kilofem, a łopata jest cholerną szuflą. Przypuszczam jednak, że nawet walenie kilofem i szufłowanie mają swoje fachowe techniki. Gdy pomagałem Pierowi ładować taczkę do bagażnika, wykręciłem stopę na kamieniu i ciężko wpadłem na Coertzego.

— Przepraszam — powiedziałem.

— Nie przepraszaj, tylko uważaj — mruknął. Wpakowaliśmy taczkę, chociaż pokrywa bagażnika nie chciała się domknąć. Powiedziałem cicho do Coertzego:

— Chciałbym z tobą pomówić... tam dalej.

Odeszliśmy niewielki kawałek od reszty grupy, aż ukryły nas zapadające ciemności.

— O co chodzi? — zapytał.

Klepnąłem w twardą wypukłość na piersi jego kurtki i powiedziałem:

— Wydaje mi się, że to pistolet.

— Bo to jest pistolet — odparł.

— Kogo masz zamiar zastrzelić?

— Każdego, kto wejdzie między mnie a złoto.

— Słuchaj no uważnie — powiedziałem twardo. — Nikogo nie zastrzelisz, ponieważ oddasz mi ten pistolet. Jeśli nie, to złoto możesz wydobywać sam. Nie przyjechałem do Włoch kogokolwiek zabijać. Nie jestem mordercą.

— *Klein man*, jeśli chcesz ten pistolet, będziesz musiał mi go odebrać — rzekł Coertze.

— O.K. Grożąc pistoletem możesz nas zmusić, abyśmy poszli do kopalni. Ale jest ciemno i gdy tylko odwrócisz się plecami, dostaniesz kamieniem w głowę — a ja będę pierwszy, który to zrobi. A jeśli wydobędziesz złoto — pod groźbą pistoletu — co z nim zrobisz poza tym, że będziesz mógł na nim posiedzieć? Nie zawieszysz go na wybrzeże bez ludzi Franceski, a beze mnie nie wywieziesz go z Włoch.

Zapędziłem go w kozi róg, a raczej sprawiła to sytuacja bez wyjścia, która trzymała go w szachu od opuszczenia Afryki Południowej. Został przechytrzony i wiedział o tym.

— Skąd możemy wiedzieć, czy partyzanci hrabiny nie kryją się na tych przeklętych wzgórzach, czekając, aby na nas skoczyć, gdy tylko tunel zostanie otwarty? — spytał.

— Ponieważ nie wiedzą, że tu jesteśmy — odparłem. — Kierowcy ciężarówek otrzymali tylko instrukcję, aby pojechać do Varsi. Zresztą nie próbowaliby na nas napaść — mamy hrabinę jako zakładniczkę.

Zawahał się, a ja dodałem:

— A teraz daj mi pistolet.

Wolno sięgnął pod kurtkę i wyciągnął broń. Było zbyt ciemno, abym mógł dostrzec jego oczy, ale wiedziałem, że wypełniała je nienawiść.

Trzymał pistolet wycelowany we mnie i z pewnością kusilo go, żeby strzelić. Opanował się jednak i położył go na mojej wyciągniętej ręce.

— Kiedy to się skończy, rozliczymy się porządnie — powiedział.

Nie odezwałem się, tylko spojrzałem na pistolet. Był to luger, taki sam jak ten, który zostawiłem w Afryce Południowej. Wycelowałem w niego.

—? A teraz nie ruszaj się, muszę cię obszukać.

Sklął mnie, lecz stał spokojnie, gdy przeszukiwałem mu kieszenie. Oczywiście w kieszeni kurtki znalazłem zapasowy magazynek. Drugi wyciągnąłem z lugera i zarepetowałem go, żeby sprawdzić, czy ma nabój w lufie. Miał.

— Morese na pewno ma broń — powiedział.

— Zaraz się przekonamy. Ja zabiorę się do niego, a ty stój za nim w pogotowiu.

Wróciliśmy do przyczepy. Zawołałem Francescę i Piera, a kiedy nadeszli, Coertze niepostrzeżenie ustawił się za wielkim Włochem.

— Czy Piero ma broń? — zapytałem Francescę. Wyglądała na zaskoczoną.

— Nie wiem — zwróciła się do niego. — Czy nosisz broń, Piero? Zawahał się, po czym skinął głową. Wyciągnąłem lugera i wycelowałem w niego.

— W porządku, wyciągnij ją. Powoli.

Spojrzał na lugera i ściągnął gniewnie brwi, usłuchał jednak rozkazu i wolno wyjął pistolet z kabury pod ramieniem.

— Tym razem wykonujesz moje polecenie, Piero. Daj go Francesce.

Podał broń Francesce, a ja schowałem lugera i odebrałem jej pistolet. Była to używana w armii beretta, zapewne pamiątka z partyzanckich dni. Wyjąłem magazynek, zarepetowałem i włożyłem do drugiej kieszeni. Coertze podał mi dwa zapasowe magazynki,

które znalazł w kieszeni Piera.

— Czy ty masz broń? — zwróciłem się do Walkera. Pokręcił głową.

— Chodź tutaj. Obszukam cię. — Wolałem nie ryzykować. Walker był bez broni, więc powiedziałem:

— A teraz przeszukaj samochód i zobacz, czy czegoś tam nie schowano.

— Czy pani ma coś śmiertelniegroźnego? — zapytałem Francescę. Założyła rękę.

— Czy mnie ma pan zamiar też obszukać?

— Nie. Przyjmę pani słowo, jeśli pani je da. Pozbyła się wyzywającej pozy.

— Nie mam broni — powiedziała cicho.

— Słuchajcie no wszyscy — odezwałem się. — Zabrałem broń

Coertzemu i Moresowi. W rękach trzymam amunicję do tych pistoletów. — Dwoma szybkimi ruchami wyrzuciłem naboje w ciemność. Zastukotały o skały. — Jeśli między nami dojdzie do jakiejś walki, to na gołe pięści. Nikt nie zostanie zabity, słyszycie?

Wyjąłem z kieszeni puste pistolety i oddałem je Coertzemu i Pierowi.

— Możecie ich użyć jako młotków do zbijania skrzyń. — Wzięli je bez przekonania. — Straciliśmy już dość czasu na te nonsensy — powiedziałem. — Co z samochodem?

— Nic tam nie ma — odparł Walker.

Gdy reszta wsiadała do samochodu, Francesca zwróciła się do mnie:

— Cieszę się, że pan tak postąpił. Nie wiedziałam, że Piero ma pistolet.

— Ja też nie wiedziałem, że Coertze ma, choć mogłem się tego domyślić, znając jego przeszłość.

— Jak pan mu go odebrał? — spytała zaciekawiona.

— Psychologia — odparłem. — Woli mieć złoto, niż mnie zabić. Kiedy już dostanie złoto, sprawy mogą przybrać inny obrót.

— Będzie pan musiał bardzo uważać — powiedziała.

— Miło wiedzieć, że panią to obchodzi. Wsiadajmy do wozu.

II

Coertze wolno jechał bez świateł zapuszczoną drogą, dopóki nie skręciliśmy i nie przestaliśmy być widoczni z głównej szosy. Słyszałem cały czas, jak trawa smaga podwozie samochodu. Gdy minęliśmy pierwszy zakręt, Coertze zapalił światła i zwiększył szybkość.

Nikt nic nie mówił. Coertze i Morese byli na mnie wściekli. Francesca także nie mogła wybaczyć mi moich słów. Walker wrzał ze źle skrywanego podniecenia, jednak dostosował się do nastroju reszty i również milczał. Ja nie odzywałem się, bo nie miałem nic do powiedzenia.

Dotarcie do kopalni nie zajęło dużo czasu i wkrótce światła omiotły mury budynków — nędznych pozostałości po nie pracującym od dawna zakładzie.

Nic nie wyglądało równie smutno, jak opuszczone budynki fabryczne i porzucone maszyny, choć samych urządzeń zostało tu niewiele.

Wkrótce po tym, jak kopalnia została opuszczona, okoliczni wieśniacy spustoszyli to miejsce niczym chmara szarańczy i wynieśli wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Pozostałości warte były dziesięć lirów, a zabranie ich kosztowałoby ze sto tysięcy. Coertze zatrzymał samochód. Wysiedliśmy.

— Co to była za kopalnia? — spytał Piero.

— Ołowiu — odparł Coertze. — Została opuszczona dawno temu, z tego, co wiem, około 1908.

— Mniej więcej w tym czasie znaleziono duże złoża na Sardynii — powiedział Piero. — Łatwiej było przewozić rudę statkiem do huty w La Spezii, niż koleją stąd.

— Gdzie jest twoja sztolnia? — spytałem.

— Tam — wskazał Coertze. — Prócz tej, którą zablokowałem, były jeszcze cztery.

— Równie dobrze możemy ustawić wóz na właściwym miejscu — powiedziałem, więc Coertze usiadł za kierownicą i przestawił samochód. Światła przesunęły się dokoła i ukazały zawalone wejście do sztolni. Sprawiało to wrażenie, że do przekopania tego wszystkiego trzeba będzie zastępu twardych chłopów i prawdopodobnie zajmie im to miesiąc.

Coertze wychylił się przez boczne okno.

— Odwaliłem tu niezłą robotę — powiedział z satysfakcją.

— Jesteś pewien, że uda nam się tam przebić w ciągu jednej nocy? — spytałem.

— Bez problemu — powiedział.

Myślę, że wiedział, co mówi. Był górnikiem. Poszedłem pomóc Pierowi i Walkerowi wyjąć narzędzia z bagażnika, a Coertze zbliżył się do osypiska i zaczął mu się przyglądać. Od tej chwili przejął dowodzenie i pozwoliłem mu na to. W przeciwieństwie do niego, nic nie wiedziałem o takiej pracy. Rozkazy wydawał zdecydowanym głosem, a my wykonywaliśmy je bez ociągania.

— Nie musimy odkopywać wszystkiego — powiedział. — Odpaliłem ładunki tak, że z tej strony zasypało stosunkowo niewiele, nie więcej niż dziesięć stóp.

— Wydaje mi się, że to cholernie dużo — powiedziałem.

— Pestka — odparł z pogardą dla mojej niewiedzy. — Nie jest to lita skała, wszystko jest tu dość luźne — odwrócił się. — Za tym budynkiem — wskazał — znajdziesz kilka drewnianych belek, które wybrałem trzy lata temu. Wyciągnijcie je razem z Moresem. My z Walkerem zaczniemy kopać.

— A co ja mam robić? — przypomniała o sobie Francesca.

— Możesz ładować na taczkę to, co wykopimy. Później wywieź i rozrzuć tak, aby wyglądało możliwie naturalnie. Mores ma rację, nie powinniśmy zostawić tu sterty kamieni.

Piero i ja wzięliśmy latarki. Drewno znaleźliśmy tam, gdzie wskazał nam Coertze. Myślałem o Coertzem, przyjeżdżającym tu co trzy, cztery lata, sfrustrowanym problemem, którego nie umiał rozwiązać. Musiał wielokrotnie planować odkopanie złota i spędził całe godziny na wybieraniu drewna do pracy, której pora mogła nigdy nie nadejść. Nic dziwnego, że był taki drażliwy.

Przeniesienie całego drewna zajęło nam około godziny. Przez ten czas Coertze i Walker wkopali się na trzy stopy w głąb osypiska. Szło niezłe. Powiedziałem to głośno, a Coertze odparł:

— Dalej nie pójdzie już tak łatwo. Będziemy musieli się zatrzymać i podeprzeć strop stemplami. Zajmie to trochę czasu.

Tunel, który kopał, nie był zbyt wielki — około pięciu stóp wysokości i dwóch szerokości. Miejsce wystarczające na jednego człowieka. Coertze zaczął wybierać belki na stemple, a Piero i ja pomagaliśmy Francesce rozsypywać gruz.

Coertze miał rację. Ostemplowanie stropu zajęło dużo czasu, lecz trzeba było to zrobić. Źle by się stało, gdyby całość się zawaliła, gdyż musielibyśmy zaczynać od nowa, a poza tym ktoś mógłby ucierpieć. Wszedł księżyc, co ułatwiało rozprowadzenie gruzu, światła samochodu zostały więc wyłączone, a Coertze pracował przy świetle lampy Tilleya.

Nikomnie nie pozwolił pracować przy kopaniu, więc Walker, Piero i ja pomagaliśmy mu kolejno, stojąc za nim i podając na zewnątrz luźne kamienie. Po upływie następnych trzech godzin mieliśmy już sześć stóp dobrze podpartego stemplami przejścia przez osypisko. Zrobiliśmy przerwę na posiłek.

Piero sam zaczął rozmowę na temat odebrania mu pistoletu.

— Zezłiłem się, gdy to zrobiłeś. Nie lubię patrzeć, jak celują do mnie.

— Nie był nabity — odparłem.

— Domyśliłem się i rozzłościło mnie to jeszcze bardziej — nieoczekiwanie zachichotał.

— Teraz jednak myślę, że dobrze się stało. Trzeba za wszelką cenę unikać strzelaniny.

Znajdowaliśmy się w pewnej odległości od wylotu tunelu.

— Czy Francesca mówiła ci o Coertzem?

— Tak. Powtórzyła mi to, co jej powiedziałaś. W ogóle o czymś takim nie pomyślałem. Byłem zaskoczony, gdy Donata Rinaldiego znaleziono martwego, lecz nie sądziłem, aby ktoś mógł go zamordować. Wszyscy byliśmy przyjaciółmi.

Złoto jest rozpuszczalnikiem przyjaźni, pomyślałem, lecz przy mojej skromnej znajomości włoskiego nie potrafiłem tego wyrazić. Zamiast tego spytałem:

— Czy na podstawie tego, co pamiętasz z tamtych czasów, uważasz, że Coertze mógł zabić tych czterech ludzi?

— Nie mógł zabić Harrisona, gdyż sam widziałem, jak zginął. Został zastrzelony przez Niemca, którego potem zabiłem ja. Ale inni — Parker, Corso i Rinaldi — tak, myślę, że Coertze mógł zabić. To człowiek, który nie zawahał się nigdy przed zabijaniem.

— Mógł ich zabić, ale czy to zrobił? — zapytałem. Piero wzruszył ramionami.

— Kto to może powiedzieć? To było tak dawno, w dodatku nie ma świadków.

W tym rzecz. Nie było sensu nalegać, wróciliśmy więc do naszej pracy.

Coertze pospiesznie zjadł posiłek, aby szybciej wrócić do roboty. Oczy błyszczały mu w świetle lampy. Gorączka złota trzymała go mocno, zwłaszcza że znajdował się zaledwie o cztery stopy od skarbu, na który czekał piętnaście lat. Walker był równie podniecony. Gdy tylko Coertze zrobił ruch, natychmiast stanął na nogi i obaj pospieszyli w stronę sztolni.

Piero i Francesca zachowywali się spokojniej. Nie widzieli dotąd złota, a same słowa nie mają tej mocy co bezpośredni kontakt. Francesca wolno skończyła swoją nocną przekąskę, po czym zebrała talerze i zaniósła je do samochodu.

— Bardzo dziwna kobieta — powiedziałem do Piera.

— Każde dziecko chowane w obozie partyzanckim stałoby się dziwne — odparł. — Miała trudne życie.

— Jak zrozumiałem, zaliczyła nieudane małżeństwo — powiedziałem ostrożnie.

— Estrenoli to degenerat — fuknął.

— W takim razie dlaczego za niego wyszła?

— Sposoby postępowania *aristos* są nam obce — rzekł. — Małżeństwo zostało zaaranżowane, tak przynajmniej wszyscy sądzą. Lecz naprawdę to nie było tak.

— Co masz na myśli? Wziął papierosa, którym go częstowałem.

— Wiesz, co komuniści zrobili jej ojcu?

— Coś mi o tym wspominała.

— To hańba. On był mężczyzną, prawdziwym mężczyzną. Nie byli godni nawet tego, aby mu lizać buty. Teraz jest tylko pustą skorupą, starym, załamany człowiekiem. — Potarł zapalną i przez moment płomień oświetlił mu twarz. — Niesprawiedliwość może złamać ducha człowieka, nawet jeśli ciało wciąż chodzi po ulicach.

— Cóż to ma wspólnego z małżeństwem Franceski?

— Jej ojciec sprzeciwiał się temu. Znał ród Estrenolich. Lecz Madame nalegała. Widzisz, młody Estrenoli pragnął jej. Nie była to miłość, tylko pożądanie. Madame jest bardzo piękną kobietą, dlatego chciał ją mieć, lecz nie mógł jej dostać ot tak. Wiedziała, jaki jest.

Wszystko to było niejasne.

— Czemu więc, u diabła, wyszła za niego?

— Tu właśnie Estrenoli wykazał się sprytem. Ma wujka w rządzie i powiedział, że być może ponownie rozpatrzą sprawę jej ojca. Oczywiście, miało to swoją cenę.

— Rozumiem — odparłem zamyślony.

— Więc wyszła za niego. Wolałbym raczej, żeby poślubiła zwierzę.

— I okazało się, że nie potrafi spełnić obietnicy?

— Nie potrafi? — Piero skrzywił się z niesmakiem. — Nie miał zamiaru jej spełnić. Estrenoli nie dotrzymywali słowa w ciągu ostatnich pięciuset lat — westchnął. — Widzisz, ona jest dobrą córką Kościoła i kiedy wyszła za niego, Estrenoli wiedział, że ma ją na zawsze. I był z niej dumny, o tak, bardzo dumny. Była najpiękniejszą kobietą w Rzymie.

Kupił jej stroje i ubrał, tak jak dziecko ubiera lalkę. Była najkosztowniej ubranym manekinem we Włoszech.

— A potem?

— A potem znudził się nią. Jest zboczeńcem i wrócił do swoich małych chłopców, narkotyków i innych podobnych uciech Rzymu. Signor Halloran, rzymska arystokracja jest najbardziej zepsuta na świecie.

Coś już na ten temat słyszałem. Niedawno głośna była sprawa utopienia dziewczyny, która groziła, że zedrze cały ten tandetny blichtr. Mówiło się także, że rząd włoski ma zamiar wyciszyć sprawę.

— W tym czasie pomagała ojcu i starym towarzyszom — powiedział Piero. — Wiele było przypadków nędzy, a ona robiła, co mogła. Lecz Estrenoli dowiedział się o tym i powiedział, że nie ma zamiaru trwonić pieniędzy na bandę brudnych partyzantów, więc nie dawał jej już pieniędzy. Ani lira. Próbował ją zepsuć, ściągnąć do swego poziomu, ale nie udało mu się. Wyrzucił ją więc na ulicę — dostał już, czego chciał, ile dał radę wziąć, i skończył z nią.

— I powróciła do Ligurii?

— Tak. Pomagamy jej, jak się da, bo jest, kim jest i ze względu na jej ojca. Próbujemy również pomagać jemu, ale nie jest to łatwe, gdyż odmawia przyjęcia tego, co nazywa jałmużną.

— A ona wciąż jest żoną Estrenolego?

— We Włoszech nie ma rozwodów, a ona słucha Kościoła. Ale, na Boga, myślę, że Kościół się myli, jeżeli może się dziać coś takiego.

— I dlatego pomagasz jej w tym przedsięwzięciu.

— Uważam, że to nie jest w porządku, a ona nie ma racji — odparł. — Uważam, że wielu ludzi straci przez to życie. Ale pomagam jej.

— Właśnie ta sprawa mnie zdumiewa. Jej ojciec jest starym człowiekiem, złoto nie może mu wiele pomóc.

— Ale to nie tylko dla jej ojca — rzekł Piero. — Mówi, że pieniądze będą dla wszystkich, którzy walczyli razem z jej ojcem i zostali oszukani przez komunistów. Mówi, że wykorzysta je, aby mogli pójść do szpitala, jeśli to konieczne, i aby wykształcić ich dzieci. Sprawa będzie dobra, jeśli obejdzie się bez zabijania.

— Obejdzie się — odparłem w zadumie. — Ja też nie chcę zabijania, Piero.

— Wiem, signor Halloran. Już pan to udowodnił. Ale są jeszcze inni: Torloni i ten Metcalfe. I jest pana przyjaciel Coertze.

— Nie ufasz mu, co? No a Walker?

— Jest zerem.

— A ja? Czy mi ufasz?

Wstał i niespiesznie zdeptał papierosa.

— Zaufałbym w innym miejscu, signor Halloran, na przykład w łodzi lub w górach. Ale złoto nie najlepiej wpływa na charakter.

W inne słowa ujął to, b czym sam myślałem już wcześniej. Właśnie miałem odpowiedzieć, gdy Coertze krzyknął gniewnie:

— Co wy tam robicie, u diabła? Chodźcie tu wybierać! Wzięliśmy się znów do pracy.

III

Przebiliśmy się o trzeciej nad ranem. Coertze wydal radosny okrzyk, gdy ostrze jego kilofa bez oporu zniknęło w próżni. W ciągu dziesięciu minut wybił dziurę dość dużą, żeby móc się przeczołgać, i wlaź w nią jak terier za królikiem. Przesunąłem lampę przez otwór, po czym przeczołgałem się sam.

Zastąpiłem Coertzego gramolącego się przez zwałone kamienie, rozrzucone na dnie tunelu.

— Zaczekaj — powiedziałem. — Nie ma pośpiechu. Nie zwrócił na mnie uwagi, tylko zanurzył się w ciemnościach. Rozległ się brzęk i zaczął przeklinać.

— Przynieś to cholerne światło! — krzyknął.

Ruszyłem naprzód, a wraz ze mną krąg światła. Coertze wyrznął w przód ciężarówkę i rozciął sobie policzek. Płynąca krew żłobiła strumyki w kurzu pokrywającym jego twarz, nadając mu niesamowity wygląd, podkreślany jeszcze niezwykłym blaskiem oczu.

— Jest tutaj — chełpił się. — *Magtig*, a co, nie mówiłem? Powiedziałem ci, że mam tu złoto. No więc jest tutaj tyle złota, ile wychodzi z Reef w ciągu miesiąca — spojrzął na mnie ze zdumieniem. — *Christus*, ale jestem szczęśliwy. Nigdy nie sądziłem, że mi się uda.

Słyszałem, jak inni przeciskają się przez dziurę, i zczekałem, aż podejną bliżej.

— Kobus Coertze oprowadzi nas teraz po swojej jaskini skarbów — powiedziałem.

— Złoto jest w pierwszej ciężarówce, w tej — zatrajkotał Walker. — To znaczy większość. Jest jeszcze trochę w drugiej, ale większość jest w tej. Kosztowności są w drugiej. Całe mnóstwo naszyjników, pierścieni, brylantów, szmaragdów i pereł, i papierośnic, i szkatulek, wszystko ze złota. Jest też mnóstwo pieniędzy: i lirów, i dolarów, i funtów, i takich różnych rzeczy. Jest też mnóstwo papierów, ale te są w ciężarówkach całkiem z tyłu, razem z ciałami... — umilkł. — Z ciałami — powtórzył bezmyślnie.

Na chwilę zapadła cisza, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że była to nie tylko jaskinia skarbów, ale także grobowiec. Coertze odzyskał swój zwykły spokój i wziął ode mnie lampę. Uniósł ją i spojrzął na pierwszą ciężarówkę.

— Miałem ją ustawić na klockach — zauważył krzywiąc się. Opony całkiem zbutwiały i siadły tak płasko, jak jeszcze nigdy dotąd nie widziałem.

— Wiesz — powiedział Coertze — kiedy wszystko tutaj wstawialiśmy, miałem zamiar wyjechać potem tymi ciężarówkami. Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał czekać piętnaście lat — roześmiał się krótko. — Mielibyśmy teraz niezłą robotę z uruchomieniem silników.

Walker rzekł niecierpliwie:

— No dobra, bierzmy się do tego wszystkiego. — Najwyraźniej przyszedł już do siebie po strachu, którego sam sobie narobił.

— Lepiej róbmy to kolejno, wóz za wozem — powiedziałem. — popatrzmy na pierwszy.

Coertze prowadził niosąc lampę. Miejsca ledwie starczało, aby precyzyjnie się między ciężarówką a ścianą sztolni. Zauważyłem przednią szybę, roztrzaskaną serią z karabinu maszynowego, która zabiła kierowcę i jego kolegę. Wszystko pokryła gruba warstwa pyłu, który opadł zapewne, gdy Coertze zawałił wylot tunelu.

Teraz tłukł kawałkiem skały w zasuwy tylnej klapy.

— Cholerstwo, chwyciło na amen — rzekł. — Będę potrzebował młotka.

— Piero — powiedziałem — przynieś młotek.

— Ja mam — powiedziała cicho Francesca tak blisko za mną, że aż podskoczyłem. Wziąłem go i przekazałem Coertzemu. Po kilku uderzeniach zasuwa puściła. Wziął się do drugiej i chwycił spadającą klapę.

— Dobra — powiedział. — A teraz po złoto — i wskoczył do ciężarówki.

Wręczyłem mu lampę, a następnie wspiałem się sam i odwróciłem, żeby podać rękę Francesce. Walker, poganiany pragnieniem zobaczenia złota, przepchnął się obok mnie, natomiast Piero wspinał się do środka spokojnie. Przycupnęliśmy dokoła, siadając na skrzynkach ze sztabami.

— Gdzie jest ta, którą otworzyliśmy? — zapytał Coertze. — Musi być gdzieś z tyłu.

Francesca krzyknęła:

— Gwóźdź wbił mi się w nogę!

— To ta skrzynka — rzekł Coertze z satysfakcją.

Francesca przesunęła się, a Coertze podniósł lampę. Skrzynka, na której siedziała Francesca, została rozbita, a wieko było jak przybito ponownie. Wyciągnąłem rękę i wolno

unosłem pokrywę. W świetle lampy rozblęskło zmatowiałym blaskiem złoto; metal, który nie rdzewieje ani nie ulega starzeniu — niczym skarb złożony w niebie. To złoto jednak złożone było w piekle.

— No więc jest — westchnął Coertze.

— Zraniła się pani w stopę? — spytałem Francesce. Wpatrywała się w złoto.

— Nie, wszystko w porządku — odparła z roztargnieniem. Piero wziął sztabę ze skrzynki. Źle ocenił wagę i spróbował zrobić to jedną ręką, później chwycił ją obiema i oparł na udach.

— To j e s t złoto! — rzekł zdumiony.

Sztaba przechodziła dokoła z rąk do rąk. Wszyscy dotykaliśmy jej i głaskali. Poczulem nagły przypływ namiętności, którą poznałem w skarbcu Aristide, kiedy trzymałem ciężkiego złotego herkulesa.

W głosie Walkera zabrzmiało przerażenie.

— Skąd możemy wiedzieć, że wszystkie skrzynki zawierają złoto? Nigdy nie sprawdzaliśmy.

— Ja wiem — odparł Coertze. — Piętnaście lat temu sprawdziłem ciężar każdej skrzynki. Już ja się upewniłem. W tym wozie jest około trzech ton złota i tona w następnym.

Złoto emanowało jakimś piekielnym urokiem i trudno nam było od niego odejść. Dla Walkera i Coertzego dopiero teraz następował finał bitwy, którą stoczyli na zakurzonej drodze piętnaście lat temu. Dla mnie dokończenie historii, której wysłuchałem przed wielu laty w barach Cape Town.

Nagle wziąłem się w karby. To nie jest koniec opowieści, i jeśli chcemy, żeby miała szczęśliwe zakończenie, mamy wciąż do odwalenia masę roboty.

— No dobra, skończmy z tym. Jest jeszcze sporo do oglądania, a poza tym piekielnie dużo roboty.

Przełamawszy złoty czar ruszyliśmy do następnej ciężarówki. Coertze ponownie odbił tylną klapę. Tym razem skrzynki ze sztabami były ukryte. Leżały na spodzie wozu, pod innymi skrzyniami.

— W tym pudle jest korona — odezwał się Walker podekscytowany.

Weszliśmy do środka i stłoczyliśmy się z tyłu ciężarówki, a Coertze rozejrzał się dokoła. Nagle spojrzał na Francescę i powiedział:

— Otwórz tę skrzynkę i wybierz coś — wskazał mocną szkatułę z rozbitym zamkiem.

Otworzyła skrzynkę i aż dech jej zaparło. Poraził ją blask skrzących się brylantów, jasnozielonych szmaragdów i czerwonych rubinów. Wyciągnęła rękę i wzięła pierwszą rzecz, na którą trafiła. Był to naszyjnik z brylantów i szafirów.

Przesunęła go między palcami.

— Jakie to cudowne! Piero wstrzymał oddech.

— Ile może być wart? — spytał ochryple.

— Nie wiem — odparłem. — Może pięćdziesiąt tysięcy funtów. Oczywiście, jeśli kamienie są prawdziwe — dodałem z ironią.

— Wyciągnijcie, to będziemy mogli zobaczyć, co tam jeszcze mamy — powiedział Coertze. — Nie miałem czasu wtedy, gdy je tu wsadziliśmy.

— Dobry pomysł — odparłem. — Ale teraz też nie masz zbyt wiele czasu. Wkrótce będzie świt, a nie chcemy, aby nas tu widziano.

Zaczelśmy wyciągać skrzynie. Coertze przewidująco zostawił sporo miejsca między ciężarówkami, więc nie nastęczało to zbyt trudności. Biżuteria zajmowała cztery skrzynki. Jedną wypełniały tylko obrączki ślubne, były ich tysiące. Mgliście przypominałem sobie, że włoskie patriotki ofiarowywały dla sprawy swoje ślubne obrączki — i oto były.

Znajdowała się tam również skrzynka z nabijaną klejnotami koroną. Osiem dużych skrzyń zawierało papierowe pieniądze, porządnie zapakowane i ściągnięte sparciałymi opaskami z gumy. Każdy plik lirów miał oryginalną banderolę bankową. Na spodzie

ciężarówka leżała reszta skrzynek ze sztabami — jeszcze jedna tona złota.

Francesca poszła do samochodu i przyniosła termosy z kawą. Później usiedliśmy dokoła, przeglądając skarb. Tylko skrzynka, z której Francesca wzięła naszyjnik, zawierała biżuterię o większej wartości — to jednak wystarczyło. Nie znam się na klejnotach, lecz skromnie licząc wartość tej jednej skrzynki znacznie przekraczała milion funtów.

Jedną z pozostałych skrzynek wypełniały różne, przeważnie złote, wartościowe przedmioty. Były tam zegarki kieszonkowe dawnej konstrukcji, papierośnice i zapalniczki, złote medale i medaliony, nożyki do cygar i inne typowe przedmioty męskiego zbytku. Na wielu były wygrawerowane imiona właścicieli; pomyślałem, że te luksusowe cacka, podobnie jak kobiece obrączki, zostały ofiarowane dla dobra sprawy.

Trzecie pudło zawierało znów obrączki ślubne, a ostatnie wypełniały złote monety. Sporo było brytyjskich suwerenów, były także amerykańskie orły, austriackie dukaty, a nawet kilka tangerskich herkulesów. Skrzynia była bardzo ciężka.

Francesca ponownie wzięła naszyjnik.

— Piękny, prawda? — odezwałem się.

— Najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam — szepnęła. Zabrałem go od niej.

— Proszę się odwrócić — powiedziałem i zapiąłem jej na szyi. — To jedyna okazja, aby mogła go pani założyć. Szkoda byłoby ją zmarnować.

Wyprostowała ramiona i potrójny sznur brylantów zamigotał na jej czarnym swetrze.

— Och, jak chciałabym mieć lustro — westchnęła pieszcząc palcami naszyjnik.

Walker stanął na wyprostowanych nogach, trzymając w obu rękach koronę. Umieścił ją na głowie Coertzego.

— Król Coertze! — krzyknął histerycznie. — Wiwatujcie wszyscy. Coertze aż się zgiął pod ciężarem korony.

— *Nee, man.* — odrzekł. — Jestem republikaninem — spojrzał na mnie i uśmiechnął się ironicznie. — Tu jest król tej wyprawy.

Dla kogoś patrzącego z boku byłaby to scena zbiorowego szaleństwa. Czterech rozczochranych mężczyzn, jeden ze złotą koroną na głowie i twarzą pobrużdżoną krzepnącą krwią, oraz niezbyt czysta kobieta z naszyjnikiem wartym królewskiego okupu. Sami byliśmy nieświadomi absurdalności tej sceny. Zbyt długo przeżywalismy to wszystko w swojej wyobraźni.

— Zastanówmy się nad następnym krokiem — powiedziałem. Coertze zdjął koronę. Zabawa się skończyła, znów miała się zacząć poważna praca.

— Musisz powiększyć wejście — powiedziałem. — Ten ostatni kawałek nie jest dość duży, aby wynieść skarb.

— *Ja*, ale ta robota nie zajmie wiele czasu — odparł.

— Niemniej jednak lepiej zrobić to teraz. Wkrótce będzie świt. — Wskazałem kciukiem trzecią ciężarówkę. — Jest tam coś wartościowego?

— Są tylko skrzynie z papierami i martwi Niemcy. Możesz rzucić okiem, jeśli chcesz.

— Dobrze — powiedziałem i rozejrzałem się po sztolni. — Proponuję, aby Walker został tu ze mną w ciągu dnia. Posortujemy wszystko i przeniesiemy do przodu, skąd będzie łatwiej zabrać. W ten sposób zaoszczędzimy sporo czasu, kiedy przyjadą ciężarówka. Nie chcę, aby zbyt długo kręciły się po okolicy.

Starannie przemyślałem ten ruch. Można było mieć pewność, że Coertze dobrze przypilnuje Piera i Francescę i nie pozwoli im na żadne głupstwo, gdy pojedą do Varsi.

Coertze jednak natychmiast stał się podejrzliwy i nie chciał zostawić Walkera i mnie sam na sam ze zdobyczą.

— Do licha — powiedziałem. — Zasypiesz nas w środku, a nawet gdybyśmy uciekli, to wszystko, co moglibyśmy zabrać w kieszeniach, nie byłoby warte zachodu w porównaniu z resztą skarbu. Chcę jedynie zaoszczędzić czas.

Przez chwilę patrzył spode łba, po czym zaakceptował propozycję. Razem z Pierem

poszli dokończyć wejście.

— Chodź, zajrzyjmy do tyłu — powiedziałem do Walkera. Zawahał się, po czym rzekł:

— Nie. Nie idę tam. Nie dam rady.

— Ja pójdę z tobą — powiedziała cicho Francesca. — Nie boję się Niemców, zwłaszcza martwych — obdarzyła Walkera pogardliwym spojrzeniem.

Wziąłem lampę. Walker krzyknął histerycznie:

— Nie zabieraj światła!

— Nie rób z siebie idioty. Zanieś ją Coertzemu, przyda mu się bardziej niż latarka. Możesz mu też pomóc.

Gdy odszedł, zapaliłem latarkę. Francesca zrobiła to samo. Chwyciłem młotek i powiedziałem:

— No dobrze. Chodźmy przestraszyć wszystkie te duchy.

Trzecią ciężarówkę wypełniały paki i broń. Wydawało się, że jest jej tam dość, aby rozpocząć wojnę. Podniosłem pistolet maszynowy i zarepetowałem go. Chodził ciężko, ale był sprawny i nabój wyleciał z zamka. Pomyślałem, że wszystkie moje bohaterские próby rozbrojenia Coertzego i Piera poszły na marne lub też poszłyby, gdyby Coertze przypomniał sobie o tej broni. Zastanawiałem się, czy amunicji można było jeszcze bezpiecznie używać.

Francesca odepchnęła na bok kilka karabinów i zdjęła wieko jednej z pak. Wypełniały ją akta — zakurzone akta z *fasces* faszystowskiego rządu wytłoczonymi na okładkach. Wyciągnęła teczkę i zaczęła czytać, od czasu do czasu przerzucając strony.

— Coś interesującego? — spytałem.

— Chodzi o inwazję na Albanie. Protokoły posiedzeń sztabu. — Wzięła inne akta i zagłębiła się w czytaniu. — Tutaj tak samo, ale kampania etiopska.

Zostawiłem ją z przykurzonymi kronikami zapomnianych wojen i przeszedłem do czwartej ciężarówki. Nie był to przyjemny widok. Tunel był bardzo suchy i bez szczurów. Ciała zostały zmumifikowane, twarze szerniały, a ich ściągnięta skóra wykrzywiła usta w trupim uśmiechu. Przeliczyłem rzucone beładnie jak połacie wołowiny zwłoki — było ich piętnaście. Dwa trupy — jeden oficera SS — leżały w wozie sztabowym. Z tyłu leżała drewniana skrzynka. Nie zaglądałem do niej — jeśli zawierała coś wartościowego, nieboszczycy mogli to sobie zatrzymać.

Wróciłem do wozu sztabowego, gdyż zobaczyłem coś, co mnie zainteresowało. Z tyłu, na wpół przykryty motocyklem, leżał pistolet maszynowy typu Schmeisser. Podniosłem go i w zamyśleniu ważyłem w ręce. Myślałem bardziej o Coertzem niż o Metcalfie, a myśli te nie były zbyt miłe. Podejrzywałem go, że zamordował trzech ludzi po to tylko, żeby zatrzymać cały skarb dla siebie. Musiało jeszcze dojść do podziału i niewykluczone, że na którymś etapie spróbuje tej samej sztuki. Stawka była olbrzymia.

Schmeisser to bardzo poręczna broń, co miałem okazję podziwiać w czasie wojny. Wygląda dokładnie jak każdy inny pistolet maszynowy i tak zwykle się go używa. Ale jest jeszcze prosta kolba, pasująca do futerału, którą mocuje się z tyłu rączki, tak aby można było przyłożyć broń do ramienia.

W zasadzie wyglądem przypomina bardzo stary pistolet Mausera, lecz na wyglądzie podobieństwo się kończy. Istnieją dwa rozmiary magazynków do schmeissera — pierwszy na osiem naboń, jak zwykły magazynek pistoletu, oraz drugi, mieszczący około trzydziestu. Z długim magazynkiem i bronią ustawioną na ciągły ogień, schmeisser staje się bardzo wygodnym w użyciu karabinem maszynowym, najbardziej efektywnym na krótki dystans.

Nie strzelałem od wojny; pociągała mnie myśl o posłużeniu się czymś, co mogłoby zrekompensować mój brak celności siłą ognia. Rozejrzałem się, szukając zapasowych magazynków, lecz żadnego nie dostrzegłem.

Pistolety maszynowe wydawano zwykle sierżantom i podoficerom. Przygotowałem się do nieprzyjemnego zadania.

W dziesięć minut później znalazłem to, czego szukałem. Miałem pas i futerał. Były już

sztynne, ale zawierały kolbę, cztery magazynki długie i cztery krótkie. Znalazłem jeszcze jeden pistolet maszynowy, lecz zostawiłem go. Włożyłem broń do futerału i razem z zapasowymi magazynkami odłożyłem do wnęki w ścianie tunelu. Później wróciłem do Franceski.

Nadal czytała dokumenty w świetle latarki.

— Wciąż studiujesz pani historię? — zagadnąłem. Uniosła wzrok.

— Te protokoły są żalodne. Wszystkie kłótnie i sprzeczki na wysokich szczeblach, wszystko starannie posegregowane i zapisane — pokręciła głową. — Najlepiej, aby te akta zostały tutaj. Lepiej, żeby zostały zapomniane.

— Mają wartość miliona dolarów — powiedziałem. — Gdyby udało nam się znaleźć jakiś amerykański uniwersytet na tyle nieuczciwy, aby je kupić. Każdy historyk dałby sobie za nie uciąć prawą rękę. Ale ma pani rację. Nie możemy tego wypuścić w świat — wtedy wszystko by się wydało.

— Jak tam jest z tyłu? — spytała.

— Wstrętnie.

— Chciałabym zobaczyć — odparła i zeskoczyła z ciężarówki. Przypomniałem sobie małą dziewczynkę z lat wojny, która nienawidziła Niemców, i nie próbowałem jej zatrzymać.

Wróciła po pięciu minutach z pobladłą twarzą i nieruchomym spojrzeniem. Nie chciała o tym mówić. W długi czas potem opowiedziała mi, że zwymiotowała tam przerażona widokiem. Uważała, iż polegli, mimo że byli Niemcami, winni zostać przyzwoicie pochowani.

Gdy wróciliśmy do czoła tunelu, Coertze skończył pracę i wejście zrobiło się już na tyle duże, że można było przepchnąć przez nie skrzynie. Wysłałem Walkera i Francescę do przyczepy po żywność i pościel. Następnie wziąłem Coertzego na bok. Powiedziałem po angielsku, tak aby Piero nie mógł zrozumieć:

— Czy do tej kopalni prowadzi inna droga oprócz tej, którą przyjechaliśmy?

— Chyba żeby jechać na przełaj — odpowiedział.

— Zostaniesz z Pierem i Francescą w przyczepie do późnego popołudnia. Będziecie patrzyli, czy ktoś nie nadchodzi drogą. Gdyby tak się stało, musisz bardzo szybko ruszać na przełaj i ostrzec nas, bo możemy tu trochę hałasować. Po południu najprawdopodobniej prześpimy się, więc nie będzie potrzeby wszczynania alarmu.

— Brzmi to dość rozsądnie — stwierdził.

— Piero pewnie zacznie szukać tych magazynków, które wyrzuciłem. Musisz więc mieć na niego oko. A kiedy pojedzie do Varsi, żeby przyprowadzić ciężarówkę, pilnuj, abyście się trzymali razem, i nie pozwól im z nikim rozmawiać, chyba że w twojej obecności.

— *Moenie panik nie* — powiedział. — Nie nabijają mnie w butelkę.

— Dobra. Wyjdę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Po raz ostatni na dłuższy czas.

Wyszedłem na zewnątrz i spacerowałem przez chwilę. Uważałem, że wszystko idzie dobrze i gdyby tak było nadal, byłbym wdzięczny losowi. Martwiła mnie tylko jedna sprawa. Biorąc ze sobą Piera i Francescę odcięliśmy się od informacji naszego wywiadu i nie wiedzieliśmy, co knują Metcalfe i Torloni. Choć nic nie można było na to poradzić, nie zmniejszało to moich obaw.

Po jakimś czasie ze sztolni wyszedł Piero i przyłączył się do mnie. Spojrzał w niebo i rzekł:

— Wkrótce będzie świtać.

— Tak — odparłem. — Chciałbym, aby Walker i Francesca już wrócili — odwróciłem się do niego. — Wiesz, Piero, coś mnie martwi.

— Co takiego, signor Halloran?

— Coertze. Wciąż jeszcze ma broń i myślę, że spróbuje szukać tych magazynków, które wyrzuciłem. Piero roześmiał się.

— Będę go obserwował. Nie spuszczę go z oczu.

O to właśnie chodziło. Tych dwóch będzie tak zajętych wzajemnym śledzeniem się, że zabraknie im czasu, aby wyciąć jakiś numer, no i nie usną obserwując drogę. Podobałem się sobie w roli Machiavellego. Nie martwiłem się już specjalnie o Francescę. Nie sądziłem, aby zechciała kogokolwiek oszukać.

Inaczej miała się sprawa z Pierem. Jak sam powiedział — złoto ma zły wpływ na charakter.

W kilka minut później Walker i Francesca wrócili samochodem, przywożąc jedzenie, koce oraz kilka wyścielanych oparc z przyczepy, które mogły służyć za poduszki.

— Jakies kłopoty? — spytałem dyskretnie Walkera.

— Żadnych — odparł.

Pierwsze nikłe światło poranka pojawiło się na wschodzie.

— Czas wejść do środka — powiedziałem.

Weszliśmy z Walkerem z powrotem do sztolni. Coertze zaczął zamykać wejście, a ja pomagałem mu od swojej strony. W miarę jak rosła kamienna ściana, zaczynałem czuć się jak średniowieczny eremita zamurowany dla zbawienia duszy. Zanim włożyliśmy na miejsce ostatnie kamienie, Coertze powiedział:

— Nie martw się o Varsi, wszystko pójdzie dobrze.

— Oczekuję was jutro o zmierzchu.

— Będziemy — odparł. — Chyba nie sądzisz, że ufam ci bezgranicznie, gdy siedzisz w środku z tym wszystkim?

Ostatni kamień zakrył wejście, ale jeszcze długo słyszałem, jak szura nogami, starając się upewnić, że z zewnątrz wszystko wygląda naturalnie.

Wróciłem do sztolni i zastałem Walkera z rękami zanurzonymi po łokcie w suwerenach. Klęczał przy skrzynce przesypując monety i pozwalając, aby spadały z brzękiem.

— Równie dobrze możemy teraz zacząć —: powiedziałem. —

Wyniesiemy połowę do przodu, zjemy śniadanie i przierzucimy drugą połowę. Potem będziemy mogli pozwolić sobie na sen.

Robota musiała być zrobiona, a poza tym chciałem tak zmęczyć Walkera, aby, gdy pójde przynosić schmeissera, spał jak kamień.

Najpierw usunęliśmy zwalone kamienie sprzed pierwszej ciężarówki. Mieliśmy zamiar wygospodarować tu miejsce dla maskowania skrzyń ze sztabami i przepakowywania pozostałych rzeczy. Pracowaliśmy szybko w całkowitym milczeniu. Panującą ciszę zakłócały tylko nasze ciężkie oddechy, przytłumiony syk lampy Tilleya i przypadkowe stukoty kamieni.

Po godzinie miejsce było przygotowane i zaczęliśmy znosić złoto do przodu. Skrzynie ze sztabami były piekielnie ciężkie, w dodatku należało je nosić ostrożnie. Któraś omal nie spadła Walkerowi na nogę. Później dopiero wpadłem na pomysł zrzucania ich ze skrzyni ciężarówki na ułożone jedno na drugich oparcia z przyczepy. Oparcia wprawdzie na tym ucierpiały, lecz nasze nogi nie były już narażone na niebezpieczeństwo złamania.

Przeniesienie skrzynek do przodu okazało się nad wyraz trudne. Między ciężarówką a ścianą nie było dość miejsca, żeby nosić skrzynki we dwójkę, a dla jednego człowieka były one zbyt ciężkie. Przeklinałem Coertzego za pomysł wprowadzenia ciężarówki tyłem do sztolni.

W końcu zacząłem szperać w zawartości wozów. Znalazłem długi łańcuch holowniczy. Obwiązywaliśmy nim kolejno każdą skrzynkę, tak że mogliśmy je wlec po ziemi. Od tej chwili praca zaczęła posuwać się różnie.

Gdy opróżniliśmy ze złota pierwszą ciężarówkę i przetransportowaliśmy je do przodu, zarządziłem przerwę na śniadanie. Francesca przygotowała gorący posiłek i mnóstwo kawy. W czasie jedzenia prowadziliśmy luźną rozmowę.

— Co zrobisz ze swoim udziałem? — zapytałem Walkera z zainteresowaniem.

— Och, czy ja wiem — odparł. — Nie mam jakichś konkretnych planów. Będę się cholernie dobrze bawił, tyle mogę ci powiedzieć.

Skrzywiłem się. Przewidywałem, że sporo z tego przypadnie bukmacherom, a gorzelnie odnotują nagły przyrost dochodów w ciągu najbliższego roku. Później Walker najprawdopodobniej umrze na marskość wątroby lub delirium tremens.

— Zapewne dużo będę podróżował — rzekł. — Zawsze chciałem podróżować. A co ty zrobisz?

W rozmarzeniu odchyliłem głowę do tyłu.

— Pół miliona to sporo pieniędzy — powiedziałem. — Chciałbym zaprojektować wiele łodzi; tak eksperymentalnych modeli, że nikt przy zdrowych zmysłach nawet nie ośmieliłby się pomarzyć o czymś takim. Na przykład duży katamaran do podróży morskich — tu trzeba by zaczynać od podstaw. Miałbym dość pieniędzy, aby każdą konstrukcję przetestować w tunelu aerodynamicznym, tak jak powinno się to robić. Mógłbym nawet sfinansować prywatny udział w Pucharze Ameryki — zawsze chciałem zaprojektować dwunastometrowca — i czy nie byłaby to wspaniała sprawa, gdyby moja łódź wygrała?

— Chcesz powiedzieć, że w dalszym ciągu byś pracował? — w głosie Walkera słychać było przerażenie.

— Lubię to — odparłem. — Jeśli coś się lubi, nie jest to zwykła praca.

Planowaliśmy naszą przyszłość, przechodząc od jednej wizji do następnej, jeszcze bardziej szalonej, aż wreszcie spojrzałem na zegarek i powiedziałem:

— Bierzmy się do roboty — im szybciej skończymy, tym szybciej będziemy mogli pójść spać.

Była dziewiąta rano i moim zdaniem powinniśmy skończyć koło południa.

Wzięliśmy złoto z trzeciej ciężarówki. Odległość do pokonania była większa, więc robota zajęła więcej czasu. Później poszło łatwiej i wkrótce nie zostało już nic oprócz skrzyń z banknotami. Walker spojrzał na nie z wahaniem.

— Czy nie powinniśmy...?

— Nic z tego — uciałem ostro. — Gdybym miał pewność, że nikt nie zobaczy dymu, to spaliłbym wszystko.

Wyglądał na zgorzzonego bluźnierstwem, jakim był dla niego pomysł spalenia pieniędzy i wziął się do ich liczenia. Ja natomiast zebrałem koce i przygotowałem się do snu. Gdy już się położyłem, rzekł nagle:

— Tu jest około miliarda lirów. To cholernie dużo forsy. Jest też sporo funtów. Tysiące brytyjskich piątek. Ziewnąłem.

— Jakiego są koloru?

— Białe. To największe banknoty, jakie widziałem.

— Puść w obieg tylko jeden, a dobiørą ci się do skóry — powiedziałem. — Zmienili wzór piątek, kiedy się okazało, że Niemcy sfalszowali Bóg wie ile milionów. Gdy się nad tym zastanowić, to całkiem możliwe, że te wyprodukowali Niemcy.

Wydawało się, że go to zgnębiło, więc powiedziałem:

— Prześpij się, to ci poprawi humor.

Rozłożył koce i ułożył się. Czuwałem, walcząc ze snem, dopóki nie usłyszałem spokojnego, regularnego oddechu, typowego dla głębokiego snu. Wstałem i cicho poszedłem w głąb tunelu. Odnalazłem schmeissera oraz magazynki i zabrałem ze sobą. Nie wiedziałem, gdzie je schować.

W końcu zauważyłem rozdarcie w oparciu, którego używałem jako poduszki. Powiększyłem dziurę trochę, tak aby zmieścić w środku broń i magazynki. Twarda to była poduszka, ale nie przeszkadzało mi to — jeśli ludzie mieli wymachiwać przy mnie bronią, ja też chciałem mieć coś, czym mógłbym im pomachać.

IV

Żaden z nas nie spał zbyt dobrze — zbyt silne targaly nami emocje. Wierciłem się niespokojnie i słyszałem, że Walker także nie może sobie znaleźć miejsca. W końcu nie wytrzymałem i przestaliśmy udawać, że śpimy. Była czwarta po południu i przypuszczałem, że reszta ekspedycji rusza teraz do Varsi.

Poszliśmy do przodu sztolni, jeszcze raz wszystko sprawdziliśmy i czekaliśmy, aż na zewnątrz zapadnie zmrok. Gdyby mój zegarek nie twierdził inaczej, równie dobrze mogłaby być już teraz noc. Do tunelu nie docierało światło z wyjątkiem rzuconego przez lampę jasnego kręgu, który szybko pochłaniały ciemności.

Walker był zdenerwowany. Dwukrotnie pytał mnie, czy nie słyszałem w głębi tunelu jakiegoś hałasu. Gnębiła go świadomość, że leżą tam ciała ludzi, których i on zabijał. Powiedziałem mu, żeby poszedł i spojrzął na nich. Myślałem, że terapia wstrząsowa mogłaby mu pomóc, lecz odmówił.

Wreszcie usłyszałem słaby odgłos u wylotu tunelu. Wziąłem do ręki młotek i czekałem — to wcale nie musiał być Coertze. Rozległ się stukot kamieni i jakiś głos zapytał:

— Halloran?

Odprężyłem się i odetchnąłem z ulgą. To był Coertze.

Zastukotał kolejny kamień, a ja spytałem:

— Wszystko w porządku?

— Żadnych kłopotów — odparł, gwałtownie likwidując kurtynę z kamieni. — Przyjechały ciężarówki.

Razem z Walkerem pomagaliśmy zburzyć ścianę od środka. Coertze zaśwycił mi latarką w twarz.

— Chłopie — stwierdził. — Przydałoby ci się porządne mycie.

Mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądałem. Nie mieliśmy przecież wody do mycia, tak że pokrywała nas gruba warstwa kurzu. Francesca stała obok Coertzego.

— Wszystko w porządku, panie Halloran?

— Nic mi nie jest. Gdzie są ciężarówki? Poruszyła się, ledwie widzialna w ciemnościach.

— Tam, z tyłu.

— Jest tu czterech Włochów — rzekł Coertze.

— Czy wiedzą, co tutaj robią? — spytałem szybko. Z ciemności wynurzył się Piero.

— Wiedzą, że to tajemnica, a więc zapewne coś sprzecznego z prawem — odezwał się. — Poza tym nic. Zastanowiłem się.

— Powiedz, żeby dwóch z nich poszło do przyczepy, zwinęło obóz i zaczekało tam. Każ im pilnować drogi i ostrzec nas, gdyby ktoś się zbliżał. Dwaj pozostali muszą pójść na wzgórze nad kopalnią; jeden na lewo, drugi na prawo. Niech patrzą, czy ktoś nie nadchodzi na przełaj. Ten etap jest bardzo niebezpieczny. Nie chcemy, aby ktoś nas zaskoczył, gdy nie będziemy osłonięci.

Piero odszedł. Usłyszałem wydawane szybko polecenia.

— Reszta z nas zabierze się do roboty wewnątrz — powiedziałem. — Przynieście drewno z ciężarówek.

Ciężarówki były odpowiednie, większe nawet, niż potrzebowaliśmy. Jedną z nich załadowano nie heblowanymi deskami bukszpanowymi. Stało tam też kilka nie wykończonych szkieletów skrzyń, wystarczających do zapakowania luzem różnych przedmiotów. Wyciągnęliśmy drewno i razem z piłami, czterema młotkami i kilkoma paczkami gwoździ zabraliśmy do sztolni. Zaczęliśmy przybijając deski do skrzyń ze sztabami, aby zmienić ich kształt.

We czwórkę szło to szybko i wkrótce już pracowaliśmy taśmowo: Walker piłował listwy na odpowiednią długość, Coertze przybijał je z dołu i z góry, ja robiłem boki, a Piero wykańczał. Francesca przeładowywała klejnoty i złote precjoza z oryginalnych skrzyń do

naszych.

W ciągu trzech godzin skończyliśmy. Pozostało tylko wynieść skrzynie na zewnątrz i załadować na ciężarówkę.

Zwinąłem koce i wyniosłem poduszkę na zewnątrz. Wepchnąłem wszystko za siedzenie kierowcy w jednej z ciężarówek. Tym sposobem gładko pozbyłem się schmeissera.

Skrzynie były ciężkie, lecz Coertze i Piero mieli dość siły, aby podnieść je do góry na ciężarówkę, gdzie poustawiali je z ręcznie. My z Walkerem ponownie użyliśmy łańcucha do przeciągania skrzyń przez wąskie przejście. Francesca wyciągnęła kilka termosów z kawą i przygotowane wcześniej kanapki. Mogliśmy więc zjeść i napić się nie przerywając pracy. Niewątpliwie wierzyła, że z pełnym żołądkiem wszystko idzie lepiej.

Wreszcie skończyliśmy.

— Musimy teraz sprzątnąć ze sztolni wszystko, co przynieśliśmy — powiedziałem. — Nie możemy zostawić najmniejszego śladu naszej obecności, żadna rzecz nie może wskazywać na nas.

Wróciliśmy więc do sztolni i zebraliśmy koce, oparcia, narzędzia, latarki, manierki, nawet wyrzucone krzywe gwoździe i kawałki rozdartych oparć. Wszystko wynieśliśmy na zewnątrz i upchnęliśmy na ciężarówkach. Zostałem z tyłu, aby jeszcze raz rzucić na wszystko okiem. Wziąłem zapomnianą deskę i odwróciłem się do wyjścia.

Wtedy to się stało.

Coertze najwyraźniej spieszył się przy stemplowaniu ostatniego kawałka wejścia — widział już złoto i nie myślał o wykonywanej pracy. Gdy odwróciłem się, deska uderzyła w boczną ścianę wejścia i ruszyła z miejsca kamień. Rozległo się ostrzegawcze skrzypienie. Zacząłem uciekać, było już jednak za późno.

Potężne uderzenie w ramię rzuciło mnie na kolana. Kamienie osuwały się z łoskotem. Nic więcej nie pamiętam.

V

Doszedłem do siebie i jak przez mgłę usłyszałem głos:

— Halloran, nic ci nie jest? Halloran!

Najpierw coś delikatnie dotknęło mojego policzka, później poczułem coś zimnego i mokrego. Jęknąłem i otworzyłem oczy, lecz wszystko było zamglone. W tyle głowy czułem pulsowanie, a fale bólu przewalały się w przód aż do oczu.

Musiałem znów zemdleć, lecz kiedy ponownie otworzyłem oczy, Wszystko docierało już do mnie wyraźniej. Usłyszałem słowa Coertzego:

— Chłopie, możesz poruszać nogami? Czy możesz poruszać nogami?

Spróbowałem. Nie rozumiałem, po co mam ruszać nogami, ale spróbowałem. Wydawało mi się, że ruszają się normalnie, więc spróbowałem obrócić się na plecy i wstać. Nie mogłem — coś przygniatało mi plecy.

— Spokojnie, chłopie — rzekł Coertze. — Wyciągniemy cię stamtąd.

Wydawało mi się, że odszedł, a po chwili usłyszałem głos Franceski:

— Halloran, leż spokojnie i nie ruszaj się. Czy mnie słyszysz?

— Słyszę — wymamrotałem. — Co się stało? — Miałem trudności z mówieniem, bo prawą stroną twarzy leżałem na czymś szorstkim i twardym.

— Przygniotła cię kupa kamieni — powiedziała. — Czy możesz ruszać nogami?

— Tak, mogę.

Odeszła. Słyszałem, jak z kimś rozmawia. Mój umysł zaczynał znów pracować. Uświadomiłem sobie, że leżę twarzą do ziemi z dużym ciężarem na plecach i głową odwróconą w ten sposób, że prawy policzek spoczywa na skale. Prawe ramię zostało przyciśnięte do boku i nie mogłem nim ruszyć, lewe było uniesione, lecz wydawało się ciasno zaklinowane.

Francesca wróciła. Odezwała się:

— Słuchaj teraz uważnie. Coertze mówi, że jeśli nogi masz swobodne, to przygniotło cię tylko pośrodku. Ma zamiar cię wyciągnąć, ale będzie robił to bardzo wolno, a ty nie możesz się poruszyć. Rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedziałem.

— Jak się czujesz? Czy coś cię boli? — mówiła niskim, łagodnym głosem.

— Jestem jakby trochę odrętwiały. Czuję tylko duży ucisk na plecach.

— Mam brandy. Chcesz trochę?

Usiłowałem pokręcić głową, lecz okazało się to niemożliwe.

— Nie — odparłem. — Powiedz Coertzemu, żeby zaczynał. Odeszła, wrócił Coertze.

— Chłopie, aleś się wpakował. Ale nie martw się, robiłem już takie rzeczy. Musisz tylko leżeć nieruchomo.

Przystąpił do dzieła, a po chwili usłyszałem chrobot kamienia i twarz obsypał mi pył.

Zajęło to sporo czasu. Coertze pracował wolno, ostrożnie wyjmując pojedyncze kamienie i próbując je przed wyjęciem. Czasami odchodził i słyszałem prowadzoną cicho rozmowę. Zawsze jednak wracał, by podjąć pracę z powolną cierpliwością. W końcu powiedział:

— Teraz już niedługo.

Nagle zaczął energicznie odgarniać kamienie łopatą i ciężar na moich plecach zelżał. Było to wspaniałe uczucie.

— Zaraz cię wyciągnę — powiedział. — To może trochę boleć.

— Wyciągaj — odparłem.

Chwycił mnie za lewe ramię i szarpnął. W ciągu dwóch minut znalazłem się na wolnym powietrzu. Nade mną były blednące gwiazdy. Próbowałem wstać, lecz Francesca powstrzymała mnie:

— Leż spokojnie.

Świtało już i było na tyle widno, że mogłem zobaczyć jej twarz, gdy nachyliła się nade mną. Łukowate brwi miała ściągnięte w dół i zmarszczone, gdy delikatnie uciskała dłońmi moje ciało sprawdzając, czy nie mam złamanych kości.

— Czy możesz się odwrócić? — spytała.

Bolało, ale odwróciłem się na brzuch. Usłyszałem, jak rozpruwa mi koszulę, w chwilę później dobiegło mnie gwałtowne syknięcie.

— Masz paskudnie pokaleczone plecy — powiedziała. Mogłem się tylko domyślać, jak bardzo, gdy jej ręce miękko i łagodnie przesuwały się po moich plecach.

— Nie, nie ma złamań — zdumiała się.

Uśmiechnąłem się szeroko. Czuję się tak, jakbym miał połamany krzyż i ktoś rozpałił na nim ogień. Dobrze było jednak słyszeć, że mam całe kości. Oddarła kawał płótna i zaczęła opatrywać ranę. Kiedy skończyła, usiadłem.

Coertze pokazał mi belkę sześć na sześć cali.

— Miałeś, chłopie, cholerne szczęście. Ta belka leżała w poprzek twoich pleców, utrzymując cały ciężar kamieni.

— Dziękuję ci, Kobus — powiedziałem.

Twarc mu pociemniała i odwrócił z zażenowaniem wzrok.

— Wszystko w porządku, Hal — odrzekł. Po raz pierwszy nazwał mnie Halem. Spojrzał w niebo.

— A teraz lepiej zabierajmy się stąd — zwrócił się do Franceski. — Czy on może się ruszać? Wolno stanąłem na nogi.

— Oczywiście, że mogę — powiedziałem. Francesca wykonała gwałtowny ruch, ale nie zwróciłem na to uwagi. — Musimy się stąd wynosić.

Spojrzałem na sztolnię.

— Lepiej zwał resztę i spraw się dobrze. Później odjeżdżamy. Coertze odszedł w stronę

tunelu, a ja spytałem:

— Gdzie jest Walker?

— Siedzi w ciężarówce — powiedział Piero. :

— Wyślij go do przyczepy i zawołaj swoich chłopców — mogą iść razem z nim. Wszyscy możemy już ruszać do Rapallo. Piero skinął głową i odszedł.

— Czy nie lepiej, abyś trochę odpoczął? — odezwała się Francesca.

— Wypoczywać mogę w Rapallo. Umiesz prowadzić coś takiego? — Wskazałem głową ciężarówkę.

— Oczywiście.

— Dobrze. Coertze i Piero wezmą jedną, a my drugą. Chyba nie dam rady prowadzić.

Nie chciałem, aby Piero i Francesca zostali sami, a Walker miał pilnować pozostałych Włochów. Oczywiście mogłem pojechać jako pasażer z Pierem, lecz gdyby spróbował czegoś brutalnego, nie byłbym w stanie przeciwstawić mu się. Tylko Coertze mógł spróbować stawić mu czoło, tak więc dla mnie zostawała Francesca.

— Dam sobie radę — powiedziała.

Z tunelu dobiegł łoskot, gdy Coertze zawałił — miałem nadzieję, że na zawsze — wejście. Gdy wrócił, powiedziałem do niego:

— Pojedziesz tą ciężarówką razem z Pierem, za moment wróci. I nie jedź zbyt blisko za nami. Lepiej, żebyśmy nie wyglądali jak konwój.

— Myślisz, że dasz radę? — spytał.

— Nic mi nie będzie — odpowiedziałem i sztywno ruszyłem w stronę ciężarówkę, w której zostawiłem swój sprzęt. Wspinaczka do kabiny okazała się bolesna, lecz w końcu udało mi się i ostrożnie spocząłem na siedzeniu, nie mając odwagi się oprzeć. Francesca lekko usadowiła się na siedzeniu kierowcy i zatrzasnęła drzwi. Spojrzała na mnie, więc machnąłem ręką.

— Jedziemy. Uruchomiła silnik i ruszyła nieporadnie, zgrzytając biegami. Zaczęliśmy zjeżdżać podskakując, a wschodzące słońce świeciło przez przednią szybę.

Droga powrotna do Rapallo nie była dla mnie miłą przejażdżką. Bardziej niewygodnie niż tą ciężarówką nie można już było jechać. Był to dla mnie istny czyściec, zwłaszcza że nie mogłem się oprzeć na fotelu. Czuję się zmęczony. Członki miałem poobcierane i obolałe, a plecy paliły żywym ogniem.

Chociaż Francesca twierdziła, że potrafi prowadzić ciężarówkę, nie szło jej to zbyt dobrze. Przywykła do automatycznej skrzyni samochodu osobowego i miała sporo kłopotów ze zmianą biegów. Aby nie myśleć o swoich kłopotach, kazałem jej zwolnić i nauczyłem ją podwójnego wysprzęglania. Później poszło już łatwiej i zaczęliśmy rozmawiać.

— Będzie pan potrzebował lekarza, panie Halloran.

— Przyjaciele nazywają mnie Hal — odparłem. Rzuciła mi spojrzenie i uniosła brwi.

— A więc jesteśmy już przyjaciółmi?

— Nie dałaś mi w zęby, gdy byłem uwięziony w tunelu — powiedziałem. — Należysz więc do moich przyjaciół. Spojrzała na mnie z ukosa.

— Coertze też tego nie zrobił.

— Nadal mnie potrzebuje. Beze mnie nie da rady wywieźć złota z Włoch.

— Rzeczywiście, bardzo się niepokoił — zgodziła się. — Lecz nie sądzę, aby tylko o to mu chodziło — umilkła na chwilę biorąc zakręt. — To Walker ma w głowie tylko złoto. Przez cały czas siedział w ciężarówce, gotów szybko odjechać. Zasługujący na pogardę człowieczek.

Zbyt mocno otumanilo mnie zmęczenie, bym mógł wszystko rozważyć. Patrzyłem na rozwijającą się wstęgę szosy i niewiele do mnie docierało. Między innymi pomyślałem przelotnie o tym, że nie widziałem nigdzie papierośnicy, o której Walker wspominał wiele lat temu. Papierośnicy, którą Hitler miał podarować Mussoliniemu na przełęczy Brenner w 1940.

Pomyślałem przelotnie o papierośnicy i wyleciało mi to z głowy. Przypomniałem sobie dopiero wówczas, gdy było już za późno, aby cokolwiek zrobić.

METCALFE

I

Następnego dnia poczułem się lepiej.

Wszyscy wrócili do stoczni Palmeriniego bez przeszkód. Wprowadziliśmy się do wielkiej, zarezerwowanej dla nas szopy. Rozładowaliśmy ciężarówki i z odpowiednim podziękowaniem zwróciliśmy właścicielom. W rogu postawiliśmy przyczepę, aby było gdzie coś ugotować i przespać się.

Nie byłem w stanie zbyt dużo pracować, więc Walker i Coertze udali się do przystani jachtowej, aby sprowadzić „Sanforda”. Ja w tym czasie sprawdziłem, co porabiali Metcalfe i Torloni. Francesca rozmówiła się z Palmerinim i wkrótce przez stocznnię przewinęła się istna procesja Włochów z raportami. Rozmawiali poważnie z Francesca i znikali, najwyraźniej zachwyceni powrotem do roli partyzantów.

Kiedy Francesca zebrała wszystko, co mogli jej przekazać, przysłała do mnie ze ściągniętą twarzą.

— Luigi jest w szpitalu — powiedziała zmartwiona. — Rozbili mu głowę.

Biedny Luigi. Ludzie Torloniego nie zadali sobie trudu przekupywania go. Policja portowa szukała napastników, ale bez skutku. Chcieli też zobaczyć się ze mną, aby ustalić, co zostało ukradzione. Według ich informacji był to jeszcze jeden napad rabunkowy.

— Wiemy, kto to zrobił. Nie wyjadą z Rapallo o własnych siłach. — Od Franceski powiało lodowatym chłodem.

— Nie — odparłem. — Zostaw ich w spokoju.

Nie chciałem jeszcze odkrywać kart, gdyż przy odrobinie naszego szczęścia Metcalfe i Torloni mogli dać się nabrać na bajeczkę, którą im podsunąłem. I z jakiegoś jeszcze nie do końca uświadomionego powodu nie chciałem otwarcie łączyć Franceski z nami. Gdy my odpłyniemy, ona będzie musiała nadal żyć we Włoszech.

— Nie ruszaj ich — powiedziałem. — Zajmiemy się nimi później. A co z Metcalfe'em i Torlonim?

Wciąż przebywali w Genui i spotykali się codziennie. Kiedy zorientowali się, że zniknęliśmy z Rapallo, natychmiast dosłali jeszcze trzech ludzi, co w sumie dawało już pięciu.

Metcalfe wyciągnął fairmilę z wody, a Krupke zajął się przemalowywaniem dna. Moulay Idriss zniknął. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewał, lecz z pewnością w Rapallo go nie było.

Wszystko wyglądałoby zadowolająco, gdyby nie wzmocnienie sił Torloniego w Rapallo. Zawołałem Coertzego i powiedziałem mu, jak przedstawia się sytuacja.

— Kiedy pojedziesz zabrać „Sanforda”, powiedz policji, że miałem wypadek w czasie wspinaczki i jestem niedysponowany. Jak każdy inny uczciwy człowiek, narób cholernego hałasu w związku z włamaniem. Idź do szpitala i zobacz się z Luigim. Powiedz mu, że rachunek za leczenie zostanie uregulowany i dostanie jeszcze coś ekstra za krzywdę.

— Pozwól mi *donner* tych drani — rzekł Coertze. — Nie musieli bić starego.

— Nie zbliżaj się do nich. Tuż przed naszym wypłynięciem zostawię ci wolną rękę.

Pomruczał, lecz zachował spokój i razem z Walkerem poszli zobaczyć, jakie szkody wyrządzono na „Sanfordzie”. Po ich odejściu porozmawiałem z Pierem.

— Słyszałeś o Luigim? Ściągnął usta.

— Tak, kiepska sprawa. Ale to w stylu Torloniego.

— Myślę, że możemy tu potrzebować niewielkiego wsparcia — powiedziałem.
— Już o to zadbano — odparł. — Jesteśmy dobrze strzeżeni.
— Czy Francesca wie o tym? Pokręcił przecząco głową.
— Kobiety nie wiedzą, jak organizować takie rzeczy. Powiem Madame, jeśli okaże się to konieczne. Ale stocznia jest dobrze strzeżona. W ciągu piętnastu minut mogę zwołać dziesięciu ludzi.

— Muszą być silni i twardzi, żeby móc stawić czoło gangsterom Torloniego.

Twarz wykrzywił mu ponury uśmiech.

— Ludzie Torloniego o niczym nie mają pojęcia — rzekł z pogardą. — Ci, których zwołałem, to żołnierze. Gołymi rękami zabijali uzbrojonych Niemców. Gdyby nie Luigi, żal byłoby mi gangu Torloniego.

Poczułem się usatysfakcjonowany. Mogłem sobie wyobrazić, jakie szczury portowe pracowały dla Torloniego. Nie mieli szans przeciwko zdyscyplinowanym ludziom przywykłym do wojskowej taktyki.

— Pamiętaj, że nie chcemy żadnego zabijania — powiedziałem.

— Nie będzie żadnego zabijania, jeśli sami nie zaczną. A później...? — Wzruszył ramionami. — Nie mogę odpowiadać za rozbudzone emocje.

Zostawiłem go i wszedłem do przyczepy, aby przeczyścić i naoliwić schmeissera. W sztolni było sucho i broni nie działała się krzywda. Większe wątpliwości budziła amunicja. Zastanawiałem się, czy w ciągu piętnastu lat proch w pociskach nie uległ rozpadowi. O tym miałem się dopiero przekonać, gdyby zaczęła się strzelanina.

Może do tego nie dojdzie. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że Metcalfe i Torloni nic nie wiedzą o naszym związku z partyzantami — nieźle się napracowałem, aby go ukryć. Gdyby Torloni zaatakował, spotkałby go największy pech w życiu. Miałem jednak nadzieję, że tego nie zrobi — nie chciałem, aby Włosi zbyt się w to angażowali.

Późnym popołudniem Coertze i Walker przyprowadzili „Sanforda” do stoczni, a synowie Palmeriniego zajęli się wyciąganiem go na pochylnię i zdejmowaniem masztu.

— Śledziła nas szybka motorówka — powiedział Coertze.

— A więc wiedzą, że tu jesteśmy?

— *Ja*. Ale dopiekliliśmy im nieco.

— Wyłynęliśmy, a oni musieli płynąć za nami, bo myśleli, że się stąd zabieramy — wyjaśnił Walker. — Po wyjściu z portu trochę huštało i wszyscy trzej dostali choroby morskiej — uśmiechnął się szeroko. — Coertze też.

— Czy narobili dużo szkód na „Sanfordzie” podczas włamania?

— Niewiele — odparł Coertze. — Wywalili wszystko z szafek, ale policja sprzątnęła po tych świniach.

— Piece?

— W porządku. Sprawdziłem je w pierwszej kolejności.

Ulżyło mi. Piece stanowiły obecnie newralgiczny punkt całego planu i gdyby przepadły, cała dotychczasowa praca poszłaby na marne. Nie mielibyśmy czasu, aby je czymś zastąpić i zdążyć na czas do Tangeru. I bez tego będziemy musieli pracować szybko.

Coertze wziął się do roboty i wyciągnął piece z „Sanforda”. Nie zajęło to wiele czasu i już wkrótce montował je na ławie, w rogu szopy, piero przyglądał się im nic nie rozumiejąc, ale nie odezwał się.

Doszedłem do wniosku, że bezcelowe byłoby dalsze ukrywanie naszego planu przed nim i Francescą — nie dałoby się tego zrobić. Zaczynała mnie męczyć otoczka tajemnicy, którą się okryłem. Włosi jak dotychczas grali z nami fair, a przecież i tak byliśmy zdani na ich łaskę. Gdyby przyszła im na to ochota, w każdej chwili mogli zabrać wszystko.

— Odlejemy nowy kil dla „Sanforda” — powiedziałem.

— Dlaczego? — spytał Piero. — Czy ten jest zły?

— Nie, ale jest zrobiony z ołowiu, a ja jestem szczególnym człowiekiem — chcę mieć kil

ze złota.

Twarz rozjaśnił mu uśmiech zrozumienia.

— Zastanawiałem się, w jaki sposób macie zamiar wywieźć złoto z kraju. Zastanawiałem się nad tym, nic nie przychodziło mi do głowy, ale wydawałeś się taki pewny siebie.

— No więc tak zamierzamy to zrobić — powiedziałem i podszedłem do Coertzego. — Słuchaj — zagadnąłem. — Przez najbliższe kilka dni nie przydam się do żadnej cięższej pracy. Poskładam te zabawki — można to robić na siedząco, a ty lepiej weź się za coś innego. Może za formę?

— Zacznę ją robić — odparł. — Palmerini ma mnóstwo piasku formierskiego.

Odpiąłem pasek i z ukrytej kieszonki wyjąłem plan nowego kilu, zaprojektowanego przed wieloma miesiącami.

— Poprosiłem Harry'ego, aby dokonał zmian następcy, odpowiednich do nowego kilu. Myślał, że zwariowałem. Musisz tylko odlać kil według tego wzoru i będzie doskonale pasował.

Wziął rysunek i poszedł zobaczyć się z Palmerinim. Zacząłem montować piece — praca nie wymagała wiele czasu i skończyłem ją w nocy.

II

Przypuszczam, że niewielu ludzi miało okazję ciąć piłką do metalu sztaby złota. To piekielna robota, gdyż złoto jest miękkie i zęby piły szybko się zatykają. Walker stwierdził, że przypomina to piłowanie melasy.

Nie udało się tego uniknąć, ponieważ mogliśmy topić tylko parę funtów złota naraz. Właśnie Walker miał za zadanie cięcie sztab na odpowiednie kawałki. Przy okazji wyniknął problem złotych opiłków. Rozwiązałem go, zamawiając niewielki odkurzacz, którym Walker pilnie wciągał każdą znalezioną drobinę złota.

Po całodziennym piłowaniu zamiatał też ławę i płukał pył w sicie, jak poszukiwacz z dawnych czasów. Sądzę, że nawet po zastosowaniu wszystkich tych środków zapobiegawczych w trakcie piłowania straciliśmy kilka funtów złota.

Zebrałiśmy się, aby obserwować pierwszy wytop. Coertze położył mały kawałek złota na grafitowej macie i włączył prąd. Mata rozżarzyła się z intensywnie białym połyskiem. Złoto powoli stopiło się i rozpląnęło. Po kilku sekundach można je było przelać do formy.

Trzy piece działały bez zarzutu, lecz w końcu były to tylko urządzenia laboratoryjne, obliczone na niewielki przerób. Zapowiadała się dłuższa praca. Do wnętrza formy włożyliśmy płataninę drutów, które miały za zadanie utrzymać złoto w jednej bryle. Metoda odlewania naraz niewielkich ilości złota wzbudziła wątpliwości Coertzego i kilkanaście razy zatrzymywał robotę i zrywał odlany już metal.

— Ten kil będzie pełen skaz i naprężeń. Nie wierzę, żeby utrzymał się w kupie — powiedział.

Wkładaliśmy więc do środka coraz więcej drutów i laliśmy wokół nich złoto, mając nadzieję, że zwiążą całość.

Czułem się zeszytywniały i obolały, a schyłanie się było istną męczarnią. Nie mogłem pomagać zbyt efektywnie. Przedyskutowałem to z Coertzem.

— Wiesz, lepiej żeby ktoś z nas pokazywał się w Rapallo. Metcalfe wie, że tu jesteśmy, i wyda się dziwne, jeśli nikt z nas nie wychyli nosa z tej szopy. Domyśli się, że coś knujemy — powiedziałem.

— W takim razie powłócz się po mieście — odparł. — Tutaj niewiele zdziałasz.

Tak więc, kiedy Francesca zmieniła mi opatrunek na plecach, udałem się do miasta i do jachtklubu. Sekretarz współczuł mi z powodu włamania na „Sanforda” i wyraził nadzieję, że niczego nie skradziono.

— Tego nie mogli zrobić ludzie z Rapallo — powiedział. — Bardzo surowo podchodzimy

u nas do tych spraw.

Popatrzył również z niemym pytaniem na moją pokiereszowaną twarz, więc uśmiechnąłem się i rzekłem:

— Wasze włoskie góry są najwyraźniej zrobione z twardszych skał niż te w Afryce Południowej.

— Ach tak, wspinał się pan?

— Próbowałem — odparłem. — Pozwoli pan zaprosić się na drinka?

Odmówił. Udałem się więc sam do baru i zamówiłem szkoocką. Zabrałem ją do stolika przy oknie, skąd miałem widok na przystań jachtową. Stała tam nowa łódź. Duży jacht motorowy, który oceniłem na około stu ton. Wiele widuje się takich na Morzu Śródziemnym — luksusowe łodzie dla bogaczy. Wypływają na morze tylko przy najspokojniejszej pogodzie, a suto opłacane załogi żyją jak pączki w maśle — niewiele pracy, za to mnóstwo okazji do schodzenia na ląd. Przyglądałem mu się od niechcienia przez klubową lornetkę. Nazywał się „Calabria”.

Po wyjściu z klubu dostrzegłem śledzących mnie ludzi i z rozkoszą oprowadzałem ich po niewinnych miejscach, które odwiedzał każdy turysta. Gdybym czuł się lepiej, postarałbym się, żeby nogi odpadły im od chodzenia za mną, zmuszony jednak zostałem do kompromisu w postaci taksówki. Organizację mieli dobrą, bo gdy tylko wzięłem taksówkę, nie wiadomo skąd nadjechał samochód i zabrał ich, niemal się nie zatrzymując.

Po powrocie zdałem relację Francesce.

— Torloni przysłał kolejnych ludzi do Rapallo — powiedziała.

— Ilu?

— Jeszcze trzech — a więc razem jest ośmiu. Wygląda na to, że chce mieć dostateczną liczbę ludzi, aby śledzić każdego z was, nawet jeśli się rozdzielicie. A poza tym od czasu do czasu oni też muszą spać.

— Gdzie jest Metcalfe?

— Ciągłe w Genui. Dzisiaj rano jego łódź spuszczo na wodę.

— Dziękuję, Francesco, dobrze się spisujesz — powiedziałem.

— Będę szczęśliwa, kiedy ta sprawa wreszcie się skończy — odparła posępnie. — Wołałabym nigdy jej nie zaczynać.

— Strach cię oblatuje?

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, ale obawiam się, że wkrótce dojdzie do rozlewu krwi.

— Mnie też się to nie podoba — powiedziałem szczerze. — Sprawy jednak nabrały rozpędu. Nie możemy się teraz zatrzymać. Wy, Włosi, mówicie na to: *che sera, sera*.

— W takiej sprawie jak ta, kiedy się raz zacznie, nie ma już odwrotu — westchnęła.

Zostawiłem ją w przyczepie. Zaczynała chyba uświadamiać sobie,

że wplątała się w niewesołą przygodę. Była to śmiertelnie poważna gra o wysoką stawkę, w której nikt nie cofnie się przed kilkoma morderstwami, a przynajmniej nie nasi przeciwnicy — co do Coertzego nie miałem całkowitej pewności.

Odlewanie kila szło dobrze. Coertze i Piero pocili się nad gorącymi piecami. W nagłych błyskach światła wyglądali niczym demony. Coertze uniósł gogle i powiedział:

— Ile mat grafitowych mamy?

— Dłaczego?

— Nie wytrzymują zbyt długo, starczą najwyżej na cztery wytopy każda, później się przepalają. Może nam ich zabraknąć, nim skończymy robotę.

— Sprawdzę to — odparłem i postanowiłem policzyć to na papierze. Po sprawdzeniu obliczeń i przeliczeniu pozostałych mat wróciłem do Coertzego.

— Czy uda ci się wyciągnąć pięć wytopów z maty? Odchrząknął. — Będziemy musieli bardzo uważać, a to znaczy, że wszystko będzie szło wolniej. Czy czas nam na to pozwoli?

— Jeśli spalimy maty, nim skończymy robotę, czas nie będzie miał żadnego znaczenia —

i tak będzie stracony. Musimy go mieć. Ile wytopów dziennie jesteście w stanie robić przy pięciu z jednej maty?

Zastanowił się.

— Ograniczy nas to do dwunastu wytopów na godzinę, więcej nie da rady.

Poszedłem dalej liczyć. Jeśli przyjąć, że mamy 9000 funtów złota, czekało nas 4500 wytopów, minus 500, które Coertze już zrobił. Przy dwunastu wytopach na godzinę potrzeba 340 godzin pracy. Pracując po 12 godzin dziennie, robilibyśmy całość przez 28 dni.

Za długo, jeszcze raz.

340 godzin, po 16 godzin dziennie — 21 dni. Ale czy Coertze mógłby pracować szesnaście godzin dziennie? Przekląłem moje pokiereszowane plecy, uniemożliwiające mi pracę. Woląłem jednak nie ryzykować, wysiłek pogorszyłby ich stan, a wtedy cały plan mógłby się załamać. Musiałem być w formie, by poprowadzić „Sanforda”, a coraz mniej ufałem Walkerowi, który stał się milczący i zamknięty.

Wróciłem do Coertzego sztywnym krokiem. Plecy bolały mnie jak diabli.

— Będiesz musiał pracować każdego dnia przez wiele godzin — odezwałem się. — Czas nam ucieka.

— Gdybym mógł, pracowałbym dwadzieścia cztery godziny na dobę — odparł. — Ale nie mogę, więc będę pracował, aż padnę.

Pomyślałem, że należy podejść do tego problemu inaczej. Stanąłem z boku i obserwowałem, jak Coertze i Piero wykonywali pracę. Wkrótce miałem kilka pomysłów przyspieszenia jej.

Następnego ranka przejąłem komendę. Powiedziałem Coertzemu, żeby nie robił nic innego, tylko lać złoto. Nie powinien ładować pieców ani czyścić mat — miał tylko lać złoto. Piero został przydzielony do topienia złota i podawania Coertzemu pieców z roztopionym metalem. Piece były na tyle lekkie, że po odpowiednim ustawieniu stołu można je było po nim przeciągać.

Walker napiłował mnóstwo złota, więc ściągnąłem go z ławki rezerwowych. Miał odbierać piec od Coertzego, zastępować matę nową i kłaść na niej klocek złota do przetopienia. Sam podjąłem się czyszczenia mat i przygotowywania ich do ponownego użycia. Taką robotę mogłem wykonywać na siedząco.

Problem był dość prosty. Wystarczyło przestudiować ruchy i opracować taśmową technikę. Pod koniec dnia robiliśmy szesnaście wytopów na godzinę, nie paląc przy tym tyle mat co przedtem.

Tak mijał dzień za dniem. Z początku pracowaliśmy 16 godzin na dobę, lecz nie byliśmy w stanie wytrzymać tego tempa i mimo zwiększenia wydajności godzinowej nasz dzienny urobek zmniejszył się. Wzrastała liczba błędów, a procent spalonych mat gwałtownie podskoczył. Praca przy ciągłych wybuchach gorąca z pieców była piekielna. Wszyscy straciliśmy na wadze i nie mogliśmy ugasić pragnienia.

Kiedy wydajność spadła poniżej 150 wytopów dziennie, a pozostało nam do zrobienia jeszcze 2000, zacząłem się poważnie martwić. Chciałem mieć pełne trzy tygodnie na dopłynięcie do Tangeru, a wyglądało na to, że nie ma na to szans.

Najwyraźniej coś trzeba było wykombinować.

Tego wieczora, gdy jedliśmy kolację po kolejnym dniu harówki, zanim wyczerpani położyliśmy się spać na naszych posłaniach, powiedziałem:

— Słuchajcie, jesteśmy zbyt zmęczeni. Jutro robimy dzień przerwy. Nie będziemy nic robić, poleniuchujemy.

Ryzykowałem zakładając, że zwiększona wydajność wypoczętych ludzi z nawiązką zrekompensuje stratę całego dnia. Coertze rzekł tępo:

— Nie, pracujemy. Nie mamy czasu do stracenia. Coertze był dobrym człowiekiem, lecz nieco upartym.

— Jak dotąd miałem rację, prawda? — spytałem. Zgodził się niechętnie.
— Wydajność wzrośnie, jeśli odpocznimy — powiedziałem jeszcze raz. — Obiecuję ci.
Pomruczał trochę, lecz nie obstawał przy swoim — był zbyt zmęczony, by się kłócić.
Reszta zgodziła się apatycznie. Tej nocy kładliśmy się spać, mając przed sobą perspektywę wolnego dnia.

III

Nazajutrz przy śniadaniu zapytałem Francescę:

— Co robi przeciwnik?

— Wciąż obserwuje.

— Jakież posiłki? Pokręciła przecząco głową.

— Nie, jest tylko ta ósemka. Pracują na zmiany.

— Możemy dostarczyć im trochę ruchu — powiedziałem. — Rozdzielimy się i przegonimy ich po mieście lub nawet poza nim. Ostatnio żyło się im zbyt wygodnie.

Spojrzałem na Coertzego.

— Ale nie tykaj ich, nie jesteśmy jeszcze gotowi na odsłonięcie kart, a im później się to stanie, tym lepiej dla nas. Nie możemy sobie teraz pozwolić, aby ktoś z nas został wyłączony z akcji. Jeśli coś takiego się zdarzy, to leżymy. I bez tego odlanie kilku pochłonie cały czas, który nam pozostał.

— A ty trzymaj się z dala od alkoholu — zwróciłem się do Walkera. — Może cię kusić, ale daruj sobie. Pamiętasz, co powiedziałem ci w Tangerze?

Posepnie skinął głową i spuścił wzrok na talerz. Ostatnio według mnie był zbyt spokojny i zastanawiałem się, o czym tak rozmyślał.

— Sądziłem, że ściągasz jubilera, aby wycenił klejnoty — powiedziałem do Franceski.

— Dzisiaj się z nim zobaczę — odparła. — Zapewne jutro przyjedzie.

— Dobrze, ale przyjeżdżając musi się przebrać, czy coś w tym rodzaju. Jeśli tylko ludzie Torloniego zorientują się, że chodzi o klejnoty, może nie udać się ich dłużej powstrzymać.

— Palmerini przywiezie go ukrytego w ciężarówce — rzekł Piero.

— To wystarczy. — Wstałem od stołu i przeciągnąłem się. — A teraz spowodujemy naszym wyjściem małe zamieszanie u wroga. Każdy pójdzie w innym kierunku. Lepiej, żeby Piero i Francesca wyszli później, nie powinni łączyć ich z nami. Czy to miejsce będzie jakoś zabezpieczone, jeżeli wszyscy wyjdziemy?

— Przez cały dzień stoczni będzie strzegło dziesięciu naszych ludzi — odparła Francesca.

— Dobrze. Powiedz im, aby zbytnio nie zwracali na siebie uwagi.

Idąc do miasta czułem się dobrze. Plecy mi się goiły, a twarz przestała przypominać pole po bitwie. Ożywiała mnie perspektywa wolnego dnia, sądziłem też, że Coertze czuje się jeszcze lepiej. Nie opuścił stoczni Palmeriniego od chwili przyprowadzenia „Sanforda”, podczas gdy ja kilkakrotnie byłem w mieście.

Ranek spędziłem na leniuchowaniu. Zrobiłem kilka turystycznych zakupów na Piazza Cavour, gdzie znalazłem sklep oferujący angielskie książki. Później na dłużej zatrzymałem się w kawiarni na bulwarze, gdzie przy niezliczonych filiżankach kawy bez pośpiechu czytałem książkę — coś, na co od wielu miesięcy nie miałem czasu.

Około południa udałem się do jachtklubu na drinka. Bar zdawał się głośniejszy niż zwykle. Przyczyną szumu była rozdyktowana, podchmielona grupka z drugiej strony pomieszczenia. Większość stałych bywalców wyraźnie ignorowała tę buńczuczną demonstrację, widziało się jednak unoszenie brwi przy co bardziej ochrypłych okrzykach. Zamówiłem u kelnera szkocką i spytałem:

— Co to za uroczystość? Szyderczo uśmiechnął się w stronę krańca baru.

— Żadna uroczystość, tylko zwykłe pijaństwo. Zastanawiałem się, dlaczego sekretarz nie nakazał tym ludziom opuścić klubu, i powiedziałem to głośno. Kelner bezradnie rozłożył

ręce.

— Cóż można zrobić, signor? Są ludzie, którzy mogą łamać wszelkie prawa. Jest tu właśnie jeden z nich.

Nie wnikałem w to. Nie moja sprawa ani interes mówić Włochom, jak mają prowadzić klub, w którym mnie gościli. Zabrałem jednak swojego drinka do przyległej sali, gdzie usadowiłem się, aby dokończyć książkę.

Była to interesująca książka, ale nigdy jej nie dokończyłem i często później zastanawiałem się, w jaki sposób bohater wyplątał się z kłopotów, w które uwikłał go autor. Nie przeczytałem nawet sześciu stron, gdy podszedł kelner.

— Jakaś pani chce się z panem zobaczyć, signor.

Poszedłem do holu i ujrzałem Francescę.

— Co tu robisz, u diabła? — zapytałem.

— Torloni jest w Rapallo — powiedziała.

Właśnie miałem się odezwać, gdy zjawił się sekretarz i zobaczył nas.

— Lepiej chodźmy do środka, tu zbyt dużo zwracamy na siebie uwagę — powiedziałem.

Sekretarz zbliżył się pospiesznie, mówiąc:

— Ach, Madame, już dawno nie mieliśmy zaszczytu gościć pani. Byłem członkiem klubu — choć tylko honorowym — więc powiedziałem:

— Czy mógłbym wprowadzić panią do klubu jako swojego gościa? Wyglądał na dziwnie przestraszonego i rzekł nerwowo:

— Tak, tak, oczywiście. Nie, nie ma powodu, aby Madame wpisywała się do książki.

Idąc z Francescą do sali zastanawiałem się, co tak poruszyło sekretarza. Miałem jednak inne sprawy na głowie. Usiedliśmy.

— Lepiej napij się czegoś — odezwałem się.

— Campari — zdecydowała i szybko dodała: — Torloni ściągnął ze sobą wielu ludzi.

— Uspokój się — powiedziałem i zamówiłem campari u kelnera. — A co z Metcalfe'em? — spytałem, gdy odszedł.

— Fairmilla opuściła Genuę. Nie wiemy, gdzie jest.

— A Torloni? Co z nim?

— Godzinę temu zameldował się w hotelu na Piazza Cavour. Siedziałem wtedy w kawiarence przy chodniku. Może go nawet widziałem.

— Mówisz, że sprowadził ze sobą kilku ludzi?

— Jest z nim ośmiu.

Robiło się nieciekawie. Wyglądało na to, że szykuje się atak: ośmiu i ośmiu dawało szesnastu, plus sam Torloni, prawdopodobnie Metcalfe, Krupke, ten Marokańczyk i może jeszcze ktoś z załogi fairmili. Ponad dwudziestu ludzi!

— Musieliśmy działać szybko — powiedziała. — Trzeba było przegrupować nasze siły — dlatego przyszedłem tu osobiście. Nie miałam już nikogo innego.

— A ilu m y mamy ludzi? — spytałem. Zmarszczyła brwi.

— Dwudziestu pięciu — może później będzie więcej. Nie umiem powiedzieć.

To już lepiej. Wciąż mieliśmy przewagę. Zastanawiało mnie jednak gromadzenie sił przez Torloniego. Nie potrzebowałby tylu zbirów, aby chwycić trzech, zapewne niczego nie spodziewających się ludzi. Musiał więc dowiedzieć się czegoś o naszych partyzanckich sprzymierzeńcach. Być może utracimy atut zaskoczenia.

Kelner przyniósł campari. Gdy płaciłem, Francesca spoglądała przez okno na przystań.

— Co to za statek? — spytała, gdy kelner odszedł.

— Który?

Wskazała jacht motorowy, który zauważyłem już przedtem.

— A, ten! Pływający burdel jakiegoś bogacza.

— Jak się nazywa? — spytała pełnym napięcia głosem. Próbowałem sobie przypomnieć.

— Eee... chyba „Calabria” Knykcie jej zbiełały, gdy zacisnęła ręce na oparciu fotela.

- To łódź Eduarda — powiedziała cicho.
- Kto to jest Eduardo?
- To mój mąż.

Zrozumiałem, dlaczego sekretarz był taki przestraszony. Nie jest przyjęte, aby ktoś obcy wprowadzał kobietę jako swego gościa, gdy jej mąż znajduje się w pobliżu i lada moment może przyjść do klubu. Stłumiłem śmiech.

- Założę się, że to on jest tym facetem, który robi taką drakę przy barze.
- Muszę już iść — powiedziała.
- Dlaczego?

— Nie mam ochoty go spotkać. — Odsunęła na bok drinka i wzięła torebkę.

— Mogłabyś wypić do końca. Po raz pierwszy cię zaprosiłem. Tak czy inaczej nie ma takiego mężczyzny, z powodu którego warto byłoby tracić drinka.

Odpreżyła się i wzięła campari.

— Eduardo nie jest wart niczego. Dobrze, będę na tyle dobrze wychowana, że dopiję drinka i wtedy dopiero wyjdę.

Mimo wszystko spotkaliśmy go. Tylko Estrenoli — z tego co słyszałem o jego rodzie — mógł zatrzymać się tak dramatycznie przy wejściu, skrócić w stronę naszego stolika i w taki sposób zwrócić się do Franceski.

— Ach, moja kochająca żona — rzekł. — Jestem zaskoczony widząc cię w tak cywilizowanym otoczeniu. Sądziłem, że pijasz w rynsztokach.

Był krępy męczyzną o niezłej prezencji, którą psuły przekrwione oczy i zuchwałe usta. Drobną wąsik zniekształcał mu górną wargę, a twarz miał zaczerwienioną od alkoholu. Zignorował mnie całkowicie.

Francesca patrzyła wprost przed siebie kamiennym wzrokiem. Usta miała zaciśnięte. Nie spojrzała nawet, gdy opadł ciężko na krzesło obok niej.

— Nie prosiliśmy, aby pan usiadł z nami, signor — powiedziałem. Odwrócił się i zaśmiał krótko, spoglądając na mnie arogancko. Ponownie zwrócił się do Franceski.

— Jak widzę, włoskie szumowiny już ci teraz nie wystarczają, bierzesz kochanków z zagranicy.

Zahaczyłem stopą tylną nogę jego krzesła i mocno pociągnąłem. Krzesło wysliznęło się spod niego i zwałił się jak długi na podłogę. Stałem nad nim.

— Powiedziałem, że nie był pan zaproszony do stolika. Spojrzał na mnie wyraźnie rozgniewany i z trudem podniósł się na nogi. Był wściekły.

— Wywalę cię z kraju w ciągu dwudziestu czterech godzin! — wrzasnął. — Czy wiesz, kim ja jestem?

Okazja była zbyt dobra, aby ją zaprzepaścić.

— Gówna zazwyczaj pływają na górze — odparłem spokojnie, po czym dodałem twardszym głosem: — Estrenoli, wracaj do Rzymu. Liguria nie jest dla ciebie zdrowa.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — odezwał się niespokojnie. — Czy mi grozisz?

— W promieniu mili jest z pięćdziesięciu ludzi, którzy pobiliby się o przywilej podejrzenia ci gardła. Coś ci powiem. To ja tobie daję dwadzieścia cztery godziny na wyniesienie się z Ligurii. Po tym czasie nie postawiłbym złamanego lira na twoje szansę.

Zwróciłem się do Franceski.

— Chodźmy stąd, nie podoba mi się ten zapach.

Wzięła torebkę i dumnie kroczyła wraz ze mną do drzwi. Zostawiliśmy Estrenolego dławiącego się bezsilną złością. Słyszałem w sali klubowej przytłumione komentarze, dało się też słyszeć kilka chichotów. Przypuszczam, że wiele obecnych tam osób miało ochotę zrobić to samo. Hrabia był jednak zbyt silny, aby mu stanąć na drodze. Ja nie dbałem o to zupełnie. Trząsałem się ze złości.

Chichotów Estrenoli już nie wytrzymał. Dogonił nas, gdy przecinaliśmy hol. Poczulem jego rękę na ramieniu i odwróciłem głowę.

— Zabieraj rękę — odezwałem się chłodno.

Hrabia wybelkotał z trudem:

— Nie wiem, kim jesteś, ale brytyjski ambasador dowie się o tym.

— Nazywam się Halloran, i zabieraj swą parszywą łapę.

Nie posłuchał. Zamiast tego zacisnął rękę i pociągnął mnie tak, że stanąłem twarzą do niego.

Tego było za wiele.

Zatopiłem trzy sztywne palce w jego miękkim brzuchu, aż stęknął i zgiął się w pół. Wtedy najmocniej, jak umiałem, uderzyłem go pięścią. W ten cios włożyłem wszystkie tłumione w czasie minionych tygodni frustracje. Oberwał zamiast Metcalfe'a i Torloniego oraz wszystkich zbirów, którzy zbiegli się jak szakale. Musiałem mu złamać szczękę i otarłem sobie knykcie. Zwalił się jak worek mąki. Z ust buchnęła mu krew.

W chwili zadawania ciosu poczułem w plecach gwałtowny ból.

— Chryste, moje plecy! — jęknąłem i odwróciłem się do Franceski. Nie było jej jednak.

Zamiast tego znalazłem się twarzą w twarz z Metcalfe'em.

— Co za cios! — rzekł z uznaniem. — Facet ma niewątpliwie złamaną szczękę, słyszałem, jak strzeliła. Czy myślałeś kiedyś, żeby powalczyć w lekkopółśredniej, Hal?

Byłem zbyt zdumiony, aby cokolwiek odpowiedzieć. Wówczas przypomniałem sobie o Francesce i rozejrzałem się gwałtownie. Wyłoniła się zza Metcalfe'a.

— Czy ten typ mówił coś o brytyjskim ambasadorze? — spytał. Rozejrzał się po holu. Na szczęście było pusto i nikt nie widział awantury. Metcalfe spojrzął na najbliższe drzwi prowadzące do męskiej toalety. Uśmiechnął się szeroko.

— Może zawlecemy ten zewłok do sąsiedniego pomieszczenia? Przyznałem mu rację. Zaciągnęliśmy razem Estrenolego do ubikacji i upchnęliśmy w kabinie. Metcalfe wyprostował się i rzekł:

— Jeśli ten ptaszek rozmawia z brytyjskim ambasadorem, to musi być grubą rybą. Kim on jest?

Powiedziałem mu, a Metcalfe gwizdnął.

— Jak już tłuczesz, to wielkich! Nawet ja słyszałem o Estrenolim. Za co mu przyłożyłeś?

— Z powodów osobistych — odparłem.

— Związanych z tą damą?

— Jego żoną. Metcalfe jęknął.

— Bracie, aleś się wrobił. Wpakowałeś się w kabałę, to pewne.

W ciągu dwunastu godzin wywloką cię z Włoch za uszy. — Podrapał się po głowie. — A może nie, może mógłbym to załatwić. Zaczekaj tu i nie pozwól nikomu korzystać z tego klopa. Powiem twojej dziewczynie, żeby była w pobliżu. Wracam za kilka minut.

Oparłem się o ścianę i próbowałem logicznie pomyśleć o Metcalfie, ale nie mogłem. Plecy bolały mnie jak diabli, a w ręce, którą uderzyłem Estrenolego, czułem tępe pulsowanie. Wyglądało na to, że zawałem wszystko. Wciąż ostrzegałem Coertzego, żeby nie wdawał się w bójki, a teraz właśnie ja to zrobiłem. Do tego jeszcze ten Metcalfe.

Metcalfe dotrzymał słowa i wrócił po dwóch minutach. Wraz z nim pojawił się przysadzisty Włoch o sinych policzkach, ubrany w elegancki garnitur.

— Mój przyjaciel, Guido Torloni — przedstawił Metcalfe. — Guido, to Peter Halloran.

Torloni spojrzął na mnie zaskoczony.

— Hal znalazł się w opałach — ciągnął Metcalfe. — Złamał rządową szczękę. — Wziął Torloniego na bok i rozmawiali ze sobą cicho. Obserwując Torloniego pomyślałem, że sprawy idą coraz gorzej.

Metcalfe wrócił.

— Nie martw się, Guido to załatwi. Umie załatwić wszystko.

— Nawet Estrenolego? — spytałem z niedowierzaniem.

— Nawet Estrenolego — uśmiechnął się Metcalfe. — Guido jest w tej części Włoch

„panem załatwiaczem” we własnej osobie. Zostawmy mu to. Wyszliśmy do holu. Nie było tam Franceski.

— Pani Estrenoli czeka w moim samochodzie — rzekł Metcalfe. Przeszliśmy do samochodu, a Francesca spytała:

— Czy wszystko w porządku?

— Wszystko gra — odparłem. Metcalfe stłumił śmiech.

— Z wyjątkiem pani męża, madame. Będzie mu strasznie niemiło, gdy się ocknie.

Ręka Franceski zacisnęła się na krawędzi drzwi. Położyłem na niej swoją i ścisnąłem ostrzegawczo.

— Francesco, to jest pan Metcalfe, mój stary przyjaciel z Afryki Południowej.

Poczułem, jak jej palce drgnęły. Pospiesznie dodałem:

— Przyjaciel pana Metcalfe'a, pan Torloni, zajmuje się twoim mężem. Jestem pewien, że nic mu się nie stanie.

— O tak — przytaknął Metcalfe pogodnie. — Wszystko będzie w porządku. Nikomu nie przysporzy żadnych kłopotów — nagle

zmarszczył brwi. — A jak tam twoje plecy, Hal? Lepiej, żeby je ktoś zaraz obejrzał. Jeśli chcesz, zawiozę cię do lekarza.

— To drobnostka — odparłem. Nie chciałem nigdzie jeździć z Metcalfe'em.

— Bzdura! — rzekł. — Kto jest tu twoim lekarzem? Sprawa wyglądała nieco inaczej, jeśli mógł nas zawieźć do lekarza, którego m y wybierzemy. Spojrzałem pytająco na Francescę.

— Znam dobrego lekarza.

Metcalfe klasnął w ręce.

— W porządku. Ruszajmy. Tak więc przewiózł nas przez miasto, a Francesca wskazała gabinet lekarza. Metcalfe zahamował i rzekł:

— Wejdźcie, a ja zaczekam tutaj. Podrzucę was później do stoczni Palmeriniego.

Masz ci los. Najwyraźniej Metcalfe nie miał nic przeciwko temu, abyśmy wiedzieli, że zna naszą kryjówkę. W powietrzu wisiało coś dziwnego i niezbyt mi się to podobało.

Gdy tylko weszliśmy do poczekalni, Francesca spytała:

— Czy to jest Metcalfe? Wygląda na miłego człowieka.

— Bo jest. Ale nie wchodzi mu w drogę, bo cię staranuje — syknąłem, gdyż plecy w wyjątkowo przykry sposób przypomniały mi o sobie. — Co teraz zrobimy, u diabła?

— Nic się nie zmieniło — rzekła Francesca rzeczowo. — Wiedzieliśmy, że i tak przyjdą. Teraz już są.

Miała rację.

— Przykro mi, że uderzyłem twojego męża.

— A mnie nie — odparła szczerze. — Przykro mi tylko, że przy okazji skaleczyłeś się i że możesz mieć z tego powodu kłopoty.

— Nie będę miał — odrzekłem ponuro. — A przynajmniej dopóki sprawa jest w rękach Torloniego. Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem. Dlaczego Metcalfe i Torloni mieliby być zainteresowani wyciąganiem mnie z kłopotów? To nie ma sensu.

Lekarz był już wolny i mógł obejrzeć moje plecy. Powiedział, że zerwałem ścięgno, i zaczął mnie zawijać jak mumię. Zabandażował mi też rękę, pokaleczoną nieco w miejscu, gdzie knykcie oparły się na zębach Estrenolego. Gdy wychodziliśmy, Metcalfe pomachał nam z samochodu i zawołał:

— Podwiozę was do stoczni!

W tej sytuacji odmowa nie miałaby sensu, więc wsiedliśmy. Gdy ruszaliśmy, spytałem niedbale:

— Skąd wiedziałeś, że jesteśmy w stoczni Palmeriniego?

— Wiedziałem, że podróżujecie po tych wodach, więc zapytałem kapitana portu, czy już się pokazałeś — odparł lekko Metcalfe. — Opowiedział mi wszystko o tobie.

Brzmiało go dość przekonująco i gdybym nie miał swoich informacji, mógłbym mu

uwierzyć.

— Słyszałem, że masz problemy z kilem — zagadnął. Zbyt blisko krążył wokół sedna sprawy.

— Tak, próbowałem eksperymentalnej metody mocowania go, ale chyba nie zdaje egzaminu. Zdaje się, że będę zmuszony zdjąć ten kil i zamocować go ponownie.

— Zrób dobrze — poradził. — Szkoda byłoby, gdyby ci odpadł na pełnym morzu. Wywrotkę miałbyś murowaną.

Rozmowa stawała się bardzo dla mnie niewygodna. Były to pogaduszki dobre w sklepie żeglarskim, ale z Metcalfe'em nigdy nic nie wiadomo. Ulżyło mi, gdy zmienił temat.

— Co się stało z twoją twarzą? Brałeś udział w innej bijatyce?

— Spadłem ze skałki — odparłem lekko. Cmoknął ze współczuciem.

— Hal, mój chłopcze, powinieneś bardziej uważać na siebie. Nie chciałbym, aby ci się coś stało. Tego było już za wiele.

— Skąd ta nagła troskliwość? — spytałem kwaśno. Odwrócił się zaskoczony.

— Nie lubię patrzeć, jak obijają moich przyjaciół, a szczególnie ciebie. Jesteś w końcu dość przystojnym facetem — zwrócił się do Franceski. — Prawda?

— Tak sędzę — odpowiedziała. Zaskoczyła mnie.

— Postaram się jeszcze trochę pożyć — powiedziałem, gdy Metcalfe zatrzymał się przy bramie stoczni. — Staję się ekspertem w tych sprawach.

Wysiedliśmy z Franceską z samochodu, a Metcalfe spytał:

— Hal, nie pokażesz mi nowego mocowania kilu? Uśmiechnąłem się szeroko.

— Jestem zawodowym projektantem, u licha. Nigdy nie pokazuję nikomu swoich pomysłów. — Skoro on umiał zwodzić w tej grze aluzji, nie mogłem okazać się gorszy.

— Bardzo to rozsądnie z twojej strony — stwierdził z uśmiechem. — Chyba się jeszcze zobaczymy?

Zbliżyłem się do samochodu tak, by Francesca nie mogła nic słyszeć.

— Co się stanie z Estrenolim?

— Nic wielkiego. Guido zabierze go do dobrego, zaufanego lekarza na opatrunek. Później odstawi do Rzymu, ale najpierw napędzi mu cholernego stracha. Przypuszczam, że Estrenoli nie jest zbyt odważny, a nasz Guido, jeśli zechce, potrafi być przerażający. Nie będzie więcej kłopotów.

Z ulgą odszedłem od samochodu. Obawiałem się, że Estrenoli zostanie wrzucony do zatoki w cementowym płaszczu, a nie chciałem mieć niczyjego życia na sumieniu. Nawet jego.

— Dzięki — powiedziałem. — Tak, zobaczymy się. W tak małym mieście nie da się tego uniknąć.

Wrzucił bieg i ruszył wolno, uśmiechając się przez boczną szybę.

— Jesteś fajnym chłopcem, Hal. Nie daj się nikomu nabrać. Odjechał, a ja zastanawiałem się, o co tu naprawdę chodzi.

IV

Atmosfera w stoczni była napięta. Idąc przez podwórze, zauważyłem dużo więcej ludzi niż zazwyczaj. To zapewne przyjaciele Franceski. Gdy weszliśmy do szopy, Piero natychmiast podszedł do mnie i zapytał:

— Co się stało w klubie? — głos drżał mu z przejęcia.

— Nic się nie stało — odparłem. — Nic poważnego. — Z tyłu zobaczyłem niskiego mężczyznę o jasnych czujnych oczach. — Co to za jeden?

Piero odwrócił się.

— Cariaceti, jubiler. Mniejsza o niego. Co się stało w klubie? Wszedłeś do środka, Madame też. Później weszli ten Metcalfe i Torloni. A potem wyszliście razem z Metcalfe'em.

Co się dzieje?

— Uspokój się, wszystko w porządku. Wpadliśmy na Estrenolego i rozłożyłem go.

— Estrenolego? — Zaskoczony Piero spojrział na Francescę, która potwierdziła skinieniem głowy.

— Gdzie jest teraz? — dopytywał się z uporem.

— W łapach Torloniego — powiedziałem.

Dla Piera tego było już za wiele. Usiadł na stojaku i wpatrywał się w podłogę. — Torloniego? — powtórzył bezmyślnie. — Czego Torloni mógłby chcieć od Estrenolego?

— Skąd mam wiedzieć? Cała ta sprawa jest jedną z chytrych zagrywek Metcalfe'a. Wiem tylko, że poniosło mnie z Estrenolim, a Metcalfe wyłączył go na jakiś czas z obiegu. I nie pytaj mnie dlaczego.

Uniósł wzrok.

— Mówi się, że zachowywałeś się dzisiaj bardzo przyjacielsko wobec Metcalfe'a — rzekł podejrzliwie.

— Niczego nie osiągniemy zrażając go do siebie. Jeśli chcesz wiedzieć, co się stało, zapytaj Francescę. Była tam.

— Hal ma rację — odezwała się Francesca. — Traktował Metcalfe'a odpowiednio. Tamten go sprowokował, lecz Hal nie dał się wyprowadzić z równowagi. Prócz tego — powiedziała z lekkim uśmiechem — Metcalfe wygląda na człowieka, którego trudno nienawidzić.

— Za to nietrudno zniechęcić Torloniego — mruknął Piero. — A Metcalfe jest jego przyjacielem.

W ten sposób nie doszlibyśmy donikąd, więc przerwałem im:

— Gdzie Coertze i Walker?

— W mieście — rzekł Piero. — Wiemy, gdzie są.

— Chyba lepiej byłoby, żeby wrócili. Sprawy mogą zacząć się toczyć szybko. Trzeba się zastanowić, co robić dalej.

Cicho wstał i wyszedł na podwórze. Podszedłem do małego jubilera.

— Signor Cariaceti — powiedziałem. — Jak rozumiem, przyjechał pan tutaj, aby obejrzeć parę klejnotów.

— W istocie — odrzekł. — Wolałbym jednak nie pozostawać tu zbyt długo.

Wróciłem do Franceski.

— Lepiej pokazać Cariacetiemu te kosztowności. Później możemy nie mieć na to zbyt wiele czasu.

Odeszła pomówić z Cariacetim, a ja popatrzyłem markotnie na kil, któremu wciąż brakowało dwóch ton. Sprawy przedstawiały się kiepsko i byłem zrozpaczony. Przy intensywnej pracy dokończenie kilku zajęłoby osiem dni, kolejny dzień mocowanie go, jeszcze jeden potrzebny był na założenie okładziny z włókna szklanego i zwodowanie „Sanforda”.

Dziesięć dni! Czy Metcalfe i Torloni będą czekać tak długo?

Niedługo Francesca wróciła.

— Cariaceti jest zdumiony — powiedziała. — Jest najszcześniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam.

— Miło mi, że ktoś jest szczęśliwy — odparłem ponuro. — Ta cała sprawa rozsypie się na kawałki. Położyła mi rękę na ramieniu.

— Nie miej do siebie pretensji. Nikt nie zrobiłby więcej niż ty.

Usiadłem na stojaku.

— Oczywiście mogłoby być gorzej — powiedziałem. — Walker mógłby się spać właśnie teraz, gdy go potrzebujemy. Coertze mógłby wpaść w amok, a ja mógłbym upaść i złamać parę kości.

Ujęła w dłonie moją zabandażowaną dłoń.

— Nigdy nie powiedziałam tego żadnemu mężczyźnie, ale tobie to powiem — jesteś człowiekiem, którego bardzo podziwiam. Spojrzałem na jej rękę spoczywającą na mojej.

— Tylko podziwiasz? — spytałem łagodnie. Uniosłem wzrok i zobaczyłem, jak się rumieni. Szybko cofnęła rękę i odwróciła się.

— Czasami sprawia mi pan przykrość, panie Halloran. Wstałem.

— Jeszcze niedawno było Hal. Powiedziałem, że przyjaciele nazywają mnie Hal.

— Jestem twoją przyjaciółką — odparła wolno.

— Francesco, chciałbym, abyś była dla mnie kimś więcej niż przyjaciółką.

Znieruchomiała nagle, a ja objąłem ją w pól.

— Myślę, że cię kocham, Francesco — powiedziałem. Odwróciła się szybko, śmiejąc przez łzy.

— Ty tak tylko myślisz, Hal. Ach, jacy wy, Anglicy, jesteście chłodni i ostrożni. Ja natomiast wiem, że cię kocham.

Coś ścisnęło mnie w dołku, a cała ta ciemna szopa wydała się nagle jaśniejsza.

— Tak, kocham cię, ale nie wiedziałem, jak to właściwie powiedzieć. Nie wiedziałem, jak zareagujesz, kiedy to powiem.

— Mówię, że to wspaniale.

— Będzie nam dobrze — powiedziałem. — Cape jest cudownym miejscem. Prócz tego jest jeszcze cały świat. Posmutniała nagle.

— Nie wiem, Hal. Nie wiem. Wciąż jestem mężatką, nie mogę wyjść za ciebie.

— Włochy nie są całym światem — powiedziałem łagodnie. — W większości krajów rozwód nie jest czymś haniebnym. Ludzie, którzy stworzyli prawo do rozwodu, wiedzieli, co robią. Nigdy nie związali by nikogo na całe życie z kimś takim jak Estrenoli.

Potrząsnęła głową.

— Tutaj, we Włoszech, oraz w oczach mojego Kościoła rozwód jest grzechem.

— W takim razie Włochy i twój Kościół są w błędzie. Ja tak mówię, nawet Piero tak mówi.

— Co się stanie z moim mężem? — spytała wolno.

— Nie wiem. Metcalfe twierdzi, że zostanie odwieziony do Rzymu pod eskortą.

— To wszystko? Torloni go nie zabije?

— Nie sądzę. Metcalfe powiedział, że nie, a ja mu wierzę. Może jest kanalią, ale jeszcze nigdy nie złapałem go na podłym kłamstwie. Skinęła głową.

— Ja też mu wierzę. — Milczała jakiś czas, po czym rzekła: — Gdy się dowiem, że Eduardo jest bezpieczny, pojedę z tobą do Afryki Południowej czy jakiegokolwiek innego miejsca. Za granicą uzyskam rozwód i wyjdę za ciebie, ale Eduardo musi być cały i zdrowy. Nie mogłabym mieć takiej *rzeczy* na sumieniu.

— Dopilnuję tego — powiedziałem. — Zobaczą się z Metcalfe'em. — Spojrzałem na kil. — Muszę jednak doprowadzić tę sprawę do końca. Włożyłem w to sporo wysiłku, a trzeba też wziąć pod uwagę innych — Coertzego, Walkera, Piera, wszystkich twoich ludzi; nie mogę się teraz zatrzymać. Wiesz przecież, że nie chodzi tylko o złoto.

— Wiem. Ktoś musiał cię mocno zranić, żebyś zaczął coś takiego. Nie jest to twój żywioł.

— Miałem żonę, którą zabił pijaczyna podobny do Walkera.

— Tak mało wiem o twojej przeszłości — powiedziała zamyślona. — Tyle muszę się dowiedzieć. Twoja żona... Bardzo ją kochałeś. — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

Opowiedziałem jej trochę o Jean, więcej o sobie i przez jakiś czas rozmawialiśmy przyciszonymi głosami, tak jak robią to zwykle zakochani.

V

Wówczas wszedł Coertze.

Zapytał, skąd ten pośpiech i dlaczego zakłócono mu dzień odpoczynku. Jak na

człowieka, który nie chciał przerywać pracy, bardzo niechętnie przyjął odebranie mu jego chwilowych przyjemności.

Wprowadziłem go w wydarzenia. Zdumiał się tak jak każdy z nas.

— Dlaczego Metcalfe miałby nam pomagać? — zapytał.

— Nie wiem i nie mam zamiaru go pytać — odparłem. — Gdyby powiedział mi prawdę, mogłaby okazać się gorsza od wszelkich naszych przypuszczeń.

Coertze zrobił to co ja — poszedł przypatrzeć się kilowi.

— Jeszcze co najmniej osiem dni odlewania — powiedziałem.

— *Magtig* — wybuchnął. — Teraz już mi nikt tego nie odbierze — zdjął marynarkę. — Zaczynamy robotę natychmiast.

— Przez godzinę będziecie musieli obejść się beze mnie — powiedziałem. — Jestem umówiony.

Coertze obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, ale nie odezwał się, gdy z trudem nakładałem marynarkę. Francesca pomogła mi przykryć nią skorupę bandaży pod koszulą.

— Dokąd idziesz? — spytała cicho.

— Zobaczyć się z Metcalfe'em. Chcę wyjaśnić sprawę do końca. Skinęła głową.

— Uważaj na siebie.

Wychodząc wpadłem na Walkera. Wyglądał na przybitego.

— Co z tobą? — zapytałem. — Wyglądasz, jakbyś zgubił szylinga, a znalazł sześciopensówkę.

— Jakiś drań mnie okradł — odparł wściekły.

— Dużo straciłeś?

— Zginęła mi pa... — rozmyślił się. — Zginął mi portfel.

— Nie przejmowałbym się tym zbytnio — pocieszyłem go i dodałem: — Jeśli nie będziemy ostrożni, stracimy złoto. Zobacz się z Coertzem, to ci opowie — przepchnąłem się obok i zostawiłem go zagapionego na moje plecy.

Poszedłem do biura Palmeriniego i zapytałem, czy mógłbym pożyczyć jego samochód. Nie miał nic przeciwko temu, wziąłem więc małego fiata i pojechałem do przystani jachtowej. Dość łatwo odnalazłem fairmilę. Zwróciłem uwagę, że była niewidoczna z jachtklubu, dlatego nie zauważyłem jej wcześniej. Krupke polerował niklowane części sterówki.

— Cześć — powiedział. — Miło cię znów widzieć. Metcalfe mówił, że jesteś w mieście.

— Czy jest na pokładzie? Chciałbym się z nim zobaczyć.

— Zaczekaj chwilę — odparł Krupke i zszedł na pokład. Wrócił niemal natychmiast. — Mówi, żebyś zszedł na dół.

Wskoczyłem na pokład i zszedłem za Krupke'em do głównego salonu. Metcalfe leżał na otomanie i czytał książkę.

— Co cię sprowadza tak szybko? — spytał.

— Chciałem ci coś powiedzieć — odparłem i zerknąłem na Krupke'a.

— W porządku, Krupke — rzekł Metcalfe i Krupke wyszedł.

Metcalfe otworzył kredens i wyciągnął butelkę oraz dwie szklanki. — Napijesz się?

— Dziękuję — powiedziałem. Nalał dwa głębsze i rzekł:

— No to chlup.

Kiedy wypiliśmy, odezwał się:

— Jaki masz kłopot?

— Czy ta historyjka, że Torloni zajmie się Estrenolim, jest prawdziwa?

— Jasne. Estrenoli jest teraz u lekarza.

— Chciałem się tylko upewnić — powiedziałem. — Upewnić się, że przekażesz coś Torloniemu; jeśli Estrenoli nie dotrze do Rzymu cały i zdrowy, to zabiję go osobiście.

Metcalfe spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Oho ho! — rzekł. — Ktoś cię wykarmił tygrysim mlekiem. Jaki masz interes w

troszczeniu się o Estrenolego? — Przyjrzał mi się uważnie, po czym roześmiał się i pstryknął palcami. — No jasne, hrabina nalega.

— Nie mieszaj się do tego — ostrzegłem. Metcalfe uśmiechnął się.

— Ach ci młodzi, nigdy nie wiadomo, co jeszcze wymyślą.

— Zamknij się.

Podniósł ręce w udanym przest్రachu.

— Już dobrze, już dobrze. — Nagle roześmiał się. — Sam omal nie zabiłeś Estrenolego. Gdybyś go uderzył odrobinę mocniej, byłby trupem.

— Nie mogłem uderzyć mocniej.

— Nie zakładałbym się o to — odparł Metcalfe. — Wciąż jest nieprzytomny. Ten konował zdrutował mu szczękę. Przez miesiąc nie będzie mógł mówić. — Nalał ponownie. — W porządku, przypilnuję, aby dotarł do Rzymu uszkodzony nie bardziej niż teraz.

— Chciałbym to mieć na piśmie. Od samego Estrenolego, w liście wysłanym z Rzymu, z datą stempla nie późniejszą niż od dziś za tydzień.

Metcalfe nie poruszył się.

— Nie uważasz, że naciskasz zbyt mocno? — rzekł spokojnie.

— Tego właśnie chcę — odparłem z uporem. Przyjrzał mi się uważnie.

— Ktoś zrobił z ciebie mężczyznę, Hal — powiedział. — Dobra, niech tak będzie. — Pchnął mi szklankę po stole. — Wiesz — rzekł niemal z zadumą. — Na twoim miejscu nie zostawałbym w Rapallo zbyt długo. Jak najszybciej załatwiłbym ten cholerny kil i wyniosłbym się stąd. Niebezpiecznie jest igrać z Torlonim.

— Nie igram z Torlonim. Pierwszy raz go dzisiaj widziałem. Skinął głową.

— W porządku, twoja sprawa, jeśli tak chcesz to rozegrać. Ale posłuchaj, Hal. Przycisnąłeś mnie teraz i poszedłem na to, gdyż Estrenoli mnie nie obchodzi, a ty jesteś kumplem i może nie miałem nic przeciwko temu, abyś mnie w tej sprawie przycisnął. Nie próbuj jednak naciskać Torloniego. To drań, zjadłby cię na śniadanie.

— Nie naciskam Torloniego tak długo, jak on nie naciska mnie. — Dopilem i wstałem. — Do zobaczenia. Metcalfe uśmiechnął się szeroko.

— Z pewnością. Jak sam powiedziałeś, to małe miasteczko.

Wyszedł ze mną na pokład.

Jadąc z powrotem do stoczni zastanawiałem się nad rolą Metcalfe'a. Parę rzeczy powiedział jasno, lecz nie do końca, co jedynie gmatwało jego i tak już niejasną pozycję w tej sprawie. Dość wyraźnie powiedział: „Wynoś się, zanim cię Torloni posieka”. Nie mogłem jednak zrozumieć dlaczego — w końcu Torloni był j e g o człowiekiem.

Nie pojmowałem tego.

Gdy wróciłem do stoczni, pracę kontynuowano, jak gdyby nigdy nie było przerwy. Błysnęło, gdy roztopił się klocek złota. Coertze nachylił się nad formą, aby je wylać.

Francesca podeszła do mnie.

— Załatwione, w ciągu tygodnia dostaniesz wiadomość od Eduarda — powiedziałem. Westchnęła.

— Chodź i zjedz kolację. Jeszcze nic nie jadłeś.

— Dzięki — odparłem i poszedłem za nią do przyczepy.

ZŁOTY KIL

I

Harowaliśmy, mój Boże, jak myśmy harowali!

Wspomnienie tamtego tygodnia pozostanie ze mną jako ciąg mrocznych dni, przerywanych jasnymi błyskami wytopów. Topiliśmy i laliśmy złoto przez szesnaście godzin

dziennie, aż ręce nam mdlały, a oczy bolały od rozbłysków. Nocą zwałaliśmy się na legowiska, śpiąc już, nim dotknęliśmy poduszek, i zdawało się, że mija ledwie kilka minut, gdy ponownie przywoływano nas do tej przeklętej linii produkcyjnej, którą wymyśliłem.

Doszło do tego, że znienawidziłem widok i dotyk złota, a także jego zapach — roztopione wydziela charakterystyczną woń. Modliłem się, aby już nadszedł czas, gdy znajdę się znów na morzu i nie będę się musiał przejmować niczym więcej prócz porywów wiatru i brzegiem po zawietrznej. Wolałbym raczej znaleźć się na łodzi podczas huraganu na Karaibach, niż przeżyć jeszcze jeden tydzień tej męki. Ale staraliśmy się skończyć tę pracę. Złota w formie było coraz więcej, a stos nie przetopionych sztab malał. Robiliśmy ponad 250 wytopów dziennie i obliczyłem, że zyskaliśmy pół dnia w stosunku do mojego pierwotnego dziesięciodniowego planu. Zysk ten niewiele znaczył, mógł jednak przeważać szalę na stronę zwycięstwa.

Metcalf i Torloni zachowywali się dziwnie spokojnie. Obserwowano nas — lub raczej obserwowano stoczną — i to wszystko. Mimo posiłków, które Torloni ściągnął do Rapallo, mimo że osobiście wszystko nadzorował, nie było żadnych prób otwartego wystąpienia przeciwko nam.

Nie mogłem tego zrozumieć.

Jedynym pocieszeniem w całej tej sytuacji była obecność Franceski.

Gotowała posiłki i przejęła dowodzenie nad wszystkimi sprawami poza pracą przy kilu. Przyjmowała raporty i wydawała instrukcje naszej służbie wywiadowczej. Chociaż z powodu tempa pracy mieliśmy dla siebie niewiele czasu, zawsze znajdowała go na jakiś drobny miły gest — przelotne dotknięcie czy niezmiennie podtrzymujący moją wolę uśmiech przez całą długość szopy.

W pięć dni po rozmowie z Metcalfe'em otrzymała list. Czytała go ze zmarszczką bólu na czole, po czym spaliła. Podeszła do mnie.

— Eduardo jest bezpieczny w Rzymie.

— Metcalfe dotrzymał obietnicy — powiedziałem. Przelotny uśmiech wykrzywił jej usta.

— A więc ja też dotrzymam — spoważniała. — Jutro musisz pójść do lekarza.

— Nie mam czasu — odparłem niecierpliwie.

— Musisz go znaleźć — nalegała. — Wkrótce będziesz musiał żeglować „Sanfordem”, powinieneś być w dobrej formie. Wciągnęła do dyskusji Coertzego.

— Ona ma rację — poparł ją. — Nie chcemy chyba zdać się wyłącznie na Walkera, co?

Było to kolejne zmartwienie. Walker zmieniał się w oczach. Kaprysił, poddając się na przemian gwałtownym napadom gniewu i nie dającym się przewidzieć przyływowom złego humoru. Nie można było mu zaufać. Wolno, lecz nieubłagane, złoto unicestwiała jego charakter, niszcząc go daleko skuteczniej niż jakikolwiek alkohol.

— Człowieku, idź do lekarza — powiedział Coertze. Uśmiechnął się zakłopotany. — W końcu to moja wina, że bolą cię plecy. Mogłem lepiej podstemplować to przejście; idź, a ja dopilnuję, aby robota nie ucierpiała.

Po raz pierwszy Coertze przyznał się do odpowiedzialności za coś. Nie ukrywam, że poczułem do niego szacunek. Nie żałował jednak moich obdartych knykcii, twierdząc, że człowiek powinien umieć zadawać ciosy pięścią tak, aby samemu się nie uszkodzić.

Tak więc następnego ranka Francesca zawiozła mnie do lekarza. Kiedy już się nasykał i nacmokał, oglądając moje plecy, ponownie założył mi opatrunek. Wyraził zadowolenie, że czuję się lepiej, i powiedział, abym równo za tydzień odwiedził go raz jeszcze. Przyrzekłem, że przyjdę, choć wiedziałem, że będziemy już wówczas na morzu, w drodze do Tangeru.

Kiedy znów usiedliśmy w samochodzie, Francesca powiedziała:

— A teraz jedziemy do hotelu „Levante”.

— Muszę wracać — odparłem.

— Drink dobrze ci zrobi, a parę minut nas nie zbawi.

Pojechaliśmy więc do hotelu „Levante”, wstąpiliśmy do holu i zamówiliśmy drinki.

Francesca zaczęła się bawić szklanką, po czym odezwała się z wahaniem:

— Jest jeszcze inny powód, dla którego cię tutaj sprowadziłam. Chciałabym, abyś się z kimś spotkał.

— Tutaj? Z kim?

— Mój ojciec jest na górze. Wypadałoby, żebyś się z nim zobaczył. Tego się nie spodziewałem.

— Czy on wie o nas? Pokręciła przecząco głową.

— Opowiedziałam mu o złocie i klejnotach. Bardzo się rozgniewał, tak że nie wiem, co zrobi. Nie powiedziałam mu o tobie i o mnie.

Zanosilo się na trudne spotkanie. Nieczęsto przyszy zięć musi się przyznać, że przemyca złoto, nim poprosi o rękę. Na domiar złego rękę kobiety poślubionej już komuś innemu.

— Bardzo chciałbym zobaczyć twojego ojca.

Dokończyliśmy drinki i poszliśmy na górę do jego pokoju. Siedział w fotelu, z kolanami nakrytymi pledem. Gdy się zjawiliśmy, szybko podniósł wzrok. Wyglądał na starego i zmęczonego. Włosy miał siwe, a broda nie była już szczeciniasta, jak mi ją opisano, lecz wiotka i miękka. Jego oczy były oczami pokonanego człowieka, który przestał się opierać.

— To jest pan Halloran — przedstawiła mnie Francesca. Podeszedłem do jego fotela.

— Miło mi pana poznać — powiedziałem. Jego oczy błysnęły.

— Doprawdy? — odparł ignorując moją wyciągniętą rękę. Oparł się o poręcz fotela. — A więc pan jest tym złodziejem, który okrada mój kraj ze złota.

Poczułem, jak zaciskają mi się szczęki.

— Najwyraźniej nie zna pan praw własnego kraju — odparłem spokojnie.

Uniósł krzaczaste siwe brwi.

— Ooo! A może pan potrafi mi je wyjaśnić, panie Halloran.

— Ten skarb kwalifikuje się pod paragraf o porzuconym mieniu. Według włoskiego prawa kto, jako pierwszy, wejdzie w jego posiadanie, staje się od tej chwili jego prawowitym właścicielem.

Zastanowił się nad tym.

— Śmiem twierdzić, że ma pan rację, tylko po co w takim razie ta cała tajemnica?

Uśmiechnąłem się.

— W grę wchodzi dużo pieniędzy. Nawet przy tajemnicy, którą staramy się zachować, i tak zbierają się sępy. Błysnął oczami.

— Nie sądzę, aby twoje prawo było sprawiedliwe, młody człowieku. To mienie nie zostało porzucone — zostało siłą, przy użyciu broni, odebrane Niemcom. Można by z tego zrobić piękną rozprawę sądową.

— Cały zysk pochłonęłyby honoraria adwokatów, nawet gdybyśmy wygrali — odparłem oschle.

— Ma pan rację. Ale nie podoba mi się to i nie chcę, aby moja córka mieszała się do tego.

— Pańska córka była zamieszana w gorsze sprawy — nie ustępowałem.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytał ostro.

— Mam na myśli Estrenolego.

Westchnął i odchylił się do tyłu, iskra w jego oczach zgasła i znów był znużonym starcem.

— Wiem — odparł zmęczonym głosem. — To było niegodziwe. Powinienem był tego zabronić, ale Francesca...

— Musiałam tak zrobić — stwierdziła kategorycznie.

— No, jeśli chodzi o niego, to nie musi się pan już martwić — powiedziałem. — Zostawi was w spokoju.

— Co mu się stało? — ożywił się hrabia.

Wokół ust Franceski pojawił się cień uśmiechu, gdy powiedziała:

— Hal złamał mu szczękę.

— Naprawdę? Naprawdę? — hrabia skinął na mnie. — Chodź tu, młody człowieku. Usiądź blisko mnie. Doprawdy uderzyłeś Estrenolego? Dlaczego?

— Nie podobały mi się jego maniery. Zachichotał.

— Wielu ludziom nie podobają się maniery Estrenolego, ale nikt jeszcze go nie uderzył.

Czy mocno go trafiłeś?

— Przyjaciel twierdzi, że o mało go nie zabiłem.

— Ach, jaka szkoda — rzekł hrabia dwuznacznie. — Ale musisz uważać. Jest potężnym człowiekiem, z potężnymi przyjaciółmi w rządzie. Będziesz musiał szybko wyjechać z Włoch.

— Wyjadę z Włoch, ale nie z jego powodu. Jak sądzę, jest teraz na tyle przestraszony, że nie sprawi kłopotów.

— Każdemu, kto dołożył Estrenolemu, należą się moje podziękowania i mój największy szacunek — powiedział hrabia.

Francesca zbliżyła się do mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

— Ja także opuszczam Włochy — powiedziała. — Wyjeżdżam z Halem.

Hrabia przyglądał się jej przez dłuższy czas, po czym spuścił głowę, spoglądając na kościste ręce skrzyżowane na brzuchu.

— Moje dziecko, zrobisz to, co uważasz za słuszne — rzekł cicho. — Włochy nie dały ci nic prócz zmartwień. Może, aby znaleźć szczęście, musisz wyjechać do innego kraju i żyć według innego prawa.

Uniósł głowę.

— Będzie pan dbał o nią, panie Halloran?

Skinąłem głową, niezdolny wydusić z siebie słowa.

Francesca podeszła do ojca, uklękła obok niego i ujęła go za rękę.

— Tato, musimy tak zrobić, kochamy się. Czy możesz nas pobłogosławić?

Uśmiechnął się krzywo.

— Dziecko, jak mogę pobłogosławić coś, co uważam za grzech? Ale myślę, że Bóg jest mądrzejszy niż księża i zrozumie was. Macie więc moje błogosławieństwo i miejcie nadzieję, że Bóg wam również błogosławi.

Schyliła głowę, ramiona jej drżały. Hrabia spojrzał na mnie.

— Sprzeciwiałem się małżeństwu z Estrenolim, ale zrobiła to dla mnie. Czegóż takiego nie można cofnąć. Takie jest nasze prawo. Francesca otarła oczy.

— Tato, mamy niewiele czasu i muszę ci coś powiedzieć. Cariace-ti — pamiętasz małego Cariacietiego — będzie od czasu do czasu odwiedzał cię i dawał pieniądze. Musisz...

— Nie chcę takich pieniędzy — przerwał.

— Tato, posłuchaj. Te pieniądze nie są dla ciebie. Będzie ich dużo i możesz wziąć trochę dla siebie, jeśli będziesz potrzebował. Jednak większość musi zostać rozdana. Daj trochę Mariowi Pradellemu na utrzymanie jego najmłodszego chorowitego dziecka. Daj trochę Morelemu, którego nie stać na wysłanie syna na uniwersytet. Daj je tym, którzy walczyli razem z tobą. Tym, którzy tak samo jak ty zostali oszukani przez komunistów. Tym, którzy tego potrzebują.

— Mój udział w złocie należy do Franceski, niech zrobi z nim, co chce. Można go tu dołożyć — powiedziałem. Hrabia zamyślił się na dłuższą chwilę.

— A więc w końcu może się to obrócić na dobre. W porządku, wezmę pieniądze i zrobię tak, jak mówisz.

— Piero Morese pomoże ci, on wie, gdzie są wszyscy starzy towarzysze — powiedziała.

— Mnie tu nie będzie. Za kilka dni wyjeżdżam z Halem.

— Nie — odezwałem się. — Zostaniesz. Wrócę po ciebie.

— Jadę z tobą — oświadczyła.

— Zostajesz tutaj. Nie chcę cię mieć na „Sanfordzie”.
— Usłuchaj go, Francesco — rzekł hrabia. — On wie, co robi, a może nie dać rady, jeśli tam będziesz.

Choć niechętnie, ale w końcu zgodziła się.

— Musisz już iść, Francesco — powiedział hrabia. — Chcę sam porozmawiać z twoim Halem.

— Zaczekam na dole.

Hrabia odprowadził ją wzrokiem.

— Myślę, że jest pan człowiekiem honoru, panie Halloran. Tak mi powiedział Piero Morese, gdy ubiegłej nocy rozmawiał ze mną przez telefon. Jakie są pańskie zamiary, gdy zabierze pan moją córkę z Włoch?

— Mam zamiar ożenić się z nią — odparłem. — Tak szybko, jak uda jej się załatwić rozwód.

— Zdaje pan sobie sprawę, że Francesca nigdy już nie będzie mogła wrócić do Włoch? Wie pan, że takie małżeństwo zostanie tu uznane za bigamię?

— Wiem i Francesca też wie. Sam pan powiedział, że we Włoszech nie spotkało jej nic oprócz przykrości.

— To prawda — westchnął. — Jej matka umarła jeszcze przed wojną, gdy Francesca była małą. Moja córka wychowywała się w obozie partyzanckim w czasie wojny domowej i od dzieciństwa była wielokrotnie świadkiem zarówno czynów bohaterskich, jak i upadków ludzi. Jest niezwykłą kobietą. Wbrew wszystkiemu nie stała się oschłą i zgorzkniałą. Jej serce nadal może pomieścić współczucie dla całej ludzkości. Nie chciałbym, aby je złamano.

— Kocham Francescę. Nie złamię jej serca; świadomie tego nie zrobię.

— Jak wiem, jest pan konstruktorem i budowniczym statków.

— Nie statków. Małych łodzi.

— Rozumiem. Po rozmowie z Pierem przyszło mi na myśl, aby dowiedzieć się, jakim jest pan człowiekiem, więc pewien przyjaciel popytał się za mnie. Zdaje się, że zaczyna pan zyskiwać uznanie w swoim zawodzie.

— Może w Afryce Południowej — odparłem. — Ale nie wiedziałem, że jestem znany tutaj.

— Było parę wzmianek o panu. Poruszam ten temat dlatego, że jest mi miło z tego powodu. Przedsięwzięcia, w które się pan obecnie zaangażował, zupełnie nie biorę pod uwagę. Nie sądzę, aby się wam udało — a jeśli nawet, to takie bogactwo jest niczym złoto z bajek. W rękach zamienia się w liście. Dobrze wiedzieć, że powodzi się panu na wybranym polu.

Podciągnął koc.

— Musi pan już iść. Francesca czeka. Nie mogę panu ofiarować nic prócz życzeń powodzenia, lecz ma je pan ode mnie, gdziekolwiek się pan znajdzie.

Ująłem podaną rękę i pod wpływem impulsu rzekłem:

— Dlaczego nie opuści pan Włoch i nie pojedzie z nami? Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nie, jestem już stary, a starzy nie lubią zmian. Nie mogę teraz opuścić mojego kraju, ale dziękuję za propozycję. Żegnaj, Hal, myślę, że uczynisz moją córkę bardzo szczęśliwą.

Pożegnałem się i wyszedłem z pokoju.

Nigdy już nie zobaczyłem hrabiego.

II

Nie do wiary, ale nadszedł czas, gdy kil był już odlany.

Staliśmy wszyscy wokół formy, przyglądając mu się trochę niepewnie. Wydawało się nieprawdopodobne, że cały nasz pot i trud został zredukowany do tej bezwładnej masy

ciemnożółtego metalu. Za ledwie ośmiu stóp sześciennych o szczególnym, niekonwencjonalnym kształcie.

— No, gotowe — powiedziałem. — Jeszcze dwa dni i „Sanford” będzie na wodzie.

Coertze spojrział na zegarek.

— Mamy czas, żeby coś jeszcze dzisiaj zrobić. Nie możemy skończyć tylko dlatego, że kil jest gotowy. Wciąż jeszcze jest mnóstwo pracy.

Pracowaliśmy więc dalej. Walker zaczął demontować piece, a Coertzego i Piera skierowałem do ściągania z „Sanforda” okładziny z włókna szklanego, żeby przygotować pole do zdjęcia ołowianego kilu. Tej nocy byliśmy szczęśliwi. Zmiana pracy i jej rytmu dobrze nam zrobiła i wszyscy czuliśmy się mniej zmęczeni.

Francesca zameldowała, że na potencjalnej linii frontu panuje spokój. Metcalfe znajdował się na fairmili, Torloni przebywał w hotelu.

Obstawa stoczni nie została wzmocniona — w zasadzie wszystko było na tyle normalne, na ile to możliwe w tak kompletnie nienormalnej sytuacji.

Kłopoty, jeśli w ogóle mają się zacząć, rozpoczną się w chwili, gdy spuścimy „Sanforda” na wodę. Przy pierwszych oznakach przygotowań do odpłynięcia przeciwnik zostanie zmuszony do wykonania ruchu. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie napadli na nas do tej pory.

Następny dzień był czystą radością. Pracowaliśmy równie ciężko jak każdego dnia, a kiedy skończyliśmy, „Sanford” stał się najkosztowniejszą łodzią na świecie.

Trzpień kilowe, dawno temu przygotowane w Cape Town przez Harry'ego, które teraz Coertze zatopił w złotym kilu, gładko wśliznęły się do otworów w stępce zewnętrznej. Gdy zabraliśmy podnośniki, „Sanford” wygodnie i pewnie osiadł na złocie.

— Nie rozumiem, dlaczego nie wykorzystałeś istniejących otworów, tych wywierconych dla starego kilu? — spytał Coertze.

— Z powodu różnic w rozkładzie wagi — odparłem. — Złoto waży o połowę więcej niż ołów i ten kil ma inny kształt niż stary. Dlatego musiałem manipulować również środkiem ciężkości. Myślę, że przy tak skoncentrowanym balaście „Sanford” będzie się kołysał jak stara balia, ale na to już nic nie da się poradzić.

Spojrzałem na „Sanforda”. Przedstawiał teraz wartość niewiele mniejszą niż milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów — najdroższy piętnastotonowiec w historii. Byłem z niego naprawdę dumny — niewielu konstruktorów jachtów mogło pochwalić się takim dziełem.

Tego wieczoru podczas kolacji byliśmy spokojni i wyjątkowo milczący.

— Lepiej wywieźć stąd klejnoty dzisiaj w nocy. Być może jest to ostatnia okazja, nim zaczną się fajerwerki — powiedziałem do Franceski.

Uśmiechnęła się.

— Nie będzie z tym problemu. Piero zatopił je w betonowych ceglach; uczymy się od ciebie sztuki maskowania. Leżą na zewnątrz, obok tej nowej szopy, którą buduje Palmerini.

Roześmiałem się.

— Muszę to zobaczyć.

— Chodź — odparła. — Pokażę ci.

Wyszliśmy w ciemną noc. Latarka oświetliła stos cegieł rozsypanych obok nowej szopy.

— Oto one. Te cenniejsze są pochłapane wapnem.

— Nieźle — powiedziałem. — Zupełnie nieźle.

Przytuliła się, a ja ją objąłem. Niezbyt często mieliśmy czas na takie rzeczy. Brakowało nam wielu przyjemności będących zwykle udziałem zakochanych. Po chwili odezwała się cicho:

— Kiedy wracasz?

— Gdy tylko sprzedamy złoto. Przylecę pierwszym samolotem z Tangeru.

— Będę czekała. Nie tutaj. W Mediolanie, z ojcem. Zapamiętałem adres, który mi

podawała.

— Nie masz nic przeciwko opuszczeniu Włoch?

— Nie, nie z tobą.

— Prosiłem twojego ojca, aby pojechał z nami, ale nie chciał.

— Nie po siedemdziesiątce — odparła. — Za dużo wymagasz od starego człowieka.

— Wiem o tym, ale pomyślałem sobie, że powinienem uczynić tę propozycję.

Dłuższy czas rozmawialiśmy w ciemnościach o rzeczach, o jakich rozmawiają zakochani, kiedy są sami.

Wreszcie Francesca powiedziała, że jest zmęczona i idzie się położyć.

— Zostanę jeszcze na papierosa — odpowiedziałem. — Przyjemnie tutaj.

Patrzyłem, jak rozplywa się w ciemnościach, a potem dostrzegłem smugę światła, gdy otworzyła drzwi szopy i wśliznęła się do środka.

Z ciemności rozległ się szept:

— Halloran! Zerwałem się.

— Kto tam? — Zatoczyłem łuk latarką.

— Zgaś to cholerne światło. To ja, Metcalfe.

Wyłączyłem latarkę. Schyliłem się i uniosłem jedną z cementowych cegieł. Nie widziałem, czy była pochłapana wapnem, czy nie. Jeśli tak, Metcalfe zostałyby sprany wyjątkowo wartościową cegłą.

Ciemna sylwetka przysunęła się bliżej.

— Myślałem, że już nigdy nie przestaniesz się czulić ze swoją dziewczyną — rzekł Metcalfe.

— Czego chcesz i jak się tutaj dostałeś? Zachichotał.

— Przyszedłem od strony morza. Chłopcy Torloniego obserwują stocznię od frontu.

— Wiem — odpowiedziałem.

— Doprawdy? — W jego głosie brzmiało zaskoczenie. Dostrzegłem błysk zębów. — Zresztą nieważne, nie robi to żadnej różnicy.

— W czym nie robi różnicy?

— Ha! chłopcze, masz kłopoty — rzekł Metcalfe. Torloni ma zamiar napaść was dziś w nocy. Próbowałem go powstrzymać, ale kompletnie straciłem na niego wpływ.

— Po czyjej stronie grasz? — dopytywałem się.

— Tylko po swojej — odparł tłumiąc śmiech. Zmienił ton. — Co masz zamiar zrobić?

Wzruszyłem ramionami.

— Co mi zostaje oprócz walki?

— I diabli cię wezmą. Nie masz szans przeciwko zbirom Torloniego. Czy łódź jest gotowa do wodowania?

— Jeszcze nie. Trzeba jeszcze nałożyć poszycie i pomalować.

— Że co, u diabła? — rozzłościł się. — Co cię teraz obchodzi, czy robaki zeżrą parę desek? Założyłeś już nowy kil? Zastanowiłem się, skąd o tym wiedział.

— A jeśli tak, to co?

— Stawiaj maszty, spuszczaaj łódź na wodę i zrób to teraz, dobrze ci radzę. Wynoś się stąd w diabły, jak możesz najszybciej. — Wetknął mi coś do ręki. — Załatwiłem ci zezwolenie wyjścia w morze. Mówiłem, że kapitan portu jest moim kumplem.

— Dlaczego nas ostrzegasz? — spytałem biorąc papier. — Myślałem, że Torloni to twój człowiek. Roześmiał się łagodnie.

— Torloni nie jest niczym człowiekiem, pracuje na własny rachunek. Wyświadczał mi przysługi, bo nie orientował się, co wisi w powietrzu. Powiedziałem mu, że chcę tylko mieć was na oku. Było mi nieprzyjemnie, gdy usłyszałem o tym starym stróžu. Zrobiły to zbiry Torloniego i nie ja wpadłem na ten pomysł.

— Tak też sądziłem. Bicie starców to nie w twoim stylu.

— W każdym razie Torloni wie już teraz, o co toczy się gra. Ten skończony dureń

Walker zdradził wszystko.

— Walker? W jaki sposób?

— Jeden z ludzi Torloniego obrobił mu kieszeń i ukradł papierośnice. W sumie jest to niezła sztuka; zrobiona ze złota, a wewnątrz ma miłą, gustowną dedykację: *Car o Benito da parte di Adolf— Brennero — 1940*. Gdy tylko Torloni ją ujrzał, od razu się we wszystkim połapał. Od zakończenia wojny ludzie przetrząsali Włochy w poszukiwaniu tego skarbu, a teraz Torloni sądzi, że ma go już w swojej tłustej łapie.

Skłamałem w myślach Walkera dokładnie, jak zasługiwał na to ten nieodpowiedzialny dureń.

— Usiłowałem powstrzymać Torloniego, ale już się nie dało — powtórzył Metcalfe. — Przy takiej stawce, równie dobrze jak tobie, mógłby poderżnąć gardło i mnie. Właśnie dlatego daję ci cynk.

— Kiedy ma zamiar rozpocząć atak?

— O trzeciej nad ranem. Chce tu wtargnąć z całą swoją bandą.

— Będą uzbrojeni?

— Nie, nie użyją broni. — Metcalfe zamyślił się na moment. — Chce wejść po cichu i wydostać stąd złoto. Potrzeba na to trochę czasu, a nie chce, żeby mu policja siedziała na karku. A więc nie użyje broni.

Była to jedyna dobra wiadomość, jaką usłyszałem od chwili, gdy Metcalfe mnie zaskoczył.

— Gdzie są teraz jego ludzie? — spytałem.

— Z tego co wiem, dosypiają; nie chcą być na nogach przez całą noc.

— A więc cała szesnastka jest w hotelach? Metcalfe gwizdnął.

— Zdaje się, że jesteś we wszystkim zorientowany nie gorzej niż ja.

— Wiedziałem o tym przez cały czas — odparłem krótko. — Pilnowaliśmy ich od chwili, gdy przybyli do Rapallo, a i przedtem również. Rozpoznawaliśmy twoich ludzi w każdym porcie Morza Śródziemnego.

— Podejrzywałem, że tak jest, od kiedy Dino został pobity w Monte Carlo — rzekł wolno. — Ty to zrobiłeś?

— Coertze — odpowiedziałem. Mocniej ścisnąłem cegłę, którą wciąż trzymałem. Mimo wszystko miałem zamiar dołożyć Metcalfe'owi — zbyt często grał nie fair. Uważałem, że lepiej przytrzymać go tam, gdzie będzie pod naszą stałą kontrolą.

— Oczywiście, to w jego stylu. Wolno uniosłem cegłę.

— W jaki sposób połapałeś się w naszej grze? — spytałem. — To musiało być w Tangerze, ale w jaki sposób sprawa się wydała? Nie otrzymałem odpowiedzi.

— Co to było, Metcalfe? — powiedziałem i wzięłem zamach. Panowała cisza.

— Metcalfe? — odezwałem się niepewnie i zapaliłem latarkę. Nie było go, usłyszałem tylko cichy plusk od strony morza i skrzypienie dulek. Powinienem był wiedzieć, że nie uda mi się przechytrzyć Metcalfe'a; dla mnie to zbyt sprytny ptaszek.

III

Wracając do szopy spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta. Do napadu Torloniego pozostało jeszcze pięć godzin. Miałem poważne wątpliwości, czy damy radę ustawić maszt i cały takielunek na czas. Gdybyśmy włączyli reflektory na zewnątrz, obserwatorzy Torloniego wiedzieliby, że dzieje się coś niezwykłego. Wówczas zaatakowałiby natychmiast. Po ciemku byłaby to piekielna praca; nigdy nie słyszałem, aby pięćdziesięciostopowy maszt stawiano w całkowitych ciemnościach, i nie wiedziałem, czy jest to w ogóle możliwe.

Wszystko wskazywało na to, że będziemy musieli zostać i walczyć.

Wszedłem do środka i zbudziłem Coertzego. Choć spał głęboko, szybko oprzytomniał, gdy powiedziałem mu, co się dzieje. Pomiąłem tylko udział Walkera w całym zamieszaniu

— wciąż go potrzebowałem, a gdybym o wszystkim powiedział Coertzemu, miałbym dodatkowy problem: zwłoki i mordercę. Nie była to pora na nasze wewnętrzne rozgrywki.

— W co, u diabła, gra Metcalfe? — spytał Coertze podejrzliwie.

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Rzecz w tym, że dał nam cynk i wykażemy skrajną głupotę, jeśli z tego nie skorzystamy. Musiał się popstrykać z Torlonim.

— *Reg* — rzekł Coertze i uniósł się z posłania. — Bierzmy się do roboty.

— Chwileczkę. A co z masztem? — powiedziałem mu, jak oceniani szansę ustawienia masztu w ciemnościach.

Przesunął ręką po policzku; w ciszy rozległ się chrzęst szczeciny.

— Sądzę, że musimy zaryzykować i włączyć światła — rzekł w końcu. — To znaczy dopiero wówczas, gdy poczynimy już przygotowania na przyjęcie Torloniego. Wiedzieliśmy, że zaatakuje i nie ma znaczenia, czy zrobi to wcześniej, czy później. Jeżeli będziemy przygotowani.

Mówił człowiek czynu, dowódca wojskowy. Rozumował prawidłowo, więc zostawiłem mu swobodę działania. Obudził Piera i zaczęli się naradzać, podczas gdy ja z Walkerem sprzątałem szopę i ładowałem „Sanforda”. Francesca usłyszała hałas. Wstała, by zobaczyć, co się dzieje, i została wciągnięta w naradę wojenną Coertzego.

Po jakimś czasie Piero wysliznął się z szopy. Coertze zawołał mnie.

— Dobrze byłoby, abyś wiedział, co się będzie działo — powiedział. Miał przed sobą rozłożony plan Rapallo, jeden z tych, które rozprowadzają bezpłatnie biura podróży. Mówiąc wskazywał zaznaczone na planie punkty. Przedstawiona przez niego taktyka była dobra i jak wszystkie dobre — prosta.

Myślę, że gdyby Coertze nie dostał się w Tobruku do niewoli, to wcześniej czy później otrzymałby awans na oficera. Miał wrodzone wyczucie strategiczne, a jego plan stanowił klasyczny przykład koncentracji sił w celu zniszczenia poszczególnych oddziałów przeciwnika w momencie ich rozproszenia.

— Jest sezon urlopowy i hotele są zapełnione. Torloni nie mógł umieścić wszystkich swoich ludzi w jednym, więc są rozrzućeni po mieście. Czterech ludzi tutaj, sześciu tutaj, trzech tutaj, a reszta z samym Torlonim — mówiąc wskazywał palcem punkty na planie. — Możemy zwołać dwudziestu pięciu ludzi, a dziesięciu trzymam tu w stoczni. W tej chwili obserwuje nas czterech. Za kilka minut napadniemy ich; dziesięciu ludzi powinno się ich pozbyć z łatwością. Oznacza to, że gdy zapalimy światła, nikt nie będzie mógł o tym dać znać Torloniemu.

— Myślę, że to dobry pomysł — powiedziałem.

— Zostaje nam piętnastu ludzi, których możemy użyć do akcji poza stoczną. Przed każdym hotelem mamy dwóch, z wyjątkiem tego — wskazał — gdzie czuwa dziewięciu. Mieszka tu czterech ludzi Torloniego, a kiedy wyjdą, przetrzepiemy im skórę. To też powinno być łatwe.

— Zmniejszysz jego siły o połowę — powiedziałem.

— Zgadza się. Do stoczni Torloni przyjedzie z ośmioma ludźmi. Będzie się spodziewał mieć szesnastu, ale ich nie dostanie. Może go to zdenerwować, chociaż nie sądzę. Pomyśli, że zostanie tu tylko czterech mężczyzn i dziewczynę, więc dojdzie do wniosku, że i tak sobie poradzi. Ale my będziemy mieli w stoczni czternastu ludzi — wliczając w to nas — a ja zaskoczę go z tyłu jeszcze z piętnastką, gdy tylko coś się zacznie.

Uniósł wzrok.

— No i jak?

— Wspaniale — odparłem. — Ale musisz powiedzieć Włochom, aby działali szybko. Lepiej, żebyśmy przydusili tych drani, zanim zaczną strzelać. Metcalfe powiedział, że nie będą strzelać, ale mogą zacząć, jeśli się zorientują, że przegrywają.

— Będę działał szybko — obiecał. — Piero wisi teraz na telefonie wydając instrukcje. O jedenastej sprzątniemy obserwatorów — spojrział na zegarek. — To za pięć minut. Chodźmy

zobaczyć tę hecę.

— Wydaje mi się niemożliwe, aby coś miało się nie udać — stwierdziła Francesca.

Ja też tak sądziłem, lecz stało się inaczej.

Gdy wychodziliśmy z szopy, zauważyłem wlokącego się z tyłu Walkera. Robił wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi. Poczekałem, aż reszta się oddali, i złapałem go za ramię.

— Ty zostajesz tutaj — powiedziałem. — Przysięgam, że cię zabiję, jeśli ruszysz się z tej szopy. Twarz mu pobladła.

— Dlaczego?

— A więc ukradziono ci portfel. Ty skończony głupcze, dlaczego musiałeś nosić tę papierośnicę?

— Ja... jaką papierośnicę? — Usiłował niezdarnie blefować.

— Nie udawaj idioty. Wiesz, jaką papierośnicę. A teraz zostań tu i nie wychodź. Nie chcę, abyś się pętał pod nogami i nie mam zamiaru obserwować cię cały czas, żebyś znów nie zrobił jakiegoś cholernego głupstwa. — Chwyciłem go za koszulę. — Jeśli tu nie zostaniesz, powiem Coertzemu, dlaczego Torloni atakuje dziś w nocy, a Coertze rozerwie cię na strzępy.

Dolna warga zaczęła mu drżeć.

— Och, nie! Nie mów Coertzemu — wyszeptał. — Nie mów mu. Puściłem go.

— W porządku. Ale nie ruszaj się z szopy. Podążyłem za resztą do biura Palmeriniego.

— Wszystko gotowe — rzekł Coertze.

— Lepiej sprowadź tu Palmeriniego — powiedziałem. — Będziemy potrzebowali jego pomocy przy stawianiu masztu.

— Zadzwoń do niego — odparł Piero. — Przyjedzie piętnaście po jedenastej, gdy już skończymy tutaj — skinął głową w stronę głównej bramy.

— Dobrze — odparłem. — Myślisz, że zobaczymy coś z tego, co się tu wydarzy?

— Trochę. Jeden z ludzi Torloniego nawet nie stara się ukryć. Stoi pod latarnią naprzeciwko bramy głównej.

Zbliżyliśmy się do bramy, poruszając się cicho, tak aby nie zaalarmować obserwatorów. Brama była drewniana; stara, nie pomalowana i wypaczona przez słońce i deszcze. Miała mnóstwo szczelin, przez które można było patrzeć. Uklęknąłem i przez jedną z nich zobaczyłem po drugiej stronie ulicy w świetle latarni człowieka. Stał tam wyraźnie znudzony i palił papierosa. Drugą rękę trzymał w kieszeni spodni i słychać było, jak cicho pobrzękuje monetami czy kluczami.

— Już lada moment — szepnął Coertze.

Przez chwilę nic się nie działo. Nie dochodził żaden dźwięk — nagle rozległ się ochryply krzyk jakiegoś zabłąkanego morskiego ptaka.

— Dwóch już zdjęto — rzekł Piero cicho.

— Skąd wiesz?

W jego głosie słychać było śmiech.

— Ptaki, one mi mówią.

Uświadomiłem sobie, co mnie tak przedtem niepokoiło. Mewy śpią w nocy i nie krzyczą.

Z oddali dobiegał nas coraz głośniejszy śpiew. Ulicą nadchodzili trzej wydzierający się na całe gardło mężczyźni. Najwyraźniej byli pijani. Zataczali się i potykali. Jeden z nich nie mógł się utrzymać na nogach i koledzy musieli go podtrzymywać. Człowiek pod lampą przydeptał niedopałek papierosa i odsunął się pod ścianę, aby pozwolić im przejść. Jeden z nich machnął w powietrzu butelką i krzyknął:

— Napij się, bracie! Napij się za mojego pierworodnego.

Człowiek Torloniego pokręcił przecząco głową, lecz stłoczyli się wokół niego, zmuszając pijackimi krzykami, aby się napił. Nagle butelka opadła gwałtownie i nawet przez szerokość ulicy usłyszałem odgłos uderzenia.

— Boże — powiedziałem. — Mam nadzieję, że go nie zabili.

— Nic mu nie będzie — odparł Piero. — Znają grubość ludzkiej czaszki.

Pijacy nagle w cudowny sposób wytrzeźwieli i przebiegli przez ulicę, niosąc bezwładne ciało zbira Torloniego. Jednocześnie z lewej i z prawej strony pojawili się inni, również dźwigający nieprzytomnych ludzi. Ulicą nadjechał samochód i skręcił w bramę.

— To czterech — rzekł Coertze z satysfakcją. — Zabierzcie ich do naszej szopy.

— Nie — powiedziałem. — Dajcie ich do tej nie dokończonej. — Nie chcę, aby zobaczyli cokolwiek, co mogłoby nam później zaszkodzić. — Zwiążcie ich i zakneblujcie. Niech ich pilnuje dwóch ludzi.

Piero wydał szybko po włosku rozkazy i mężczyzn odniesiono. Otoczyła nas grupa Włochów paplających, jak wszystko łatwo poszło, dopóki Piero krzykiem nie nakazał ciszy.

— Jesteście weteranami czy zielonymi rekrutami?! — wrzasnął. — Na Boga, gdyby hrabia was teraz zobaczył, kazałby wszystkich rozstrzelać.

Umilkli speszeni, a Piero powiedział:

— Trzymajcie straż na zewnątrz. Giuseppi, idź do biura i zostań przy telefonie. Gdyby dzwonił, zwołaj mnie. Reszta ma uważać i zachować ciszę.

Jakiś samochód zatrafił przed bramą. Drgnąłem nerwowo. Piero wyjrzał szybko na zewnątrz.

— Wszystko w porządku, to Palmerini. Wpuście go. Mały fiat wjechał przez bramę i wyrzucił z siebie Palmeriniego oraz jego trzech synów. Palmerini podszedł do mnie i powiedział:

— Powiedziano mi, że śpieszy się panu, aby przygotować łódź do wyjścia w morze. Rozumie pan jednak, że wiąże się to z dodatkowymi kosztami za nadgodziny.

Uśmiechnąłem się szeroko. Palmerini zachowywał się zgodnie z formułą, którą przyjął wcześniej.

— Ile czasu to zajmie?

— Przy światłach cztery godziny, jeżeli będziecie nam pomagać. Skończylibyśmy w takim razie o trzeciej piętnaście — trochę za późno. Zapewne mimo wszystko będziemy zmuszeni walczyć.

— Signor Palmerini, ktoś może nam przeszkodzić — powiedziałem.

— W porządku, ale za wszystkie szkody trzeba będzie zapłacić — odpowiedział.

Najwyraźniej wiedział, o co chodzi, więc powiedziałem:

— Wszystko zostanie szczerze zrekompensowane. Czy możemy przystąpić do pracy?

Odwrócił się i zaczął wymyślać synom.

— Na co czekacie, leniwe niezdary, czy nie słyszeliście, co powiedział signor? Dobry Bóg powinien się wstydzić, że dał mi synów o tak silnych rękach, lecz słabych głowach.

Zagonił ich do szopy, a ja poczułem się szczęśliwy.

Gdy rozbłysły światła przy końcu szopy, Francesca spojrzała na bramę i powiedziała z namysłem:

— Gdybym chciała się tu szybko dostać, to na miejscu Torloniego wjechałabym w bramę samochodem.

— To znaczy staranowałabyś ją?

— Tak, brama jest bardzo słaba.

— Reg, możemy to zaraz załatwić — rzekł Coertze dobrodusznie. — Zdobyliśmy jeden z jego samochodów. Zaparkuję go w poprzek, tuż za bramą. Jeśli spróbuje tej sztuczki, natknie się na coś cięższego, niż się spodziewa.

— A więc zostawiam ci to — powiedziałem. — Muszę pomóc Palmeriniemu.

Biegąc do szopy, słyszałem za sobą odgłos uruchamianego silnika. Palmeriniego spotkałem przy drzwiach. Był oburzony.

— Signor, nie może pan spuścić tej łodzi na wodę! Nie ma farby ani miedzi, nie ma niczego na dnie. Zostanie błyskawicznie zniszczona w naszych śródziemnomorskich wodach; robaki zjedzą ją do szczętu.

— Nie mamy czasu — odparłem. — Musi pójść na wodę tak, jak jest.

Jego etyka zawodowa była twarda niczym guma.

— Nie wiem, czy powinienem na to pozwolić — gderał. — Jeszcze żadna łódź nie opuściła tej stoczni w takim stanie. Jeśli ktokolwiek usłyszy o tym, powie: „Palmerini jest starym głupcem. Palmerini traci rozum, grzybieje na starość”.

Mimo mojej niecierpliwości i chęci rozpoczęcia pracy podejrzewałem, że jednak ma rację.

— Nikt się nie dowie, signor Palmerini. Nikomu nie powiem.

Podeszliśmy do „Sanforda”. Palmerini wciąż gderał pod nosem o grzechu pozostawienia dna statku nie zabezpieczonego przed małymi zwierzętami morskimi. Spojrzał na kil i stuknął go palcem.

— A to, signor. Kto to słyszał o mosiężnym kilu?

— Powiedziałem, że eksperymentuję — odparłem. Przechylił głowę na bok i w jego śniadej twarzy błysnęły szelmowsko oczy.

— Ach, signor. Nigdy na Morzu Śródziemnym nie było takiego jachtu jak ten. Nawet słynny „Argo” nie dorównywał tej łodzi, a złote runo nie było tak cenne. — Roześmiał się. — Zobaczę, czy moi leniwi synowie przygotowują wszystko, co trzeba.

Wyszedł na oświetlony plac przed szopą, chichocząc jak szaleniec. Przypuszczam, że nikt nie mógł zrobić czegokolwiek w stoczni bez jego wiedzy. Ten Palmerini był bardzo dowcipny.

Przywołałem go ponownie i rzekłem:

— Signor Palmerini, jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę i kupię pańską stocznnię, o ile zechce pan ją sprzedać. Dam dobrą cenę. Zachichotał.

— Czy sądzi pan, że sprzedałbym stocznnię człowiekowi, który woduje łódź bez pomalowanego dna? Drażniłem cię tylko, mój chłopcze, bo zawsze wyglądasz tak poważnie.

Uśmiechnąłem się.

— No dobrze, ale jest jeszcze kil ołowiany, z którym nie mam co zrobić. Jestem pewien, że może go pan wykorzystać.

Przy obecnych cenach ołowiu stary kil był wart niemal 1500 funtów. Ze zrozumieniem skinął głową.

— Mogę go wykorzystać — powiedział. — Akurat wystarczy na zapłacenie za nadgodziny dzisiejszej nocy. — Ponownie zachichotał i odszedł trzaskając batem nad głowami synów.

Walker wciąż był ponury i blady, a kiedy zagoniłem go do roboty, humor pogorszył mu się jeszcze bardziej. Nie zwracałem jednak na to uwagi i popędzałem go, żeby szybciej przygotować „Sanforda” do wyjścia w morze. Po chwili przyłączyli się do nas Coertze i Francesca; praca ruszyła sprawniej.

— Zostawiłam Pierowi dowodzenie — powiedziała Francesca. — Wie, co ma robić, a poza tym zupełnie nie zna się na łodziach.

— Ty też — odparłem.

— Nie, ale mogę się nauczyć.

— Myślę, że powinnaś już odjechać — powiedziałem. — Wkrótce może się tu zrobić trochę niebezpiecznie.

— Nie — odrzekła z uporem. — Zostaję.

— Odjeżdżasz.

Spojrzała mi prosto w twarz.

— A jak mnie do tego zmusisz?

Tu mnie miała i wiedziała o tym. Zawahałem się, a ona powiedziała:

— Nie tylko zostaję, ale płynę z tobą „Sanfordem”.

— Pomówimy o tym później. W tej chwili nie mam czasu na sprzeczkę.

Wyciągnęliśmy „Sanforda” z szopy, a jeden z synów Palmeriniego przystawił obok niewielki dźwig. Wziął maszt i uniośł go wysoko nad łódź, łagodnie opuszczając między

wzmacniacze masztu. Byłem pod pokładem, aby upewnić się, że trzon masztu zostanie prawidłowo włożony. Stary Palmerini też zszedł pod pokład i rzekł:

— Dopilnuję klinów. Jeżeli się wam spieszy, jak pan mówi, proszę lepiej sprawdzić, czy silnik jest na chodzie.

Poszedłem więc na rufę i obejrzałem silnik. Gdy „Sanford” został wyciągnięty z wody, sprawdzałem silnik dwa razy na tydzień, włączając go na niskich obrotach, aby zapewnić obieg oleju. Teraz zaskoczył natychmiast, pracując bez zarzutu. Z satysfakcją stwierdziłem, że gdy tylko znajdziemy się na wodzie, możemy się oddalić z szybkością mierzoną w węzłach.

Sprawdziłem zbiorniki paliwa oraz wody i wyszedłem na pokład, aby pomóc chłopcom Palmeriniego przy takielunku. Pracowaliśmy już jakiś czas, gdy Francesca przyniosła nam kawę. Przyjąłem ją z wdzięcznością.

— Robi się późno — powiedziała cicho. Spojrzałem na zegarek, była druga.

— Mój Boże! — powiedziałem. — Jeszcze tylko godzina! Miałaś jakieś wieści od Piera? Pokręciła głową.

— Ile jeszcze trzeba wam czasu, żeby dokończyć? — spytała rozglądając się po pokładzie.

— Wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości — powiedziałem. — Myślę, że trzeba będzie jednak prawie dwóch godzin.

— A więc walczymy. — Było to stwierdzenie.

— Na to wychodzi. — Pomyślałem o planie Coertzego. — Nie powinno to być nic wielkiego.

— Zostanę z Pierem — odrzekła. — Dam ci znać, gdyby coś się wydarzyło.

Przez chwilę odprowadzałem ją wzrokiem, po czym podszedłem do Walkera.

— Zostaw ruchome części takielunku. Zrobimy to na morzu. Przepuść tylko fały przez bloczki i uwiąż je. Nie mamy teraz dużo czasu.

Jeśli przedtem pracowaliśmy ciężko, to później pracowaliśmy jeszcze ciężiej — lecz na nic się to nie zdało. Z biura nadbiegła Francesca.

— Hal, Hal, Piero cię woła!

Rzuciłem wszystko i pobiegłem przez podwórze, wołając po drodze do Coertzego. Gdy się zjawiłem, Piero rozmawiał przez telefon. Po minucie odwiesił słuchawkę i rzekł:

— Zaczęło się.

Coertze usiadł przy biurku, na którym leżał rozpostarty plan.

— Kto?

Piero położył palec na mapie.

— Ci stąd. Za nimi podąża dwóch naszych.

— Nie ta czwórka, którą przytrzymujemy od początku? — spytał.

— Nie, nic o nich nie słyszałem — podszedł do okna i powiedział kilka słów do stojącego na zewnątrz człowieka. Spojrzałem na zegarek — było wpół do trzeciej.

Siedzieliśmy w milczeniu i słuchaliśmy, jak tykanie odmierza minuty. Atmosfera stała się ciężka. Przypominała mi czasy wojny, gdy oczekiwaliśmy ataku Niemców, lecz nie wiedzieliśmy, kiedy ani gdzie nastąpi.

Wszyscy drgnęli, gdy nagle zadzwonił telefon.

Piero odebrał i w miarę jak słuchał, zaciskały mu się usta. Odłożył słuchawkę i powiedział:

— Torloni ma więcej ludzi. Zbierają się na Piazza Cavour. Dwie pełne ciężarówki.

— Skąd oni, u diabła, przyjechali? — zapytałem.

— Z La Spezii. Włączył się w to inny gang.

Mój mózg pracował na wysokich obrotach. Dlaczego Torloni to zrobił? Nie potrzebował tylu ludzi przeciwko naszej czwórce, chyba że wiedział o partyzanckich przyjaciółach Franceski. Było to całkiem oczywiste. Wiedział i chciał nas zmiażdżyć przewagą liczebną.

— Ilu mu ludzi doszło? — spytał Coertze. Piero wzruszył ramionami.

— Z tego co słyszałem, przynajmniej trzydziestu. Coertze zaklął. Jego plan rozpadał się na kawałki. To wróg się koncentrował, a nasze siły były podzielone.

— Możesz się skontaktować ze swoimi ludźmi? — spytałem Piera. Skinął głową.

— Jeden obserwuje, drugi jest w pobliżu telefonu. Spojrzałem na Coertzego.

— Lepiej sprowadź ich tutaj. Gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie, ten plan jest nadal dobry. Możemy ich wiązać tutaj i zaatakować od tyłu.

— Ilu ludzi mamy w sumie?

— Dwudziestu pięciu Włochów i nas czterech — odparł Coertze.

— A oni co najmniej czterdziestu trzech. Kiepskie szanse.

— Są jeszcze inni, którzy nie mogą walczyć, lecz mogą obserwować — powiedziała Francesca do Piera. — Szkoda marnować sprawnych ludzi na obserwowanie. Czemu by nie przeznaczyć paru starszych do śledzenia, tak żebyśmy mogli zebrać wszystkich zdolnych do walki razem?

Ręka Piera powędrowała do telefonu, lecz zatrzymała się, gdy Coertze rzekł gwałtownie.

— Nie! — Oparł się o krzesło. — Pomysł jest dobry, ale już za późno. Nie możemy teraz zacząć zmieniać planów. Chcę też mieć wolny telefon, aby wiedzieć, co dzieje się z naszym lotnym oddziałem.

Czekaliśmy, a minuty wlokły się ociężale.

— Gdzie jest Walker? — spytał nagle Coertze.

— Pracuje przy łodzi — odpowiedziałem. — Tam jest bardziej użyteczny.

— Święta racja — parsknął Coertze. — W czasie bójki na nic by się nie przydał.

Telefon zadzwonił przenikliwie. Piero podniósł słuchawkę jednym szybkim ruchem. Słuchał w skupieniu, po czym wydał krótkie polecenia. Spojrzał na Coertzego i powiedział:

— Czterech mniej.

— ...zostało trzydziestu dziewięciu — dokończył ponuro. Piero odłożył słuchawkę.

— To lotny oddział, jadą na Piazza Cavour. Nie zdążył cofnąć ręki, gdy telefon zadzwonił ponownie. Uniósł słuchawkę.

— Idź do łodzi i powiedz Walkerowi, żeby pracował, ile mu sił starczy — powiedziałem do Franceski. — Ty też lepiej tam zostań. Gdy wyszła z biura, Piero rzekł:

— Torloni opuścił Piazza Cavour; dwa samochody i dwie ciężarówki. Mieliśmy tam tylko dwóch ludzi i już zgubili jedną ciężarówkę. Druga ciężarówka i samochody jadą prosto tutaj.

Coertze wałnął w stół.

— Do diabła, dokąd pojechała ta druga ciężarówka?

— Nie przejmowałbym się tym — powiedziałem z ironią. — Gorzej już być nie może, więc musi się poprawić. A my możemy już tylko iść do przodu.

Wyszedłem z biura i stanąłem w ciemnościach.

— Co się dzieje, signor? — spytał Giuseppe.

— Torloni będzie tu z ludźmi w ciągu pięciu minut. Powiedz innym, żeby się przygotowali.

W chwilę później podszedł do mnie Coertze.

— Linia telefoniczna została przerwana — powiedział.

— To już przechodzi wszystko — odezwałem się. — Teraz w ogóle nie wiemy, co się dzieje.

— Mam nadzieję, że nasi przyjaciele na zewnątrz użyją mózgowicy i zbiorą się w jedną gromadę. Jeśli nie, to leżymy — stwierdził ponuro.

Piero przyłączył się do nas.

— Czy synowie Palmeriniego będą walczyć? — spytałem.

— Tak, jeśli zostaną zaatakowani.

— Idź tam lepiej i powiedz staremu, żeby siedział spokojnie. Nie chcę, aby mu się coś

stało.

Piero odszedł, a Coertze zajął się obserwacją. Ulica była pusta i znikąd nie dochodził żaden dźwięk. Długo czekaliśmy, lecz nic się nie wydarzyło. Pomyślałem, że Torloni odkrył zniknięcie strażników. Wystarczyło przecież, by zrobił zbiórkę i zorientował się, że brak mu ośmiu ludzi; to już był poważny powód do niepokoju.

Spojrzałem na zegarek — trzecia piętnaście. Gdyby tylko Torloni wstrzymał się jeszcze trochę, moglibyśmy zwodować łódź i odpłynąć, a ludzi rozproszyć. Modliłem się, aby zaczął jeszcze przynajmniej pół godziny.

Nie zrobił tego.

— Coś nadjeżdża — rzekł nagle Coertze.

Usłyszałem zgrzyt zmienianych biegów i odgłos silnika nagle spotężniał. Z lewej strony mignęły światła. Szybko się zbliżyły, silnik ryczał. Ujrzałem pędzącą ciężarówkę. Kiedy zrównała się ze stoczną, skręciła na bramę.

Błogosławiąc intuicję Franceski krzyknąłem po włosku: - — Do bramy!

Ciężarówka uderzyła we wrota. Rozległ się głośny trzask łamanego drewna, przytłumiony wkrótce hukiem, gdy ciężarówka uderzyła w stojący za bramą samochód i gwałtownie stanęła. Nie czekaliśmy, aż ludzie Torloniego dojdą do siebie, lecz natychmiast wpakowaliśmy się na nich. Wdrapałem się na rozwalony samochód i skierowałem w stronę kabiny. Człowiek siedzący na miejscu pasażera oszołomiony potrząsał głową. Uderzył w przednią szybę nie przygotowany na tak gwałtowne hamowanie. Walnąłem go pięścią i osunął się na podłogę.

Kierowca gwałtownie usiłował uruchomić silnik. Zobaczyłem, jak Coertze wyciągnął go i rzucił gdzieś w ciemność. W tym momencie wszystko się pogmatwało. Ktoś z tyłu ciężarówki kopnął mnie ciężkim butem w głowę. Zsunąłem się na stopnie. Ostatkiem świadomości zarejestrowałem falę naszych ludzi idących do ataku. Gdy doszedłem do siebie, było już po wszystkim.

Coertze wyciągnął mnie spod ciężarówki i spytał:

— Nic ci nie jest? Potarłem obolałą głowę.

— Wszystko w porządku. Co się stało?

— Nie wiedzieli, co ich uderzyło, albo w co sami uderzyli. Byli zbyt oszołomieni, aby się do czegokolwiek nadawać. Przegoniliśmy ich z ciężarówki i uciekli.

— Ilu ich tam jechało?

— Byli stłoczeni w skrzyni jak sardynki. Chyba sądzili, że uda im się wywalić bramę, wjechać na podwórze i wygodnie wysiąść. Nie mieli takiej szansy. Spojrzał na wrota. — Tą drogą już nie przyjdą.

Brama z naszego najsłabszego punktu stała się miejscem najmocniejszym. Splątane wraki ciężarówki i samochodu zupełnie zablokowały wjazd, tak że był nie do przebycia.

Podszedł do nas Piero.

— Mamy trzech jeńców.

— Zwiążcie ich i dołączcie do reszty — powiedziałem.

Sznura nigdy nie brak w stoczni jachtowej. Torloni stracił już jedenastu ludzi — czwartą część swoich sił. Może zastanowi się dwa razy, nim ponownie zaatakuje.

— Czy jesteś pewien, że nie mogą zaatakować nas z flanki? — spytałem Coertzego.

— Całkowicie. Z obu stron jesteśmy zablokowani budynkami. Musi przypuścić atak od frontu. Ale cholernie chciałbym wiedzieć, dokąd pojechała ta druga ciężarówka.

Ostro zadzwonił telefon.

— Chyba mówiłeś, że przewody zostały przecięte — powiedziałem.

— Piero tak mówił.

Pobiegliśmy do biura, a Coertze złapał telefon. Słuchał przez sekundę i rzekł:

— To Torloni!

— Porozmawiam z nim — odparłem i wziąłem słuchawkę. Zakryłem ręką mikrofon. —

Mam pomysł. Sprowadź tu starego Palmeriniego. — Do telefonu zaś powiedziałem: — Czego chcesz?

— Czy to Halloran? — Mówił dobrym angielskim, choć zabarwionym silnie amerykańskim akcentem.

— Tak.

— Halloran, dlaczego nie okażesz rozsądku? Wiesz, że nie macie szans.

— Twój telefon stanowi dowód, że je m a m y. Nie rozmawiałbyś ze mną, gdybyś uważał, że możesz innym sposobem wziąć to, co chcesz. A teraz, jeśli masz jakąś propozycję, słucham, jeśli nie, to się zamknij.

— Jeszcze pożałujesz, że tak się do mnie odezwałeś — rzekł z delikatną pogroźką w głosie. — Och, wiem wszystko o starych żołnierzach pani Estrenoli, ale nie masz ich zbyt wielu. Jeżeli więc dopuścisz mnie do udziału w polowie, będę wspaniałomyślny.

— Idź do diabła!

— Dobra. Zgniotę cię i zrobi mi to przyjemność.

— Zaatakuj jeszcze raz, a przyjedzie policja. — Ja również mogłem blefować.

Zastanowił się nad tym, po czym spytał słodko:

— A jak do nich zadzwonisz, nie mając telefonu?

— Poczynilem pewne przygotowania. Na niektóre z nich już się nadziałem. — Dołożyłem mu jeszcze. — Wielu twoich ludzi tajemniczo zniknęło, prawda?

Niemal słyszałem, jak mózg mu iskrzy przy podejmowaniu decyzji.

— Nie ściągniesz policji — rzekł stanowczym tonem. — Nie chcesz jej tak samo jak ja. Halloran, już raz wyświadczyłem ci przysługę i pozbyłem się Estrenolego, prawda? Mógłbyś się odplącić przysługą:

— To była przysługa dla Metcalfe'a, a nie dla mnie — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Na pewno mu się to nie spodobało.

— Czego chciał? — spytał Coertze.

— Połowy udziału, tak przynajmniej mówił.

— Prędzej spotkam się z nim w piekle — rzekł wprost.

— Gdzie jest Palmerini?

— Idzie. Wysłałem po niego Giuseppiego. W tej samej chwili wszedł do biura Palmerini.

— Jak tam łódź? — spytałem.

— Daj mi piętnaście minut, tylko piętnaście minut, nie więcej.

— Mogę nie dać rady. Masz kilka przenośnych reflektorów, których używasz do pracy w nocy. Weź dwóch ludzi i szybko je tu przynieś.

— Lepiej, żebyśmy widzieli, co się dzieje — zwróciłem się do Coertzego. — Tym razem muszą przejść przez mur, a gdy się już tu dostaną, niełatwo im będzie wrócić. Oznacza to, że następny atak będzie decydujący — wóz albo przewóz. Zrobimy więc tak...

Wyjaśniłem, co chciałem zrobić z reflektorami, a Coertze z uznaniem skinął głową. Ustawienie ich zajęło zaledwie pięć minut. Użyliśmy też fiata i ciężarówki, aby uzyskać dodatkowe światła. Rozlokowaliśmy ludzi, oczekując ataku.

Nie trwało to długo. Od strony muru dobiegły dziwne chroboty, a Coertze powiedział:

— Przechodzą górą.

— Zaczekaj — szepnąłem.

Rozległo się kilka głuchych uderzeń, to spadali ciężko na ziemię ludzie.

— *Luce!* — krzyknąłem i rozbłysły światła.

Przypominało to stopklatkę. Kilku przeciwników znajdowało się już po naszej stronie muru. Mrużąc oczy osłaniali się przed padającym na nich światłem. Kilku innych zostało złapanych w trakcie schodzenia po murze. Odwracali głowy, aby zobaczyć, co się dzieje.

Widok, który ujrzeli, na pewno nie podniósł ich na duchu. Oślepiające światło, za którym rozciągała się nieprzenikniona, pełna grozy ciemność. Oni natomiast znajdowali się na otwartej przestrzeni, widoczni jak na dłoni. Niezbyt to przyjemne odkrycie dla ludzi,

którzy mieli zaatakować z zaskoczenia.

Zawahali się, nie wiedząc, co robić, i w tym momencie uderzyliśmy na nich z obu stron jednocześnie. Piero prowadził z prawej, a Coertze z lewej. Ja pozostałem z niewielkim odwodem trzech ludzi, gotów skoczyć na pomoc, gdyby któreś ze skrzydeł nie sprostało zadaniu.

Zobaczyłem uniesione pałki i błysk noży. W ciągu dziesięciu sekund padło trzech ludzi Torloniego. Wykorzystaliśmy niezdecydowanie ataku i szybko zepchnęliśmy ich w jedno miejsce, gdzie powstało kłębowisko krzyczących, walczących ludzi. Jednak kolejni napastnicy przechodzili szybko przez mur i właśnie miałem włączyć do walki moją małą grupkę, gdy usłyszałem nowe krzyki.

Dochodziły z tyłu.

— Chodźcie! — krzyknąłem i pobiegłem przez podwórze w stronę „Sanforda”. Wiedzieliśmy już, co się stało z ludźmi z drugiej ciężarówki. Uderzyli od strony morza i tym sposobem Torloni zaatakował nas od frontu i od tyłu.

„Sanford” był obleżony. Jedna łódź leżała wyciągnięta na płask, a druga pełna ludzi przybijała do brzegu. Wokół „Sanforda” trwała walka. Napastnicy usiłowali wdrapać się na pokład, a nasza grupa robocza dzielnie starała się ich spychać. Zobaczyłem niewielką postać starego Palmeriniego. Trzymał linę zakończoną blokiem i wywijał nim niby średniowieczną kulą na łańcuchu. Zakręcił jeszcze raz i blok trafił napastnika pod szczęką. Ten zleciał z drabiny i upadł nieprzytomny na ziemię.

Synowie Palmeriniego walczyli desperacko i zobaczyłem, jak jeden pada. Później dostrzegłem Francescę dzierżącą w rękach bosak niczym włócznię. Pchnęła nim wdzierającego się na pokład człowieka i bosak wbił mu się w udo. Wrzasnął przejmująco i spadł z drzewcem sterczącym mu z nogi. Dostrzegłem jeszcze prerażenie na twarzy Franceski, po czym przeprowadziłem mój mały atak.

Było to daremne. Udało nam się uwolnić obleżony oddział z „Sanforda”, lecz przewaga wynosiła trzy do jednego i wkrótce musieliśmy wycofać się na podwórze. Atakujący nie ścigali nas. Byli tak uradowani zdobyciem „Sanforda”, że pozostali przy nim. Ich głupota uratowała nas.

Spojrzałem, co się dzieje w górnej części podwórza. Grupa Coertzego znajdowała się bliżej, niż sądziłem. Została również zepchnięta, lecz nie atakowano ich i zastanawiałem się dlaczego. Gdyby obie grupy przeciwnika podjęły zgodny atak, bylibyśmy zgubieni.

— Przykucnij pod tymi workami i siedź cicho, może ci się uda — poleciłem Francescę i podbiegłem do Coertzego.

— Co się dzieje?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i otarł krew z policzka.

— Nasi chłopcy na zewnątrz zebrawi się i walnęli porządnie Torloniego po drugiej stronie muru. Rozłożyli całą piętnastkę. Nie mogą się teraz wycofać; każdy, kto próbuje wrócić za mur, dostaje w skórę. Łapię tylko oddech przed ponownym uderzeniem.

— Mają „Sanforda” — powiedziałem. — Przybyli od strony morza, my też jesteśmy odcięci. Pierś mu falowała.

— Dobra, uderzymy na nich na dole.

— Nie — odparłem patrząc w górę podwórza. — Patrz, tam jest Torloni.

Widzieliśmy go pod murem, krzyczącego na swoich ludzi i zbierającego ich do kolejnego ataku.

— Uderzymy w górę podwórza — powiedziałem. — Wszyscy. I miejmy nadzieję, że ci za naszymi plecami nie ruszą się i dadzą nam czas, którego potrzebujemy. Schwytny Torloniego. Gdzie Piero?

— Tu jestem.

— Dobrze! Powiedz swoim chłopakom, żeby zaatakowali na mój sygnał. Ty zostań z Coertzem i ze mną. Rzucimy się na Torloniego we trójkę.

Odwróciłem się i zobaczyłem obok Francescę.

— Powiedziałem ci chyba, że masz się ukryć. Z uporem pokręciła głową. Za nią stał stary Palmerini, więc powiedziałem:

— Przyjacielu, dopilnuj, aby tu została. Skinął głową i otoczył ją ramieniem.

— Pamiętaj, chodzi nam o Torloniego, nic więcej nas nie interesuje — powiedziałem do Coertzego.

Rozpoczęliśmy atak. Nasza trójka, Coertze, Piero i ja, tworzyła pędzący klin, omijający wszystkich, którzy próbowali nas zatrzymać. Nie walczyliśmy, tylko biegliśmy. Coertze zrozumiał, o co mi chodzi, i biegł jak na boisku rugby, dążąc do końcowej linii.

Był nią Torloni i dopadliśmy go, zanim zdał sobie sprawę z tego, na co się zanosi. Warknął i w jego dłoni pojawił się niebieski metalowy przedmiot.

— Rozciągnąć się! — krzyknąłem i rozdzieliliśmy się, zachodząc go z trzech stron. Broń w jego ręce błysnęła i Coertze zachwiał się. Wówczas Piero i ja skoczyliśmy. Trzasnąłem Torloniego kantem dłoni. Poczułem, jak mu się łamie obojczyk. Wrzasnął i upuścił pistolet.

Z krzykiem Torloniego nad podwórzem zapanowała nienaturalna cisza. Jego ludzie stanęli niepewnie i odwrócili się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Przyłożyłem pistolet do głowy Torloniego.

— Odwołaj swoje psy albo rozwalę ci łeb — powiedziałem ochryple.

Byłem bliższy popełnienia zbrodni niż kiedykolwiek. Torloni dostrzegł to w moich oczach i zbladł.

— Stać — wyrzęził.

— Głośniej — rozkazał Piero i ścisnął go za ramię. Wrzasnął ponownie i krzyknął:

— Przestańcie walczyć — przestańcie walczyć! Torloni to mówi!

Jego ludzie byli najemnikami — bili się za pieniądze. Wiedzieli, że skoro ich szef został ujęty, nie otrzymają zapłaty. Wśród najemników nie istnieje zbyt silne poczucie lojalności. Rozległo się niepewne szuranie i postacie roztopiły się w ciemnościach.

Coertze siedział na ziemi, trzymając się za ramię. Krew sączyła mu się między palcami. Odsunął rękę i spojrzał na nią osłupiały.

— Ten bydlak mnie postrzelił — rzekł obojętnie. Podeszedłem do niego.

— Nic ci nie jest?

Ponownie chwycił się za ramię i wstał.

— Wszystko w porządku. — Spojrzał kwaśno na Torloniego. — Mam z tobą na pieńku.

— Później — powiedziałem. — Załatwmy się z tą grupą na dole.

Zostaliśmy szybko wzmocnieni ludźmi zza muru. Był to nasz lotny oddział, który od tyłu zaatakował i zmiotł ludzi Torloniego. Zwartą grupą pomaszzerowaliśmy w dół, w stronę „Sanforda”. Z przodu czterech ludzi niosło rozpostartego twarzą do ziemi Torloniego.

Gdy zbliżyliśmy się do „Sanforda”, wepchnąłem lufę pistoletu w jego nalany kark.

— Powiedz im — rozkazałem.

— Zostawcie łódź! Odejdźcie! Torloni to mówi! — krzyknął. Ludzie wokół „Sanforda” obejrzel nas obojętnie i nie ruszyli się. Piero ponownie ścisnął ramię Torloniego.

— Aaach! Zostawcie łódź, mówię wam! — ryknął.

Popatrzyli na zwartą grupę za nami. Uświadomili sobie naszą przewagę liczebną i z wolna zaczęli wycofywać się w stronę brzegu, gdzie leżały wyciągnięte łodzie.

— To ludzie z La Spezii. Ten w niebieskim golfie jest ich przywódcą, nazywa się Morlaix. To Francuz z Marsylii — szepnął

Piero. Spojrzał z namysłem na ich łodzie. — Możecie mieć z nim jeszcze kłopoty. Nie obchodzi go, czy Torloni będzie żył, czy zginie. Obserwowałem, jak ludzie Morlaix'go spychają łodzie na wodę.

— Skoro zaszliśmy już tak daleko, nie możemy zawrócić — powiedziałem. — Musimy się stąd wynosić. Ktoś mógł zawiadomić policję o bijatyce; hałasowaliśmy porządnie, był też strzał. Czy mamy duże straty w ludziach?

— Nie wiem. Postaram się dowiedzieć.
 Nadszedł Palmerini, przepychając się przez tłum z Francescą u boku.
 — Łódź jest cała — powiedział. — Możemy ją w każdej chwili spuścić na wodę.
 — Dzięki — odparłem. Spojrzałem na Francescę i podjąłem szybką decyzję. — Wciąż chcesz jechać?
 — Tak, jadę.
 — W porządku. Ale nie będziesz miała czasu na pakowanie. W ciągu godziny wyruszamy. Uśmiechnęła się.
 — Mam już zapakowaną małą walizkę. Jest przygotowana od tygodnia.
 Coertze pilnował Torloniego.
 — Co z nim zrobimy? — zapytał.
 — Podwieziemy go kawałek ze sobą — odparłem. — Możemy go jeszcze potrzebować. —
 Francesca, Kobus został postrzelony, opatrzysz go?
 — Och, nie wiedziałam. Gdzie jest rana?
 — W ramieniu — rzekł Coertze z roztargnieniem. Obserwował Walkera na pokładzie „Sanforda”. — Gdzie był ten *kêrel*, kiedy zaczęła się cała bieda?
 — Nie wiem — odparłem. — Ani razu go nie widziałem; od początku do końca.

IV

Bez trudu spuściliśmy „Sanforda” na wodę; pomocnych rąk nie brakowało. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułem się lepiej, stąpając po żywym, ruchliwym pokładzie. Nim opuściłem brzeg, po raz ostatni wziąłem Piera na bok.

— Powiedz hrabiemu, że zabrałem Francescę. Myślę, że tak będzie lepiej; Torloni może chcieć się zemścić. Wy, mężczyźni, możecie sami zatroszczyć się o siebie, ale jej nie chciałbym tu zostawiać.

— To najlepsze wyjście — zgodził się.

— Jeśli Torloni zechce spróbować jeszcze jakichś sztuczek, to wiesz już teraz, co robić. Nie szukaj jego ludzi, szukaj Torloniego. Przy bezpośrednim nacisku łatwo się załamuje. Postawię mu sprawę jasno: jeśli spróbuje jeszcze jakichś głupstw, to skończy gdzieś w zatoce. Czego się dowiedziałeś o naszych stratach?

— Nic poważnego — odparł Piero. — Jedno złamane ramię, trzy rany kłute, trzy lub cztery ogłuszenia.

— Cieszę się, że nikt nie zginął. Niedobrze bym się czuł z taką świadomością. Myślę, że Francesca chciałaby z tobą pomówić, więc zostawiam was samych.

Serdecznie uścisnęliśmy sobie ręce i wszedłem na pokład. Piero był dobrym człowiekiem — takiego warto mieć obok siebie w czasie walki.

Francesca rozmawiała z nim przez chwilę, po czym także weszła na pokład. Trochę płakała, więc objąłem ją ramieniem, aby podnieść na duchu. Niełatwo jest opuszczać ojczyznę, a w tych okolicznościach musiało to być podwójnie trudne. Usiadłem w kokpicie z ręką na rumplu, a Walker uruchomił silnik. Gdy usłyszałem warkot, wrzuciłem bieg i ruszyliśmy wolno.

Przez długi czas widziałem jeszcze plamę światła przed szopą, z ciemniejszymi punkcikami machających postaci. Włosi machali, choć nie mogli nas dostrzec w mroku. Naprawdę żał mi było opuszczać tych ludzi.

— Kiedyś wrócimy — powiedziałem do Franceski.

— Nie — odparła spokojnie. — Nigdy nie wrócimy.

V

Parliśmy w ciemność ze stałą szybkością sześciu węzłów, kierując się prosto na

południe, aby opłynąć przylądek Portovento. Spojrzałem w górę na maszt niewyraźnie rysujący się na tle gwiazd i zacząłem się zastanawiać, ile czasu zajmie zamocowanie ruchomego takielunku. Na pokładzie panował taki bałagan, że nonsensem byłoby twierdzenie o wzorowym porządku na statku. Przed nastaniem świtu nie mogliśmy jednak nic na to poradzić. Walker był pod pokładem, a Coertze na pokładzie dziobowym pilnował Torloniego. Cicho rozmawialiśmy z Francescą w kokpicie o tym, kiedy będziemy mogli się pobrać.

Nagle Coertze zawołał:

— Kiedy pozbędziemy się tego śmiecia?! On chce wiedzieć. Myśli, że wypchniemy go za burtę, a jak twierdzi — nie umie pływać.

— Podpłyniemy blisko brzegu przy Portovento — odpowiedziałem. — Odeślemy go na brzeg pontonem.

Coertze mruknął, że lepiej byłoby pozbyć się Torloniego od razu, i ponownie zamilkł.

— Czy z silnikiem jest coś nie w porządku? — zapytała Francescą. — Wydaje taki dziwny odgłos.

Przysłuchałem się, rzeczywiście odgłos był dziwny, ale nie wydawał go nasz silnik. Przesunąłem manetkę w tył i blisko sterburty usłyszałem warkot silnika przyczepnego.

— Zejdź szybko na dół — powiedziałem i cicho zawołałem do Coertzego: — mamy gości.

Szybko przeszedł na rufę. Wskazałem na sterburtę i w nikłym świetle wschodzącego księżyca zobaczyliśmy zbliżającą się białą grzywę fali dziobowej.

— Monsieur Englishman, czy mnie słyszysz?! — dobiegł nas głos ponad wodą.

— To Morlaix — powiedziałem i odkrzyknąłem: — Tak, słyszę cię.

— Wchodzimy na pokład! — krzyknął. — Opór nie ma sensu.

— Trzymajcie się z daleka! — zawołałem. — Jeszcze nie macie dość?

Coertze wstał ze złowrogim pomrukiem i przeszedł na dziób. Wyciągnąłem z kieszeni broń Torloniego i odciągnąłem kurek.

— Jest was tylko czworo! — krzyknął Morlaix. — A nas o wiele więcej.

Fala dziobowa jego łodzi nagle znalazła się dużo bliżej i zobaczyłem wyraźnie łódź. Była pełna ludzi. Podeszła do nas burtą, a gdy zbliżyła się na tyle, że omal nie zderzyliśmy się okrężnicami, Morlaix wskoczył na pokład „Sanforda”. Znajdował się tylko cztery stopy ode mnie, więc strzeliłem mu w nogę. Krzyknął i wypadł za burtę.

Równocześnie Coertze wstał, unosząc w jednej ręce szamocącą się postać Torloniego.

— Weźcie tego śmiecia! — krzyknął i cisnął Torlonim w ludzi wdzierających się na pokład. Torloni zaskowyczał: lecące ciało wywróciło napastników i wpadli z powrotem do łodzi.

Skorzystałem z zamieszania i odbiłem nagle na lewą burtę. Szczelina między łodziami poszerzyła się gwałtownie. Wyglądało na to, że tamci stracili panowanie nad łodzią; myślę, że spadające ciała powaliły sternika.

Więcej się nam nie naprzykrzali. Słyszeliśmy, jak pokrzykują wyławiając Morlaix'go z wody, lecz nie podjęli już kolejnego ataku. Obawiali się broni.

Gdy skierowaliśmy się na pełne morze, nasz kilwater poszerzył się w świetle księżyca. Musieliśmy w nieprzekraczalnym terminie zdążyć do Tangeru, a czasu pozostało niewiele.

KSIĘGA TRZECIA

MORZE

CISZA I SZTORM

I

Z początku mieliśmy pomyślne wiatry i „Sanford” szedł w dobrym tempie. Tak jak przypuszczałem, większa koncentracja masy w kilu powodowała nieobliczalne kaprysy jachtu. Przy kursach z wiatrem zaczynał paskudnie kołysać na boki; pełny cykl trwał dwie minuty. Przy kursie półwiatrem, na którym zwykle spisywał się najlepiej, po każdym przechyle na zawietrzną następował nagły przechył w drugą stronę, a maszt zakreślał dzikie łuki na tle nieba.

W żaden sposób nie można było temu zaradzić, musieliśmy to po prostu znosić. Jedynym wyjściem byłoby większe rozłożenie balastu, a tego właśnie nie mogliśmy zrobić. Gwałtowne ruchy najbardziej odcierpiał Coertze. Nawet w najlepszych czasach nie był dobrym żeglarzem; teraz zaś rana w ramieniu dokładała mu jeszcze cierpień.

Z nadejściem świtu kończącego tę pamiętną, gwałtowną noc, gdy tylko straciliśmy ląd z oczu, położyliśmy się w dryf. Zabraliśmy się do roboty przy ruchomym takielunku. Nie zajęło to dużo czasu, gdyż Palmerini zdążył przygotować więcej, niż się spodziewałem. Wkrótce płynęliśmy już pod żaglami. Właśnie wówczas „Sanford” rozpoczął swoje kaprysy. Przez jakiś czas próbowałem różnych eksperymentów, aby sprawdzić, co można zrobić. Poprawa sytuacji nie leżała jednak w mojej mocy, więc przestałem marnować czas i kontynuowaliśmy podróż bez zmian.

Wkrótce wpadliśmy w normalną rutynę wacht, zmienioną jedynie przez obecność Franceski, która przejęła od Coertzego gotowanie.

Podczas podróży na małych łodziach rzadko widuje się innych członków załogi, z wyjątkiem chwil, gdy następuje zmiana wachty. Walker jednak trzymał się bardziej na uboczu niż zwykle. Czasami łapałem go na tym, że mnie obserwuje. Wzdrygał się wówczas,

przewracał oczami jak przestraszony koń i szybko odwracał wzrok. Najwyraźniej bał się, że powiem Coertze o papierosnicy. Nie miałem takiego zamiaru. Potrzebowałem pomocy Walkera przy prowadzeniu „Sanforda”, nie powiedziałem mu tego jednak. Niech się pomęczy — myślałem. Nie odczuwałem dla niego litości.

Ramię Coertzego wyglądało nie najgorzej. Rana była powierzchowna, nie zanieczyszczona, a Francesca dobrze ją pielęgnowała. Nalegałem, aby spał na huntkojce, gdzie kołysanie było mniej gwałtowne. Doprowadziło to do generalnych przenosin. Ja zająłem kaję lewoburtową w głównej kabine, natomiast Francesca kaję prawoburtową. Powiesiła sobie zasłonę z płótna żaglowego, stwarzając w ten sposób namiastkę odosobnienia.

Oznaczało to wygnanie Walkera na pokład dziobowy. Spał na nie używanej dotąd koi dziobowej. Miała ona służyć gościom w portach, a nie na morzu. Była niewygodna i znajdowała się na samym dziobie, gdzie kołysanie jest najbardziej odczuwalne. A dobrze mu tak, myślałem z satysfakcją. W konsekwencji jednak widywaliśmy go jeszcze rzadziej.

W ciągu pierwszych pięciu dni utrzymywaliśmy niezłe tempo. Przecinaliśmy Morze Liguryjskie, wpisując dziennie 100 mil do dziennika pokładowego. Każdego dnia dokonywałem namiarów pozycji na słońce i z zadowoleniem oglądałem wykreśloną na mapie linię kursu, zbliżającą się coraz bardziej do Balearów. Wielką przyjemność sprawiało mi uczenie Franceski obsługiwaną „Sanforda”. Była zdolną uczennicą i nie popełniała więcej błędów niż przeciętny początkujący.

Rozbawiło mnie nieco, gdy zauważyłem, że Coertze pozbył się swej antypatii do niej. Był odmienionym człowiekiem i nie jeżył się już tak jak przedtem. Czuł pewnie pod stopami złoto, myślę też, że walka w stoczni pozwoliła mu wyładować agresję. W każdym razie jakoś się wreszcie dogadali i prowadzili długie rozmowy o Afryce Południowej.

Kiedyś zapytałem go, co zamierza zrobić ze swoją częścią.

— Kupię *plaas* — powiedział z błogim uśmiechem.

— Co takiego?

— Farmę — przetłumaczył. — Wszyscy Afrykanerzy są w głębi serca farmerami. Nawet nazywają się farmerami — Burami — a przynajmniej tak się nazywali.

Myślę, że te pierwsze pięć dni po opuszczeniu Włoch były najlepszymi dniami w czasie całej naszej morskiej podróży. Nigdy wcześniej nie mieliśmy lepszych, a później już z pewnością nie.

Wieczorem piątego dnia wiatr osłabł, a nazajutrz zmieniał się, jakby nie wiedział, co dalej robić. Jego siła wahała się między trójką a flautą i mieliśmy sporo roboty z żaglami. Tego dnia zapisaliśmy tylko 70 mil.

O świcie następnego dnia panowała już flauta. Morze było gładkie i oleiste, z długimi, równymi falami. Po południu nastroje zaczęły się psuć. Nie mieliśmy nic do roboty. Mogliśmy tylko obserwować, jak maszt kreśli leniwie koła na niebie, podczas gdy cenne godziny umykały, a my nie przybliżaliśmy się do Tangeru. Sprzykrzyło mi się już skrzypienie bomu, więc ustawiłem koziołka i uwiązaliśmy go. Następnie zszedłem pod pokład zrobić parę obliczeń na stole nawigacyjnym.

Od południa do południa przebyliśmy 20 mil i płynąc w tym tempie osiągnęlibyśmy Tanger o trzy miesiące za późno. Sprawdziłem zbiorniki paliwa i okazało się, że zostało nam piętnaście galonów. Przy najbardziej ekonomicznej szybkości dawało to 150 mil w ciągu 30 godzin. Było to lepsze rozwiązanie niż siedzenie i słuchanie, jak fały objają się o maszt. Uruchomiłem więc silnik i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Denerwowałem się stratą paliwa; mogło nam się przydać w nagłej potrzebie, ale przecież b y l i ś m y w nagłej potrzebie, więc równie dobrze mogłem je zużyć teraz. Wychodziło na to samo. Wlekliśmy się po nieruchomym morzu ze stałą prędkością pięciu węzłów. Ustawiłem kurs na południe od Balearów, w stronę Majorki. Gdybyśmy musieli zawinąć do portu, dobrze byłoby mieć go po drodze, a Palma znajdowała się najbliżej.

Całą noc i następny dzień płynęliśmy na silniku. Wiatru nie było i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek znów powieje. Nieskazitelnie błękitne niebo odbijało się w pozbawionym fal morzu, a mnie diabli brali. Bez wiatru łódź żaglowa jest bezużyteczna. Co zrobimy, jeśli skończy się paliwo?

Przedyskutowałem tę sprawę z Coertzem.

— Jestem skłonny zawinąć do Palma — powiedziałem. — Możemy tam uzupełnić paliwo. Wyrzucił niedopałek za burtę.

— Cholera, stracimy tylko czas. Zejdziemy z kursu, a co, jeśli każą nam czekać?

— Więcej czasu stracimy, jeśli zostaniemy bez silnika. Ta cisza może trwać całym dniami.

— Zaglądałem do „Pilota Śródziemnomorskiego” — rzekł. — Piszą, że procent dni bezwietrznych jest o tej porze roku niewielki.

— Na tych liczbach nie możesz polegać. To tylko średnie. To może trwać tydzień.

— Ty jesteś kapitanem — westchnął. — Rób, jak uważasz.

Zmieniliśmy więc kurs na północny i popłynęliśmy do Palma. Sprawdziłem, ile zostało paliwa, i miałem poważne wątpliwości, czy uda nam się dopłynąć. Udało się jednak. Wpłynęliśmy do portu dla jachtów w Palma na silniku krztuszącym się resztkami paliwa. Gdy zbliżyliśmy się do boi cumowniczej, silnik zgasł i resztę drogi przepłynęliśmy siłą bezwładności.

Wtedy to podnosząc wzrok zobaczyłem Metcalfe'a.

II

Szybko uporaliśmy się z formalnościami celnymi mówiąc, że nie zamierzamy wychodzić na brzeg i przy płynęliśmy tylko po paliwo. Celnik współczuł nam z powodu kiepskiej pogody dla żeglugi i powiedział, że zadzwoni do kupca, który przyjedzie i zaopatrzy nas w niezbędne rzeczy.

Mieliśmy więc wolną chwilę i mogliśmy swobodnie przedyskutować sprawę Metcalfe'a. Przy spotkaniu nie odezwał się, przyglądał się nam tylko z lekkim uśmiechem, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

— On coś knuje — rzekł Coertze.

— Nie ma nic bardziej pewnego — odparłem cierpko. — Czy te dranie nigdy nie przestaną deptać nam po piętach?

— Nie, dopóki mamy pod stopami cztery tony złota — powiedział Coertze. — To działa jak jakiś piekielny magnes.

Spojrzałem na Walkera siedzącego samotnie na pokładzie dziobowym. Oto dureń, który przez swoją gadatliwość i głupotę sprowadził na nas szakale. A może i nie. Ludzie tacy jak Metcalfe i Torloni mają nosy niezwykle wyczulone na złoto. Lecz Walker im pomógł.

— Jak myślisz, co on robi? — odezwała się Francesca.

— Przypuszczam, że dopuści się zwykłego aktu piractwa. Zrobienie czegoś w tym stylu odpowiadałoby jego wypaczonemu poczuciu humoru.

Leżałem na plecach i wpatrywałem się w niebo. Proporczyk klubowy na szczycie masztu uniósł się i trzepotał w lekkiej bryzie.

— Spójrzcie na to — powiedziałem. — Do licha, mamy wiatr.

— Mówiłem, że nie powinniśmy tu przyplływać — gderał Coertze. — Tak mielibyśmy wiatr, a Metcalfe nie zauważyłby nas.

Pomyślałem o łodzi Metcalfe'a i jego radarze. Szczególnie o radarze.

— Nie — odparłem stanowczo. — To by niczego nie zmieniło. Z pewnością od chwili, gdy opuściliśmy Włochy, przez cały czas dokładnie wiedział, gdzie położyć na nas łapę. — Szybko przeprowadziłem w myślach obliczenia. — Jednym obrotem radaru może kontrolować siedemset mil kwadratowych morza. Ta fairmilla zapewne kręciła się

niewidoczna za horyzontem, mając nas ciągle na oku. Nigdy byśmy jej nie dostrzegli.

— No więc, co teraz zrobimy? — spytała Francesca.

— Nic. Płyniemy dalej — odparłem. — Niewiele więcej możemy zrobić. Ale z pewnością nie oddam złota panu Metcalfe'owi tylko dlatego, że pokazuje się i nas straszy. Płyniemy dalej. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Nabraliśmy paliwa, uzupełniliśmy wodę w zbiornikach i przed zapadnięciem zmroku ponownie ruszyliśmy w drogę. Słońce zachodziło już, gdy minęliśmy Cabo Figuera. Zostawiłem ster Francesce i zszedłem pod pokład przestudiować mapę. Miałem plan przechytrzenia Metcalfe'a. Nic z tego zapewne nie wyjdzie, ale warto było choćby spróbować.

Gdy tylko się ściemniło, podałem Francesce komendę:

— Ster: kurs sto osiemdziesiąt stopni.

— Na południe? — spytała zaskoczona.

— Zgadza się, na południe. — Do Coertzego zaś powiedziałem: — Czy wiesz, do czego jest ta kwadratowa zabawka w połowie masztu?

— *Nee, man*, nigdy się tym nie interesowałem.

— To reflektor radarowy. Drewniane łodzie kiepsko odbijają radar, więc dla bezpieczeństwa używamy specjalnego reflektora. Daje ładną, dużą plamkę na ekranie. Jeśli Metcalfe nas śledził, to musiał się przyzwyczaić do tej plamki. Najprawdopodobniej śledzi nas na ślepo, tylko po śladzie na ekranie. Zdejmujemy więc reflektor. Wciąż będzie otrzymywał echo, lecz inne, dużo słabsze.

Wokół nadgarstka zamocowałem na pętli mały klucz płaski. Przypiąłem linę ratunkową do pasa bezpieczeństwa i zacząłem wspinać się na maszt. Reflektor był przyśrubowany do salingu i ściąganie go nie sprawiało trudności. „Sanford” płynął swoim nowym, kulejącym stylem i niełatwo było, stosując się do starej żeglarskiej maksymy „jedna ręka dla siebie, a druga dla łajby”, odkręcić tych dwu śrub. Zaczęły się kręcić razem z nakrętkami, więc musiałem się niezłe nagimnastykować. Siedziałem na tym maszcie ponad czterdzieści pięć minut, nim udało mi się odczepić reflektor.

Opuściłem się na pokład, wrzuciłem reflektor do bakisty i spytałem Coertzego:

— Gdzie jest Walker?

— Położył się spać, ma wachtę o północy.

— Zapomniałem. Teraz zmienimy światła.

Zszedłem na dół, do stołu nawigacyjnego. Na szczycie masztu było umieszczone widoczne ze wszystkich stron białe światło, które zostało podłączone do klucza Morse'a, żeby nieregularnie błyskało. Przywiązałem klucz, tak że światło paliło się przez cały czas.

Następnie zawołałem do Coertzego:

— Weź z dzioba latarnię i wywieś ją na takielunku! Zszedł na dół.

— Po co to wszystko?

— Popatrz: nie płyniemy najkrótszym kursem na Tanger. Tracimy czas, ale nic na to nie poradzimy, bo wszystko, co wybija Metcalfe'a z uderzenia, jest dla nas korzystne. Zmieniliśmy nasz ślad radarowy, ale Metcalfe może nabrać podejrzeń i mimo wszystko zechce podejść i przyjrzeć się nam. Jesteśmy teraz obwieszani byle jak światłami, jak zwykli hiszpańscy rybacy. Łowimy ryby i nic innego nie zobaczy — przynajmniej w nocy. Może więc ominąć nas i płynąć gdzieś dalej.

— Ale z ciebie podstępny drań — stwierdził Coertze z uznaniem.

— To doraźne i jednorazowe rozwiązanie. O świcie zmienimy kurs na Tanger.

III

Nocą wiatr wzmógł się, więc wciągnęliśmy żagle, tak że „Sanford” sporo przyspieszył. Niewiele to jednak pomogło, gdyż nawet o cal nie zbliżyliśmy się do Tangeru.

O świcie wiała piątka. Zmieniliśmy kurs idąc teraz półwiatrem i „Sanford” zaczął rozwijać sporą szybkość: przechylił się na lewą burzę, a na fali dziobowej pokazała się biała piana. Sprawdziłem log i stwierdziłem, że płyniemy z szybkością siedmiu węzłów, co stanowiło niemal kres jego możliwości pod żaglami. W końcu szło nam dobrze — szliśmy szybko najprostszym kursem na Tanger.

Pilnie obserwowałem horyzont szukając Metcalfe'a, lecz nic nie dostrzegłem. Nawet jeśli znał naszą pozycję, nie pokazywał się. Nie wiedziałem, czy się z tego cieszyć, czy nie. Byłbym zadowolony, gdybym zwiódł go tym fortelem, lecz jeśli nie, to wolałbym o tym wiedzieć.

Bryza utrzymywała się przez cały dzień. Wieczorem wiatr przybrał na sile. Fale już większe, z pianą na grzbietach, co jakiś czas załamywały się w części dziobowej „Sanforda”. Za każdym razem dygotał i otrząsał się, by znów skoczyć do przodu. Ocenilem, że wiatr dochodził teraz do sześciu stopni i jako rozsądny żeglarz powinienem był pomyśleć o zrefowaniu grotu. Chciałem jednak przeć naprzód — zostało już niewiele czasu, a gdybyśmy mieli wplątać się w jakąś kabałę z Metcalfe'em, byłoby go jeszcze mniej.

Wcześniej położyłem się spać, zostawiając Walkera przy sterze. Zanim zasnęłem, zastanawiałem się, co zrobiłbym na miejscu Metcalfe'a. Musieliśmy przepłynąć Cieśninę Gibraltarską. Morze Śródziemne było lejem, a cieśnina tworzyła jego wylot. Gdyby Metcalfe zaczął się tam, jego radar obejmowałby swym zasięgiem wszystko — od jednego brzegu do drugiego.

Jednakże cieśnina to bardzo ruchliwe wody, więc musiałby płynąć zygzakiem, aby na własne oczy sprawdzać każdą podejrzaną łódź. Poza tym, jeśli chciał pobawić się w pirata, niebezpiecznie byłoby próbować tam, gdzie łatwo mógł zostać dostrzeżony. Gibraltar patrolowało kilka bardzo szybkich wojskowych łodzi i nie sądziłem, aby nawet Metcalfe odważył się napaść na nas w ciągu dnia.

To zadecydowało: musieliśmy przepłynąć cieśninę w ciągu dnia.

Gdyby — całe to „gdybanie” zaczynało mnie już męczyć — gdyby nie złapał nas przed lub za cieśniną. Mgliście przypomniałem sobie sprawę piractwa tuż poza Tangerem w 1956 roku — dwie grupy przemytników pobili się ze sobą i jedna łódź spłonęła. Może nie zechce czekać tak długo. Bylibyśmy blisko domu i mimo wszystko mogliśmy mu się wymknąć. A w przystani jachtowej nie mogłby nam już nic zrobić. Nie, nie sądziłem, żeby czekał aż tak długo.

Ale przed cieśniną? To była zupełnie inna sprawa i zupełnie inne „gdyby”. Gdybyśmy wymknęli mu się po opuszczeniu Majorki — jeżeli nie wiedział, gdzie jesteśmy teraz — mielibyśmy szansę. Jeśli natomiast wie, gdzie jesteśmy, może się zbliżyć w każdej chwili i wysadzić na nasz pokład swoją załogę. Gdyby — jeszcze jedno „gdyby”! — pogoda mu na to pozwoliła.

Zapadając w sen, błogosławiłem stale wzmagający się wiatr, który dodawał „Sanfordowi” skrzydeł i mógł uniemożliwić fairmili podejście do burty.

IV

Obudził mnie Coertze.

— Wiatr rośnie. Myślę, że powinieneś zmienić żagiel czy coś takiego! — musiał przekrzykiwać ryk wiatru i morza.

Zakładając ubranie sztormowe spojrzałem na zegarek. Była druga; przespałem sześć godzin. „Sanford” nieco brykał i miałem sporo kłopotów ze spodniami. Nagły przechył rzucił mnie przez kabinę i zwałem się na koję, w której spała Francesca.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic — odparłem. — Wszystko w porządku, śpij dalej.

— Myślisz, że potrafię spać przy tym wszystkim?

— Wkrótce się przyzwyczaisz — uśmiechnąłem się szeroko. — Trochę dmucha, ale nie ma się czym przejmować.

Skończyłem się ubierać i poszedłem na górę do kokpitu. Coertze miał rację, trzeba było coś zrobić z żaglem. Wiatr dał mocno siódemką, co żeglarze starej daty określali pogardliwie jako „sztorm jachtmenów”, a admirał Beaufort nazwał powściągliwie „silnym wiatrem”.

Postrzępione chmury gnały po niebie, tworząc na tarczy księżycy zaskakującą grę światła i cieni. Fale łączyły się ze sobą, a ich grzywy zwiewało w pasma piany. „Sanford” pogrążał się dziobem w falach i przy każdym zanurzeniu zatrzymywał się z szarpnięciem, tracąc szybkość. Redukcja żagli utrzymałaby dziób w górze i ułatwiła płynięcie. Mówiąc do Coertzego, musiałem podnieść głos do krzyku.

— Masz rację, zredukujemy go trochę. Trzymaj go tak, jak jest w tej chwili.

Przypiąłem linę ratowniczą do pasa bezpieczeństwa i ruszyłem do przodu po szaleńczo skaczącym pokładzie. Pół godziny zajęło mi zdjęcie dwóch obrotów wokół bomu z grotzagła i zwinięcie kliwra. Zostawiłem foka, aby zbalansować przód. Gdy tylko skróciłem kliwer, poczułem różnicę. „Sanford” płynął lżej i nie nurkował dziobem tak często.

Wróciłem do kokpitu i zapytałem Coertzego:

— No i jak?

— Lepiej! — krzyknął. — A jednak zdaje się płynąć szybciej.

— Bo płynie. Nie jest zatrzymywany. Spojrzał na spiętrzone fale.

— Czy to jeszcze się pogorszy?

— Och, teraz nie jest jeszcze wcale źle — odparłem. — Płyniemy tak szybko, jak się da, a o to właśnie nam chodzi.

Uśmiechnąłem się, gdyż z małej łodzi wszystko wyglądało na większe niż w rzeczywistości i dwa razy bardziej niebezpieczne. Miałem jednak nadzieję, że pogoda się nie pogorszy; musielibyśmy wówczas zwolnić.

Przez jakiś czas zostałem z Coertzem, aby go podtrzymać na duchu. I tak zbliżał się już czas mojej wachty: nie było sensu kłaść się spać. W jakiś czas później wśliznąłem się na dół do kuchni i zrobiłem trochę kawy. Piec kołysał się na zawieszonym kardanowym jak szalony i musiałem przymocować czajnik, lecz nie wylałam nawet kropli.

Francesca obserwowała mnie ze swojej koi. Dałem jej znać, kiedy kawa była gotowa. Wołałem, aby podeszła do stołu, gdyż w tych warunkach miałem niewielkie szanse doniesienia kawy do koi. Zaklinowaliśmy się między stołem roboczym a zejściem pod pokład, popijając kawę i rozmawiając o pogodzie.

— Tobie podoba się ta pogoda, prawda? — uśmiechnęła się do mnie.

— Jest dobra.

— Dla mnie jest straszna.

— Nie ma się czego bać — odparłem. — A jeśli już, to tylko jednej rzeczy.

— Czego?

— Załogi. Widzisz, konstrukcje małych łodzi osiągnęły niemal całkowitą doskonałość pod względem przydatności do żeglugi. Taka łódź jak ta, jeśli jest odpowiednio prowadzona, może stawić czoło każdej pogodzie. Nie mówię tak dlatego, że sam ją zaprojektowałem i wybudowałem; dotyczy do wszystkich łodzi tego typu. Zawodzi raczej załoga, a nie łódź. Ludzie się męczą i popełniają omyłki. A wystarczy tylko jedna — z morzem nie ma żartów.

— Ile to trwa, zanim załoga dojdzie do takiego stanu?

— Z nami wszystko w porządku — odparłem wesoło. — Jest nas dosyć, abyśmy mogli się na zmianę wyspać; możemy wytrzymać dość długo, niemal bez końca. Problemy mają raczej ci bohaterscy, samotni żeglarze.

— Potrafisz niezłe rozpraszać wątpliwości — powiedziała i wstała, aby wziąć jeszcze jeden kubek z półki. — Zaniosem trochę kawy Coertzemu.

— Nawet nie próbuj — zaleje się tylko słonym aerozolem, a nie ma nic paskudniejszego

niż słona kawa. Za kilka minut zejdzie na dół — teraz moja wachta.

Zapiąłem ubranie sztormowe i mocniej owinąłem szalik wokół szyi.

— Chyba już go zmienię. Prawdę mówiąc, przy takiej pogodzie w ogóle nie powinien być z tą raną na górze. A właśnie, jak ona wygląda?

— Dobrze się goi.

— Miał szczęście: sześć cali niżej i dostałby prosto w serce.

— Wiesz, zaczynam zmieniać o nim zdanie. Nie jest takim złym człowiekiem.

— Złote serce pod gburowatą powłoką? — spytałem, a ona skinęła głową. — W każdym razie to serce jest bezgranicznie oddane złotu — powiedziałem. — Możemy mieć z nim jeszcze trochę kłopotów, jeżeli umkniemy Metcalfe'owi. Nie zapominaj o jego przeszłości. Ale daj temu miłemu człowiekowi kawy, gdy zejdzie pod pokład.

Wszedłem na górę do kokpitu i zmieniłem Coertzego.

— Jest kawa dla ciebie! — krzyknąłem.

— Dziękuję, tego mi właśnie trzeba — odpowiedział i zszedł na dół.

„Sanford” w dalszym ciągu połykał mile, a wiatr wzrastał się nadal. Dobrze i źle zarazem. Wciąż utrzymywałem te same żagle co przedtem, lecz kiedy Walker przyszedł mnie zmienić w pochmurny i wilgotny świt, przed zejściem na śniadanie skróciłem grotzagiel o jeszcze jeden obrót.

— Jeszcze się pogorszy — rzekł Walker wskazując chmurę, nim opuściłem się na dół zejściówką. Spojrzałem w niebo.

— Nie sądzę. Na Morzu Śródziemnym rzadko bywa gorzej.

— Nie znam się na Morzu Śródziemnym — wzruszył ramionami. — Ale mam uczucie, że się pogorszy, to wszystko.

Zszedłem na dół w posępnym nastroju. Walker już wcześniej wykazywał niesamowite zdolności przewidywania zmian pogody, choć nie kierował się przy tym jakimiś widocznymi oznakami. Jego dodatkowy zmysł pogody zawsze działał doskonale. Miałem nadzieję, że tym razem się myli.

Nie mylił się jednak.

W południe nie mogłem dokonać kolejnych pomiarów pozycji z powodu grubej warstwy chmur i złej widoczności. Zresztą nawet gdybym widział słońce, mało prawdopodobne, aby udało mi się choć przez moment utrzymać nieruchomo sekstans na tańczącym pod stopami pokładzie. Log pokazał 152 mile w ciągu ostatniej doby — najdłuższy dystans, jaki „Sanford” kiedykolwiek pokonał.

Po południu siła wiatru wzrosła znacznie, dochodząc do ośmiu, a nawet dziewięciu stopni, a to już był silny sztorm. Całkowicie zwinęliśmy grot; wciągnęliśmy trajsel — trójkątny kawałek mocnego płótna, wielkości chusteczki do nosa, przeznaczony na burzliwą pogodę. Z trudnością skróciliśmy też fok — praca na pokładzie stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Fale wzrosły jeszcze bardziej. Załamywały się białymi grzywami, a wiatr zrywał z nich pianę, rozdmuchując ją na morzu w wystrzępione pasma. Pasma piany były tak długie, że morze wyglądało niczym gigantyczna balia, do której ktoś wlał kilka tysięcy ton detergentu.

Zabroniłem wszystkim wychodzenia na pokład. Mógł tam być tylko zabezpieczony liną ratunkową trzymający wachtę. Sam zaś wcisnąłem się na swoją koję, ustawiłem zabezpieczenie z desek, aby mnie z niej nie wyrzuciło, i bez powodzenia usiłowałem czytać jakiś magazyn. Wciąż zastanawiałem się, czy Metcalfe jest teraz na morzu. Jeżeli tak, to nie zazdrościłem mu, gdyż motorówka nie znosi burzliwej pogody tak dobrze jak jacht żaglowy. Musiał przechodzić piekło.

Późnym popołudniem zrobiło się jeszcze gorzej, więc zdecydowałem się stanąć w dryf. Zwinęliśmy trajsel i położyliśmy się z gołymi masztami na trawersie fal. Następnie uszczelniliśmy luki i zebraliśmy się w czwórkę w głównej kabinie, usiłując rozmawiać na błahe tematy, gdy hałas nam na to pozwalał.

W tym czasie zacząłem się obawiać, czy starczy dla nas miejsca na morzu. Ponieważ nie mogłem dokonywać namiarów, nie znałem naszej dokładnej pozycji. Tak więc, mimo iż suche obliczenia i odczyty logu wypadały niezłe, zaczynałem się niepokoić. Znajdowaliśmy się gdzieś w gardzieli leja, między Almerią w Hiszpanii a Marokiem. Wiedziałem, że nie grozi nam rozbicie o stały ląd, lecz w tej właśnie okolicy znajdowała się niewielka wysepka o nazwie Alboran, która mogła stać się naszą zgubą, gdybyśmy wpadli na nią przy tej pogodzie.

Przestudiowałem „Pilota Śródziemnomorskiego”. Miałem rację twierdząc, że tego typu pogoda nie jest normalna dla obszaru śródziemnomorskiego, lecz stanowiło to niewielką pociechę. Najwyraźniej ten, który rządził pogodą, nie czytał „Pilota”; facet z pewnością przesadzał.

O piątej wyszedłem na pokład, aby rozejrzeć się po raz ostatni przed zapadnięciem nocy. Coertze pomógł mi zdjąć listwy uszczelniające z wejścia, po czym wspiałem się do kokpitu. Mimo trzech dwucalowych odpływów, które tam wbudowałem, wirująca w nim woda sięgała kolan. Gdy tak stałem, kurczowo trzymając się słupka, przewaliła się kolejna fala i zalała kokpit.

Obiecałem sobie solennie, że w przyszłości dam do kokpitu jeszcze więcej odpływów, po czym spojrzałem na morze. Widok był przerażający: to już był pełny sztorm. Fale piętrzyły się wysoko z groźnie zawiniętymi grzywami i gdy tak stałem, jedna z grzyw załamała się nad pokładem i „Sanford” zadrżał gwałtownie. Biedak dostawał straszne ciągi i stanowczo należało coś zrobić. Oznaczało to, że przynajmniej jeden człowiek musiał wytrwać w kokpicie: przemoczony, nieszczęśliwy i przestraszony. Wiedziałem, że tym człowiekiem muszę być ja. W tym, co miałem zamiar zrobić, nie zaufałbym nikomu. Zszedłem na dół.

— Musimy płynąć z wiatrem — powiedziałem. — Walker, przynieś z dzioba zwój tej czterocalowej nylonowej liny. Kobus, wkładaj ubranie sztormowe i chodź ze mną.

Wróciłem z Coertzem do kokpitu i odwiązałem rumpel.

— Kiedy puścimy „Sanforda” z wiatrem, musimy go jakoś przyhamować. Wyrzucimy za rufę pętlę z liny. To powinno poskutkować.

Walker wszedł do kokpitu z liną i jeden jej koniec przymocował do prawoburtowych polerów na rufie. Puściłem „Sanforda” z wiatrem, a Coertze zaczął wyrzucać linę za rufę. W przeciwieństwie do manili, nylon pływa jak konopie i pętla liny zadziałała jak hamulec przy dzikim pędzie „Sanforda”.

Gdy się ucieka przed sztormem, zbyt duża szybkość jest niebezpieczna. Jacht ma wówczas skłonność do „potykania się”, podobnie jak biegnący człowiek, który potyka się o własne nogi. Kiedy coś takiego się przydarzy, rufa może podnieść się tak wysoko, że wywróci statek do góry dnem. Dziób ryje w morze, ster unosi się i łódź robi salto. Zdarzyło się to „Tzu Hang” na Pacyfiku i „Sandefjordowi” Erlinga Tambsa na Atlantyku, kiedy to stracił człowieka z załogi. Nie chciałem, aby to samo spotkało i mnie.

Sterowanie łodzią w tych warunkach jeżyło wprost włosy na głowie.

Ster trzeba było trzymać idealnie prostopadle do nadchodzących fal. Jeśli zrobiłeś to dobrze, rufa unosiła się gładko i fala przechodziła spodem. Jeśli wychyliłeś go choć odrobinę, następował głuchy huk i fala łamała się za rufą. Momentalnie byłeś kompletnie przemoczony, rumpel wyrывało niemal z zaciśniętej ręki i zastanawiałeś się, jak długo jeszcze ster wytrzyma takie traktowanie.

Coertze wyrzucił całą linę, pełne czterdzieści sążni, i „Sanford” zaczął się zachowywać nieco spokojniej. Lina jakby wygładziła wody za rufą i fale nie łamały się tak często. Nadal płynęliśmy nieco za szybko, więc powiedziałem Walkerowi, żeby przyniósł jeszcze trochę liny. Po wyrzuceniu za rufę jeszcze dwóch lin, po dwadzieścia sążni każda, uznałem, że zredukowaliśmy szybkość „Sanforda” do trzech węzłów.

Mogłem zrobić jeszcze jedno. Nachyliłem się do Coertzego i przyłożyłem mu usta do ucha.

— Zejdź na dół i weź z dzioba zapasowy kanister ropy. Daj go Francesce i powiedz, żeby wylewała do klozetu po pół kwarty, a później splukiwała. Wystarczy co dwie lub trzy minuty.

Skinął głową i zszedł na dół. Czterogalonowy kanister, który trzymaliśmy jako żelazny zapas, mógł się teraz naprawdę przydać. Często słyszałem o wylewaniu oleju na wzburzone wody — teraz mieliśmy okazję się przekonać, ile to rzeczywiście było warte.

Walker owijał płótno żaglowe wokół lin wypuszczonych za rufę w miejscach, gdzie tarły o reling, by zabezpieczyć je przed zniszczeniem. Gdyby lina urwała się w momencie zmagania się jachtu ze szczególnie niebezpieczną falą, a nadchodziły one dość regularnie, mogłoby to oznaczać nasz koniec.

Spojrzałem na zegarek. Było wpół do siódmej i wyglądało na to, że mam przed sobą paskudną noc. Zaczynałem już jednak nabierać wprawę w utrzymywaniu „Sanforda” rufą do fal. Sądziłem, że wystarczy do tego jedynie koncentracja i piekielnie dużo wytrwałości.

Wrócił Coertze i krzyknął:

— Ropa już leci!

Wyjrzałem za burtę. Nie widać było, aby to cokolwiek pomagało, choć trudno było powiedzieć na pewno. Chciałem jednak spróbować wszystkiego, pozwoliłem więc Francesce wylewać dalej.

Fale były duże. Ocenilem, że od podstawy do grzbietu miały średnio niemal czterdzieści stóp i „Sanford” zachowywał się jak wagonik szalonej kolejki w wesołym miasteczku. Gdy znajdowaliśmy się w dolinie, fale zdawały się przerażająco wielkie, piętrząc wysoko nad nami groźne grzywy. Później, gdy fala podnosiła jacht od rufy, dziób tonął, i statek wyglądał, jakby stał w pionie i chciał zanurkować na samo dno morza. Fala znów wynosiła „Sanforda” na grzbiet i wówczas widzieliśmy wokoło postrzępione przez sztorm morze. Unosząca się z fal piana była wszędzie, tak że trudno było rozróżnić morze od powietrza. I znów wracaliśmy na dół. „Sanford” dziobem mierzył w niebo, a ogromne fale groziły nam po raz kolejny.

Czasami, ze cztery razy na godzinę, nadchodziła fala szczególnie wysoka. Tworzyły ją nakładające się na siebie doganiające ściany wody. Oceniałem je na sześćdziesiąt stóp, więcej niż miał maszt

„Sanforda”. Musiałem się piekielnie koncentrować, abyśmy nie zostali zalani. Raz — jedyny raz — zalało nas i właśnie wówczas Walker znalazł się za burtą.

Wielka fala załamała się za rufą i pogrążyliśmy się w wodzie. Usłyszałem rozpaczliwy krzyk i zobaczyłem bladą twarz z szeroko rozwartymi oczami, gdy wymyło go z kokpitu.

Coertze zareagował natychmiast. Rzucił się za Walkerem, usiłując go dosięgnąć, ale nie udało mu się.

— Lina ratunkowa! Wciągnij go! — krzyknąłem. Przetarł oczy z wody i ryknął:

— Nie ma!

Przeklęty dureń, pomyślałem. Wydaje mi się, że była to myśl, ale mogłem ją nawet wykrzyczeć. Coertze krzyknął i wskazał do tyłu. Odwróciłem się i dostrzegłem ciemny kształt miotający się w wodzie kipiącej za rufą. Widziałem białe ręce kurczowo zaciśnięte na nylonowej linie. Mówią, że tonący chwytą się brzytwy; Walker miał szczęście — chwycił jedną z hamujących nas lin.

Coertze szybko wciągał linę. Wyciąganie zranionym ramieniem bezwładnego Walkera z pewnością nie było dla niego łatwe. Robił to jednak tak, jakby lina była luźna. Podciągnął Walkera tuż pod ster i zaknagował linę.

— Idę za pawęż! — krzyknął. — Będiesz mi musiał usiąść na nogach.

Skinąłem głową. Zaczął pełznąć przez pawęż rufy w stronę kurczowo ściskającego linę Walkera i ześliznął się ku rufie. Wstałem, wydźwignąłem się z kokpitu i usiadłem na jego nogach. Przy gwałtownych ruchach spowodowanych sztormem tylko mój ciężar sprawiał, że nie katapultowało go do morza.

Coertze mocno uchwycił linę i pociągnął tak, że ramiona wykręciło mu niemal z wysiłku. Podniósł bezwładny ciężar, którym był Walker, o pięć stóp — tyle wynosiła odległość od relingu rufowego do powierzchni wody. Prosiłem Boga, żeby Walker zdołał się utrzymać. Gdyby puścił linę, zgubiłby nie tylko siebie: gwałtowne uwolnienie od ciężaru pozbawiłoby Coertzego równowagi, a wówczas nie miałby szans na utrzymanie się na pokładzie.

Nad relingiem ukazały się ręce Walkera i Coertze mocno złapał go za mankiet płaszcza. Wówczas spojrzałem w kierunku rufy i wrzasnąłem:

— Na miłość boską, trzymajcie się!

Od strony rufy z szybkością pociągu ekspresowego zbliżała się ku nam nieubłagane jedna z tych przerażających, ogromnych fal. Dziób „Sanforda” zanurzył się paskudnie, a Coertze jeszcze raz szarpnął Walkera i chwyciwszy go za kark, wyciągnął na pawęż.

Wówczas dopadła nas fala i zniknęła równie szybko, jak przyszła. Walker upadł na dno kokpitu, nie potrafiłem powiedzieć, nieprzytomny czy martwy, a Coertze zwałił się na niego. Piers falowała mu gwałtownie po ogromnym wysiłku. Leżał tak przez chwilę, po czym schylił się, aby rozewrzeć zaciśnięte na linie z siłą imadła palce Walkera.

— Znieś go na dół i sam też zostań tam przez jakiś czas — powiedziałem, gdy w końcu uwolnił linę od palców Walkera.

Wtedy właśnie doznałem olśnienia, lecz nie miałem czasu zastanawiać się nad tym. Musiałem ponownie wyrzucić za rufę spętlaną linę, trzymając jednocześnie rumpel i obserwując nadchodzące fale.

Upłynęła niemal godzina, nim Coertze wrócił; samotna i straszna godzina, w czasie której byłem zbyt zajęty, by uporządkować swe myśli. Sztorm zdawał się jeszcze przybierać na sile i zaczynałem poważnie powątpiewać w wypowiedzianą przy Francesce opinię o przydatności do żeglugi małych łodzi.

Gdy Coertze ponownie wspiął się do kokpitu, przejął funkcję Walkera — pilnowanie lin za rufą. Siadając uśmiechnął się do mnie szeroko.

— Z Walkerem wszystko w porządku! — wykrzyknął. — Francesca opiekuje się nim. Wypompowałem z niego wodę — zęza musi być prawie pełna — roześmiał się na całe gardło, zagłuszając niemal huk sztormu.

Patrzyłem na niego w zdumieniu.

V

Śródziemnomorski sztorm nie może trwać zbyt długo. Nie osiąga siły sztormów na oceanie, gdyż pozbawiony rozległych przestrzeni wicher szybko zamiera. O czwartej rano następnego dnia sztorm zelżał na tyle, że postanowiłem powierzyć rumpel Coertzemu i zszedłem na dół. Kiedy usiadłem na kozetce, uwolnione od długiego naprężenia ręce zaczęły mi nagle drżeć. Poczułem się niesamowicie zmęczony.

— Pewnie jesteś głodny — powiedziała Francesca. — Zrobię ci coś do jedzenia.

Potrząsałem głową.

— Jestem zbyt zmęczony, aby jeść. Idę spać. — Pomogła mi zdjąć ubranie. — Jak się ma Walker?

— Nic mu nie jest. Śpi na huntkojce.

Wolno skinąłem głową. Coertze położył Walkera na swojej koi. To również pasowało do całości.

— Obudź mnie za dwie godziny — powiedziałem. — Nie pozwól mi spać dłużej. Nie chcę zostawiać Coertzego zbyt długo samego.

Zwałił się na koję i natychmiast zasnąłem. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, była przelotna wizja Coertzego, windującego Walkera przez rufę.

Francesca obudziła mnie o szóstej trzydzieści z kubkiem kawy, którą przyjąłem z

wdzięcznością.

— Chcesz coś zjeść? — spytała.

Przysłuchałem się wiatrowi i przeanalizowałem ruchy „Sanforda”.

— Zrób śniadanie dla wszystkich — powiedziałem. — Obrócimy się na wiatr i odpoczniemy trochę. Uważam, że nadszedł już czas, aby pomówić z Coertzem.

Wróciłem do kokpitu i oceniłem sytuację. Wiatr wciąż był silny, ale nawet w przybliżeniu nie taki jak w nocy. Coertze wciągnął już dwie dwudziestosążniowe liny i porządnie je pozwijsał.

— Obrócimy się teraz na wiatr — powiedziałem. — Najwyższy czas, żebyś się trochę przespał.

Skinął głową i zaczęliśmy wciągać ostatnią pętlę liny. Następnie przywiązaliśmy rumpel. „Sanford” ustawił się bokiem do fal; teraz, gdy wiatr osłabł, było to już bezpieczne. Kiedy zesliśmy pod pokład, Francesca przygotowała śniadanie. Rozłożyła na stole mokry obrus, aby nakrycia się nie ślizgały. Usiedliśmy przy nim z Coertzem.

Zaczął smarować masłem kromkę chleba, podczas gdy ja zastanawiałem się, jak zabrać się do tego, co miałem powiedzieć. Musiałem zadać mu trudne pytanie i, znając jego drażliwy charakter, nie wiedziałem, jak na to zareaguje.

— Wiesz, nigdy tak naprawdę nie podziękowałem ci za to, że wyciągnąłeś mnie z tej kopalni — zagadnąłem — kiedy strop się zawalił.

Odpowiedział z ustami pełnymi chleba.

— *Nee, man*, mówiłem ci już wcześniej: to była moja wina. Powinienem być porządnie ostemplować ten ostatni kawałek.

— Walker też jest ci winien podziękowania. Ubiegłej nocy ocaliłeś mu życie.

— Kogo to obchodzi, co on myśli — parsknął.

— A w ogóle, dlaczego to zrobiłeś? — spytałem ostrożnie, gotów do natychmiastowego wycofania się. — N i e w y c i ą g n i ę c i e go mogło być warte co najmniej ćwierć miliona.

Coertze wpatrywał się we mnie wyraźnie dotknięty. Twarz mu poczerwieniała z gniewu.

— Człowieku, czy myślisz, że jestem jakimś pieprzonym mordercą? Kiedyś tak myślałem, ale nie powiedziałem mu tego.

— I nie zabiłeś Parkera ani Alberta Corsa, ani Donata Rinaldiego? Twarz mu spurpurowiała jeszcze bardziej, o ile było to możliwe.

— Kto tak powiedział?

Kiwnąłem kciukiem w stronę huntkojki, gdzie wciąż spał Walker.

— On.

Przez moment myślałem, że wybuchnie. Szczęki zacisnęły mu się spazmatycznie i dosłownie zatkało go. Nie był w stanie wydusić z siebie najślabszego bodaj głosu.

— Według wersji naszego przyjaciela Walkera, wprowadziłeś Alberta w pułapkę na urwisku, a następnie zepchnąłeś go. Rozwaliłeś głowę Donatowi. Strzeliłeś Parkerowi w tył głowy, gdy obaj braliście udział w akcji przeciwko Niemcom.

— Ten nędzny, kłamliwy drań — warknął złowróźnie Coertze. Zaczął się podnosić. — Wepchnę mu te kłamstwa z powrotem w jego przekłete gardło.

Uniosłem rękę.

— Zaczekaj. Nie należy działać pochopnie. Najpierw spróbujmy to uporządkować. Chciałbym usłyszeć twoją wersję tego, co się wówczas wydarzyło. Widzisz, wypadki minionej nocy zmusiły mnie do ponownego przemyślenia wielu spraw. Zastanawiałem się, dlaczego miałbyś ratować Walkera, jeżeli jesteś takim człowiekiem, jak on twierdzi. Chciałbym wreszcie dotrzeć do prawdy.

Usiadł wolno i zapatrzył się w stół. Wreszcie powiedział:

— Śmierć Alberta była przypadkiem. Próbowałem go uratować, ale nie dałem rady.

— Wierzę ci. Po ostatniej nocy.

— O Donacie nic nie wiem. Chociaż, jak sobie przypominam, uważałem, że było w tym

coś dziwnego. To znaczy, dlaczego Donato miałby się wspinać dla przyjemności? Miał jej pod dostatkiem, biorąc pod uwagę, jak hrabia ganiał nas po tych wzgórzach.

— A Parker?

— Nawet gdybym chciał, nie mógłbym go zabić — odparł stanowczo.

— Dlaczego?

— Poszli z Umbertem przygotować jedną ze zwykłych zasadzek — zaczął wolno. — Umberto rozdzielił siły, jedna grupa po jednej stronie doliny, druga po przeciwnej. Parker i Walker byli w drugiej. Zasadzka okazała się niewypałem i obie grupy wróciły do obozu oddzielnie. Dopiero po powrocie usłyszałem, że Parker został zabity.

Przesunął dłonią po policzku.

— Czy to od Walkera dowiedziałeś się, że Parker został postrzelony w tył głowy?

— Tak.

Spojrzał na swoje ręce leżące na stole.

— Wiesz, Walker mógłby coś takiego zrobić. Byłoby to w jego stylu.

— Wiem — odparłem. — Mówiłeś mi kiedyś, że Walker kilkakrotnie w czasie wojny wpakował cię w kłopoty. Kiedy dokładnie to się stało? Zanim ukryliście złoto czy później?

Zmarszczył brwi, sięgając pamięcią wstecz, do odległych dni.

— Pamiętam, że kiedyś Walker wyciągnął paru ludzi z okopu, kiedy absolutnie nie powinien był tego robić. Był łącznikiem Umberta i twierdził, że źle zrozumiał jego polecenie. Prowadziłem wówczas kilku chłopców i odsłoniło mi to zupełnie flankę. — Twarz mu znów pociemniała. — Kilku z nich dostało się przez to do niewoli, a ja omal nie oberwałem bagnetem w tyłek — wykrzywił twarz w zamyśleniu. — To stało się p o ukryciu złota.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie. Przyłączyliśmy się do grupy Umberta już po ukryciu złota.

— Może to on strzelił Parkerowi w potylicę — powiedziałem spokojnie. — Może rozwalił kamieniem tył głowy Donatowi i upozorował wypadek przy wspinaczce. Ale może c i e b i e za bardzo się bał, aby cię załatwić z przodu lub od tyłu. Wiesz, czasami jesteś wzbudzającym grozę draniem. Może próbował wszystko tak zaaranżować, żeby to Niemcy cię załatwili?

Pięści Coertzego zacisnęły się na stole.

— Zawsze się ciebie bał. Wciąż się boi — dodałem.

— *Magtig*, nie bez powodu — wybuchnął. — Donato wyprowadził nas z obozu. Donato został z nim na zboczu, gdy Niemcy prowadzili poszukiwania — spojrzał na mnie z bólem w oczach. — Jakim człowiekiem trzeba być, aby zrobić coś takiego?

— Takim jak Walker — odparłem. — Myślę, że powinniśmy z nim pogadać. Mam wielką ochotę dowiedzieć się, co przygotował dla mnie i dla Franceski.

Coertze zacisnął usta.

— *Ja*. Myślę, że obudzimy go z tego *lekker slaap*. Uniósł się w chwili, gdy weszła Francesca z półmiskami. Ujrzała twarz Coertzego i zatrzymała się niepewnie.

— Co się dzieje?

Wziąłem od niej naczynia i wstawiłem za listwę sztormową.

— Właśnie zamierzamy pomówić z Walkerem — powiedziałem. — Lepiej chodź z nami.

Ale Walker już się obudził i z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że wiedział, na co się zanoszą. Podniósł się z koi i próbował uciec Coertzemu, który zamierzył się na niego.

— Wstrzymaj się — powiedziałem i chwyciłem Coertzego za ramię. — Mówiłem, że porozmawiamy z nim.

Mięśnie jego podniesionego ramienia napięły się, po czym rozluźniły powoli. Puściłem go.

— Coertze uważa, że jesteś kłamcą — co ty na to? Lękliwie spojrzał na Coertzego, po czym odwrócił wzrok.

— Nie powiedziałem, że kogoś zabił. Nie powiedziałem tego.

— Nie — zgodziłem się. — Ale dokładnie dałeś mi to do zrozumienia.

Coertze wydał pomruk, ale nic nie powiedział, najwyraźniej zadowolony, że chwilowo prowadzi sprawę.

— A co z Parkerem? — spytałem. — Powiedziałeś, że Coertze był obok, kiedy został zastrzelony; Coertze twierdzi, że go tam nie było. Co ty na to?

— Tego też nie powiedziałem — powtórzył pośpiesznie.

— J e s t e ś przekłętym kłamcą — powiedziałem twardo. — Tak mi powiedziałeś. Jeśli ty nie, to ja mam dobrą pamięć. Ostrzegłem cię w Tangerze, co się stanie, jeżeli kiedykolwiek mnie okłamiesz, więc lepiej uważaj. A teraz gadaj prawdę: czy Coertze był w pobliżu, gdy Parker został zabity?

Długo milczał.

— No więc? — domagałem się odpowiedzi. Załamał się.

— Nie, nie było go! — krzyknął piskliwie. — Wymyśliłem to. Nie było go tam. Był po drugiej stronie doliny.

— W takim razie, kto zabił Parkera?

— To Niemcy! — krzyczał histerycznie. — To Niemcy. Mówiłem ci, że to Niemcy.

Trudno było liczyć na to, że przyzna się do morderstwa. Nigdy nie powiedziałby wprost, że zabił Parkera i Donata Rinaldiego, ale twarz go zdradziła. Tak czy inaczej nie miałem już zamiaru go oszczędzać, więc powiedziałem do Coertzego:

— To on ponosi odpowiedzialność za atak Torloniego.

— Jakim cudem? — mruknął Coertze zdumiony. Opowiedziałem mu o złotej papierošnicy.

— Ubiegłej nocy Coertze uratował ci życie — zwróciłem się do Walkera — ale, na Boga, wolałbym, abyś utonął. Teraz zostawię cię z nim sarn na sam i może z tobą zrobić, co zechce.

Walker złapał mnie za ramię.

— Nie zostawiaj mnie — błagał. — Nie pozwól, żeby mnie dopadł.

Za chwilę miało się stać to, czego się zawsze bał. Nie będzie nikogo między nim a Coertzem. Oczernił Coertzego w moich oczach, aby zyskać sprzymierzeńca w swojej walce, lecz przeszedłem teraz na przeciwną stronę. Bał się siły fizycznej — zabójstw dokonywał z zasadzki — a Coertze stanowił uosobienie siły.

— Proszę! — skamlał. — Nie opuszczaj... — spojrzał na Francescę z rozpaczliwym błaganiem w oczach. Odwróciła się bez słowa i wyszła z kokpitu. Odtrąciłem jego rękę i podążyłem za nią, zamykając luk kabiny.

— Coertze go zabije — stwierdziła cicho.

— A nie zasłużył sobie na to? — spytałem. — Z zasady nie uznaję prywatnych egzekucji, ale tym razem mam chęć zrobić wyjątek.

— Nie martwię się o Walkera — powiedziała. — Źle wpłynie to na Coertzego. Nie można, ot tak, zabić człowieka i znów być takim jak przedtem. Wpłynie to źle na jego... jego duszę.

— Coertze robi to, co musi — odparłem.

Zamilkliśmy, wpatrując się we wzburzone morze. Zacząłem myśleć o łodzi i o tym, co powinniśmy robić dalej.

Luk kabiny otworzył się i do kokpitu wszedł silnie wzburzony Coertze. Ochrypłym głosem rzekł:

— Chciałem zabić tego bydlaka. Chciałem go uderzyć — raz go uderzyłem. Ale nie można bić kogoś, kto nie walczy. Nie można, prawda?

Uśmiechnąłem się szeroko, a Francesca roześmiała się radośnie. Coertze patrzył na nas i z wolna jego twarz też wykrzywił uśmiech.

— Ale co my z nim zrobimy? — spytał.

— Wysadzimy go w Tangerze i niech sam sobie radzi — powiedziałem. — Napędzimy mu takiego stracha, że będzie najbardziej wylęknionym człowiekiem na świecie.

Siedzieliśmy szczerząc do siebie zęby, jak szczęśliwi głupcy, gdy nagle Francesca

wykrzyknęła:

— Patrzcie!

Podążyłem wzrokiem za jej wyciągniętą ręką.

— O nie! — jęknąłem. Coertze zaklął.

Podrzucana falami, kołysząc się okropnie, płynęła w naszą stronę fairmila.

„SANFORD”

I

Spojrzałem na nią z goryczą. Byłem przekonany, że Metcalfe zgubił nas w czasie sztormu — miał jednak diabelskie szczęście. Nie odnalazł nas za pomocą radaru, gdyż sztorm wymiół do czysta nadbudówkę fairmili. Zniknęła antena radaru, jak również maszt radiowy i krótki dzwignik obrotowy. Jedynie dzięki nieprawdopodobnemu przypadkowi mógł się na nas natknąć.

— Zejdź na dół i uruchom silnik — powiedziałem do Coertzego. — Francesca, idź też na dół i nie wychylaj nosa.

Spojrzałem na fairmilę. Znajdowała się o milę od nas i zbliżała się z szybkością jakichś ośmiu węzłów. Dawalo nam to nieco ponad pięć minut na jakiegokolwiek daremne przygotowania. Nie miałem złudzeń co do Metcalfe'a. Torloni był niebezpieczny, lecz posługiwał się tylko przemocą. Metcalfe zaś używał głowy. Pogoda była paskudna. Kiedy wiatr dmąc równomiernie narzuca morzu dyscyplinę, fale idą równo i jednostajnie. Z ustaniem wiatru na morzu zapanował chaos. Wielkie jak piramidy góry wody unosiły się i znikały, a „Sanford” przechylał się i kołysał alarmująco.

Fairmila też nie była w lepszym położeniu. Zataczała się niepewnie i kołysała ciężko, gdy uderzały w nią nieoczekiwane fale. Mogłem sobie wyobrazić hałas panujący w kadłubie. Jako nabytek z demobilu była starą łodzią i jej kadłub musiał stracić na wartości mimo troski, której nie szczędził jej Metcalfe. Poza tym trzeba pamiętać, że planowano jej żywot na jakieś pięć lat, a materiały z czasów wojny nie zasłynęły zbyt wysoką jakością.

Nagle przyszło mi do głowy, że nie mogła już płynąć szybciej; że przy tak wzburzonym morzu Metcalfe nie odważył się prowadzić jej szybciej. Jej silniki w spokojnej wodzie mogły dać nawet dwadzieścia sześć węzłów. Gdyby jednak teraz wyduszono z niej choć trochę więcej niż osiem, istniało niebezpieczeństwo, że łódź rozleci się na kawałki. Metcalfe mógł wiele ryzykować dla złota, ale nie aż tyle.

Gdy usłyszałem, że silnik zaskoczył, otwarłem szeroko przepustnicę i odwróciłem „Sanforda” rufą do fairmili. Mieliśmy niezły silnik i nawet pokonując takie fale mogłem uzyskać „Sanfordem” siedem węzłów. Nasza pięciominutowa zwłoka została teraz przeciągnięta do godziny. Może przez ten czas wpadniemy jeszcze na jakiś dobry pomysł.

Coertze wyszedł na górę. Przekazałem mu rumpel, a sam zszedłem na dół. Nie zawracałem sobie głowy mówieniem mu, co ma robić — wszystko było oczywiste. Otworzyłem szafkę pod swoją koją i wyciągnąłem 'schmeissera oraz wszystkie magazynki. Francesca spoglądała na mnie z koi.

— Czy musisz to robić?

— Nie strzelę, dopóki nie będę musiał — odparłem. — Albo gdy oni zaczną strzelać pierwsi. — Rozejrzałem się dokoła. — Gdzie jest Walker?

— Zamknął się w dziobówce. Boi się Coertzego.

— Dobrze. Nie chcę, żeby się teraz pętał pod nogami — stwierdziłem i wróciłem do kokpitu.

Coertze spojrzał z niedowierzaniem na pistolet maszynowy.

— Skąd go wziąłeś, u diabła?

— Ze sztolni. Mam nadzieję, że działa; ta amunicja jest cholernie stara.

Założyłem jeden z długich magazynków i przymocowałem kolbę.

— Lepiej weź swojego lugera, a ja przejmę ster. Uśmiechnął się kwaśno.

— Po co? Wyrzuciłeś wszystkie kule.

— Do diabła! Chociaż, czekaj chwilę. Jest broń Torloniego. Leży w szufladzie stołu nawigacyjnego.

Zszedł na dół, a ja spojrzałem w tył na fairmilę. Tak jak myślałem, Metcalfe nie zwiększył prędkości, gdy zaczęliśmy uciekać. Nie miało to zresztą większego znaczenia — płynął o jakiś węzeł szybciej od nas i odlegość między nami wyraźnie się zmniejszyła.

Coertze wrócił z pistoletem wetkniętym za pasek spodni.

— Ile zajmie mu dopadnięcie nas? — spytał.

— Niecałą godzinę. — Dotknąłem schmeissera. — Nie strzelamy, chyba że on zacznie, i postaramy się nie zabijać.

— Czy on będzie strzelał tak, żeby zabić?

— Nie wiem. Może.

Coertze mruknął, wyciągnął pistolet i zaczął go sprawdzać.

Zamilkliśmy, a zresztą i tak nie bardzo mieliśmy o czym rozmawiać. Myślałem o posługiwaniu się pistoletem maszynowym. Dawno już nie strzelałem, zacząłem więc powtarzać kolejne punkty szkoleniowe, wpojone mi kiedyś przez sierżanta o czerwonej twarzy. Pamiętałem, że odrzut unosi lufę i jeśli celowo nie przytrzymało się jej na dole, większość kul szła w powietrze. Próbowałem sobie przypomnieć i inne rzeczy, których się nauczyłem, ale nic mi nie przychodziło na myśl. Te fragmentaryczne wiadomości muszą wystarczyć.

— Chętnie napiłbym się kawy — powiedziałem w jakiś czas później do Coertzego.

— Niezły pomysł — odrzekł i zszedł na dół. Afrykaner nigdy nie odrzuci propozycji wypicia kawy. Ich wątroby pewnie są od niej zupełnie brązowe.

Wrócił po pięciu minutach z dwoma dymiącymi kubkami.

— Francesca chce wyjść na górę — powiedział. Spojrzałem w tył na fairmilę.

— Nie — odparłem krótko.

Piliśmy kawę, której połowa się rozlała, gdy „Sanford” zadygotał od uderzenia szczególnie silnej fali. Kiedy skończyliśmy, fairmilla znajdowała się o ćwierć mili i wyraźnie widziałem Metcalfe'a stojącego obok sterówki.

— Ciekaw jestem, jak się do nas zabierze — powiedziałem. — Przy takim morzu nie da rady wdrzeć się na pokład; istnieje zbyt wielkie niebezpieczeństwo staranowania nas. A jak ty byś się do tego zabrał, Kobus?

— Podpłynąłbym blisko i wystrzelał nas z karabinu — mruknął. — Jak na strzelnicy. A później, gdy morze się uspokoi, wszedłbym spokojnie na pokład.

Brzmiało to rozsądnie, lecz nie poszłoby tak łatwo jak na strzelnicy. Metalowe kaczki nie odpowiadają ogniem. Wręczyłem rumpel Coertzemu.

— Może będziemy musieli wykonać parę fantastycznych manewrów — powiedziałem. — Ale bez żagli dasz sobie z nim dość dobre radę. Kiedy powiem, że masz coś zrobić, rób to natychmiast. — Wziąłem schmeissera i położyłem sobie na kolanach. — Ile naboji jest w tamtym pistolecie?

— Za mało — odparł. — Pięć.

W końcu fairmilla znalazła się w ćwiartce rufowej, o sto jardów zaledwie od nas. Metcalfe wyszedł ze sterówki niosąc megafon. Jego głos zadudnił po wodzie:

— Po co uciekacie? Nie chcecie, żeby was podholować? Przyłożyłem dłoń do ust.

— Chcesz dostać nagrodę za ocalenie? — spytałem ironicznie. Roześmiał się.

— Czy sztorm wyrządził u was jakieś szkody?

— Żadnych! — krzyknąłem. — Sami dotrzemy do portu.

Jeśli chciał udawać niewiniątko, byłem gotów bawić się razem z nim. Nie miałem nic do stracenia.

Fairmila zmniejszyła szybkość, aby iść równo z nami. Metcalfe dłubał coś przy wzmacniaczu megafonu, który niesamowicie piszczał.

— Hal! — krzyknął. — Chcę mieć twoją łódź. I twój ładunek. A więc zostało to powiedziane: jasno i bez ogródek.

— Jeżeli podejdziecie do tego spokojnie, zadowolę się połową — zahuczał megafon. — Jeśli nie, wezmę wszystko.

— Torloni złożył taką samą ofertę i wiesz, co się z nim stało.

— Znajdował się w niekorzystnym położeniu! — zawołał Metcalfe. — Nie mógł użyć broni. Ja mogę.

Pojawił się Krupke — z karabinem. Wspiął się na dach salonu pokładowego i położył się tuż za sterówką.

— Wygląda na to, że wykrakałeś — powiedziałem do Coertzego.

Było źle, ale nie beznadziejnie. Krupke służył w wojsku. Przywykł do stabilnej pozycji, nawet jeśli cel się ruszał. Nie sądziłem, aby mógł celnie strzelać z tak podskakującej platformy jak fairmila.

Dostrzegłem, że Metcalfe podchodzi bliżej i powiedziałem do Coertzego:

— Utrzymuj stałą odległość.

— No więc jak?! — krzyknął Metcalfe.

— Idź do diabła!

Skinął Krupke'owi, który natychmiast strzelił. Nie wiem, gdzie poleciała kula — myślę, że w ogóle nie trafiła w jacht. Strzelił ponownie i tym razem trafił w coś na dziobie. Musiał to być metal, bo usłyszałem brzęk, gdy kula odbiła się rykoszetem.

Coertze szturchnął mnie w żebra.

— Nie oglądaj się, żeby Metcalfe się nie zorientował, ale chyba czeka nas kolejna burza.

Zmieniłem nieco pozycję na siedzeniu, tak że kątem oka mogłem spoglądać na rufę. Horyzont zaczerniała złośliwa nawałnica, zbliżająca się w naszą stronę. Modliłem się w duchu, żeby się pospieszyła.

— Musimy grać teraz na zwłokę — szepnąłem. Krupke znowu strzelił i kula trzasnęła w rufę. Wychyliłem się za burtę i zobaczyłem dziurę wbity w ścianie pawęży. Celował coraz lepiej.

— Powiedz Krupke'emu, żeby nie zrobił nam dziury poniżej linii zanurzenia! — krzyknąłem. — Moglibyśmy zatonać, a to by ci się nie spodobało.

Na chwilę strzały umilkły. Zobaczyłem, jak Metcalfe rozmawia z Krupke'em gestykulując, aby mu pokazać, że powinien strzelać wyżej. Niezwłocznie przywołałem Francescę na pokład. Te kule z niklowym płaszczem przechodziły przez cienkie deski burty „Sanfor-da” niczym przez bibułkę. Wysła akurat w chwili, gdy Krupke oddał kolejny strzał. Przeszedł wysoko. Pudło.

Gdy tylko Metcalfe ją ujrzał, podniósł rękę i Krupke przestał strzelać.

— Hal, bądź rozsądny! — zawołał. — Masz kobietę na pokładzie. Spojrzałem na Francescę, a ona pokręciła głową.

— Strzelaj dalej! — krzyknąłem.

— Nie chcę nikogo zranić — prosił Metcalfe.

— W takim razie odpłyń.

Wzruszył ramionami, powiedział coś do Krupke'a, który znów wystrzelił. Kula z brzękiem trafiła w okucie bomu. Uśmiechnąłem się ponuro, myśląc o specyficznej moralności Metcalfe'a. Według niego, gdyby ktokolwiek teraz został zabity, byłaby to moja wina.

Spojrzałem w stronę rufy. Nawałnica zbliżyła się znacznie i szybko nadciągała. Był to ostatni, zamierający poryw sztormu i nie mógł potrwać długo. Miałem nadzieję, że jednak wystarczająco długo, aby urwać się Metcalfe'owi. Nie sądzę, aby Metcalfe już coś zauważył — był zbyt zajęty nami.

Krupke wystrzelił jeszcze raz. Z przodu rozległo się uderzenie i wiedziałem, że kula musiała przejść przez głównąabinę. W samą porę ściągnąłem Francescę na górę.

Krupke zaczynał mnie denerwować. Mimo trudności z celowaniem strzelał coraz lepiej, zresztą wcześniej czy później uzyskałby jakieś szczęśliwe trafienie. Zastanawiałem się, ile ma amunicji.

— Metcalfe! — zawołałem.

Uniósł rękę do góry, ale nie dość szybko, żeby powstrzymać Krupke'a od naciśnięcia spustu. Zrębica kokpitu przy moim łokciu zmieniła się w drewno na zapalki. Wszyscy schowaliśmy się do kokpitu. Z niedowierzaniem spojrzałem na grzbiet dłoni — sterczała z niego dwucalowa mahoniowa drzazga.

Wyciągnąłem ją i wrzasnąłem:

— Hej, poczekaj no! To było trochę za blisko.

— Czego chcesz?

Zauważyłem, że fairmilla znów się do nas przyciskała, więc poleciłem Coertzemu, żeby odpłynął.

— No więc? — niecierpliwił się Metcalfe.

— Chcę zawrzeć umowę! — krzyknąłem.

— Znasz moje warunki.

— Skąd możemy wiedzieć, czy można ci ufać?

— Tego nie będziecie wiedzieć — odparł szczerze Metcalfe. Udawałem, że konferuję z Coertzem.

— Jak tam nawałnica, zbliża się?

— Jeśli dalej będziesz go bajerował, to może nam się uda. Odwróciłem się do fairmili.

— Zrobię ci kontrpropozycję. Damy ci jedną trzecią — Walker nie potrzebuje swojej części.

— Oo, w końcu go zdemaskowaliście, co? — roześmiał się Metcalfe.

— Co ty na to?

— Nic z tego, połowa albo wszystko. Wybieraj, nie masz zbyt wiele argumentów przetargowych.

— Co myślisz, Kobus? Przesunął machinalnie ręką po policzku.

— Zgodzę się na każdą twoją decyzję.

— Francesca? Westchnęła.

— Czy uważasz, że nadchodzący sztorm coś pomoże?

— To nie jest sztorm, ale pomoże. Myślę, że możemy zgubić Metcalfe'a, jeśli uda nam się przetrzymać go jeszcze z dziesięć minut.

— A damy radę?

— Myślę, że tak, ale to może być niebezpieczne. Zacisnęła usta.

— Więc walcz z nim.

Spojrzałem na Metcalfe'a. Stał przy drzwiach sterówki, patrząc na Krupke'a, który wskazywał za rufę. Zobaczył nawałnicę!

— Odbiliśmy naradę i całkowicie zgodna opinia brzmi: w dalszym ciągu możesz iść do diabła! — krzyknąłem.

Poirytowany machnął ręką i Krupke znów strzelił — kolejne pudło.

— Damy mu jeszcze dwie szansę — powiedziałem do Coertzego. —

Natychmiast po drugim strzale steruj prawo na burt, jakbyś go chciał staranować. Ale, na miłość boską, nie zrób tego. Podpłyn najbliżej, jak się da, i wróć na kurs równoległy do niego. Rozumiesz?

Gdy skinął głową, rozległ się kolejny strzał. Ten trafił tuż pod kokpitem — Krupke robił się stanowczo za dobry.

Metcalfe nie mógł wiedzieć, że mamy pistolet maszynowy. „Sanforda” wielokrotnie przeszukiwano, a pistoletów maszynowych — nawet małych — nie znajduje się we Włoszech

na każdym rogu. Istniała szansa, że go przestraszymy.

— Kiedy zaczniemy skręcać, połóż się na dnie kokpitu — powiedziałem do Franceski.

Krupke ponownie strzelił, spudłował, a Coertze przesunął rumpel na drugą stronę. Zaskoczyliśmy Metcalfe'a — wyglądało to tak, jakby królik atakował łasicę. Mieliśmy na wykonanie manewru jakieś dwadzieścia sekund i udało się. Kiedy doszedł do siebie na tyle, aby krzyknąć do sternika, i nim sternik zareagował, byliśmy już obok.

Krupke strzelił, gdy zobaczył, że podpływamy, ale posłał kulę na oślep. Zobaczyłem, jak celuje we mnie i przez chwilę patrzyłem prosto w lufę jego karabinu. Potem użyłem sobie ze schmeissera.

Miałem szansę na oddanie tylko dwóch serii. Pierwszą przeznaczyłem na Krupke'a — musiałem trafić go szybciej niż on mnie. Dwie czy trzy kule rozbiły okna salonu fairmili. Pozwoliłem odrzutowi unieść broń. Kule uderzyły w krawędź nadbudówki. Zobaczyłem, jak Krupke obrócił się w tył z rękami przyciśniętymi do twarzy i usłyszałem słaby krzyk.

Przeniosłem ogień na sterówkę i zasypałem ją gradem kul. Posypało się szkło, lecz było już za późno. Metcalfe zniknął. Schmeisser zaciął się na wadliwym naboju. Ryknąłem do Coertzego:

— Wynośmy się stąd!

Coertze ponownie przesunął rumpel.

— Dokąd? — spytał.

— Z powrotem — tam skąd przyszedliśmy. W nawałnicę.

Obejrzałem się na fairmilę. Metcalfe był na pokładzie nad salonem i nachylał się nad Krupke'em, a łódź w dalszym ciągu szła poprzednim kursem. Ale dziób kołysał się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby nikogo nie było przy sterze.

— Mogło się udać — powiedziałem.

Jednak po dwóch czy trzech minutach zaczęła zawracać i wkrótce kołysząc się popłynęła za nami. Patrzyłem w przód i modliłem się, abyśmy zdążyli wejść w nawałnicę. Nigdy przedtem nie modliłem się o paskudną pogodę.

II

Niemal w ostatniej chwili, ale zdążyliśmy. Pierwsze podmuchy uderzyły w nas, gdy fairmilla znajdowała się zaledwie dwieście jardów z tyłu. W dziesięć sekund później stała się niewidoczna, zagubiona w zacinającym deszczu i spienionym morzu.

Zmniejszyłem obroty silnika do minimum. Samobójstwem byłoby pchać się przez to. Pogoda była zła, to fakt, lecz nie miała już tej nieposkromionej dzikości wcześniejszego sztormu i wiedziałem, że uspokoi się za jakieś pół godziny.

W tym krótkim czasie musieliśmy zgubić Metcalfe'a.

Zostawiłem rumpel Coertzemu. Potykając się ruszyłem do masztu i wciągnąłem trajsel. W ten sposób weszliśmy w dryf i mogliśmy obrać coś w rodzaju kursu. Zdecydowałem się iść na wiatr. Była to ostatnia rzecz, jakiej przy burzliwej pogodzie spodziewałby się po mnie Metcalfe. Miałem nadzieję, że gdy szkwał już się wydmucha, będzie szukał nas po zawietrznej.

„Sanfordowi” nie spodobał się mój pomysł, opierał się i zapadał dziobem w morze bardziej niż kiedykolwiek, a ja przeklinałem kaprysy spowodowane złotym kilem — przyczyną wszystkich kłopotów.

— Lepiej zejździe z Kobusem na dół — powiedziałem do Franceski. — Nie ma potrzeby, żebyśmy wszyscy przemokli do suchej nitki.

Zastanawiałem się, co robił Metcalfe. Gdyby miał choć trochę rozsądku, ustawiłby fairmilę dziobem do wiatru i dał silnikowi tylko takie obroty, aby utrzymać pozycję. Ale pragnął złota i miał dość odwagi, aby próbować najdziwniejszych rzeczy, dopóki łódź nie rozpadnie mu się pod nogami. Udowodnił już swój kunszt żeglarski wychodząc cało z

dużego sztormu. Ten szkwał nie mógł zrobić mu krzywdy.

Właśnie wówczas „Sanford” gwałtownie przechylił się na bok i przez moment myślałem, że się rozsypuje. Ster zachowywał się w osobliwy sposób, którego nie mogłem określić. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnie reagującego jachtu. Ponownie przechylił się, jakby wpadał na wodzie w poślizg, i nawet nie popychany falami kołysał się niepokojąco. Spróbowałem oprzeć się na sterze. Łódź gwałtownie zmieniła kierunek. Czym prędzej pociągnąłem rumpel w drugą stronę. Odbiła, ale za daleko. Przypominało to jazdę na koniu z obluzowanym siodłem. Nie mogłem tego pojąć.

Nagle przyszła mi do głowy okropna myśl. Spojrzałem za burtę. Trudno było rozróżnić coś w skotłowanej wodzie, ale wydawało mi się, że wodnica „Sanforda” wystaje z wody dużo wyżej niż powinna. Wiedziałem już, co się stało.

To ten kil — ten przeklęty złoty kil.

Coertze nas ostrzegał. Mówił, że będzie pełen skaz i pęknięć, a więc będzie miał słabą strukturę. W ciągu ostatnich kilku dni „Sanfordem” straszliwie rzucało i ten ostatni szkwał okazał się ową słomką, która złamała grzbiet wielbłąda.

Ponownie wyjrzałem za burtę, próbując zobaczyć, o ile wyżej jacht siedział na wodzie. Według mojej oceny odpadły trzy czwarte kilu. „Sanford” stracił trzy tony balastu i w każdej chwili groziła mu wywrotka.

Walnąłem w luk kabiny i ryknąłem na cały głos. Coertze wystawił głowę.

— Co się stało?! — odkrzyknął.

— Wychodź szybko na pokład, Francesca też. Ten cholerny kil odpadł. Wywrócimy się. Patrzył na mnie ogłupiały.

— Co ty wygadujesz, do diabła? — Twarz mu poczerwieniała, gdy dotarł do niego sens moich słów. — Chcesz powiedzieć, że straciliśmy złoto? — zapytał z niedowierzaniem.

— Na miłość boską, nie stój i nie gap się! — krzyknąłem. — Wyłaź na górę i zabierz ze sobą Francescę. Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się go utrzymać.

Pobladła twarz zniknęła. Wkrótce Francesca wydostała się z kabiny, a Coertze postępował tuż za nią. „Sanford” zachowywał się jak szalony.

— Ściągnij szybko ten żagiel, bo się wywali — poleciłem Coertzemu.

Rzucił się w przód po pokładzie i nie tracił czasu na odknagowanie końcówki fału, tylko wyciągnął zza pasa nóż i odciął go jednym czystym cięciem. Gdy tylko żagiel spadł, „Sanford” zaczął zachowywać się nieco lepiej, ale niewiele. Ślizgał się na powierzchni wody i tylko dzięki szczęściu, a nie umiejętnościom, udało mi się utrzymać go prosto. Nigdy bowiem czegoś podobnego nie doświadczyłem — jak zresztą ogromna większość żeglarzy.

— To maszt nas wywróci, jeśli nie będziemy uważać! — krzyknąłem, gdy Coertze wrócił.

Spojrzał na maszt piętrzący się nad naszymi głowami i szybko skinął głową. Zastanawiałem się, czy pamiętał jeszcze, co powiedział za pierwszym razem, gdy pytałem go o jachty w Cape Town. Spojrzał wtedy w górę na maszt „Estrality” i powiedział: „Musi głęboko siedzieć, żeby to wszystko zbalansować”.

Kil — nasza przeciwwaga — odpadł i pięćdziesięciostopowy maszt miał zdecydować o ocaleniu „Sanforda”.

Wskazałem toporek przymocowany do ścianki kokpitu.

— Przetnij wanty.

Chwycił toporek i ponownie ruszył do przodu. Zamachnął się na prawoburtową tylną wantę. Toporek odbił się od nierdzewnego stalowego drutu, a ja przeklinałem sam siebie, że zbudowałem „Sanforda” tak solidnie. Uderzał raz po raz i w końcu drut pękł. Przeszedł do przedniej wanty.

— Francesca, muszę mu pomóc, bo może nie zdążyć — powiedziałem. — Możesz wziąć ster?

— Co mam robić?

— Myślę, że złapałem, o co chodzi. „Sanford” jest bardzo czuły i nie możesz gwałtownie

poruszać rumplem. Bardzo łatwo skręca, więc musisz wykonywać bardzo łagodne ruchy, inaczej będzie tak samo rzucało jak przedtem.

Nie mogłem zostać z nią długo, bo już musiałem wyjść z kokpitu zwolnić oba baksztagi, tak żeby wanty zwisały luźno. Teraz już maszt nie miał zamocowania od rufy.

Przeszedłem do przodu, na dziób, czepiając się liny bezpieczeństwa i skuliłem się w koszu dziobowym. Wziąłem się do odkręcania ściągacza forsztagu za pomocą marszpiłka przy nożu. Nie był on przystosowany do takiego zadania i wyslizgiwał się z otworu trzonu. Udało mi się jednak znacznie obluźnić śruby, mimo że zalewało mnie za każdym zanurzeniem dzioba „Sanforda”. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem wyraźnie, jak sztag zwisa łukiem na zawietrznię, co oznaczało, że był słabo napięty.

Nim pochyliłem się, aby poluzować forsztag, rozejrzałem się dokoła i zobaczyłem, że Coertze atakuje wanty lewoburtowe. Kiedy ponownie podniosłem wzrok, maszt giął się jak wędka — a jednak cholerstwo wciąż nie chciało się złamać.

Dopiero gdy potknąłem się o luk dziobowy, przypomniałem sobie o Walkerze. Załomotałem i krzyknąłem:

— Walker, wychodź, toniemy! — ale nic nie usłyszałem z dołu.

Klnąc w diabły jego tchórzostwo, poszedłem w stronę rufy i z łomotem wpadłem zejściówką do głównej kabiny. Niezdolny do utrzymania równowagi przy nowych, nieprzyjemnych ruchach „Sanforda” zatoczyłem się w przód i spróbowałem otworzyć drzwi dziobówki. Były zamknięte od środka. Załomotałem w nie pięścią i krzyknąłem:

— Walker, wyłaź. Zaraz się wywrócimy! Usłyszałem słaby dźwięk i krzyknąłem ponownie.

— Nie wyjdę.

— Nie bądź skończonym durniem! — ryknąłem. — W każdej chwili możemy zatonać.

— To podstęp, żeby mnie stąd wyciągnąć. Wiem, że Coertze tylko na to czeka.

— Ty skończony idioto! — wrzasnąłem i ponownie wałęnałem w drzwi, na nic się to jednak nie zdało. Przestał odpowiadać, więc zostawiłem go.

Gdy zmierzałem do wyjścia, „Sanford” jęczał każdą belką. Rzuciłem się jak szalony do zejściówki i wydostałem się do kokpitu w samą porę, aby zobaczyć, jak łamie się maszt. Pękł i rozłupał się dziesięć stóp nad pokładem. Zwalił się w rozhukane morze wciąż przywiązany rufowym i dziobowym sztagiem.

Przejąłem od Franceski rumpel i ruszyłem nim na próbę. Sterowność „Stanforda” niewiele się poprawiła — wciąż ślizgał się w niemożliwy do przewidzenia sposób — odetchnąłem jednak z ulgą, gdy pozbyliśmy się topu masztu z takielunkiem. Wskazałem stopą szafkę w kokpicie i krzyknąłem do Franceski:

— Wyciągnij kamizelki ratunkowe!

Rozwiązanie jednego problemu prowadziło wprost do następnego. Zanurzony w wodzie maszt, wciąż przytrzymywany od strony dzioba i rufy, uderzał rytmicznie o burtę „Sanforda”. Jeszcze chwila takiego taranowania i wybije dziurę, a my pójdziemy jak kamień na dno. Coertze był na dziobie. Dostrzegłem błysk toporka uniesionego do kolejnego uderzenia w forsztag. Miał pełną świadomość niebezpieczeństwa, które niosło ze sobą zachowanie masztu.

Francesca przejęła ster. Z trudem założyłem kamizelkę ratunkową, po czym chwyciwszy bosak z dachu kajuty wychyliłem się za burtę, aby odepchnąć maszt, który ruszał do kolejnego grzmotnięcia. Coertze przeszedł na rufę i zaczął odcinać baksztagi. Łatwiej było odcinać je na pokładzie i dokonał tego w ciągu pięciu minut. Maszt odpłynął i zniknął nam z oczu w wodnym pyłe.

Coertze wpadł ciężko do kokpitu z twarzą ociekającą słoną wodą. Francesca dała mu kamizelkę ratunkową. Przewiązaliśmy się linami i pod wpływem nagłego olśnienia zamknąłem główny luk. Gdyby Walker chciał wyjść, mógł jeszcze skorzystać z luku dziobowego.

Chciałem uszczelnić „Sanforda”. Gdyby się wywrócił i napełnił wodą, zatonałby w ciągu kilku sekund.

Ostatnie chwile szkwału były szczególnie przykre. Gdyby udało nam się przetrwać, mielibyśmy jeszcze szansę. „Sanford” nie mógłby nigdy więcej żeglować, ale pewnie można by nim jakoś płynąć, używając silnika. To raczej dziwne, ale miałem nadzieję, że nie udało mi się wprowadzić w błąd Metcalfe'a i że jest gdzieś w pobliżu.

Lecz szkwał jeszcze z nami nie skończył. Gwałtowny podmuch wiatru nałożył się na potworną falę i „Sanford” przechylił się zatrważająco. Rozpaczliwie poruszyłem rumplem, lecz było już za późno. Jacht przechylał się coraz bardziej, aż pokład ustawił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni do powierzchni wody.

— Trzymajcie się, leci! — ryknąłem. W tym momencie „Sanford” przewrócił się zupełnie na burtę i wyrzuciło mnie do morza.

Nałykałem się słonej wody, nim kamizelka wyniosła mnie na powierzchnię. Leżąc na plecach rozglądałem się jak oszalały dokoła szukając Franceski. Odetchnąłem, gdy wyskoczyła nie opodal na powierzchnię. Schwyciłem jej linę i ciągnąłem, aż płynęliśmy obok siebie.

— Z powrotem do łodzi — prychnąłem.

Przyciągnęliśmy się za liny z powrotem do „Sanforda”. Leżał na prawej burcie, kołysząc się leniwie na falach. Z trudem wspięliśmy się po pionowym pokładzie, aż mogliśmy chwycić się słupków lewoburtowego relingu. Obejrzałem się w tył na morze szukając Coertzego. Żadnego śladu. Wciągnąłem się ponad relingiem na nowy, dziwnie ukształtowany górny pokład — prawą burtę „Sanforda”.

Pomogłem Francesce przejść nad relingiem i wówczas zobaczyłem Coertzego. Trzymał się tego, co pozostało z kilu — najwyraźniej rzuciło go na drugą stronę. Ścisnął płataninę połamanych drutów — drutów, które miały trzymać kil, ale nie spełniły swego zadania. Ześliznąłem się po burcie w dół i podałem mu rękę. Wkrótce wszyscy troje niespokojnie tłoczyliśmy się na nie osłoniętym kadłubie, zastanawiając się, co robić dalej.

Ostatni, młocący jak cepem podmuch wiatru był finalnym podrygiem szkwału. Wiatr ustał w ciągu paru minut, zostawiając kadłub „Sanforda” podrzucany przez niespokojne morze. Z nadzieją rozejrzałem się dokoła, ale fairmili Metcalfe'a nie było widać. Mogła jednak jeszcze wypłynąć z paskudnej pogody na kilwaterze szkwału.

Z namysłem patrzyłem na bączka, przywiązanego nadal do dachu kabiny, gdy odezwał się Coertze:

— Wiesz, tam na dole wciąż jest dużo złota. — Patrzył na kil.

— Do diabła ze złotem — powiedziałem. — Odwiążmy bączka.

Przecieliśmy więzy i pozwoliliśmy bączkowi wpaść do morza. Najpierw jednak zabezpieczyłem go liną. Pływał do góry dnem, ale nie martwiłem się tym; komory powietrzne nie pozwolą mu zatonać w żadnym położeniu. Zszedłem w dół pokładu i udało mi się ustawić go prawidłowo. Wziąłem czerpak przymocowany na swoim miejscu i zacząłem wybierać wodę.

Właśnie skończyłem, gdy Francesca krzyknęła:

— Metcalfe! Metcalfe nadpływa.

Kiedy wróciłem na szczyt kadłuba, fairmila znajdowała się już całkiem blisko. Wciąż szła mozolnie ośmioma węzłami, na które zdecydował się przy tej pogodzie Metcalfe. Tym razem nie próbowaliśmy uciekać, więc wkrótce znalazła się w zasięgu głosu.

Metcalfe stał obok sterówki.

— Możecie przyjąć linę?! — ryknął.

Coertze pomachał ręką i fairmila przysunęła się bliżej. Metcalfe uniósł zwój liny i zamachnął się. Pierwszy rzut okazał się za krótki, ale drugi Coertze złapał. Ześliznął się po pokładzie i umocował linę do kikuta masztu. Przyciąłem dwa kawałki liny i zawiązałem je w pętlę wokół liny rzuconej przez Metcalfe'a.

— Przepłyniemy w bączku, ciągnąc za linę. Tylko, na miłość boską, nie wypuście tych pętli, bo może nas porwać.

Wsiedliśmy do bączka i przyciągnęliśmy się do fairmili. Normalnie nie stanowiłoby to szczególnie trudnego zadania, ale my byliśmy zmarznięci, mokrzy i zmęczeni.

Metcalfe pomógł Francesce wejść na pokład, a Coertze poszedł następny. Gdy zacząłem się wspinać, rzucił mi linę.

— Przywiąż bączka, mogę go potrzebować — polecił krótko.

Przywiązałem go więc i dopiero wtedy wspiałem się na pokład. Metcalfe podszedł do mnie z twarzą wykrzywioną gniewem. Złapał mnie za ramiona i krzyknął:

— Ty przekłety głupcze, mówiłem ci, żebyś dokładnie sprawdził ten kil. Mówiłem ci jeszcze w Rapallo!

Zaczął mną potrząsać, a ja byłem zbyt słaby, żeby mu się przeciwstawić. Głowa latała mi w przód i w tył, jak u wypchanej trocinami lalki. Kiedy mnie puścił, po prostu klapnąłem na pokład.

Odwrócił się do Coertzego.

— Ile zostało?

— Jakieś ćwierć.

Patrzył na wraka „Sanforda” z wyraźnym napięciem w oczach.

— Nie stracę tego — powiedział. — Nie stracę tony złota!

Krzyknął w stronę sterówki i Moulay Idriss wyszedł na pokład. Metcalfe wydał po arabsku szybkie polecenia, następnie wskoczył do bączka i podpłynął do „Sanforda”. Arab przymocował do liny ciężki kabel, który Metcalfe zaczął ściągać po dotarciu do wraka.

Francesca i ja nie interesowaliśmy się specjalnie ich poczynaniami. Byliśmy wyczerpani i dla nas ważniejsze było to, że przeżyliśmy i że jesteśmy razem, niż to, co się stanie ze złotem. Coertze jednak doceniał szasnę i pomagał Arabowi przy kablu.

Metcalfe wrócił i powiedział do Coertzego:

— Miałeś rację, zostało około tony. Nie wiem, jak ten wrak się zachowa, kiedy zaczniemy go ciągnąć, ale spróbujemy.

Gdy fairmilla wykonała zwrot, kabel się napiął. Zamglone słońce zaświeciło nad rozkołysanym morzem. Spojrzałem w tył na „Sanforda”, jak ruszył się niemrawo. Kokpit był do połowy w wodzie, ale luk dziobowy wciąż wystawał na powierzchnię.

— Mój Boże! — krzyknąłem. — Tam jest jeszcze Walker!

— *Magtig*, zapomniałem o nim — powiedział Coertze. Musiał stracić przytomność, kiedy „Sanford” się wywrócił — inaczej byśmy go usłyszeli. Francesca też wpatrywała się w „Sanforda”.

— Patrz! — wykrzyknęła. — Tam, w kokpicie.

Główny luk został siłą otwarty od środka i zobaczyliśmy głowę Walkera, który próbował wydostać się, walcząc z naporem wody, wdzierającej się do wnętrza łodzi. Chciał złapać się zębami kokpitu, ale nie było jej — Krupke ją odstrzelił. Walker zniknął, kiedy napór wody wepchnął go z powrotem do kabiny.

Gdyby próbował wyjść lukiem dziobowym, byłby bezpieczny, ale nawet w sytuacji śmiertelnego zagrożenia nie potrafił działać logicznie.

Główny luk był nadal otwarty, woda wlewała się do kadłuba i „Sanford” tonął.

Metcalfe wściekał się.

— Ten cholerny głupiec! — krzyczał. — Myślałem, że rozprawiliście się już z nim. Zabiera ze sobą to przekłete złoto.

W miarę jak „Sanford” zanurzał się, woda wpływała do niego coraz szybciej. Metcalfe wpatrywał się w znikający kadłub z rozpaczą. Głos przepelniała mu wściekłość.

— Ten głupi, przekłety idiota. Partolił wszystko od samego początku.

Teraz nie mogło to już trwać długo. „Sanford” tonął szybko.

Kabel holowniczy napiął się coraz mocniej w miarę zanurzania się łodzi. Gdy zwiększył

się naciąg kabla, rufa fairmili poszła w dół — to „Sanford” drgnął gwałtownie, kiedy sprężone powietrze wypchnęło luk dziobowy. Jacht zaczął tonąć szybciej, gdyż woda wlewała się także przez nowy otwór w kadłubie.

Fairmilę niebezpiecznie ciągnęło pod wodę. Metcalfe zdjął z uchwytu toporek i stanął obok kabla. Spojrzał w tył na „Sanforda” z twarzą, na której wyraźnie odbijało się niezdecydowanie, po czym zamachnął się potężnie. Kabel pękł z brzękiem i jego luźny koniec wijąc się poleciał w morze, a rufa fairmili wyskoczyła do góry.

„Sanford” drgnął ostatni raz i odwrócił się do góry dnem. Gdy pogrążył się w wodę, znikając nam z oczu wśród wirujących fal, zabłąkany promień słońca padł na jego kil i ujrzeliśmy blask niezniszczalnego złota. Później widać było już tylko morze.

III

Gniew Metcalfe'a był olbrzymi, lecz tak jak szkwał wkrótce się uspokoił; wrócił do swego zwykłego ja, przyjmując stratę z filozoficznym spokojem.

— Szkoda — rzekł. — Ale tak to już jest. Odeszło i nic nie możemy na to poradzić.

Siedzieliśmy w salonie fairmili w drodze do Malagi, gdzie Metcalfe miał nas wysadzić. Dał nam suche ubrania i nakarmił nas, więc poczuliśmy się lepiej.

— Co teraz zrobisz? — spytałem. Wzruszył ramionami.

— Tanger już prawie się skończył, gdyż przejmują go Marokańczycy. Myślę, że skoczę do Konga; zaczyna się tam kotłować.

Metcalfe i jemu podobni będą „skakać do Konga”, pomyślałem. Kruki zbierają się w stada — ale on nie był z nich najgorszy.

— Myślę, że możesz nam wyjaśnić kilka rzeczy — powiedziałem.

— Co chcesz wiedzieć? — uśmiechnął się szeroko.

— Nie daje mi spokoju, jak w ogóle odkryłeś naszą grę. Co doprowadziło cię do podejrzeń, że chodzi nam o złoto?

— Stary — podejrzeń? Ja nie podejrzewałem, ja w i e d z i a ł e m.

— Skąd, u diabła, wiedziałeś?

— Dowiedziałem się, gdy spiłem Walkera. Wyśpiewał całą historię o złocie, o kilu — wszystkim.

— A niech cię diabli. — Przypomniałem sobie wszystkie środki ostrożności, które przedsięwziąłem, żeby zbić Metcalfe'a z tropu. Przypomniałem sobie, jak wyteżalem umysł i wymyślałem coraz to nowe wybiegi. Wszystko na darmo — nie dało się go zwieść!

— Myślałem, że pozbyliście się go — powiedział Metcalfe. — Od samego początku sprawiał wam ciągle kłopoty. Myślałem, że wyrzuciliście go za burtę czy coś takiego.

Spojrzałem na Coertzego, a on uśmiechnął się szeroko.

— Był prawdopodobnie również mordercą — powiedziałem.

— Nie dziwiłoby mnie to — zgodził się Metcalfe niedbale. — Był małym, płaszczącym się przed każdym szczurem.

Przypomniałem sobie nagle — ja też chyba zabiłem człowieka!

— Gdzie jest Krupke? — spytałem. — Nie widziałem go tutaj. Metcalfe prychnął.

— Jęczy na swojej koi; w twarzy ma pełno drzazg. Pokazałem grzbiet mojej dłoni.

— On zrobił mi to samo.

— Tak — odparł Metcalfe z kamienną twarzą. — Ale Krupke straci przypuszczalnie oko.

— Dobrze mu tak — stwierdziłem ze złością. — Nie będzie już tak chętnie patrzył przez celownik.

Nie zapomniałem o tym, że jeszcze kilka godzin temu Metcalfe i jego zbójcka załoga robili, co mogli, aby nas zabić. Lecz klócenie się o to z Metcalfe'em nie byłoby w tej sytuacji zbyt rozsądne. Znajdowaliśmy się na jego łodzi i miał zamiar wysadzić nas bezpiecznie na ląd. Irytowanie go zdecydowanie nie było najlepszą taktyką.

— Ten twój pistolet maszynowy okazał się niezłą niespodzianką. O mało mnie nie postrzeliłeś. — Wskazał pognieciony, leżący na pomocniku megafon. — Wytrąciłeś mi to cholerstwo wprost z ręki.

— Dlaczego byłeś tak troskliwy wobec mojego męża? — zmieniła temat Francesca. — Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu?

— Och, zrobiło mi się naprawdę przykro, gdy zobaczyłem, jak Hal mu dołożył — rzekł Metcalfe poważnie. — Wiedziałem, kim jest, i wiedziałem, że mógłby narobić smrodu. Niczego takiego nie chciałem. Chciałem, żeby Hal kontynuował odlewanie kilu i wyjechał z Włoch. Nie mogłem pozwolić sobie na to, żeby policja zaczęła wokół was węszyć.

— Dlatego próbowałeś również powstrzymać Torloniego powiedziałem.

Przesunął ręką po policzku.

— To był m ó j błąd — przyznał. — Myślałem, że uda mi się użyć Torloniego, tak aby się w niczym nie zorientował. Ale to straszny drań i kiedy wpadła mu w ręce ta papierośnica, cała sprawa obróciła się przeciwko mnie. Chciałem tylko, żeby Torloni miał was na oku, ale ten cholerny głupiec Walker musiał zdradzić wszystko. Wówczas nie można już było Torloniego powstrzymać.

— Więc ostrzegłeś nas. Rozpostarł ręce.

— Cóż więcej mogłem zrobić dla kumpla?

— Nie dla kumpla. Chciałeś zdobyć złoto. Uśmiechnął się szeroko.

— No cóż, u diabła. Wydostaliście się, prawda?

Rozmyślałem z goryczą o roli Metcalfe'a. Manipulował nami jak lalkami w teatrze, a my tańczyliśmy tak, jak zagrał. No, niezupełnie — jedna z marionetek zerwała się ze sznurka. Walker zawodząc nas, zawiódł również Metcalfe'a.

— Gdybyś nie angażował w to Torloniego, kil by nie pękł. Gdy Torloni zaczął naciskać, musieliśmy odlewać go w diabelnym pośpiechu.

— Tak — zgodził się Metcalfe. — Wszyscy ci cholerni partyzanci też nie pomogli. — Wstał. — No cóż, muszę iść kierować dalej tą łodzią. — Zawahał się, po czym włożył rękę do kieszeni i wyciągnął papierośnicę. — Może chcesz to na pamiątkę; Torloni ją zapomniał.

Spojrzałem na Francescę i Coertzego, po czym wolno wyciągnąłem rękę. Poczułem ciężki, znajomy dotyk złota, lecz nie skręciło mnie tym razem w środku jak wówczas, gdy Walker dał mi do ręki złotego herkulesa. Teraz na widok złota robiło mi się niedobrze.

Otworzyłem papierośnicę. Wewnątrz znalazłem złożony na pół list. Został zaadresowany do mnie jako sprawującego opiekę nad jachtem „Sanford”, na port Tanger, i był otwarty. Zacząłem go czytać i wybuchnąłem niepohamowanym śmiechem.

Francesca i Coertze patrzyli na mnie zdumieni. Próbowalem się opanować, lecz wciąż wstrząsał mną histeryczny śmiech.

— Wy... wygraliśmy... główną nagrodę na... na loterii. — Ciężko łapiąc powietrze pokazałem list Francescę, która też zaczęła się śmiać.

— Na jakiej loterii? — spytał Coertze z głupią miną.

— Nie pamiętasz? Nalegałeś, aby w Tangerze kupić los loterii; powiedziałeś, że to zabezpieczenie. On wygrał! Zaczął się uśmiechać.

— Ile?

— Sześćset tysięcy pesetów.

— Ile to jest w funtach? Przetarłem oczy.

— Nieco ponad sześć tysięcy. To nie pokryje kosztów, które poniosłem w związku z tą wycieczką, ale się przyda. Coertze wyglądał na zakłopotanego.

— Ile straciłeś?

Zacząłem obliczać. Straciłem „Sanforda” — był wart jakieś dwanaście tysięcy funtów. Przez prawie rok regulowałem wszystkie nasze rachunki — dość wysokie, gdyż musieliśmy uchodzić za bogatych turystów. Wygórowana cena wynajęcia Casa Saeta w Tangerze. Dochodziło wyposażenie łodzi oraz prowiant.

— Jakieś siedemnaście do osiemnastu tysięcy.

Zamrugnął gwałtownie. Włożył rękę do kieszonki w spodniach.

— Czy to pomoże? — spytał i wyłożył na stół cztery duże brylanty.

— A niech to diabli — powiedziałem. — Skąd je wytrzasnąłeś?

— Chyba przykleiły mi się do rąk w sztolni — zdusił śmiech. — Zupełnie jak tobie ten pistolet maszynowy.

Francesca zaczęła chichotać. Manipulowała chwilę przy piersi. Wyjęła mały irchowy woreczek, zawieszony na sznureczku na szyi i opróżniła go. Dwa kolejne brylanty znalazły się obok leżących już na stole. Dla towarzystwa były tam również cztery szmaragdy. Spojrzałem na nich i powiedziałem:

— Nikczemni złodzieje, powinniście się wstydzić. Te klejnoty miały zostać we Włoszech!

Wyszczrzyłem zęby, po czym wyciągnąłem moich pięć brylantów i zaczęliśmy się śmiać jak szaleni.

IV

Później, gdy schowaliśmy już klejnoty przed wścibskimi oczami Metcalfe'a, wyszliśmy na pokład i obserwowaliśmy wzgórze Hiszpanii wylaniające się z mgieł horyzontu. Objąłem Francescę i powiedziałem z wymuszonym uśmiechem:

— Słuchaj, mam jeszcze połowę udziałów stoczni w Cape Town. Czy zechcesz zostać żoną konstruktora łodzi? Uścisnęła mnie za rękę.

— Myślę, że spodoba mi się Afryka Południowa.

Wyjąłem z kieszeni papierośnicę i otworzyłem jedną ręką. Dedykacja wciąż tam była. Przeczytałem ją po raz pierwszy: *Caro Benito da parte di Adolf— Brennero — 1940.*

— Cholernie niebezpiecznie nosić coś takiego przy sobie — powiedziałem. — Może ją zobaczyć jakiś inny Torloni. Wzdrygnęła się i rzekła:

— Pozbądź się jej, Hal, proszę, wyrzuć ją.

Wyrzuciłem ją więc za burtę; dostrzeżliśmy tylko błysk złota w zielonej wodzie, po czym zniknęła na zawsze.